

George Bidwell  
ZDOBYWCA  
ANGLII



*Wydawnictwo Śląsk*

**GEORGE BIDWELL**

**ZDOBYWCA ANGLII WILHELM I  
Z NORMANDII**

# PROLOG

Roku tysięcznego pięćdziesiątego trzeciego książę Normandii, znany całej Europie pod mianem Wilhelma Bastarda, odwiedził z liczną świtą rycerzy Edwarda, króla Anglii. Dwaj mężczyźni nie byli sobie obcy. Edward - którego matka była siostrą księcia Ryszarda Drugiego, dzfada Wilhelma - spędził za młodu dwadzieścia lat na dworze normandzkim. Tam, już w pełni sił męskich, zyskał przywiązanie Wilhelma, wówczas zaledwie wyrostka. Przyjaźń przetrwała, chociaż pod względem cech fizycznych, charakteru i temperamentu ci dwaj, angielski władca i jego normandzki gość, nie byli do siebie podobni.

Król Anglii przekroczył pięćdziesiątkę, a słabe zdrowie i wątła postać nadawały mu wygląd przedwcześnie postarzałego. Z powodu wielkiej pobożności zwano go Edwardem Wyznawcą i wierzono powszechnie, że potrafi uzdrawiać położeniem swych rąk *aa* chorym. Wydawał się raczej mnichem niż królem. W polowaniach się nie kochał, na wojnie się nie rozumiał. Łatwo ulegał namowom dworzan, łatwo go onieśmielali krnąbrni baronowie.

Wilhelm, od roku 1037 książę Normandii, liczył lat dwadzieścia sześć. Wysokiego wzrostu, mocarnej budowy ciała, pokonał zawistnych a potężnych rywali do tronu, na który  $\wedge$ stąpił na wyraźny rozkaz swego ojca, nie posiadającego dziedziców z prawego łoża. W epoce utrwalania swojej władzy Wilhelm zdobył reputację najzdolniejszego i najbardziej bezwzględnego wodza w Zachodniej Europie.

Książę wprędce dostrzegł, że na angielskim dworze obowiązywał pod wielu względami normandzki obyczaj. Istotnie, więcej tu było cech normandzkich, niżby sobie tego życzyli angielscy poddani Edwarda. Król otaczał się normandzkimi dygnitarzami, duchownymi i świeckimi, których wolał od szlachty anglosaskiej, często jeszcze nieokrzeseanej i mało wykształconej.

- Obwiniają mnie o lubowanie się w normandzkich ludziach i sprawach - przyznał Edward w odpowiedzi na uwagę gościa. I dodał z pobłażliwą pogardą: - Biedni prostacy. Nie pojmują, że tylko te z normandzkich obyczajów zaprowadzam, które są od anglosaskich lepsze.

Innego dnia Wilhelm, z celową prowokacją - bo nie zaspokajało go władanie jednym księstwem, nominalnie podległym królowi Francji - odezwał się:

- Chyba powinienes się śpieszyć z zapewnieniem dziedzica dla tronu. Jej królewska mość... nie widziałem jej. Czy może choruje?

- Zdrowa jest. Żyje w klasztorze. Z mojej krwi nie będzie potomka. Wziąłem żonę, by ułagodzić moich poddanych, ale nie mogą mnie zmusić do skonsumowania

małżeństwa. Nie obcowałem cielesnie z żadną kobietą. Za młodu złożyłem śluby czystości.

- Więc musisz wyznaczyć następcę.
- Ród hrabiego Godwina chce zająć tron.
- Hrabia Godwin? Dla siebie?

.. - On sam chyba nie dożyje. Ale jego syn Harold, który ma teraz dwadzieścia dwa lata, jest odważny i przezorny.

- Mianujesz go swoim dziedzicem?
- Nigdy.

- Nienawidzisz Godwinów?

- Nie nienawidzę żadnego człowieka. Ale Godwinowie to ród potężny... zbyt potężny. Wciąż mi przypominają, że to wpływy hrabiego wyniosły mnie na tron. A Harold ma mir u ludu. Przystojny, rycerski.

- Czy ma jakieś prawa?

- Według pochodzenia jest inny pretendent, który miałby pierwszeństwo, chociaż gdy mnie nie stanie, będzie chyba jeszcze za młody, by samemu władzę sprawować. Harold wywodzi się z krwi królewskiej, ale szwedzkiej, po matce. I chociaż krew się liczy, jednakże ostatecznie o sukcesji rozstrzygnie Witan (parlament).

Wilhelm dobrze wiedział, jak wielkie znaczenie w sukcesji do tronu miało pochodzenie z krwi królewskiej - według starożytnej tradycji z krwi bogów - choćby nawet obcej narodowi, gdzie pretendent chciał panować.

- Więc co poczniesz?

Edward zawahał się, wzruszył ramionami, zwrócił wodniste, zawsze jakby załzawione oczy na swego gościa i wreszcie rzekł:

- Anglia nie jest zjednoczona. Szlachta krnąbrna, wieśniacy o sztywnych karkach, niechętnie jarzmo znoszą. Temu krajowi brak tego, co ty dałeś Normandii. I nikt z anglosaskiej krwi nie potrafi tego dać.

Oczy Wilhelma rozblęły, na twarz mu wypłynął rumieniec.

- Chcesz powiedzieć?... - ponaglał.

- Chcę powiedzieć, że kocham mój kraj i boję się o jego przyszłość. Kiedy umrę, wybuchną zamieszki, których zresztą niemało było i za mego panowania. Kocham również Normandię. Chciałbym widzieć moje królestwo i twoje księstwo w ręku jednego, silnego władcy.

Wilhelm nie mógł dłużej się pohamować.

- Jeśli Anglii potrzeba silnego władcy - ja mógłbym nim być!

- Wiem - odparł Edward. - Nie łączą nas, ciebie i mnie, więzy bliskiego pokrewieństwa, ale jednak w naszych żyłach płynie wspólna krew. Co więcej, i co ważniejsze, bacznie ci się przypatrywałem i widzę, że nie zmarnowałeś swego zdrowia

na trunki i kobiety; wiem też, że zdołałeś przewyciężyć wielkie trudności z powodu twego nieprawego urodzenia...

Wilhelm przygryzł wargi. W Normandii za przypomnienie mu, że jest bękartem, niejeden ciężko zapłacił. Ale teraz chodziło o zbyt wielką stawkę, by okazać urazę.

- W twoim ręku - ciągnął Edward - księstwo jest pod względem sprawnej administracji i zdyscyplinowanych rządów wzorem dla całej Europy. Tak, mój młody przyjacielu, od dawna przemyślałem, że bardzo bym sobie życzył dla Anglii następnego króla, podobnego do ciebie.

Wilhelm nie mógł uwierzyć własnym uszom. Marzyło mu się, to prawda... ale nie ośmielał się mieć nadziei, że Edward sam...

- Więc mianujesz mnie swoim następcą? - pytał bez tchu.

- Och, to nie zależy tylko ode mnie - słabym głosem zamruczał król. - Ale gdybym wiedział, że mam umrzeć jutro, mój wybór padłby na ciebie.

Do Normandii Wilhelm wracał uszczęśliwiony. Właściwie, Edward niczego nie przyrzekł; a nawet, gdyby mu dał wiążącą obietnicę i tak nie byłaby ona ostateczna. Ale jednak to, co król powiedział, Wilhelmowi wystarczyło. Nie pominie żadnej sposobności. Może za wcześnie na konkretne plany - ale będzie czynił wszystko, by wygładzić przed sobą drogę do tronu Anglii. Matka mu powiedziała, że kiedyś, gdy go jeszcze nosiła pod sercem, miała sen... Może Bóg go wybrał, by zaprowadził ład na tej krnąbrnej wyspie...

Mijały lata. Aż wreszcie sposobność się nadarzyła. Ten sam Harold, o którym król Edward wspominał, jako o możliwym następcy tronu, wyprawił się latem roku 1063 w odwiedziny do hrabiego Flandrii. Jego statek rozbił się u wybrzeży Normandii. Hrabia Guy de Ponthieu wziął do niewoli rozbitka, wtrącił go do wieży i wysłał posłów do rodziny z żądaniem okupu. Ojciec Harolda zmarł niedawno, a on sam odziedziczył największe hrabstwo w Anglii, Wessex, toteż de Ponthieu mógł rzeczywiście spodziewać się poważnej sumy, chociaż jego postępowanie trudno było nazwać przyjacielskim.

Jako wasal księcia Wilhelma, de Ponthieu wprędce się dowiedział, że jego feudalny pan również interesuje się losem hrabiego Harolda. Początkowo możny baron opierał się rozkazowi wydania jeńca, ale zmienił zdanie, gdy Wilhelm - który miał zwyczaj dotrzymywać słowa - zagroził mu za nieposłuszeństwo spalaniem go we własnym zamku i skonfiskowaniem wszystkich dóbr.

Hrabiego Harolda oczekiwało ze strony księcia bardzo odmienne przyjęcie \*od tego, z jakim się do tej pory spotkał w Normandii. Wilhelm wyjechał przed bramy swej stolicy, Rouen, na czele kawalkady strojnych jeźdźców, by go powitać, jak honorowego gościa. Istotnie, Harold miał teraz nawet większe znaczenie niż za czasów wizyty Wilhelma w Anglii.

Gdy książę wyraził ubolewanie z powodu grubiaństwa hrabiego de Ponthieu, Harold odparł:

- Nie szacuję waszego księstwa według jego gburów. Niestety, w żadnym kraju takich nie brak.

- Będziesz mógł oszacować nas, Normanów, według mego dworu - zapewniał go Wilhelm. - Wasz król przed laty okazał mi wiele względów. Pokażę ci, że potrafimy dorównać angielskiej gościnności. I ufam, że na dłużej z nami pozostaniesz, bo będziemy mieć dużo do omówienia. Tego jestem pewien.

Księżna Matyllda przyjęła Harolda na stopniach zamkowych. Miała włosy jasne jak len, splecione w dwa grube i długie warkocze, z których jeden spływał jej po plecach, a drugi przerzucała sobie przez lewe ramię do przodu. Na głowie nosiła przejrzystą białą narzutkę, pod połyskującą klejnotami wąską, złotą obręczą, a jej wciąż jeszcze ponętne kształty uwydatniała długa, powłóczysta suknia z głębokim dekoltem.

Harold, również jasnowłosy, o błękitnych oczach, ostrych rysach twarzy, wzrostem nieomal dorównywał wyjątkowo wysokiemu Wilhelmowi, a jako cieszący się mniejszym apetytem, był szczuplejszy. Jego urodziwa postać w połączeniu z muzykalnością, melodyjnym głosem i wytwornymi manierami, wywarła wielkie wrażenie na normandzkim dworze. Księżna Matyllda spędzała na rozmowach z nim długie godziny, wypytyjąc go o Anglię. Jej młodziutkie córki wyobrażały sobie, że się w nim kochają, chociaż był prawie w wieku ich ojca. Książę podejmował gościa z wielką atencją, wszystko by zrobił dla niego - tylko nie chciał słuchać o ewentualności jego powrotu do kraju.

Gościnność, atencje, przyjazne uśmiechy, demonstracje braterskiej życzliwości, urządzone na jego cześć polowania i uczy - nie zwiody Harolda. Zastanawiał się, czego mogą chcieć od niego? Podejmowano go isticie po książęcemu, ale był więźniem wcale nie mniej, niż w lochach zamku Ponthieu. Nie oczekiwano okupu za niego. Przeciwnie, książę Wilhelm zapłacił hrabiemu de Ponthieu sumę, jakiej ten zażądał z Anglii. Ucieczka była możliwa tylko statkiem. Harold miał się wkrótce dowiedzieć, jakiej ceny żądano za jego wolność.

Ród Godwinów, z którego wywodził się Harold, od dawna zaliczał się do najpotężniejszych w Anglii. Jego ojciec, chociaż protestował przeciw normandzkim doradcom, a nawet był odsunięty przez jakiś czas ze dworu, zachował wpływ na króla Edwarda, głównie przez swoją siostrę, królową. Sam Harold zdobył sobie wielkie uznanie dzięki zwycięstwom nad Walijszykami najeżdżającymi ziemie angielskie i dzięki rozbiciu zjednoczonych do tej pory walijskich wodzów; a od śmierci swego ojca stał się nie tylko prawą ręką słabego króla, ale w praktycznym sensie opanował władzę królewską we wszystkim, prócz funkcji czysto oficjalnych. Być może Harold był

bardziej lojalny wobec tronu, aniżeli wobec tego, który na nim siedział, ale angielska szlachta bała się go i respektowała, a lud czcił w nim zwycięskiego wodza.

Książę zdawał więc sobie sprawę, że jego jeniec i niezupełnie dobrowolny gość będzie miał decydujący głos w rozstrzygnięciu sprawy sukcesji angielskiego tronu. I Wilhelm nie zapomniał, że według słów króla Edwarda właśnie Harold mógłby być głównym kandydatem.

Oboje księstwo przystępowali przezornie, krok po kroku, do sprawy, która im leżała na sercu. Matylda dokonała pierwszego posunięcia - podstępnego, obliczonego na wprowadzenie w błąd Harolda: niech myśli, że to cel jedyny, a nie pierwszy krok.

Oznajmiwszy, że zmęczyło go całodzienne polowanie, Wilhelm pewnego dnia udał się wcześniej na spoczynek, zostawiając żonę i angielskiego hrabiego pogrążonych w rozmowie. Matylda pochyliła się ku gościowi, odsłaniając całą prawie pierś, jakby prezentowała próbkę tego, co zamierzała mu ofiarować - wprawdzie nie sama, ale...

- Podbiliście tu wszystkie serca, hrabio Haroldzie. A już co najmniej jedna z moich córek, Adelissa, prawdziwie zakochała się w angielskim gościu...

Hrabia uśmiechał się. Adelissa ledwie skończyła dziesięć lat.

- Urocze z niej dziecko - powiedział. - Bardzo cenię sobie ten komplement. Wszyscy ogromnie lubimy, gdy dzieci darzą nas przywiązaniem, nieprawdą? Dzieci i psy!

- Proszę sobie nie kpić ze mnie - zganiała go Matylda z czołem zmarszczonym, ale uśmiechniętymi ustami, co jej jeszcze przydawało uroku. - Ja mówię poważnie. Adelissa jest niezwykle dojrzała jak na swój wiek. Zresztą niezadługo będzie już kobietą. A hrabiego Harolda po prostu admiruje jak bóstwo!

Matylda ujawniła swój cel aż nadto wyraźnie, więc Harold zaczął się pośpiesznie wykręcać:

- Jestem od Adelissy o wiele, wiele lat starszy!

- To nie ma znaczenia - odparła księżna. - Jesteście, hrabio, w pełni sił - to powiedziała z uśmiechem i zalotnym uniesieniem jednej brwi, na znak własnego uznania dla jego męskości. - Książę, mój małżonek, nie chce się pogodzić z myślą o utraceniu was, hrabio. Ale gdyby był pewien, że hrabia Harold zostanie jego zięciem, wówczas przyjąłby obecne rozstanie z miłą perspektywą, że niebawem znowu was zobaczy. - Głos Matyldy zmienił się teraz: jego melodyjna łagodność nabrała złowrogiego akcentu, gdy kończyła: - Pomyślcie o tym, hrabio Haroldzie.

Uwięziony gość mało spał tej nocy. Chodził po komnacie tam i z powrotem, rozważając. Propozycja, uczyniona chyba na serio i na pewno z aprobatą księcia, przeraziła go z dwóch powodów. Po pierwsze, było to wyraźne ultimatum: „Twój powrót do domu, twoja wolność zawisły od twoich zaręczyn z Adelissą”. Po drugie, Harold, chociaż niezona, miał umiłowaną nałożnicę, Edytę Swanneshals, Edytę o łabędziej szyi. Od wielu lat była jego żoną we wszystkim, prócz miana - piękna, wierna,

kochana i kochająca. Urodziła mu sześćoro dzieci. Z powodu jej plebejskiego pochodzenia Harold nie mógł jej poślubić. Ale dopóki żyła, nie chciał związku z żadną mną i zamierzał, gdyby wstąpił na tron Anglii, wyznaczyć najstarszego syna swym następcą.

A właściwie, jaki cel miał Wilhelm, dążąc do tego małżeństwa? Czy doprawdy chciał tylko, by jedna z jego córek została królową Anglii? A wnuk, w swoim czasie, królem? Z pewnością wiedział dobrze o aspiracjach Harolda, o jego planach. Nie na darmo dwór króla Edwarda - obsiedli Normanowie... Zaręczyny nie są ostatecznie całkowicie wiążące. I jeśli nie ma innego sposobu, by wrócić do kraju, do Edyty i dzieci - to niechaj tak będzie. Żadna krzywda nikomu się nie stanie, bo przecież trudno uwierzyć, by dziesięcioletnie dziecko na serio się zakochało w trzydziestodwuletnim mężczyźnie. A jakąż wartość ma obietnica dana pod przymusem?

Wydarzenia potoczyły się teraz szybko, nawet za szybko jak na spokój umysłu Harolda. Dwór przeniósł się do Caen, skąd wyjeżdżając na polowanie pewnego dnia z Haroldem, książę powtórzył, jak echo, komplementy swej żony i zapewnienia, że Adelissa jest na śmierć i życie zakochana w jasnowłosym Anglesasie.

- I wiem, że jesteś człowiekiem, któremu mogę ufać - kończył Wilhelm. Jego postępowanie miało zaprzeczyć tym słowom.

- Byliście tu wszyscy bardzo dla mnie łaskawi - Harold zwlekał z definitywną odpowiedzią, nieufny i czujny.

- W pewnych okolicznościach mógłbym uczynić dla ciebie o wiele więcej.

Dwaj mężczyźni, jadąc opodal towarzyszącej im świty, zamilkli na chwilę. Wreszcie Wilhelm rzekł bez ogródek:

- Król Edward niedomaga, jak słyszę. Zawsze był słabowitego zdrowia. Długo nie pożyje. Znam go od wielu lat, jako chłopiec czciłem go niby świętego. Jego śmierć będzie dla mnie wielkim ciosem. Gdy byłem w Anglii... pamiętasz pewno... widziałem, że Edward ma szacunek u ludzi.

Harold odparł:

- Ale jego długi pobyt w tym księstwie sprawił, że bardziej jest Normanem niż Anglikiem. To się jego poddanym nie podoba.

Wilhelm zignorował tę zatrutą strzałę i oznajmił bezceremonialnie:

- Król Edward powiedział mi, że zamierza mnie mianować swoim następcą.

A więc o to chodził Harold podejrzewał, że Wilhelm miał takie aspiracje, ale nie wiedział o obietnicy króla Edwarda. Nie wiedział też, że Wilhelm cokolwiek ubarwił słowa królewskie. Harold musiał teraz powiedzieć niedwuznacznie:

- Moi rodacy obcego króla sobie nie życzą. Mieli władców duńskich, teraz mają pół-Normana. Tęsknią za monarchą anglosaskim.

Wilhelm roześmiał się, acz z przymusem:



- Daj spokój! Jeśli władca jest silny i sprawiedliwy, ludzie szybko przywykają i godzą się z nim. To tylko sprawa ustalenia sukcesji. A później lud niewiele ma do powiedzenia. Rycerze i jurzyeltnicy tego dopilnują.

- W Anglii lud ma głos przez lokalne Witany i Witan królewski - poprawił sztywno Harold.

- Zwyczajna formalność - Wilhelm machnął pogardliwie ręką. - Ty masz wpływy i znaczenie w Anglii Lud, z tego co wiem, darzy cię przywiązaniem. Uczyni tak, jak ty zechcesz: przyjmie mnie, jeśli ty tego zażądasz. Możesz to zrobić bardzo łatwo: trzeba tylko wykonać wyraźną wolę króla Edwarda... Posłuchaj mnie, Haroldzie: bądź moim stronnikiem, popieraj mnie według twoich sił, a ja nawzajem zrobię dla ciebie, co zechcesz. Będziesz mi przecież synem, pojmując za żonę Adelisę...

Harold w duchu sprecyzował znaczenie tych słów: „Obiecuj poślubić moją córkę i wprowadzić mnie na tron Anglii - wówczas możesz wracać do domu. Inaczej...” Hrabia zaznał już lochów normandzkich. Wiedział, że może w nich zgnić zapomniany.

Milczał. Wilhelm łatwo odgadywał jego myśli, ale wołał nie prowokować oporu. Milczał również i czekał na kapitulację. Dojechali do stopni rezydencji księżęcej w Caen. Zsiadając, Wilhelm rzekł tylko:

- Wygłodniałem) jak wilk. Chodźmy do stołu.

Jednakże postanowił wydobyć z Harolda coś więcej mi tylko milczącą zgodę. Następnego dnia książe i hrabia wyjechali znowu.

- Dziś” pojedziemy do mego zamku Bayeux, który wybudował przed stu laty Ryszard Pierwszy normandzki, wspólny przodek mój i twego króla.

Nie uszło uwagi Harolda podkreślenie tego cenionego przez Wilhelma pokrewieństwa, choćby odległego, z Edwardem, monarchą Anglii.

Tego wieczoru na zamku Bayeux zgromadzili się w wielkiej sali wszyscy, normandzcy notable i rycerze. Wilhelm przywdział ceremonialne szaty księżęce, włożył złotą obręcz na głowę. Zasiadł na pozłocistym fotelu, na kształt tronu, mając przed sobą dużą skrzynię, przykrytą cenną tkaniną. Obok skrzyni stanął Odo, biskup Bayeux, brat przyrodni księcia. Wszedłszy angielski hrabia odgadł natychmiast znaczenie tych ceremonialnych przygotowań. Zresztą, książe nie zostawił mu czasu na wątpliwości.

- Witaj, hrabio Haroldzie! - zawołał, a zgromadzone rycerstwo powtórzyło:

- Witaj, hrabio Haroldzie!

- Wezwałem tu moich zaufanych druhów - mówił książe - abyśmy mogli godnie dopełnić formalności w sprawach ostatnio między nami uzgodnionych. Połóż ręce, mój dobry hrabio, na tym złotogłowie przed tobą, pod którym leżą kości dawno zmarłych świętych, czczonych przez nas wszystkich i przysięgnij dotrzymać obietnic, jakie mi uczyniłeś.

Harold niczego nie obiecywał. Ale na co by mu się przydało, gdyby o tym powiedział? Triumfujący uśmiech na twarzy księcia i surowe, zacięte oblicza wokół niego, mówiły mu wyraźnie, że jeśli nie złoży przysięgi, nigdy nie zobaczy ojczystych brzegów. Teraz hamował się tylko, by nie okazać wzbierającego w nim gniewu. Nie po rycersku schwytano go w pułapkę pozornej gościnności, przymuszono do składania przysięgi! Zażądał, by mu pokazano relikwie. Złocistą tkaninę podniesiono, święte kości odsłonięto. Harold jeszcze się wahał. Wilhelm rzekł ostro:

- Iż będziesz moim stronnikiem i będziesz mnie popierał we wszystkich sposobach, jakie po śmierci króla Edwarda podejmę, by tron Anglii uzyskać - przysięgaj!

...oczyma wyobraźni hrabia ujrzał lochy Ponthieu... koszmar zbirów, podchodzących ku niemu ze sztyletami w rękach...

„Przysięga pod przymusem nie może obowiązywać!” - szepnął do siebie Harold. I głośno:

- Przysięgam.

Wilhelmowi wyrwało się westchnienie ulgi. Mówił dalej:

- Iż gdy tylko moja córka Adelissa dojdzie wieku odpowiedniego do skonsumowania małżeństwa, poślubisz ją, oba nasze rody połączysz, staniesz się moim synem... przysięgaj!

... Edyta o szyi łabędziej skłaniała głowę, jakby go ponaglała, by się uwolnił i wracał do niej...

- Przysięgam.

Odo, biskup Bayeux, przemówił:

- Mój synu, pamiętaj, że twoja przysięga, złożona z dłońmi na drogocennych relikwiach, święta jest. Kto złamie taką przysięgę, własną duszę na wieczność potępi.

Wilhelm powstał z wyciągniętymi ramionami:

- Chodźcie, chodźcie wszyscy! Wyprawiam wielką ucztę na cześć tego uroczystego przypieczętowania przyjaźni między Wilhelmem, księciem Normandii, a Haroldem, hrabią Wessexu!

Następnego dnia na wybrzeżu czekały statki. Wilhelm patrzył, jak wyruszały do Dover z Haroldem na pokładzie. Wiedział dobrze, jak odległe więzy pokrewieństwa łączyły go z tronem Anglii. Ale Edward oznajmił o swoim wyborze, a Harold, najpotężniejszy z panów anglosaskich, przysięgnął mu dopomóc.

- Wolno nam się teraz spodziewać - powiedział do Matyldy - że ja, twój książę i ty, moja księżna, będziemy królem i królową, nim wiele wody upłynie.

Nie przejął się też zbytnio wiadomościami, przesłanymi mu przez Normanów, przebywających w Anglii, że anglosaskich panów niepomału rozgniewało

wykorzystanie bezsilności Harolda, by wymóc na nim, praktycznie pod grozą śmierci, przysięgę o treści sprzecznej z życzeniami większości jego rodaków.

- Faktem pozostaje, że przysiągł - mówił sobie Wilhelm. - Jeśli tak uroczystą przysięgę złamie, papież i każdy król i rycerz w Europie uzna mnie za usprawiedliwionego, jakichkolwiek bym się sposobów nie imał...

# **Część pierwsza**

## NORMANDIA

## Rozdział 1

### W BITEWNEJ WRZAWIE

Pewnego pięknego, sierpniowego poranka roku 1026. Robert, młodszy brat Ryszarda Trzeciego, księcia Normandii, wyprawił się w kompanii swego giermka, Osberna de Crépon, rycerzy i sług, na polowanie na dziki w lasach otaczających zamek Falaise. Przejechali strumień, gdzie stojące po kostki w wodzie, pochylone kobiety prały bieliznę. Wzrok Roberta przyciągnęła para silnych, białych ud, widocznych spod spódnicy zawiniętej wysoko nad kolanami. Wstrzymał konia, towarzysze również ściągnęli uzdy swoim wierzchowcom.

- Co za uda! A jakie muszą być pośladki! - powiedział do Osberna. - A jeśli pośladki godne pieszczoty, jak wygodną poduszką musi być brzuch...

- Dla pewnego szczęśliwca, który jest chyba nie dalej, jak o parę kroków ode mnie - mruknął giermek.

Z powodu przepychu jego strojów, wielu zwało Roberta „Wspaniałym”, ale kobiety już wówczas, chociaż liczył zaledwie siedemnaście lat, miały przyczyny przezywać go - z mieszaniną trwogi i ciekawości - „Diabłem”.

Piorąca dziewczyna, by dać znużonym plecom chwilę wytchnienia, wyprostowała się i odwróciła, spoglądając na strojnych jeźdźców. To pozwoliło Robertowi dostrzec jędrne okrągłości pod ciasnym stanikiem otwartym z przodu. Dziewczyna wsunęła pod zawiązaną na głowie i wokół szyi płócienną chustę pasma włosów, w których ukośne promienie porannego słońca zapalały rude ogniki. Cerę miała opaloną, wargi duże, czerwone.

Ochrzczono ją Herleva, by podkreślić pochodzenie od Wikingów z dalekiej północy, którzy przybyli do Rouen i okolic z początkiem X Wieku, a tak się uprzykrzyli królowi Francji, że dał w lenno ich nieustraszonemu, słynącemu z dzielności wodzowi Wielkiemu Rollo, ziemię, znane odtąd pod mianem Normandii. Po tych swoich przodkach dziewczyna odziedziczyła dumę i szlachetność postawy, widoczną już w jej piętnastym roku życia, a podniecającą młodego mężczyznę na brzegu strumienia.

Jedna ze starszych kobiet szepnęła:

- Nie gap się tak, Arletto. To książęcy brat! Zwano ją powszechnie Arlettą.

Chociaż liczna i bogata święta świadczyła o randze młodzieńca, niewielu jeszcze mieszkańców okolic zamku znało rysy Roberta. Dopiero niedawno zdobył Falaise. Jego starszy brat, który został księciem zaledwie przed paru miesiącami, po śmierci ich ojca, trwonił własne zdrowie i mienie. Niejeden uważał, że młodszy syn lepiej się nadawał na władcę. I on był tego samego mniemania. Z ukrytym celem zajął na własną rękę tę jedną z najpotężniejszych twierdz księstwa. Można było się spodziewać, że

książę zechce odzyskać Falaise, więc strażnicy przepatrywali okolicę w dzień i w nocy z wysokich wież, a gońcy stali przy osiodłanych koniach, gotowi w razie potrzeby natychmiast odwołać z powrotem myśliwych.

- Może i jest księżęcym bratem - odpowiedziała starszej kobiecie Arletta. - To i co? Jest też mężczyzną, a według tego, co o nim powiadają, nie byle jakim mężczyzną. Sama słyszałam, jak mówiłaś, że chociaż dziewczyna podoba się mężczyźnie z twarzy, to naprawdę ciekaw jest tego, co kryją jej spódnice. No, moje nogi już widział. Teraz, jeśli ma chęć, może popatrzeć na mnie z góry!

Pomimo tak młodych lat, Arletta miała charakter niełękliwy, mówiła śmiało i bez ogródek, była też ambitna, a sąsiadki nie bez przyczyny poszeptywały, że jej na męża nie wystarczy byle chłop albo skromny rzemieślnik. Była dobrą córką, ale nawet jej matka przeczuwała, że Arletta niebawem wyfrunie z gniazda. A nad strumieniem starsza kobieta odezwała się znowu:

- Może cię spotkać bardzo gorzki los... albo bardzo łaskawy. Znadtoś ciekawa świata, by się pogodzić z cichym kątkiem! Oj, nie spiesz się żyć!

Ale Arletta, nim pochyliła się nad praniem, wstrząsnęła głową i posłała młodemu wielmoży długie, śmiałe spojrzenie. Oczy miała błękitne jak jej przodkowie, a obiecywały one wiele, tak samo jak jej wargi - dojrzewające wiśnie, gotowe do zerwania. Robert chwycił oddech w piersi, nozdrza mu się rozszerzyły. Podjechał o krok bliżej strumienia, odpowiedział wzrokiem na jej spojrzenie. Arletta pomyślała: „Chce mnie. Więc niech tak będzie!”

Rycerze z drużyny Roberta uśmiechali się i mrugali do siebie.

- Znowu na tropie! - mruknął jeden.

- Ciekawym, kto tę będzie musiał brać za żonę, gdy on z nią skończy?

Robert nie dbał o to, nawet jeśli usłyszał. Zwrócił się do Osberna:

- Znasz ją?

- To córka Fulberta garbarza, panie.

- Szkoda, że nie lepiej urodzona - rozważał w głos Robert. - Mógłbym ją wziąć za żonę.

Osbern podniósł ze zdziwieniem brwi:

- Czyżby cię błyskawica poraziła, jak powiadają w Rzymie? Z innymi nie potrzebowałaś żadnych ceremonii przed pokładzinami. Poślij po nią, panie, jak kazałeś posyłać po inne.

Arletta szorowała znowu bieliznę, pochyłona może jeszcze bardziej” ukazując jeszcze więcej białych ud, niekoniecznie nieświadomie.

Tego wieczoru, po zapadnięciu zmierzchu, w chacie Fulberta garbarza rozległo się ostre stukanie do drzwi. Otworzono i próg przekroczył sługa Roberta, jeden z tych,

którzy byli z nim nad strumieniem. Arletta nie zdziwiła się: czekała tego stukania. Ale jej ojciec spytał:

- A skąd przychodzicie, człowieku? Wskazując na Arlettę, sługa odparł rozkazującym tonem:

- Masz iść ze mną do zamku.

Dziewczyna nie straciła głowy. Jeszcze piorąc bieliznę nad strumieniem umyśliła sobie, jak ma postąpić.

- Kto cię przysyła? - zapytała.

- Mój pan, książęcy brat.

Arletta zarumieniła się, ale nie ze wstydu, raczej w triumfie.

Nie było niczym niezwykłym, że pan włóści brał do swego łóża córkę rzemieślnika lub wieśniaka w zamian za zapłatę, wręczaną ojcu. Tylko że Arletta była niezwykła. Być może nawet chętniejsza w tej chwili od innych, miała jednak we krwi dumę i godność Wikingów. Nie zabierze jej sługa do zamku, posadziwszy za sobą na koniu, by ją odwieźć w parę godzin później, a wszystko pod osłoną ciemności. I nie będą jej znowu wzywali w podobny sposób, jeśli się spodoba jego wielmożności.

- Powiedz swemu panu - rzekła - że na jego życzenie przyjdę do niego. Ale za dnia. I ma po mnie przysłać...

- Córko - przerwał jej garbarz, zdziwiony i przestraszony śmiałością dziewczyny. - Nie możesz stawiać warunków, kiedy...

- Zostaw to mnie, ojciec - powiedziała Arletta, kładąc rękę na jego ramieniu. - Ostatecznie mnie to dotyczy najbardziej. - I dodała, z łobuzerskim uśmiechem: - Przecież to nie od ciebie żądają, byś tracił wianek bez ślubu!

- Twój ojciec ma słuszość - wtrącił sługa. - Niejeden już drogo zapłacił za nie dość skwapliwe wykonanie rozkazów mego pana.

Jednak mówił już jakoś inaczej. Prawdą było, że Robert Diabeł potrafił bezwzględnie rozprawiać się z każdym, kfo sprzeciwił się jego woli, ale bywało też, że respektował żądania, gdy mu się wydały słuszne.

- Daj dziewczynie spokój - odezwała się matka. - Ona i tak zrobi, co zechce.

Fulbertowa ledwie przekroczyła trzydziestkę, ale ciężka praca już przygięła jej postać, zniszczyła cerę, zmarnowała włosy. Mąż był zacnym człowiekiem, ale obojętnym kochankiem. A przecież były niegdyś takie krótkie chwile, kiedy pieściły ją inne, delikatniejsze ręce. Teraz podniecała ją ukryta w głębi serca myśl o losie, który może otwierał się przed jej urodziwą córką.

Arletta powróciła do swoich warunków.

- Niechaj twój pan przyśle po mnie wierzchowca i nakaze, by mnie za dnia wpuszczono do zamku przez zwodzony most...

Tego było za wiele nawet dla Fulbertowej, która przerwała:

- Dziewczyno! Czy ty wstydu nie masz? Za dnia?

- Wstyd to pozwolić się przesznułować po ciemku do pańskiej sypialnej komnaty i z powrotem - odparła Arletta - a nie w tym, by wszyscy widzieli, że właśnie mnie dla swojej przyjemności wybrał. - Zwracając się do sługi, dodała rozkazująco: - Rób, co ci kazałam, inaczej obiecuję ci, że twój pan ukarze cię przykładnie!

Ci, co przywykli do służebnictwa, prędko rozpoznają, czyj rozkaz wymaga posłuchu. Sługą wyszedł z chaty i odjechał.

- Coś ty najlepszego zrobiła! - wołał Fulbert, głową potrząsając. - Zgubisz nas wszystkich! Jakbyś nie wiedziała, że Robert to człowiek okrutny: kazał przybijać gwoździami do własnych drzwi ręce tych, którzy mu się nie spodobali!

Arletta objęła przygarbione ramiona ojca, z Czulością spojrzała mu w twarz.

- Ja mu się spodobam. Więc nie będzie dla was okrutny. Przyśle po mnie tak, jak tego zażądałam, zobaczycie. Urodzę mu bękartą, a nawet jeśli mnie wtedy wygna, to wyposaży nas wszystkich, i nigdy już ani matka, ani ja nie będziemy musiały pracować w strumieniu.

Pocałowała go w czoło i zwracając się do matki, rzekła:

- Chodźmy, mamó, pomóż mi wykąpać się i dodaj jakichś pachnących ziół do wody. Pan na zamku mógłby krzywić nos na odór garbowanych skór, którym cuchniemy.

Fulbertowa wymyśla włosy córki wywarem z ziół i natarła jej ciało olejkami, od wieków znanymi kobietom Wikingów. I wszeptowała jej w ucho wiele dobrych rad, jak ma zachowywać się w łożnicy, jak ulegać nie czyniąc pozorów rozpustnej, jak się przypodobać.

Arletta spała twardo, pewna siebie i swoich uroków. Garbarz leżał bezsennie, wyobrażając sobie tortury, zadawane im za impertynencję córki, widząc już, jak ich wypędzają z chaty, jak mu ucinają prawą rękę, by nigdzie nie mógł praktykować swego zawodu. Ale instynkt nie zmylił Arletty.

Tak była pewna swego, że tego ranka nie poszła z innymi do strumienia. Została w domu, przybrawszy się w najlepsze, co miała, choć było to bardzo ubogie. Około południa pół tuzina jeźdźców podjechało z hałasem przed dom. Arletta wyszła i bez słowa dosiadła wierzchowca w bogatym rzędzie, ze srebrną uzdą i w haftowanym czapraku, doprowadzonego przez jednego z jeźdźców. Rodzice spoglądali za kawalkadą, odjeżdżającą w stronę zamku Falaise.

- Nasza córka... - szepnął w zdumieniu garbarz.

- Odtąd zazna w życiu bogactwa - powiedziała jego żona. - Przekonasz się. A my dwoje - co najmniej dostatku. Mogą sobie ludzie pana na Falaise „Diabłem” nazywać, ale wiadomo, że jest hojny dla swoich.

Na ulicach Falaise kupcy i wieśniacy odwracali się w zdumieniu, by popatrzeć jeszcze za córką garbarza, przejeżdżającą między nimi na wierzchowcu przystrojonym



jak dla damy, z głową dumnie podniesioną, w otoczeniu eskorty rycerzy. Końskie kopyta zadudniły po opuszczonym przed nią zwodzonym moście do zamku.

Gdy wieczór się zbliżał, starsza, przyjazna służebna pomogła Arletcie zdjąć odzież, zapewniając ją:

- Jeśli się naszemu panu spodobaś, jutro cię ubiorę w jedwabie!

I spodobała się Robertowi. Przez cztery noce i trzy dni zaniechał polowań na dziki, całą energię poświęcając tej wdzięcznej łani. W ogóle przez ten czas nie wychodził z prywatnych komnat, tylko niekiedy wołał do Osberna - pilnującego drzwi, by nie wpuszczać niepożądanych intruzów - i rozkazywał mu przynieść jedzenie. Kochanek Arletty bywał „Diabłem” w pewnych okolicznościach, ale w stosunku do niej łączył namiętność z dobrocią, a gdy się zmęczył, nawet z czułością. Podniecał go jej współdziałanie i radowały różnorodne pieszczoty, których nauczyła ją matka.

Nie było mowy o tym, by odesłać Arlettę z powrotem do rodziców i do zimnej wody strumienia.

- To skarb, nie dziewczyna! Kocham się w niej! - powiedział Robert, gdy wreszcie pojawił się znowu wśród swojej drużyny i zajął zwykle miejsce za stołem. - Osbern! Masz mi ją umieścić w jej własnym, dobrze wyposażonym domu i otoczyć służbą.

Wkrótce Arletta zamieszkała w pięknym domu z białego kamienia, otoczonym ogrodem i wysokim murem, na krańcach miasta. Starsza służebna, która ją rozbierała na zamku pierwszego wieczora, zajęła się prowadzeniem domu. Najęto służbę, przydzielono żołnierzy do straży. Wrodzona godność i duma Arletty, które Robert spostrzegł nawet przy praniu nad strumieniem, teraz rozwinęły się jeszcze - poza chwilami, które spędzała z nim w łóżku. Robert nie chciał już żadnej innej towarzyski życia. Nie mógł poślubić córki garbarza, ale kochał tylko ją jedną. Arletta została jego uznaną faworytą, której szlachta oraz rycerze zabiegający o łaski Roberta składali z respektem wizyty.

Robert osobiście odwiedził rodziców Arletty. Powiedział im, jak mu przypadła do serca ich córka, obiecał, że zawsze będzie się o nią troszczył i że ją wyposaży, by miała dostatek na całe życie. Garbarz otrzymał przywilej wyprawiania skór dla zamku. Wychodząc, dostoyny gość pozostawił gruby mieszek pieniędzy na stole.

Po miesiącu Arletta wiedziała, że miłość jej kochanka nie padła na jałowy grunt. Nowina uszczęśliwiła Roberta. Objął ją i ucałował z tkliwością, którą Arletta przyjmowała tym chętniej, iż zrodziła się z porywu zmysłów.

- Kocham ciebie i nigdy ci nie pozwolę odejść.

- Nigdy tego nie zechcę - rzekła Arletta. Idódała ze śmiałym wyzwaniem w głosie: - Ale gdy zostaniesz księciem, co już pewno rychło nastąpi, będziesz musiał wziąć odpowiednią do twego stanu żonę, spłodzić z nią dziedzica.

Starala się opanować, nie okazywać nienawiści, jaka nią owładnęła na samą myśl o jego rękach, obejmujących ciało innej.

- Nie pora o tym myśleć - odtrącił niepożądany temat. - Ale cokolwiek się stanie, przysięgam ci, że tylko ty będziesz moją jedyną miłością, a nasz syn - bo oczywiście urodzisz syna - będzie miał w Normandii tak wielką potęgę, jaką tylko będę mógł mu dać.

Arletta nie należała do kobiet, które by się zamartwiały z powodu niepewnej przyszłości. Wierzyła obietnicom kochanka i przewidywała, że jej władza nad nim będzie się umacniać. Dziecko zjednoczy ich jeszcze ściślej, skoro teraz jej nie odesłał, jak było w powszechnym zwyczaju.

Arletta z dumą nosiła swój coraz widoczniejszy, drogocenny ciężar. Miała wszelką opiekę, jaką mogły jej dać doświadczone kobiety, a Robert otaczał ją czułością, która u młodego mężczyzny, słynnego z dzikości w bitwie, okrucieństw i gwałtownych wybuchów - zadziwiała, a Arlettę urzekała.

Na krótki czas przed spodziewanym rozwiązaniem odbyły się łowy. Padła rekordowa liczba dzików. Arletta przyszła na ucztę po łowach, choć bardzo już była ciężka. Pochłaniano olbrzymie ilości wybornego mięsiwa, piwo i wino lało się strumieniami. Mężczyźni śpiewali głośnym chórem, gdy na salę wpadł zdyszany człowiek, w poszarpanym i ubłoconym odzieniu, i rzucił się na kolana przed stołem, za którym siedzieli Robert z Arlettą.

- Do broni, panie nasz! Do broni! Twój brat i jego wojska są już o parę mil...

Zachowując spokój, Robert uścisnął rękę Arletty i spytał intruza:

- Ktoś ty?

- Jestem jednym z tych, którzy chcą ciebie, panie, widzieć księciem Normandii.

- Skąd jesteś?

- Trzymam karczmę, panie, o parę mil od Falaise. Napadła na mnie przednia straż wojsk twego brata. Zagrabili żywność, zmusili mnie patrzeć, jak gwałcą moje córki... najmłodsza ma ledwie dwanaście lat... i pili, pili, aż im się języki rozwiązały... chełpili się, że ciebie powieszają, panie, na zamkowych murach...

Robert wstał.

- Nakarmić tego człowieka i przyodziać - zwrócił się do karczmarza. - Dziękuję za ostrzeżenie w porę. Cześć twoich córek będzie pomszczona, przyrzekam ci. Zostań tu, a jeśli który z tych zbirów wpadnie w nasze ręce, będzie wykastrowany publicznie, na rynku.

Szlachcie i rycerzom rozkazał zgromadzić ludzi i obsadzić fortyfikacje.

Arletta stała obok kochanka z głową dumnie podniesioną.

- Musisz wyjechać natychmiast - zwrócił się do niej.

- Chcę zostać przy tobie.

- Na wszystko, co święte, nie! Będzie bitwa, oblężenie. Zamek nie jest miejscem dla ciężarnej kobiety.

\* - Ty rozkazujeś... wracam do mego domu - odrzekła.

- Jeszcze raz” nie. Nie byłabyś bezpieczna. Jedź do swego ojca. Moi wrogowie tam ciebie nie odnajdą. Przebierz się odpowiednio. Na krótko musisz znowu być córką garbarza.

Wprawdzie o wiele zamożniejszy teraz, mając tyle dobrze płatnej pracy dla zamku, ile tylko mógł wykonać, Fulbert zdecydował jednakże pozostać w dawnej chacie. Nie chciał się wynosić ponad swój skromny stan, aby przypadkiem koło fortuny nie odwróciło się niespodziewanie.

Arletta spojrzała smutnie na Roberta.

- Wiem - powiedział. - Ale tak trzeba, dla bezpieczeństwa twojego i dziecka. Raczej wolałbym wyrzec się mych nadziei na książęcy tron, niżbym miał utracić jedno z was. - Ucałował ją i rzekł z wyzywającym uśmiechem: - Ale ufam, że będę miał całą trójkę!

Żołnierze księcia Ryszarda wkrótce otoczyli zamek Falaise, rozbili obozowisko, porozpalali ogniska. Przez kilka dni wrzawa bitwy docierała do chaty garbarza. Arletta, z powrotem uboga odziana, chociaż matka dbała o nią, jakby była księżniczką, drżała o życie swego kochanka. Jej niepokój jakby udzielił się dziecku, które teraz śpieszyło się na świat. Wkrótce też, bez długich cierpień urodziła zdrowego, dużego chłopaka.

- Hałasy bitwy go przynagliły - orzekła babka. - To omen na przyszłość.

Wycieczki za mury, urządzane przez nieulekłych stronników Roberta<sup>^</sup> odpędziły w końcu oblegających. Księżę Ryszard pierwszy uciekał spod Falaise. Robert pośpieszył do chaty Fulbertów, czule ucałował Arlettę, wziął na ręce niemowlę.

- Owoc naszej miłości. Mój syn i dziedzic - i następca.

- Twój następca? - spytała Arletta. - Ależ on jest...

Robert przerwał jej w pół zdania.

- Mój następca i dziedzic, powiedziałem. Nikt mu nie odbierze pierwszeństwa. - I dodał: - Nazwiemy go po drugim księciu o przydomku Długi Miecz...

Arletta, chcąc się pochwalić znajomością historii książęcej dynastii wtrąciła:

- Ale ochrzczonym imieniem Wilhelm.

Robert podniósł niemowlę wysoko nad głowę i powtórzył:

- Wilhelm. Oddając dziecko matce, poprosił:

- Niech go zobaczę przy twojej piersi. I muszę odjeżdżać bez zwłoki. Rozkażę, by wszystko przygotowano na wasz powrót do twego domu. I będziesz się odtąd nazywała Lady Herleva.

Po wyjściu Roberta Arletta z czułością spoglądała na niemowlę, które karmiła.

- Dałam ci prawdziwie szlachetnego ojca - powiedziała i dokończyła cicho: - A mógłby to być pańszczyźniany chłop.

Fulbertowa zauważyła:

- Cóż, wolałabym, żeby dziecko się urodziło z pobłogosławionego przez księdza związku... ale skoro ojciec jest tym, kim jest, inaczej być nie mogło.

Arletta zachichotała:

- Zgodnie z tradycją, mamó. Dotąd wszyscy normandzcy książęta, prócz Rolla i brata Roberta, byli bastardami.

- Czy ty naprawdę myślisz, że twój syn będzie...

- Wszystko w ręku Boga. Przed trzema miesiącami śniło mi się, że Robert dał mi drzewo, a gdy je zasadziłam w ziemi normandzkiej, rosło pięknie i rozciągało swoje konary nad wszystkimi książęcymi ziemiami i jeszcze dalej, za morzem...

Jako chrześcijanie, Normanowie, a zwłaszcza ich kobiety, głęboko wierzyli w sny.

## Rozdział 2

### POKUTA ZA ZBRODNIĘ

W kilka tygodni po odpędzeniu wojsk księcia Normandii od murów Falaise Robert wyruszył się ze znacznymi siłami pod Rouen. Na wieść o jego zbliżaniu się książę Ryszard zebrał swoich wasali i żołnierzy, a wydawszy rozkazy pobicia buntowników, zasiadł ze szlachtą i rycerzami do uczyty w wielkim halu zamku Rouen. Podano potrawę z węgorkami, którą Ryszard szczególnie lubił. Ale ledwie ucztujący przełknęli po kilka kęsów, chwyciły ich przerażające bóle. Służba i giermkowie pośpieszyli z pomocą: wszystko za nic. Ucztujący, w spazmach bóli i wymiotów, poumierali w ciągu paru godzin.

Tajni stronnicy w mieście i na zamku pośpieszyli z wiadomością na spotkanie Roberta, który objął księstwo po bracie prawie bez sprzeciwu. Wielu z tych, którzy by się może opierali, zmarło otrutych na sławetnej uczcie. Co więcej, Ryszard nie pozostawił syna i nie wyznaczył następcy. Gdy w kilka dni później Lady Herleva wjeżdżała do stolicy, wszędzie panował ład i spokój, a ci wasale księstwa, którzy z racji większej odległości nie zdążyli na ucztę i uniknęli katastrofy, teraz spieszyli tłumnie, by złożyć przysięgę nowemu księciu i oczywiście zapewnić go, że zawsze - życzyli sobie bardziej jego panowania niż starszego brata.

Arletta wiedziała o spisku na życie Ryszarda i rozumiała, że zwycięski brat powinien okazywać przynajmniej pozory strapienia. Natomiast nie spodziewała się, że gdy zostaną sami, Robert będzie przygnębiony tak dalece, iż nie zechce świętować swego triumfu ani nawet nie weźmie jej do łóżka. Z żalem, dziwnie nie pasującym do tego, co uczynił, Robert, powiedział:

- Mój brat zmarł, zanim mogliśmy się pogodzić.

- Chyba o to byłoby trudno.

Robert zignorował tę uwagę i ciągnął posępnie: - Dziećmi bawiliśmy się razem, wyrostkiem będąc, po łowach sypiałem obok niego na sianie; w czasie zamkowych uczt, na klęczkach, obok siebie, podawaliśmy rodzicom najlepsze potrawy...

Mordercom zdarza się okazywać po zbrodni emocje, które były im obce poprzednio.

- Mówisz o przeszłości - łagodziła Arletta. - Przed tobą jest przyszłość. Wielka przyszłość. Ozdobisz siebie i Normandię laurami.

Mimo swej niezalegalizowanej miłości, której zresztą nawet opaci i biskupi sprzyjali, Robert był bardzo religijny.

- Popelnilem wielki grzech. Będę musiał zań odpokutować.

Robert był w bitwie nieulekłym wojownikiem, jednakże Arletta, cicha współniczka jego zbrodni, posiadała więcej odporności, z mniejszymi rozterkami godziła się na nieuniknione konsekwencje. Teraz powtarzała kochankowi te same argumenty, którymi przedtem. Robert próbował usprawiedliwić swój postępek.

- Co się stało, stało się dla dobra Normandii. Księstwo ma teraz, czego potrzebowało: silnego, mądrego władcę, w miejsce tego, który by przywiódł do ruiny wszystko, co zbudowała cała dynastia, od Rollona począwszy. To najwyższe dobro z pewnością więcej na szali zaważy od życia kilku ludzi, nikczemnych i niewiele wartych.

Ludność Normandii zdawała się podzielać tę opinię. Poddani Roberta powitali objęcie przez niego władzy ze szczerą satysfakcją i mało kto go potępiał, chociaż odgadywano, jakim sposobem zdobył tron.

W dynastii normandzkiej tron książęcy zawisł od dwóch czynników głównie: pretendent musiał mieć krew książęcą w żyłach i być odważnym, mądrym wodzem. Nie przydawano większego znaczenia temu, czy następca zmarłego księcia był pierwszym, czy też drugim lub trzecim z jego synów, zrodzonym z żony czy też z nałożnicy. Młodszy syn albo bastard miał tak samo w żyłach krew książęcą. Jeśli okazał się lepszym wojownikiem od starszego brata albo od prawowitego potomka, miał większą szansę, by go przyjęto jako władcę księstwa. A ponieważ nawet życie członków rodu mogło zależeć od utrzymania dynastii, młodszy syn lub bastard nie wahał się złożyć z tronu, a nawet kazać zamordować słabego, nieudolnego władcę.

Sam na sam z Arlettą Robert nadal wspominał o konieczności pokuty za bratobójstwo. Ale czas i nawał spraw, związanych z rządami księstwem, rozproszyły przynębenie pierwszych dni. Wielką radość okazał też, gdy Arletta urodziła mu drugie dziecko - dziewczynkę. Jako książę tym bardziej zasługiwał na przydomek „Wspaniałego”. Nosił demonstracyjnie bogate szaty; komnaty jego zamku, chociaż mogłyby się dzisiaj wydawać zimne, były kosztownie umeblowane, ściany zawieszono kunsztownie tkanymi makatami. Jego wojska - kilkuset żołnierzy otrzymywało stały żołd z książęcej sakiewki - były tak dobrze wyćwiczone i wyekwipowane, jak żadne w Europie. Hojny dla popleczników, Robert bywał niemiłosierny dla oponentów.

Krnąbrność okazało kilku normandzkich panów: najbliżsi sąsiedzi księstwa próbowali się wzbogacić najazdami na normandzkie zagrody a nawet miasteczka. Rozprawiając się z nimi, troszcząc się o poddanych nie tylko jako prawodawca, ale i opiekun, książę często i na długo oddalał się od Arletty.

Prócz tego Roberta nawiedzała uparta a przykra dla niego myśl, że powinien wziąć sobie żonę. Zgodnie z racją stanu wybrał związek z rodem potężnego i wpływowego monarchy, króla duńskiego Kanuta, spokrewnionego przez matkę z władcą Polski, Mieszkiem Pierwszym. Kanut objąwszy dziedziczny tron duński, zagarnął podbojem jeszcze królestwa Norwegii i Anglii. Posłów Roberta mile przyjął i wkrótce odbyły się

jego zaślubiny z siostrą Kanuta, Estrith, starszą o dobrych kilka lat od pana młodego. Wśród możliwych rodów owych czasów w Europie małżeństwo z miłości rzadko się zdarzało. Żony przywykły do tego, że istniały tylko jako pionki w rozgrywkach o majątki i władzę, przywykły też do nałożnic, z którymi spędzali czas ich mężowie. Kochanki, wybierane wbrew skromnemu pochodzeniu dla urody i wdzięku, również na ogół godziły się ze swym położeniem. Arletta od dawna uzbrajała się w siłę woli, potrzebną jej, by znieść tę chwilę, gdy będzie musiała publicznie ustąpić pierwszeństwa. Obawiała się tylko tego, czy aby jej książęcy kochanek dotrzyma swych obietnic dotyczących przyszłości jej syna. Obawy okazały się bezpodstawne, bo Estrith nie urodziła dziecka. Zresztą, książę niewiele jej dał po temu sposobności. Żona rezydowała w Rouen, a Robert, jeśli nie objeżdżał swego księstwa, wolał przebywać w Falaise, u boku Arletty.

Oczywistym było, że wychowaniem Wilhelma zajmowała się matka przy pomocy guwernerów. Ale Robert wydał w tej sprawie szczegółowe i kategoryczne instrukcje:

- Niech się nie chowa za matczyną spódnicą, niech go nie rozpieszcza stado niewiast. Za towarzyszy dam mu mężczyzn, wybranych mistrzów konnej jazdy, sokolnictwa, zapasów, fechtunku, łucznictwa...

- A co z czytaniem i naukami? - przypomniała mu Arletta, która sama żadnej szkoły nie zaznała. - Musisz wyznaczyć mnichów, by go uczyli.

Robert objął ją czule, uśmiechnął się do niej i rzekł:

- Twój syn ma księstwem rządzić, nie opactwem! - a ucałowawszy ją, dokończył: - Jednakże masz rację: Wilhelm musi znać naszą historię i nasze prawa, trzeba go nauczyć religii i łaciny. Ale nie zapominaj i nie pozwól zapomnieć malcowi, że las, zamkowa sien i pole bitwy więcej mądrości mogą dać tym, którzy oczy i uszy mają otwarte, niż zasuszone pergaminy, zapisywane przez skrybów w klasztorach.

Lata mijały, chłopak rósł szybko. Był silnej budowy ciała, a od kiedy tylko własne nogi mogły go unieść, najchętniej przebywał pod gołym niebem. Arletta hartowała go przy każdej pogodzie, biegał z odsłoniętą piersią, nagimi kolanami i ramionami, więc słońce i wiatr opaliły go na brązowo, a w swej zielonej tunice przypominał młody dąbczak.

Matka często siadywała w oknie, z uśmiechem przyglądając się zabawie chłopców, wymachujących patykami zamiast mieczy. Jej syn przerastał o kilka centymetrów większość rówieśników, synów baronów i hrabiów, swych towarzyszy zabaw.

Zarówno z postawy, jak i charakteru, był urodzonym władcą.

Pewnego razu, gdy Robert wrócił z dłuższego objazdu księstwa, zaczął rozpytywać syna o jego postępy w różnych dziedzinach:

- Czy prześcigniesz w biegu tych chłopców, z którymi się bawisz?

- Prześcignę i to łatwo!

- Położysz ich na łopatki w zapasach?

- Mało który ma ochotę teraz spróbować się ze mną.

Tak ciągnął się ten swoisty katechizm, z którego wynikało, że chłopiec równie dobrze spisuje się w walce na drewniane miecze, w strzelaniu z łuku, w konnej jeździe.

- No to w porządku - rzekł ojciec. - A teraz: jak sobie z książkami radzisz?

Wilhelm zwiesił głowę, po czym odpowiedział:

- Książki są nudne, ojcze. - Że się uczysz?

- Nie lepiej od innych. Kiepsko mi idzie z łaciną, a i z religią...

- Rozumiem, mój chłopcze, że nad książkami ślęczyć nie lubisz. Ale uczyć się musisz. Przyjdzie dzień, kiedy będziesz rządził księstwem. A w tym będzie ci potrzebna boska pomoc i opieka, więc staraj się być blisko Niego za pośrednictwem religii.

- Mój kuzyn Guy powiada, że ja nigdy księciem nie będę, ojcze.

- A co ten szczeniak o tym może wiedzieć? - Guy powiada, że ja nie będę księciem, ponieważ jestem bastardecem. Co to jest bastardec, ojcze?

- Nie będziesz pierwszym normandzkim księciem, którego tak zwano - odparł Robert. - Co to znaczy, dowiesz się we właściwym czasie. A na razie zajmę się tym, by twój kuzyn Guy nie zapomniał, co winien lepszym od siebie!

Książę był zły. Guy, syn jego siostry, pochodził ze ślubnego związku. Jeszcze mu przyjdą do głowy jakieś pomysły, że mógłby odziedziczyć tron.

- Mówiłeś o łacinie i religii. - Ojciec wrócił do wypytywania syna. - A jak z nauką historii?

- O, historia jest ciekawa. Osbern de Crepon opowiedział mi wszystko o Wielkim Rollo, tak olbrzymim, że go koń nie mógł udźwignąć. Więc on wsiadł na statek i pozegłował w górę rzeki... no, tej wielkiej rzeki...

- Sekwany - odpowiedział ojciec.

- Właśnie, Sekwany. I Osbern opowiadał, że kiedy król Francji żądał, by go Rollo pocałował w nogę, to on odmówił i kazał jednemu ze swojej świty to zrobić. A ten tak wysoko podniósł królewską nogę, że król się przewrócił...

Robert z trudem hamował się, by nie zawtórować serdecznie śmiejącemu się synowi. Ale zachował powagę i rzekł:

- Wiedz, że dziś król Francji jest naszym przyjacielem. W pewnym sensie jesteśmy jego wasalami, chociaż tak mu bardzo potrzeba naszej pomocy - wojskowej pomocy - że słuszniej byłoby powiedzieć, że jesteśmy sprzymierzeńcami. Gdyby król nas wezwał...

- ... to byśmy poszli się bić za niego? - przerwał chłopiec.

- O ile by to było z korzyścią dla Normandii... - odparł Robert. - Musisz to zawsze mieć na uwadze. Pierwsze, najważniejsze ze wszystkiego, jest dobro Normandii.



Czego jeszcze nauczyłeś się z naszej historii?

- Wiem, że wszyscy książęta od czasów Rollo, prócz jednego tylko mego stryja Ryszarda, który nie żyje, dobrze rządzili i dzielnie wojowali...

- Tak. Bywali wybitniejsi i mniej wybitni, ale każdy godzien pamięci. To prawda..

- I wiem, że Normandia jest lepiej rządzona niż Francja, i walczy lepiej.

Wilhelm był jeszcze za młody, by zrozumieć, że właśnie te nieprzeciętne zdolności organizacyjne zapewniły normandzким księcom wyższość nad wielu władcami europejskimi. Nie posiadali oni, biorąc ogólnie, zdolności twórczych. Wykorzystywali pomysły innych narodów, istniejące instytucje, udoskonalali je i organizowali w sprawnie funkcjonujący ustrój.

Zdolności Normanów znane były nie tylko w północnej Europie. W pierwszej połowie XI wieku Normanowie pomagali w zaprowadzeniu chrześcijaństwa w muzułmańskiej Hiszpanii; uczestniczyli z powodzeniem w długich i powikłanych wojnach we Włoszech między przedstawicielami interesów bizantyjskich, muzułmańskich, lombardzkich i papieskich; w roku 1059 wódz normandzki, Guiscard, przezywany Czarownikiem, otrzymał od papieża Mikołaja księstwo Apulii i Kalabrii. Miało to doprowadzić do podboju Sycylii przez Normanów.

- A czy wiesz - pytał syna Robert - dlaczego Normanowie, jak powiadasz, lepiej walczą?

Odpowiedź bez wahania:

- Bo najlepiej ze wszystkich jeżdżą konno.

Po części było to prawdą. Normanowie zaczynając od koni miejscowych różnych krajów, wyhodowali nową rasę rumaków bojowych o niezwykłej sile i wytrzymałości. Wierzchowiec normandzki niósł na swym grzbiecie rycerza w pełnej zbroi i nadal z łatwością można nim było powodować.

- Ostatecznie, głowę masz chyba także nie od parady - zadecydował z uśmiechem Robert, targając czuprynę chłopca. - A w nagrodę siadaj na konia, pojedziemy razem, dam ci lekcję układania sokołów!

Wkrótce po tej rozmowie ojca z synem rozeszła się wiadomość o śmierci króla Francji, a niebawem do Normandii przybył, jako uciekinier, jego najstarszy syn i prawowity następca, Henryk. Wdowa, królowa Konstancja, despotyczna intrygantka, powzięła niechęć do Henryka, natomiast ślepo kochała swego drugiego syna i jego zamierzała osadzić na tronie.

- Jeżeli królowa wdowa - mówił książę Robert - pozbędzie się Henryka, to de facto sama będzie rządzić Francją. A ona Normandii przyjaźnią nie darzy. Muszę dopomóc Henrykowi.

Temu Normanowi, który skrytobójczo usunął własnego starszego brata, by zagarnąć tron, nie wydawało się wcale dziwne, że szykował się do walki o prawa

francuskiego starszego brata przeciw młodszemu. Robert troszczył się jedynie o to, co w jego pojęciu było korzystne dla Normandii.

Książę Normandii poprowadził więc swoje wojska w pole. Henryk francuski jechał obok niego, a przed nimi niesiono chorągwie dwóch krajów. Wilhelm, stojąc na balkonie obok matki - tłumiącej łzy - z zachwytem przypatrywał się wspaniałemu widowisku: zbroje rycerzy i ostrza dzid połyskiwały w słońcu, piesi żołnierze szli twardym krokiem, odziani w dobrze chroniące ich kubraki z grubej skóry - wiele sporządzonych zręcznymi rękami jego dziada, Fulberta garbarza.

- Czemuś smutna, mamó? - spytał chłopiec. - Przecież to jest wspaniałe! A ojciec najwspanialszy ze wszystkich!

- Proś Boga, synku, by nam ojca zachował w zdrowiu - odrzekła Arletta.

- Dobrze, mamó - powiedział posłusznie. Ale ze znacznie większym zapalem w głosie wykrzyknął: - I ja, gdy dorosnę, będę prowadzić wojska do bitwy!

Robert powrócił zdrowo, z powodzeniem przeprowadził swoją misję, zwycięsko przepędziwszy wojska królowej Konstancji. Na tronie zasiadł król Henryk, dobre stosunki francusko-normandzkie były utrwalone na solidnych podstawach. Książę nie próbował wpływać na Henryka. Mieszanie się do skomplikowanej i płynnej polityki wewnętrznej Francji nie byłoby z korzyścią dla Normandii.

Podniecony odniesionym sukcesem, Robert skierował teraz uwagę ku innemu przedsięwzięciu, bardziej ryzykownemu. Kiedy na tronie angielskim zasiadł Duńczyk Kanut, na wygnaniu w Normandii, w opactwie Jumičges, żył najstarszy syn poprzedniego, anglosaskiego władcy, Ethelreda, imieniem Edward. Ciotka Roberta, Emma, wyszła za mąż za Kanuta, którego siostrę on sam poślubił. Skomplikowane powiązania dynastyczne łączyły królestwo angielskie z księstwem normandzkim. A królowa Emma otoczyła się dworzanami i damami ze swego ojczystego kraju.

- Wszystko to bardzo dobrze - rozważał Robert w rozmowie z Arlettą - ale mogłoby być lepiej... lepiej dla Normandii...

Znając dobrze nieograniczoną ambicję kochanka, Arletta bez trudu odgadywała bieg jego myśli.

- Chciałbyś Anglię do tronu Normandii przyłączyć?

- W pewnym sensie... Ale niewielkie do dziedziczenia mam prawa. Gdyby usunąć Kanuta, prawym dziedzicem byłby Edward, który teraz siedzi w klasztorze w Jumičges. Dziwny to człowiek. Nie wojownik z niego, spędza czas nad pergaminami i manuskryptami niby jakiś mnich i do późna w noc o zawiłych sprawach religijnych dyskutować potrafi.

- Rozumiem - wtrąciła Arletta. - Chciałbyś zdobyć dla Edwarda jego tron, a później...

- Rządzić za niego. Będę mu dyktował, co ma robić, w razie czego dopilnuję, żeby moją wolę wypełniano. Nasze wpływy sięgają Francji, Hiszpanii, Włoch. Dlaczego nie mielibyśmy opanować Anglii?

Inaczej też, niż z Francją, przedstawiałyby się sprawy z przyłączeniem Anglii do Normandii. Robert dobrze wiedział, że gdyby wynagrodził dzielnego wojownika nadaniem mu kawałka francuskiego terytorium, ten niebawem mógłby zapragnąć również kawałka Normandii i wyprawiał swoje wojska przez granicę, by go sobie zagarnąć. Ale gdy dostanie majątkość w Anglii - otaczające morze poskromi jego ewentualne aspiracje do ziem na kontynencie. Prócz tego, wyprawa na wybrzeża Anglii w celu osadzenia na tronie anglosaskim Edwarda zamiast Duńczyka Kanuta mogłaby się spodziewać poparcia ze strony samych Anglików.

Szkatnicy zabrali się do roboty, budując statki na wzór tych, które przywiozły przed ponad wiekiem Wielkiego Rollo do księstwa, ale jeszcze dłuższe, wytrzymalsze, o dziobach wyrzeźbionych na kształt paszczy smoków, ziejących ogniem.

Wilhelmowi pozwolono pojechać na wybrzeże, by obejrzał przygotowania do wyprawy.

- Nasi przodkowie byli ludźmi morza - opowiadał mu Robert. - Oni to, nieustraszeni żeglarze, najeżdżali i rabowali niejednego obcy ląd. I nie tylko rabowali: osiedlali się tam i dobrze im się wiodło. To samo zrobią moi wojownicy. Są niezwyciężeni... a czy wiesz, chłopcze, dlaczego?

- Bo są Normanami, ojczyste.

- Słusznie. Normanowie są niezwyciężeni, o ile - i pamiętaj o tym, bo to jest właśnie zadanie naszego rodu - o ile kieruje się nimi mądrze, a prowadzi do walki odważnie. Ja i moi wojownicy zdobędziemy w Anglii większy przyczółek od tego, który ma tam teraz Kanut. I wielu Normanów osiedli się tam i będzie im się dobrze wiodło...

Wprawdzie słowa Roberta okazały się istotnie prorocze, jednak nie on sam miał je wprowadzić w życie. Edward, znany później jako Wyznawca, rzeczywiście miał panować w Anglii, ale nie wojownicy normandzcy osadzili go na tronie, lecz potężny anglosaski hrabia Godwin i jego syn Harold, którzy owdładnęli zatopionym w księstwach Edwardem i rządzili za jego pośrednictwem.

Być może Normanów pod wodzą Roberta ludzie rzeczywiście nie mogli zwyciężyć. Ale pokonał ich żywioł. Gdy znajdowali się w połowie kanału La Manche, wybuchł straszliwy sztorm. Wichura rozproszyła armadę. Długie statki Wikingów z ciężkim ładunkiem rycerzy, broni i wierzchowców, potonęły. A Robert ze swym kuzynem Edwardem ledwie ocaleli, wyrzuceni na wybrzeża Jersey, skąd kutrem rybackim wrócili do Normandii. Klęska!

Początkowo Robert zapowiedział, że zbierze nową flotę, nowe wojsko i wyprawi się jeszcze raz. Ale teraz jego feudalni wasale bali się przeprawy przez morze. Roberta ta

podwójna porażka sprawiła w przygnębienie:

- Bóg niełaskaw dla mnie - mówił do Arletty. - To za mój grzech, za bratobójstwo...

Żadne przedsięwzięcie mi się nie uda, dopóki nie znajdę sposobu odpokutowania.

- Ale powiodła ci się wyprawa przeciwko królowej wdowie we Francji - przypomniała Arletta.

- Bo ją przedsięwzięłem w sprawie Henryka, nie własnej - odparował Robert.

Zaczął się naradzać z biskupami, którzy doradzili pielgrzymkę do Ziemi Świętej.

Na próżno Arletta próbowała mu ten projekt wyperswadować, argumentując, że burza niekoniecznie była znakiem gniewu Boga. I ciągnęła, z mniejszym już może realizmem:

- Może i Pan Bóg czasem się zdrzemnie jak każdy?

Ale kiedy zobaczy krzywdę, wywołaną jego nieuwagą, na pewno wynagrodzi swego ziemskiego sługę, prędzej czy później...

Rozplakała się, wyrzucając Robertowi, że się nią znudził, że szuka wymówki, by od niej odjechać. Czy z kobiecą intuicją dostrzegła prawdę, czy też nie - w każdym razie Robert nie dał się odwieść od pielgrzymki do Ziemi Świętej. Powiedział o swych zamierzeniach synowi i zimą roku 1034 zwołał do Fécamp na wybrzeżach kanału La Manche radę wasali i rycerzy. Na wiadomość o jego wyjeździe zapanowała konsternacja. Kilka głosów odezwało się natychmiast:

- A któż zajmie twoje miejsce, gdy wyjeżdżesz?

W odpowiedzi na te z góry przewidywane pytania do wielkiej sieni wszedł siedmioletni Wilhelm, zbliżył się do ojca, ukląkł przed nim. Robert podniósł go, obrócił twarzą do zebranych i powiedział uroczyście:

- Oto wasz książę.

Głęboka cisza. W szlachetnych i rycerskich głowach - a czasem ani szlachetnych, ani rycerskich - zaszumiało od niewymówionych myśli:

- ... księstwo wystawione na taki hazard?

- ... kto będzie opiekunem chłopca, regentem?

- ... hołd lenny składać temu... temu...

Szepnąć słowa nikt się nie odważył. Ale ponieważ prezentacja syna nie wywołała okrzyków aklamacji, wiwatów, ponieważ na sali zaczęły się krzyżować spojrzenia, czasem gniewne, czasem złośliwie porozumiewawcze, więc książę orientował się doskonale, że w powietrzu wisi słowo: Bastard!

Wiedząc, że do tronu księcia nie ma pretendenta, zarazem ślubnego i w którego żyłach płynęłaby czysta krew normandzka, Robert wypowiedział bez ogródek nieujawnione myśli swych wasali:

- Na Boga, nie zostawię was jako owce bez pasterza. Mam tego młodego bastarda, który będzie rósł z łaską Boga i po którym wiele się spodziewam. Przyjmijcie go za

waszego feudalnego pana i władcę. Będzie dzielny w boju i w wymierzaniu sprawiedliwości, choćby i nieślubny, więc to nie ma znaczenia. Czyż Wilhelm zwany Długim Mieczem, nie był bastardem Rollona? A czy bastard Wilhelma, Ryszard Pierwszy nie zyskał przydomku Śmiałego? Czy ci bastardi nie zasłużyli się swemu krajowi jako książęta, dobrze broniąc naszej ziemi i naszych spraw? Toteż niniejszym proklamuję mego nieślubnego syna Wilhelma moim dziedzicem - przed całym księstwem Normandii.

Ledwie skończył, Osbern de Crépon, starannie wyćwiczony, zawołał z głębi sali:

- Niech żyje Wilhelm, księcia Normandii, Roberta, następcą proklamowany i uznany!

Tylko krótkie wahanie. Wielu miało jeszcze zastrzeżenia." Wielu też żywiło ambicję zagarnięcia władzy opiekuńczej. Ale łatwiej będzie wystąpić z wyzwaniem już po wyjeździe księcia. Więc okrzyk de Crépona podchwycono niemal jednogłośnie:

- Niech żyje Wilhelm, księcia Normandii następcą proklamowany i uznany!

Natychmiast też arcybiskup Mauger wyrecytował przysięgę, którą Wilhelm za nim powtarzał, przyrzekając, że gdy Bóg wyznaczy czas, będzie rządził sprawiedliwie a wiernie, bronił narodu przed wrogami, utrzymywał ład, karał zło i strzegł Kościoła Świętego.

- Czy w pełni pojmujesz, na ile pozwalają twoje młode lata, świętość twojej przysięgi? - pytał arcybiskup.

- Pojmuję! I rozumiem, co to wszystko znaczy! - odparł chłopiec głosem ciekim, ale jasnym i donośnym.

Niejednen się uśmiechnął, słysząc ten dodatek do słów arcybiskupa Maugera. Robert narzucił synowi na ramiona książęcy płaszcz ze szkarłatnego aksamitu, podbity gronostajami. Koronę, za dużą na jego głowę, trzymał nad nim arcybiskup, a miecz Wilhelm ujął w rękę. Jeden po drugim podchodzili panowie i rycerze, każdy kolejno oznajmiając, iż będzie:

- ... twoim wasalem w słowie i uczynku od chwili twego wstąpienia na tron. Będę miłował, co ty miłujesz i będę nienawidził, co ty znienawidzisz. Jak długo mego życia, zobowiązuję się służyć i respektować...

I znowu, niejednen pewno czynił w myśli zastrzeżenia, ale każdy głośno powtarzał formułę.

Arletta, dumna matka, zasmuciła się jednak w głębi serca ceremonią proklamowania Wilhelma następcą książęcego tronu. Było to jakby potwierdzenie przeczucia Roberta, że nigdy nie powróci z Ziemi Świętej, gdzie więcej europejskich rycerzy padało od chorób niż z ręki Saracenów. Przyprawiając do niej chłopca po ceremonii, książę rzekł:

- Dobrze się spisałeś, mój synu.

Wilhelm odpowiedział z niedzielną determinacją.

- Z boską pomocą będę się jeszcze lepiej spisywał, mój ojciec i panie. Tę Anglię, którą chciałeś zawładnąć, ja podbiję, zanim umrę.

## Rozdział 3

### KSIĄŻĘ UCIEKINIER

Król Henryk francuski przybrał surową minę. Lubił swego młodziutkiego normandzkiego gościa i karcenie go nie sprawiało mu przyjemności.

- Powiedziano mi, że pobiłeś trzech paziów, twoich kompanów, a jednemu pięścią nos rozkrwawiłeś. Czy to prawda?

Chłopca nie było łatwo zastraszyć. Czuł, że jego ojciec, książę Robert, nie zganilby go, a raczej przyklasnął. Odparł więc śmiało, z głową podniesioną:

- Wasz majestat dobrze poinformowano.

- Twoje maniery są nieokrzesane, mój chłopcze. Nie po to tu jesteś, by folgować sobie w bójkach z potomkami innych szlacheckich rodów, wraz z którymi się kształcisz. Twój ojciec, nim na pielgrzymkę się udał, pozostawił cię pod moją opieką, abyś nauczył się hamować swoje wybryki, panować nad sobą, zyskać ogładę, ćwiczyć się w rycerskości.

Król mówił spokojnie, powściągliwie.

Prawdę rzekłszy, normandzka szlachta i rycerze słynęli jako wyborni myśliwi i wojownicy, ale rzeczywiście mieli maniery gburów, upijali się, wyprawiali orgie i bójki, a książę Robert zdawał sobie z tego sprawę. Pożądane było, aby następca tronu, bez uszczerbku męskich zalet, nabrał znajomości wykwintnych obyczajów, panujących na dworze francuskim.

- Powiedz mi - ciągnął król - czy ta nieprzystojna kłótnia miała jakąś przyczynę?

- Tak, najjaśniejszy panie. Paziowie mówili, że moi przodkowie, sam wielki Rollo i inni, byli zwyczajnymi piratami. Gdy zaprzeczyłem, zaczęli tańczyć wokół mnie, wołając: „Piraci! I ty jesteś piratem!” Więc walnąłem pięścią na odlew, bo nie pozwolę, by źle mówiono o Normanach i Normandii.

Król powściągnął uśmiech i powiedział:

- Obrona dobrego imienia twoich przodków przynosi ci zaszczyt. Ale nie możesz wszczynać bójki za lada sposobnością. Jesteś nadto porywczy. Twój ojciec mówił mi o tym, polecił upominać cię i poskramiać. Więc teraz ukarzę cię w sposób, który jak sądzę, odczujesz najboleśniej. Zakazuję ci jeździć konno i polować na przeciąg jednego tygodnia. Przez ten czas masz w swoich pokojach siedzieć i uczyć się, a dwaj książęza dopilnują, byś nie próżnował.

Dla rozkochanego w swobodzie Wilhelma była to rzeczywiście kara surowa. Nie poskarżył się jednak. Tego przynajmniej nauczyli go jego normandzcy guwernerzy: znosić każdą karę po męsku, bez skargi.

Na dworze króla Henryka chłopiec zobaczył, że jego towarzysze nosili długie, jedwabiste loki, na palcach pierścionki, na szyi złote łańcuszki - co w oczach Normanów świadczyło o zniewieściałości. Chociaż przeważnie starsi od niego, wszyscy byli niżsi, drobniejsi. Gdy Wilhelm kroczył zamasyście, rzucał się na jedzenie, rozdzierał pieczeń palcami i napychał sobie usta tak, że nie mógł mówić - jego towarzysze paziowie poruszali się drobnymi kroczkami, pieczeń krajali na małe kawałki kordzikami i jedli wykwintnie, niby kobiety. We wszystkich ćwiczeniach rycerskich i sportach na wolnym powietrzu, Wilhelm górował nad nimi, zwyciężając ich jeszcze łatwiej niż swoich rówieśników w Falaise. Ale musiał przyznać, że nie dorównywał im w naukach, układaniu wierszy, grze na różnych instrumentach, śpiewie czy też zgrabnym tańcowaniu. Młodzi rodacy króla Henryka sprawiali, że Wilhelm wydawał się przy nich ciężki, tępy, niezdarny. Zaczął więc z uporem uczyć się, by dorównać im w znajomości ksiązek, w układności manier. W miarę upływających miesięcy nabrał rzeczywiście pewnej ogłady i bardzo ujmującego sposobu bycia w obecności dam. Ale wykształceniem nie dorównał najlepszym spośród nich.

Gdy następnym razem Henryk znowu zawezwał do siebie chłopca, ten daremnie przeszukiwał własne sumienie, by odnaleźć jakieś przestępstwo. Nie było ostatnio żadnych bójek. Z lekcjami też mu szło nie najgorzej. Tym razem jednakże król nie powitał swego młodego gościa surową miną; był wyraźnie czymś strapiony. Serdecznym ruchem objął muskularne barki chłopca.

- Ile masz lat, Wilhelmie?

- Osiem, najjaśniejszy panie.

- Jeżeli zajdzie potrzeba... czy potrafisz zachować się po męsku?

- Uczono mnie, że powinienem zawsze zachowywać się po męsku.

- Dobrze powiedziane. Musisz się przygotować na złą wiadomość.

- Mój ojciec?... - zaczął chłopiec i przerwał. Król przycisnął go do siebie.

- Twój ojciec nie żyje. Jesteś księciem Normandii. Wilhelm nie mógł w pierwszej chwili zrozumieć w pełni tych słów. Potem łzy puściły mu się z oczu i wykrzyknął:

- To nie może być! Mój ojciec jest młody, dzielny, wesoły, wspaniały!

- Śmierć, mój chłopcze, nie omija nawet dzielnych i wspaniałych.

- Czy zginął... z rąk Saracenów... najjaśniejszy panie?

- Chyba nie. Twój ojciec był już w drodze powrotnej z Ziemi Świętej. On i hrabia d'Arqués, który mu towarzyszył, od kiedy opuścił Europę, zmarli po posiłku. Przypuszcza się, że ich otruto.

- Ależ kto chciałby otruć?...

- Nie wiadomo. Wszyscy władcy mają rywali. Tej lekcji życie teraz ciebie nauczy. Powinieneś być wdzięczny Bogu, że twój ojciec, dotarłszy do Ziemi Świętej, zasłużył sobie na wielką łaskę w niebie i zmarł w stanie łaski.



- Tak. Jestem wdzięczny - powiedział chłopiec, ale znać było, że serca w te słowa nie włożył. I zaraz wybuchnął: - Jeżeli nie wiem, kim byli mordercy, jak mogę dopełnić synowskiego obowiązku: pomścić mego ojca?

Nigdy nie ustalono, kto otruił Roberta Wspaniałego. Historycy wyrażają ostrożne przypuszczenia, że ktoś ze stronników jego starszego brata chciał pomścić śmierć Ryszarda.

Wilhelm myślał teraz tylko o jednym:

- Muszę wracać do Normandii, najjaśniejszy panie.

Król potrząsnął głową.

- Należy tu oczekiwać wiadomości, jak tam ciebie powitają...

Ledwie te słowa wymówił, kiedy pod oknami komnat królewskich rozległy się hałasy, szczekanie psów, stukot kopyt, podźwiękiwanie uprzęży, nawoływania służby. Król wstał i podszedł do wnęki okiennej. Wilhelm na palcach za nim: tylko rzucił okiem i cofnął się, nim Henryk się odwrócił. Chłopiec zobaczył dość. Nikt teraz nie przeszkodzi mu jechać do Normandii i to jechać natychmiast: z licznym orszakiem przyjechał Osbern de Crépon i drugi jeszcze z bliskich druhów zmarłego księcia, wstawiony wojownik, wzrostu olbrzyma, Thorold de Neufmarché. Wśród szlachty i rycerzy, którzy im towarzyszyli, znajdowali się: Raoul de Gacé, Roger de Vieilles, hrabiowie de Beaumont, d'Eu, de Meulan i Port Audeme.

Wilhelm skoczył do drzwi, powstrzymał się, złożył niski ukłon i powiedział:

- Najjaśniejszy panie, proszę o pozwolenie przywitania moich rodaków.

- Nie zwlekali z przybyciem - zauważył król. - Idź, powitaj ich. Później rozkaż im stawić się przede mną. Chcę zdać im relację o tobie. - Chłopiec rzucił pytające spojrzenie. Henryk uśmiechnął się i dodał: - Nic się nie bój. Dobre sprawozdanie.

Wrócił do wnęki i patrzył na dziedziniec, gdzie jasnowłosy Osbern i siwiejący już olbrzym Thorold uklękli na widok swego księcia. Henryk pokiwał głową, mrużąc:

- Chłopcze będzie potrzeba każdego lojalnego rycerza, jakiego przyciągnąć zdoła!

Wieczorem Wilhelm znalazł się w łóżku wcześniej, gdyż miał ze swą normandzką swiutą wyruszyć nazajutrz o brzasku. I dopiero wtedy w pełni zdał sobie sprawę z przerażającego faktu, że nigdy więcej nie zobaczy ojca. Schował twarz w poduszkę, mocząc ją łzami. Wreszcie łkanie trochę ustało, a chłopiec wspomniiał pokłon, złożony mu przez Osberna i Thorolda, i słowa króla Henryka: „Jesteś księciem Normandii”. Zanim zasnął, powtórzył kilkakrotnie tę zdumiewającą prawdę:

- Jestem księciem Normandii... księciem Normandii... jestem księciem...

Gdy Wilhelm i jego świta wjechali w granice własnego kraju, w miasteczkach i po wsiach witano ich okrzykami:

- Niech żyje Wilhelm... nasz mały książę! Chłopiec trzymał się prosto, głowę unosił wysoko, starając się nie wyglądać tak bardzo na „małego” księcia, a na mężczyznę,

którym teraz zapragnął być jak najprędzej.

- Niech żyje książę Normandii... Wilhelm zwrócił się do najbliższych druhów:

- Jak wierni i lojalni są nasi zacni poddani! - powiedział, z rumieńcem dumy.

W podnieceniu nie zauważył spojrzeń, jakie Osbern i Thorold wymienili między sobą, unosząc z lekka brwi. Serca prostych ludzi może i zabiły żywiej na widok tego chłopca, na którego spadła tak wielka odpowiedzialność, ale to nie oni zadecydują, czy Normandia zazna wewnętrznego pokoju. Przyjaciele chłopca wiedzieli o tym dobrze. Nieufni, czujni, Osbern i Thorold jechali blisko po obu stronach młodocianego pupila.

- Chcę jak najprędzej zobaczyć moją matkę - powtarzał po kilkakroć Wilhelm.

Dwaj mężczyźni nic nie mówili o niej aż do chwili, gdy kawalkada podjechała do Rouen, które w słonecznym blasku wydało się młodemu księciu najpiękniejszą stolicą, jaką można sobie wyobrazić.

- Matka pewno tu przyjechała na spotkanie - powiedział.

Teraz Osbern musiał wytłumaczyć.

- Lady Harleva nie przybyła do Rouen.

- Więc pośpieszę do Falaise.

- Lady Harlevy nie ma również w Falaise. Poślubiła hrabiego Herlwina de Conteville i wyjechała wraz z nim i córką do jego zamku.

- Matka... poślubiła?

- Zgodnie z wolą twego ojca. Zanim się udał na pielgrzymkę, zażądał od hrabiego Herlwina obietnicy, że poślubi Lady Harleve w razie, gdyby nie powrócił.

Robert istotnie obawiał się o przyszłość młodej jeszcze i godnej pożądaną Arletty. Rozkazał, aby natychmiast po otrzymaniu złej wieści wyszła za mąż za hrabiego, o kilka lat od niej starszego, ale człowieka w pełni sił i energii, godnego zaufania. Słusznie przewidywał, że Herlwin potrafi ją otoczyć opieką. Arletta, obojętna na to, co się z nią stanie, gdyby już nigdy więcej nie zobaczyła swego książęcego kochanka, zgodziła się posłuszenie.

- Więc mam nowego ojca - powiedział Wilhelm. - Ale nikt mi nie zastąpi...

- Bardzo słusznie - przytaknął Osbern. - Hrabia złoży ci hołd, winny feudalnemu panu, a ciebie proszę, byś okazał mu respekt, należny jego wiekowi.

Chłopiec, który przed rokiem opuścił Rouen, wracał teraz jako książę i władca. Od bram miejskich do zamku tłoczyli się ludzie, by go witać. Prawie natychmiast Wilhelm wyszedł na najwyższą wieżę. Pogoda była tak piękna, jak mu się wydawały jego własne perspektywy. Patrzył na swoją stolicę, chodził dookoła szczytu wieży, wychylał się przez balustradę, podnosił wzrok na daleki horyzont, od którego dzieliły go rozległe, żyzne ziemie.

- Moje - mruczał. - Wszystko moje. Co zdobyto pod strachem imienia Rollona Olbrzyna, pozostanie nienaruszone pod strachem imienia Wilhelma Bastarda.

Przekupnie w Rouen przez kilka dni robili świetne interesy. Miasto roiło się od przyjezdnych. Z prowincji nadjechali baronowie i rycerze, każdy z barwnym, hałaśliwym poczem, by składać przysięgę na wierność:

- ... póki życia, zobowiązuję się służyć i czcić...

Oznaką rozprzężenia, które wkradło się w społeczeństwo normandzkie, gdy tylko jego książe wyjechał do Ziemi Świętej, było to, że po złożeniu hołdu mieszczanie i goście po równi zabrali się do pijaństwa i orgii, według dawnego obyczaju Wikingów i na skalę nie dopuszczalną za czasów Roberta. Później te wybryki wykorzenił ponownie Wilhelm - religijny, jak i jego ojciec.

Szlachta i rycerze, zamieszkali w Rouen, zaprosili swoich przyjaciół. Oczywiście, wykluczono żony i oficjalne kochanki. Podczas jednej takiej orgii przyprowadzono tuzin kilkunastoletnich dziewcząt, wynajętych od ubogich rodziców, wykąpanych i przystrojonych w cienką, przezroczystą odzież. Przeszło trzydziestu obecnych na uczcie mężczyzn, objedzonych już i pijanych, brało je z rąk do rąk, aż niebawem podłogę pokryły strzępy podartej odzieży, a dziewczęta okrywały swą nagość tylko rozpuszczonymi włosami.

Ale jednej nikt nie dotknął. Wysoka, silnie zbudowana, pod przejrzystymi sukniami ukazywała piersi duże i kształtne, płaski brzuch, pośladki okrągłe i muskularne - wcielenie kobiety z rasy Wikingów. Jedyne mężczyzna, który sięgnął po nią, dostał taki cios na odlew w twarz, że aż siadł na podłodze, trzymając się za szczękę. Ona spojrzała na gospodarza tej uczty, stojącego na uboczu, jeszcze nie uczestniczącego w orgii. Skinął na nią, dziewczyna dumnym krokiem poprzedała go do alkowy, gdzie był przygotowany tapczan. Pan domu zaciągnął zasłonę.

Młodsze dziewczęta daremnie próbowały się wymknąć. Starsze, doświadczone, jeszcze wyzywały rozpalonych mężczyzn. Jeden wyrwał dziewczyny drugiemu i wkrótce nie było takiej, nieśmiałej lub bezczelnej, która by nie zaznała kilkakrotnych uścisków. Dziewczęta tańczyły na stole, a rozognieni, zdyszani mężczyźni patrzyli. Jedną postawiono przed drzwiami, aby któryś z rycerzy, mniej pijanych od innych, mógł się popisywać rzucaniem noży wokół niej, także między jej rozwarte uda, o milimetr omijając intymne części jej ciała.

Gdy w końcu podłogę zasiały ciała spitych, chrapiących mężczyzn i kobiet o szklanym, nieprzytomnym wzroku, wysoka młoda kobieta wyszła z alkowy - roztargana i zaczerwieniona, ale nadal wyprostowana, dumna. Pana domu, którego obsłużyła nazbyt dobrze, wyniesiono prawie bez ducha do jego komnat.

Inni z wasali młodego księcia - jego samego, oczywiście, Osbern i Thorold trzymali bezpiecznie zamkniętego w komnacie - musieli się zadowolić takimi sposobnościami, jakich im dostarczyli oberżyści, zwijający się, by starczyć z zapotrzebowaniem na

trunki. Mężów nadobnych żon częstowano i upijano, aż legli na stołach lub pod stołami, a w tym czasie goście używali z chętnymi kobietami...

Wreszcie uczty i orgie dobiegły końca, rycerze i ich orszaki odjechali, miasto wracało do normalnego życia, oberżyści i winiarze liczyli zyski, żony powróciły do rutyny małżeńskich uścisków, a młode kobiety na gwałt szukały mężów, którzy by wzięli na siebie ojcostwo owoców owych nocy orgii, rozpusty i gwałtów.

Pierwszym życzeniem Wilhelma było zobaczyć się z matką. Wraz z Osbernem, Thoroldem i odpowiednim orszakiem pojechał do posiadłości hrabiego Herlwina de Conterville. Gdy Arletta wybiegła mu na spotkanie, Wilhelm po raz pierwszy pojął, jak piękną kobietą była jego matka. Ciężce nie zeszpeciły jej. Dostojeństwo, które niegdyś świadomie sobie narzuciła, stało się jej cechą naturalną. We Francji oczy chłopca otwarły się na kobiecą urodę, ale jego matka przewyższała pięknnością wszystkie damy dworu króla Henryka. Zeskoczył szybko z siodła, a Arletta objęła go serdecznym uściskiem. Potem odsunęła go od siebie i rzekła:

- Ale co ja robię? Jesteś teraz naszym księciem. Zapominam o moim obowiązku.

Uklękła przed własnym synem, który natychmiast podniósł ją, ucałował jej rękę i powiedział:

- Nie, ty nie, mammo! To ja będę zawsze w gotowości, by służyć tobie, by słuchać twoich rozkazów!

W Paryżu nauczył się zgrabnie wyrażać własne, spontaniczne uczucia.

Później, gdy matka i syn znaleźli się sami, wspomnieli zmarłego pielgrzyma. Wilhelm zapytał:

- Mammo, a czy twój obecny mąż... czy jest dobry dla ciebie?

- Miałam tylko jednego ukochanego, synu. Twój ojciec na zawsze zatrzyma moje serce. Ale Herlwin jest człowiekiem zacnym. Będzie dbał o mnie tak, jak mu twój ojciec polecił.

Chociaż wiedziała, że nigdy nie zazna takiego kochanka, jakim był Robert Wspaniały, ani takich miłosnych uniesień, Arletta wypełniała swoje małżeńskie obowiązki wobec Herlwina i już nosiła pod sercem jego dziecko, które nie będzie bękartem.

Wilhelm prosił, by przyjechała do Rouen i zamieszkała z nim razem.

- Niczego bym więcej sobie nie życzyła - odparła. - Ale moje miejsce jest tu, przy mężu. A jego sprawy zatrzymują go w Conterville. Prócz tego, jesteś teraz księciem. Mogłoby to przysporzyć kłopotów w Normandii, gdyby myślano, że chcę wpływać na ciebie, ja, córka garbarza. - Wilhelm westchnął, ale nie mógł zaprzeczyć, a Arletta mówiła dalej: - Idź teraz, mój chłopcze, do hrabiego Herlwina. Ma ci ważne rzeczy do powiedzenia. Wysłuchaj go uważnie. Twój ojciec mu ufał: inaczej nie oddałby mnie

pod jego opiekę. Hrabia pozostanie twoim wiernym wasalem, cokolwiek by się nie zdarzyło...

Impulsywnie chłopiec podniósł znowu rękę matki do ust - tak, jak go nauczono na dworze francuskim. I poszedł, by usłuchać jej nakazu.

- Twój ojciec - mówił Herlwin - mianował przed odjazdem regentem Normandii Alaina z Bretanii...

- Powiedział mi o tym - wtrącił Wilhelm.

- Z żalem muszę ci zakomunikować, że Alain zawiódł. Nie, nie zdradził. Po prostu okazał się słaby i niezaradny. W rezultacie wynikło dużo niezadowolenia. Wielu ludzi nie bez wpływów i znaczenia doszło do przekonania, że oni rządząliby lepiej, i że mają nie gorsze prawa od ciebie do książęcego tronu. Zagrożenie od wewnątrz jest nawet straszniejsze od zagrożenia spoza granic twojego księstwa. Wszyscy chwytają za broń i gromadzą się, by odeprzeć najazd wroga, ale w wypadku zamieszek wewnętrznych chciwi sąsiedzi tylko czyhają na sposobność, by coś uszczknąć dla siebie. Trudno doradzić, komu możesz ufać bez zastrzeżeń...

- Moja matka mówi, że przede wszystkim tobie, hrabio Herlwin.

- Z całą pewnością nie zawiodę twego zaufania, ale...

- I chyba będą wierni ci wszyscy, którzy przybyli do Rouen, by mi złożyć hołd i przysięgę.

- Na przysięgach nie zawsze można polegać, niestety - ostrzegł Herlwin. - Ludzie chętnie zginają kolana, gdy to odpowiada ich celom, ale nawet w tej samej chwili serca ich często przepełnia zawiść, ambicja, już wtedy knują intrygi. Ludzie szemrzą, że jesteś za młody by panować...

- I przezywają mnie Wilhelmem Bastardem, nieprawda?

- To by nie miało znaczenia, gdyby nie fakt, że jest paru pretendentów, roszczących sobie prawa do tronu na podstawie jakichś skomplikowanych genealogii. Noś to przewisko z dumą jak sztandar, dopóki nie zarobisz na inne: może cię kiedyś nazwą Wilhelmem Śmiałym albo Wilhelmem Dobrym. Pamiętaj tylko, że musisz być zarazem odważny i przezorny. Radzę ci teraz udać się na objazd ziem twego księstwa. Do wielu przemówi właśnie twoja młodość. Weź ze sobą silną eskortę, złożoną z ludzi, którym możesz w pełni ufać...

- Osbern de Crépon i Thorold de Neufmarché będą na czele orszaku - zaproponował Wilhelm.

- Bardzo dobrze. Oni życie za ciebie oddadzą w razie potrzeby. I są inni jeszcze spośród tych, którzy ci towarzyszyli w drodze powrotnej z Francji, także dzielni i wierni.

- Niech giną zdrajcy, nie moi przyjaciele - odrzekł chłopiec.

- Amen. Ale Bóg bywa nieprzenikniony w swoich celach.

Księstwo, które młody Wilhelm odziedziczył, stanowiło część kontynentu, przeżywającego podówczas gospodarczy rozkwit. Złożyło się na to kilka przyczyn, między innymi związanych z postępem rolnictwa. Budowano młyny wodne, zaprzęgając siłę rzek i strumieni do mielenia ziarna; wynalazek podkowy i udoskonalenie chomąta pozwoliło zwierzętom pociągowym udźwignąć większe ciężary; ulepszone pługi orały głębsze skiby. Wprowadzano coraz powszechniej system gospodarki trójpolowej. Ulepszenia pomnażały zbiory, wieśniacy mogli nadwyżki sprzedawać na rynkach za pieniądze. Prócz tego, coraz mniej było rabunkowych najazdów Wikinów, odstraszanym lepszą organizacją obrony wybrzeży, silniejszymi wojskami.

Zyski, które przynosił handel, coraz częściej oparty na pieniądzu, wypierającym dawny handel wymienny, przeznaczano na budownictwo. Powstawały kościoły i klasztory - wiele ufundowanych przez Wilhelma po jego dojściu do pełnoletności - gościńce, mosty, targowiska, szpitale, doki portowe a także zamki dla obrony przeciwko najazdom z zewnątrz oraz jako czynnik stabilizacji wewnętrznej.

Do chwili śmierci księcia Roberta Normandia wyróżniała się pod względem zamożności, organizacji i wewnętrznego pokoju spośród większych księstw lennych Francji. Kilku następujących po sobie energicznych książąt utrzymywało normandzkich wasali - z natury krnąbrnych, jak i baronowie innych ziem - w posłuszeństwie. Bardziej awanturnicze duchy wyprawiały się na poszukiwanie przygód do Hiszpanii i Włoch.

Jednakże cechy anarchii feudalnej - samowolne wymierzanie tak zwanej sprawiedliwości, przywłaszczanie przez baronów podatków, należnych księciu, zbrojne rozstrzyganie osobistych sporów - nie były całkowicie wykorzenione, tylko jakby się przycisnęły, gotowe odrodzić się na nowo pod rządami władcy słabego i nieudolnego. Takim okazał się regent Alain z Bretanii. Gdy nominalnym władcą został małoletni bastard, pojawił się nowy czynnik, sprzyjający zamieszkom. Ród książęcy Rollona i jego następców bardzo swobodnie traktował więzy małżeńskie. Nieślubnych potomków było wielu, a każdy, mianowany wasalem księcia, trzymał tytułem lenna znaczne posiadłości i mógł powołać pod broń poważne siły wojskowe. Kronikarz z XII wieku, Wilhelm z Jumieges, opowiada, że to ci krewniacy z nieprawego łoża najwięcej się oburzali z powodu sukcesji Wilhelma i mieszały się do wszelkich intryg i buntów przeciw niemu.

Niebezpieczeństwa, zewsząd zagrażające panowaniu Wilhelma, równoważyła do pewnego stopnia przyjaźń jego lennego zwierzchnika, króla Henryka francuskiego. Monarcha Francji miał prawo - nie zawsze co prawda respektowane - rozstrzygać wszelkie spory między swymi lennikami albo pretendentami do księstw lennych.

Poparcie króla Henryka dawało przewagę nad rywalami chłopcu, który wstąpił na tron jednego z największych księstw lennych Francji.

Omawiając ponownie w Rouen z Osbernem sprawę zamierzonego objazdu księstwa i ostrzeżenia Herlwina, Wilhelm powiedział z zaciekłością młodych lat i niedoświadczenia:

- Zabiję każdego, kto się okaże moim wrogiem, zdrajcą pamięci mego ojca!

- Spokojnie, mości książę, spokojnie - odrzekł Osbern. - Nie traćmy czasu na daremne gesty i wielkie słowa. Twoi wrogowie nie wyzywają cię jawnie. Będą raczej usiłovali zadać cios z zasadzki, po kryjomu. Po pierwsze musimy wiedzieć na pewno, kto jest ci nieprzyjazny. Trzeba każdego wypróbować. Po drugie, my sami musimy mieć się na baczności bez ustanku. Od tej chwili Thorold i ja będziemy sypiali: jeden w twojej komnacie, drugi przed drzwiami do niej.

Postanowiono, że objazd rozpoczną od Caen, następnie udadzą się do Falaise i Lisieux. Jeszcze przed wyjazdem książęcej kawalkady Wilhelm, któremu przypomniał o tym Herlwin, ofiarował swemu dziadowi Fulbertowi, garbarzowi, posadę - zwykłą synekurę - w zamku Falaise, by mógł dożywać ostatka dni w dobrobycie i spokoju. Ale matka Arléty nie zgodziła się zamieszkać w przydzielonej im kwaterze na zamku. Uparła się, by pozostać w ich dawnej chacie, twierdząc, że mniej tu będzie narażona na niebezpieczeństwo niż na zamku. Stary Fulbert wracał więc co wieczór na noc do chaty.

Podczas objazdu Wilhelm znowu spotykał się wszędzie z serdecznym przyjęciem ze strony skromnych poddanych. Kobiety uśmiechały się do krzepkiej i hardej postaci chłopca. A chociaż nawet mężczyźni niekiedy potrząsali głowami i pytali, jak takie dziecko może rządzić Normandią - to gdy podjeżdżał do nich na polach lub na ulicach i wdawał się w rozmowy, przyznawali, że za jego chłopięcym urokiem kryje się już zapowiedź przyszłego autorytetu władcy.

Ostrzeżenie hrabiego Herlwina o nieprzychylności możnych panów i środki, podjęte przez Osberna dla bezpieczeństwa Wilhelma przydały się bardzo. Długie, codzienne jazdy męczyły chłopca. Zapadał w twarde sen. Pewnej nocy poczuł, jak ktoś nim potrząsa i usłyszał głos Thorolda:

- Przebudź się, książę, przebudź się! Wilhelm usiadł na posłaniu, przecierając oczy:

- O co chodzi, Thoroldzie?

Za całą odpowiedź owinięto go pośpiesznie w koc, okrywając mu też głowę. Wydawało mu się, że się udusi. Czuł, że go przerzucono jak worek, w poprzek siodła, a koń galopował co sił, przynaglany przez Thorolda.

- Leż cicho! - uspokajał go wierny przyjaciel. - Ścigamy się o życie!

Wilhelm znalazł uchylony róg koca i mógł swobodnie oddychać. Serce biło mu mocno w świadomości niebezpieczeństwa. Nie czuł się teraz wcale jak książę:

zawinięty w koc, uciekając nie wiadomo przed czym.

Wreszcie koniowi ściągnięto cugle, Thorold uniósł nieco swego młodego pana na siodle, odkrył mu głowę. Rześkie nocne powietrze otrzeźwiło chłopca.

- Tu będziemy bezpieczni - rozległ się głos Osberna. - Znam to miejsce.

- Trzeba nam świeżych koni, jeśli chcemy dalej jechać jutrzejszej nocy - odrzekł Thorold.

- Pomyślmy o tym, ale teraz na strych, szybko! - ponaglił Osbern.

W chwilę później Thorold złożył swój ciężar i ukrył go w sianie. Osbern zakopał się obok chłopca, którego przysiągł strzec.

- Kim są nasi wrogowie tej nocy? - zaszeptał Wilhelm.

- Banda zbirów, najętych przez hrabiego Talvasa de Bellème - poinformował Osbern.

- Czyż nie mogliśmy stawić im czoła i pobić ich? - W rozgardiaszu walki, po ciemku, mogliby łatwo waszą książęcą mość porwać. Za wielkie ryzyko.

- Nie lubię uciekać przed wrogiem.

- Nikt nie wątpi o waszej odwadze, mój książę, ale trzeba do niej dodać i przezorność.

Wilhelm wiedział, że Talvas jest najokrutniejszym, najdzikszym człowiekiem w księstwie. Porywał podróżnych i miał zwyczaj dla rozrywki po uczcie wyrwać im paznokcie, wylupywać oczy, odrąbywać kolejno członki. Wbrew swoim poprzednim, śmiałym słowom chłopiec z trudem opanował drżenie na myśl, że ludzie Talvasa, może i on sam, odnajdą ich kryjówkę...

- Nie znajdą nas tutaj. Jesteśmy bezpieczni - zapewnił Osbern.

Gdy nadszedł świt, Wilhelm zapadł w niespokojny sen. Przez cały następny dzień uciekinierzy siedzieli w ukryciu. Jeden z książęcej eskorty przyniósł żywność i wynajął świeże konie w pobliskiej gospodarce. Z nastaniem ciemności wyruszyli znowu. Ludzi Talvasa nie było.



## Rozdział 4

### PRZECIW REBELIANTOM

Wprawdzie zamach hrabiego Talvasa na życie Wilhelma Bastarda nie powiódł się, jednakże na tym nie skończyły się kłopoty małoletniego księcia. Nie był to nawet jeszcze początek końca. Niejeden wciąż gotów był zaryzykować życie, by nie dopuścić do wykonania woli zmarłego władcy - i niejeden oddał życie w obronie jego następcy. Alain z Bretanii zginął podczas oblegania zamku buntownika, Wilhelma de Montgomery. Jego miejsce jako opiekun małego księcia zajął Raoul de Gacé, który też został wodzem lojalnych wojsk normandzkich. Hrabia d'Eu i inni lojaliści zginęli w zasadzkach lub zostali otruci. Wilhelm musiał się przemieszczać z miejsca na miejsce, z jednej kryjówki do drugiej, wynurzając się, skoro to tylko było możliwe, by się pokazać swoim poddanym, przypomnieć im, że chociaż zagrożony przez zazdrosnych rywali, pozostał ich księciem.

Gwałt i zbrodnia szalały po kraju, jednakże zdrowy system administracyjny, założony przez poprzednich władców, w zasadzie przetrwał. Rolnictwo i rzemiosła prosperowały. Zawdzięczano to w znacznej mierze Kościołowi, który uparcie opowiadał się za społeczeństwem, opartym na fundamencie praworządności i posłuchu, ochraniając słabych i ubogich przed krzywdami. Zarazem kler niemało skorzystał na krnąbrności możnej szlachty. Wielcy panowie o niespokojnym sumieniu we wszystkich epokach i we wszystkich chrześcijańskich krajach usiłowali przekupić klucznika bram niebieskich. Normandzcy baronowie szukali odpuszczenia swych zrad i nielojalności wobec młodego księcia fundując nowe kościoły lub klasztory, wyposażając już istniejące. Jeśli któryś nie pamiętał o tej metodzie uzyskania absencji, to mu jego spowiednik albo biskup przypominał. Toteż podczas burzliwej małoletności Wilhelma w każdym prawie okręgu księstwa wznoszono nowe przybytki służby Bożej, upiększono dawne.

Osbern de Crépon i Thorold de Neufmarché sprawowali czujną straż nad młodym pupilem. Z nieustającą troskliwością sypiali na przemian w jego sypialni i przed jej drzwiami. Chłopiec hartował się w przeciwnościach i niebezpieczeństwie, a jego wierni opiekunowie...

Osbern wszedł do komnaty młodego księcia z twarzą zmienioną i w głębokim przygnębieniu zwiesił głowę.

- Co się stało, Osbernie? - pytał chłopiec. - Zła wiadomość, widzę to.

- Mój książę... już nigdy więcej nie zobaczysz Tho-rola.

Chłopak osłupiał. Thorold! Olbrzym o złotym sercu. Thorold, który sprawował straż jeszcze przy Robercie Wspaniałym, a teraz niejednokrotnie mieczem i siłą swego ciała

odgradzał Wilhelma od fatalnego ataku. Łzy popłynęły po twarzy chłopca.

- Otruty - wytłumaczył Osbern. - Jakiś zdrajca dostał się podstępem do jego jadła lub napitku. Dziś w południe.

- Och! Gdybym był już mężczyzną! - rozpaczał Wilhelm. - Z tym mieczem w ręku mógłbym pomścić morderstwo Thorolda!

Miał dopiero dwanaście lat, ale tego dnia skończyło się jego dzieciństwo. Chociaż nocą w łóżku jeszcze zapłakał, zmartwienie zrodziło tylko zacieklą nienawiść do tych, którzy nastawiali na jego życie i zabijali jego przyjaciół.

Zdradziecka śmierć znowu zaatakowała znienacka. Pewnego ranka młody książe obudził się i spostrzegł, że Osbern, zawsze zrywający się równo ze świtem, nie wstał jeszcze.

- Osbernie, zbudź się! Już czas! - potrząsnął ramieniem przyjaciela i z przerażeniem podniósł rękę: była lepka od krwi. Spojrzał uważniej: krew była też na pościeli Osberna. Ten drugi wierny obrońca nie zbudzi się już więcej. Najwyraźniej morderca po ciemku pomylił łoża i zasztytował Osberna zamiast młodego księcia. Strażnik przed drzwiami również leżał martwy.

Tym razem Wilhelm, chociaż w głębokim żalu, nie przelał ani jednej łzy. Ukląkł i podniósł zaciśnięte pięści:

- Boże, daj mi żyć, abym mógł pozabijać morderców i zdrajców!

W tej sytuacji Raoul de Gacé i inni, żywi jeszcze przyjaciele i stronnicy zdecydowali, że jest jeden sposób, by zapewnić bezpieczeństwo młodemu księciu.

- Musisz się udać do Conteville - powiedział Raoul.

- Ale ja chcę jechać z wami! Chcę walczyć z moimi nieprzyjaciółmi! - protestował Wilhelm.

- To ci się chwali, mój książe - odparł Raoul. - Wszelako jesteś jeszcze za młody. I powinieneś nauczyć się nie tylko walczyć, ale także rządzić, gdy nadejdzie czas. Twoja matka i ojczym już sprowadzają guwernerów.

Chociaż książe, Wilhelm tym razem musiał usłuchać.

W Conteville Arletta spotkała swego pierworodnego syna, a zarazem swego pana, ze wszelkimi honorami i najszczerszą radością. Dała mu najpiękniejszą komnatę na zamku hrabiego Herlwin. Tu poznał swoje rodzeństwo: siostrę i dwóch przyrodnych braciszków, ledwo od ziemi odrastających: Odon i Roberta. Ten pierwszy adorował młodzika, który był jego księciem. Arletta opowiadała malcowi o przygodach Wilhelma, więc Odon wkrótce uwielbiał go na równi z bohaterami księżęcej dynastii: Rollonem, Wilhelmem o przezwisku Długi Miecz i Ryszardem Śmiałym.

Wilhelm zabrał się z powrotem do nauk. Wyszkolił się w przedmiotach, potrzebnych przyszłemu władcy. Hrabia Herlwin otoczył go guwernerami i zaufanymi opiekunami. Wszyscy domownicy zamkowi dbali o niego i zajmowali się nim. Często

polował, z odwagą i powodzeniem, a w wielkiej sieni zamkowej zajmował miejsce u szczytu stołu, mając matkę po prawej ręce, a ojczyrna po lewej. Niechaj się uczy obowiązków swojej godności, a i wobec innych trzeba podkreślać jego rangę.

Pierworodny syn Arletty z całą serdecznością odpowiadał na adorację małego Odon. Uczył malca jeździć konno, nosił go po dziedzińcach zamkowych na barana. Wieczorami grywał w szachy z hrabią albo słuchał trubadurów nucących stare, dobrze znane ballady», opiewające wyczyny Wikingów i wielką wyprawę żeglarską Rollona Olbrzyma w górę Sekwany - po księstwo.

Tymczasem Raoul de Gacé i inni przyjaciele Wilhelma, którzy uniknęli sztyletu i trucizny, najpierw odpierali ataki buntowników, po czym przejęli w swe ręce ofensywę. Wokół nich gromadzili się nowi stronnicy w nadziei zyskania łask, gdy Wilhelm dojdzie do pełnoletności i obejmie władzę. Zachęcała ich świadomość, że młody książę jest bezpieczny, że kształci się i dorasta. Z zamku Conteville szły wieści o mądrej głowie na młodych ramionach, o nieustraszonej jeździe konnej, o wybornej sprawności we wszystkich męskich sportach.

- Nie wystarczy - powiedział któregoś dnia hrabia Herlwin - aby władca znał członków swego dworu i dowódców swoich wojsk. Niechaj zna sprawy wszystkich swoich poddanych, możliwych i skromnych i niechaj oni go znają.

Zachęcał więc Wilhelma do częstszych rozmów z wieśniakami i rzemieślnikami na ziemiach hrabstwa, które rozciągały się aż do wybrzeży, obejmując również osady rybackie. Młody książę słuchał uważnie tych, którzy opowiadali mu o zbiorach, o polowach i o swoich kłopotach. Dobrze się czuł między prostym ludem. Nie przybierał wyniosłych min jak niejeden z potomków szlacheckich rodów, którzy mu towarzyszyli. Opowiadał o sobie, że chociaż jest synem zmarłego księcia, przez rodzinę matki sięga pochodzeniem roli i rzemiosła, więc rozumie ich dobrze, potrafi dzielić ich troski i dążenia. To wywoływało żywy oddźwięk. Prosty lud wielbił niegdyś jego ojca - Roberta Wspaniałego - a teraz oddawał serca synowi, który się nad nikogo nie wynosił.

Wilhelm przeżył, ponieważ większość przyjaciół jego ojca pozostała wierna synowi i bez wahania oddawała za niego życie. Przetrwała też Normandia, jako całość, dzięki jednoczącemu wpływowi Kościoła i solidnemu wypełnianiu obowiązków przez urzędników w miastach i w okręgach wiejskich księstwa.

Gdy Wilhelm miał lat siedemnaście, hrabia Herlwin napomknął Raoulowi de Gacé, że czas już, by młodziak zaczął brać udział w posiedzeniach rady. Raoul, człowiek uczciwy, szczerze przywiązany do książęcego domu i oddany sprawom księstwa, przyznał rację hrabiemu:

- Słusznie. W takim razie książę powinien opuścić twój zamek i przenieść się do Rouen. Moim zdaniem, sytuacja w kraju pozwala na to. Radziłbym, abys ty, hrabio, z żoną i rodziną zamieszkał razem z księciem w zamku Rouen.

Tak się też stało i niebawem Wilhelm zadziwił starych członków rady swoją bystrością i pojmowaniem spraw państwowych. Przydał się solidny fundament nauk, pobieranych w Conteville, przydały się wspomnienia zasad jego ojca, i to, co słyszał od Arletty o metodach i sposobach Roberta Wspaniałego w polityce i dyplomacji.

W Normandii istniało nadal wiele sprzecznych elementów, ale stronnictwo lojalistyczne coraz wyraźniej brało górę, a jedno z ważniejszych, często wysuwanych zastrzeżeń co do panowania Wilhelma - jego młodość - z miesiąca na miesiąc traciło znaczenie.

Jedną z pierwszych uroczystości, jakie się odbyły po przybyciu Wilhelma do Rouen, była ważna ceremonia pasowania go na rycerza, poprzedzona próbą sprawności w ćwiczeniu rycerskim.

Na uroczystość przybył król Henryk francuski. Zjechało się z całego księstwa wielu stronników Wilhelma, baronów i rycerzy. Zajęli oni podczas ceremonii specjalnie wybudowane trybuny. A na zielonych polach dookoła stłoczyła się ciżba, niecierpliwie wyglądająca chwili, gdy ich pan i księżę będzie zdobywał symbol męskości i rycerstwa - złote ostrogi.

Gdy się ukazał kandydat na rycerza, zapanowała absolutna cisza. William z Poitiers tak pisze w swej kronice:

„...wspaniały widok, piękny a wzruszający... młodzieniec wysoki, smukły, o obliczu szlachetnym, wejrzeniu dumnym, wyzywającym... rękoma przytrzymał cugle, miecz przy boku, puklerz w lwy malowany... prawdziwy wojownik, w hełmie, dzidą grożący...”

Na słupie umieszczono kukłę ze słomy, przybraną w kolczugę i do połowy ukrytą za wielką tarczą. Pierwsza próba polegała na przebiciu dzidą zarówno tarczy jak i kolczugi bez wstrzymywania wierzchowca w pełnym galopie. Tylko nabyta długą praktyką umiejętność pozwalała tu wygrać.

...Oczy wszystkich moich poddanych na mnie zwrócone... moja matka... Odo i Robert... zacny hrabia Herlwin... i król Francji... Ojczy, dodaj siły memu ramieniu... Boże, dopomóż mi zdobyć ostrogi...

Słońce zalewało żarem tłum, patrzący w napięciu.

Koń pędził coraz szybciej, ale Wilhelm zaledwie był świadom jego pędu. Wzrok, wszystkie zmysły skoncentrował na wiszącej postaci, która wydawała się bardzo jeszcze daleka. Serce biło mu w takt końskich kopyt.

Coraz bliżej słomiana figura... bliżej... Wilhelm jeszcze pędu przyśpieszał... dzida nastawiona... szcęk uderzenia przez tarczę, przez kolczugę... słomiana kukła zakołysała się, zwała na ziemię... a kandydat na rycerza trzymał się mocno w siodle... przejechał dookoła pola z dzidą prosto podniesioną, witany burzliwymi oklaskami widzów na trybunie i na polu.

Z pozostałych prób Wilhelm wywiązał się z równą umiejętnością i siłą, fetowany coraz gorętszymi oklaskami, aż wreszcie nadeszła wielka chwila: w rękach króla Henryka złote ostrogi... jego głos:

- ... mianuję cię rycerzem... nieczęsto na tym czy innym polu, można było oglądać taką doskonałość oka i ramienia, tak umiejętne powodowanie koniem, taką zręczność we władaniu bronią, taką pewność i determinację.

Arletta uściskała swego syna-rycerza, a później hrabia Herlwin doradzał:

- Owacje szlachty i prostego ludu winny być jak muzyka dla twoich uszu. Z całą pewnością masz teraz za sobą większość Normandii. Chwytaj tę sposobność, mój książę. Wezwij twoich wasali, niech ci złożą na nowo należny hołd lenny. Teraz, gdy sami widzą, jakiego mają księcia, będą przysięgać szczerzej niż poprzednio, może nawet z zapalem.

- Zastosuję się do twojej rady, mój zacny i mądry opiekunie - odrzekł Wilhelm, obejmując hrabiego, który mimo swych lat nadal trzymał się prosto i poruszał energicznie.

Od panującego wymagano przede wszystkim, aby był wojownikiem, zdolnym dawać przykład w boju. Prócz tego, żądano, by wydawane przez *niego* edykty nakazywały posłuch. Z kolei pod tym względem Wilhelm sam siebie wypróbował. Zarządził, aby na zakończenie uroczystości inicjacji, a także przy okazji ponownego hołdu lennego, odbywały się uczty i zabawy na ulicach, ale żadnych ekscesów ani orgii. Wyznaczył rycerzy, którzy mieli tego dopilnować i jemu osobiście raportować przekroczenia. Prócz drobnych awantur w oberżach, nikt nie złamał rozkazu. Młody książę, który zdobył swoje złote ostrogi, zdobył również, jak się zdawało, mir i posłuch u poddanych.

Król Henryk nie przybył do Rouen wyłącznie po to, by okazać fawory swemu wasalowi, zamierzał też przedstawić mu swoje żądanie, właściwie ultimatum. Nad rzeką Arne - panując nad doliną i zagrażając francuskiemu hrabstwu Dreux - wznosiła się normandzka twierdza graniczna Tillières. Od dawna ciągnęły się dysputy co do praw Normandii do tej twierdzy, a król Henryk, przysłużwszy się swoją osobą do uświetnienia uroczystości pasowania na rycerza młodego wasala, wykorzystał sposobność, by zażądać:

- Jeżeli życzysz sobie zachować moją przyjaźń, Tillières musi być wyburzone albo oddane.

Wilhelm dyplomatycznie odsunął definitywną odpowiedź mówiąc, że sprawa takiej wagi winna być przedstawiona radzie królewskiej.

- Wewnętrzny stan Normandii - argumentował na radzie Raoul de Gacé - wzbrania nam ryzykowania wojny z królem Francji.

- A przyjaźń Francji - dorzucił hrabia Herlwin - cenniejsza jest od pogranicznej fortecy.

Były też głosy przeciwne.

- Jeśli ustąpimy w tej sprawie królowi Henrykowi, podnieci to jego apetyt. Czego następnie zechce żądać?

- Tiličres tym cenniejsze jest dla nas, że dla Francji stanowi zagrożenie.

- Tak byłoby, gdybyśmy już całe księstwo zdołali zjednoczyć - odparował Raoul. - W obecnym stanie rzeczy Tiličres jest tylko ropiejącym wrzodem na przyjaźni Normandii i Francji.

Dyskusję zakończył sam książę.

- Mój ojciec mnie pouczał, że zachowanie przyjaźni Francji jest polityką słuszną pod warunkiem, aby nie wystawiać na szwank ważnych interesów Normandii. Sądzę, że tak jest w tym właśnie przypadku. Przystaję na żądanie króla Henryka.

Ale dowódca załogi zamkowej, Gilbert Crispin, nie usłuchał rozkazu opuszczenia twierdzy, doręczonego mu przez gońca. Wilhelm wyprawił się więc na czele mieszanych, normandzko-francuskich wojsk do Tiličres. Gilbert, acz z wielką niechęcią, skapitulował. Młody książę nabrał zaufania do swoich sił po tej pierwszej próbie wymuszenia posłuchu u krnąbrnych wyższych oficerów i wasali.

- Forteca musi być wyburzona i spalona - nalegał król Henryk.

- Tak się stanie - odrzekł młody książę - pod warunkiem, że najjaśniejszy pan zobowiąże się nigdy jej nie odbudować.

Królewskie metody osiągnięcia celu bywały brutalne, ale jego wdzięczność okazała się szczerą, czego dowiodły najbliższe lata.

- Jesteś wiernym wasalem i przyjacielem, mądrym synem mądrego ojca - rzekł król.

- Nie zapomnę ci tego. Jeśli kiedy będziesz potrzebował pomocy - a któż z nas w ciągu lat panowania jej nie potrzebuje! - nie wezwiesz mnie daremnie.

Pomoc okazała się potrzebna prędzej, niż król i książę oczekiwali. Opat z Jumičges, którego klasztor graniczył z posiadłościami Guya de Brionne, na jesieni przybył do księcia z wiadomością. Wilhelm polował właśnie i bawił w myśliwskim dworku w Valognes na półwyspie Cherbourg (podówczas Carusbar), należącym do ziem Guya de Brionne, jego ciotecznego brata, o parę lat starszego.

- Hrabia de Brionne spiskuje przeciwko waszej książęcej mości - zawiadomił opat.

Jeszcze Robert Wspaniały żywił niegdyś obawy, że Guy, syn jego siostry, ślubnego pochodzenia, zechce sięgnąć po księstwo.

- Guy de Brionne spiskuje przeciw mnie? - wykrzyknął Wilhelm. - To niemożliwe. Razem chowaliśmy się, jako dzieci, razem bawili! I czyż nie okazałem mu wszelkich względów, należnych krewnemu? Czyż nie dałem mu moich najpiękniejszych dwóch zamków, Brionne i Vernon?

- Zawiść, mości książę - pokiwał głową opat - często tym bardziej rozkwita z powodu darów, ofiarowanych przez tego, któremu się zazdrości.

- Jeśli mówisz prawdę - powiedział z namysłem Wilhelm - w takim razie Guy mnie okłamał. Napisał do mnie list, w którym się tłumaczył, że nie mógł przybyć na uroczystość pasowania mnie na rycerza i ponownego składania hołdu lennego, ponieważ wybuchły zamieszki wśród jego własnych wasali i musi się z nimi rozprawić. Przyjąłem wytłumaczenie, ufając jego lojalności. Mój nieszczęsny kuzyn!

- Doradzałbym, mości książę, natychmiast z tych okolic wyjechać. Grozi ci tutaj niebezpieczeństwo, a masz tylko garść ludzi przy sobie.

- Dziękuję za ostrzeżenie - powiedział Wilhelm. - Zarządzę dochodzenie w tej sprawie i jeżeli ta wiadomość jest prawdziwa, przyślę hojny dar dla waszego opactwa. Ale jeżeli to fałsz - nałożę kontrybucję!

Opat tylko się uśmiechnął i na pożegnanie dodał:

- Zaklinam waszą książęcą moc, byś z odjazdem nie zwlekał.

Wilhelm postanowił wyjechać o świcie. Nagi rzucił się do snu na sienniku. Niebawem obudziło go pośpieszne kołatanie. Zerwał się od razu, podbiegł do zaryglowanych drzwi.

- Książę... mój panie... - był to głos jego trefnisia, Galleta.

Odsuwane rygle zazgrzytały, Gallet wpadł do izby, ubłocony, potargany.

- Uciekaj, książę! Wrogowie nastają na ciebie! Są ledwie o milę, nie dalej...

- Kto, Gallecie? Kto?

- Guy de Brionne! Ma ze sobą wielu zbrojnych. Podслуchałem jak się chełpili, popijając wino w swoim obozowisku... Jeden mnie zobaczył, może i poznał, ale się wymknąłem...

- Będę z nimi walczył, Gallecie.

- Nie, nie, mój książę! Ich jest bardzo wielu, was mało. Na koń, póki jeszcze czas! Jeżeli chcesz władać Normandią, mój książę, i żyć. Lada chwila mogą tu dojechać!

Gorączkowe ponaglenia trefnisia wraz ze wspomnieniem słów opata przekonały wreszcie Wilhelma. Bywał on po rycersku romantyczny i pewno by chętnie położył życie, by ocalić księstwo, ale miał na tyle trzeźwości, żeby nie ryzykować utraty obu na raz. Narzuciwszy tylko płaszcz, by osłonić swoją nagość, wypadł do stajni, ciągnąc za sobą Galleta i wołając do swych towarzyszy łowów, by się rozproszyli, by każdy pojedynczo przedzierał się lasami do Rouen albo Falaise.

- Oj, zostaw mnie, panie - wołał trefniś - puść mnie! Ja nie poradzę sobie na koniu, nie umiem jeździć!

- Tej nocy pojedziesz. Posadzę cię za mną na siodle. Jeśli mój niewierny kuzyn tu cię odnajdzie, a jego ludzie cię rozpoznali tej nocy w obozie, to każe ci oczy wyłupać i język wyrwać.

Rycerz nie opuszcza bezbronnego druha w niebezpieczeństwie. Wilhelm lekko uniósł trefnisia na grzbiet koński i usadowił go za sobą, mówiąc:

- Obejmij mnie w pasie i trzymaj się mocno! Pogalopowali na południowy wschód, w kierunku

Falaise. Pochylony nad końskim karkiem, Wilhelm wspominał tamtą noc, kiedy zacny Thorold zawiózł go, owiniętego w koc, do bezpiecznego schronienia.

- Kiedyż wreszcie będę mógł dostać do rąk Guya i wszystkich zdrajców... wszystkich zdrajców! - mruczał do siebie.

Z oddali doszedł ich uszu stukot wielu końskich kopyt po kamienistej drodze. Wilhelm skręcił w las. Liczny oddział zbrojnych przejechał drogą w stronę myśliwskiego dworku, a na ich czele - Guy do Brionne.

- Zaiste, ocaliłeś mi życie - powiedział książę do trefnisia. - Dzięki Bogu, mogę ocalić twoje.

- Prędeż wasza książęca mość ducha ze mnie wytrzęsie na tym przekętym czworonogu - poskarżył się Gallet.

Dzielny wierzchowiec przejechał ze swym podwójnym ciężarem ponad sześćdziesiąt kilometrów. O świcie potykał się, zwalniał. Kiedy podjeżdżali do wioski Rye, przeprawiwszy się brodem przez rzekę Vire, Wilhelm zastanawiał się, co ma począć dalej: nagi i bezbronny, na koniu, który już ledwo dyszał. Na wzgórzu między zamkiem Rye a pobliskim kościołem stał jakiś mężczyzna. Rozpoznając w nim Huberta, pana na zamku Rye i wiernego wasala, Wilhelm powitał go, wstrzymując wierzchowca, który rozkraczył się i łeb spuścił, a piana spadała z niego płatami. Spiesząc do niego, zdumiony widokiem, Hubert zapytał:

- Panie mój, cóż to znaczy? Jesteś tak dziwnie odziany, a twój koń zajeżdżony!

„Dziwnie odziany” było niedopowiedzeniem, o czym świadczyły obolałe pośladki Wilhelma.

- Niecni zdrajcy nastają na moje życie - odparł Wilhelm, tak samo prawie wyczerpany jak jego koń. - Przyjacielu, trzeba mi żywności, ciepłej odzieży i świeżego wierzchowca.

Hubert de Rye, człowiek już starszy i doświadczony, nie tracił więcej słów i czasu. Opatrzywszy księcia, wyprawił swych trzech synów, by mu towarzyszyli do Falaise. Gallet, półżywy po szaleńczej jeździe, został w Rye.

W Falaise zastali Raoula de Gacé. Przywitał ich słowami:

- Twoi wrogowie zapewne wiedzą już, że cię ostrzeżono mości książę. Nie ośmielą się aż tutaj zapuścić.

Zwołano naradę. Postanowiono rozesłać szpiegów, by się dowiedzieć szczegółów spisku. Ci przynieśli informacje, że z hrabią stowarzyszyli się jego wasale: Randolf de Brichessart, Neel de Saint Sauveur i dwóch, trzech innych. Wspólnie planowali



podzielić księstwo między siebie: Guy wziąłby Rouen z przyległymi ziemiami - osobiste włości Wilhelma - wraz z tytułem księcia i pana lennego. Wszyscy przyprowadzili ze sobą dobrze wyćwiczonych i uzbrojonych ludzi. Teraz wycofali się do Brionne i przygotowywali zamek do odparcia ewentualnego oblężenia.

- Trzeba śledzić poruszenia Guya - powiedział Wilhelm i dorzucił, nie ujmując słów w formę rozkazu: - Możebyś ty się tym zajął, hrabio Raoul? Ja pośpieszę do króla Francji. Jest moim dłużnikiem i przyrzekł pomoc w razie potrzeby.

- Słusznie - zgodził się Raoul. - Z tymi buntownikami trzeba się ostatecznie rozprawić, a na to my sami nie mamy dość sił.

Z silną eskortą Wilhelm wyprawił się do Paryża. Jechali spiesźnie. Króla zastali w Poissy, o jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na zachód od stolicy.

Podjęta niegdyś przez Wilhelma decyzja o oddaniu fortecy Tillières okazała się słusznym posunięciem.

- Dotrzymuję danego słowa - powiedział król. - Wojsko jest w gotowości i ja sam je poprowadzę.

Tymczasem Raoul w imieniu księcia zawezwał wasali z ich pocztami oraz rycerzy z południowej i wschodniej Normandii, o czym wprędce dowiedział się Guy de Brionne. Nie doniesiono mu jednakże o przybywającym z pomocą królu Francji. Wódz buntowników wybrał ofensywę jako najlepszą obronę i zagrożony kilku magnatom surowymi karami, jeśli go nie wesprą, zebrał znaczne siły, z którymi śmiało pomaszerował na wschód, ku tym okolicom, gdzie Wilhelm miał największe poparcie i najwierniejszych stronników. Po drodze terroryzował szlachtę i wcielał do swego wojska coraz nowych wojowników.

Król Henryk połączył się z wojskami książęcymi. Na równinie Val-čs-dunes dwie armie, księcia i hrabiego buntownika, stanęły oko w oko.

Każda z armii, mniej więcej równa liczebnie, była podzielona na dwie części: po stronie lojalistów jednym skrzydłem dowodził król Francji, drugim Wilhelm. Poranne chmury niebawem zalały walczących potokami deszczu. Wilhelm, w podnieceniu szykując się do swej pierwszej większej bitwy, przemówił do swoich Normanów.

- Musicie walczyć jak jeszcze nigdy, a to z dwóch przyczyn. Guya de Brionne trzeba pokonać i pojmać do niewoli albo zabić. Ale musimy też walczyć co najmniej równie odważnie, dzielnie i skutecznie, jak Francuzi. Winniśmy królowi wdzięczność za jego pomoc, ale nie będziemy jemu zawdzięczać zwycięstwa, ponieważ później musielibyśmy mu służyć na każde skinienie. My, Normanowie, zawsze byliśmy i zawsze będziemy wolni i niezależni.

W bitwie tej nie wchodziła w grę umiejętność taktyczna. Było to typowe dla owej epoki spotkanie jazdy, w którym siła zakutych w zbroje rycerzy, ich zręczność i odwaga w pojedynczych zmaganiach decydowały o zwycięstwie. Deszcz nie ustawał, końskie

kopyta przemieniały równinę w grzęzawisko błota. Najpierw jedna, później druga strona wycofywała się, by sformować szyki i uderzyć z nowym impetem.

Dwukrotnie króla Henryka strącono z konia. Po dwakroć jeden z rycerzy ze straży przybocznej zeskoczył i oddał mu własnego wierzchowca. Wilhelm pierwszy raz widział, jak walczy sławny Raoul de Gace, i zrozumiał, iż zasłużenie zdobył reputację odważnego i zaciętego wojownika. Ale i Raoul z uznaniem spoglądał na młodego księcia, na jego chrzest w pierwszej większej bitwie. W stożkowatym hełmie, rozpalony walką, hałasem i krzykami, Wilhelm był zawsze w najgorętszym ogniu bitwy, walczył jak doświadczony weteran, najpierw atakując dzidą, aż się rozprysła w drzazgi, później zadając celne ciosy mieczem i wojennym toporem. W pewnej chwili zabrał dzidę zabitemu buntownikowi. Za każdym pchnięciem i ciosem mruczał, a czasem krzyczał:

- A masz! Masz, zdrajco de Brionne!

I wspominał własne słowa, które tego ranka powiedział do swoich wojowników:

... musimy walczyć równie odważnie, dzielnie i skutecznie jak Francuzi...

Guy de Brionne prowadził to skrzydło swoich wojsk, które się znajdowało naprzeciw króla Henryka, więc dwaj kuzyni nie spotkali się w tej bitwie twarzą w twarz, ku zmartwieniu Wilhelma. Młody książę położył niejednego wstawionego w walkach rycerza. Po południu po stronie Normanów podniósł się wielki, radosny wrzask. Randolf de Brichessart wycofał z walki swoje oddziały i opuścił pole bitwy. Jazda Wilhelma chciała rzucić się za nim w pościg, ale książę ich odwołał.

- Jeżeli zawrócą i stawią wam czoła, znajdziecie się między dwoma oddziałami buntowników jak w kleszczach - zawołał. - Wracajcie i atakować tych, którzy się jeszcze biją na polu walki!

- Dobrze powiedziane, mój książę! - zawołał Raoul, zaskoczony przezorną taktyką tego młodzika.

I wówczas Raoul de Gacé zdał sobie sprawę, że faktyczne dowództwo lojalistycznej armii normandzkiej przechodzi z jego rąk do rąk księcia: nie tylko z racji formalnego prawa, ale z racji umiejętności dowodzenia.

Jeszcze nie pokonano Guya de Brionne, walka jeszcze wrzała. Neel de Saint Sauveur i inni zbuntowani rycerze zgromadzili się wokół hrabiego i stawiali twardy, skuteczny opór na wysokim wzgórzu wokół kościoła. Ale teraz byli słabsi liczebnie. Normanowie i Francuzi przypuścili tak gwałtowny atak, że rozbili szyk nieprzyjaciela. Odwrót zamienił się w ucieczkę. Lojaliści ścigali pokonanych wrogów, którzy galopowali w kierunku rzeki Olne. Zabijano uciekających tuzinami, a jeszcze więcej potonęło w wartkim nurcie rzeki.

- Szukać mi Guya de Brionne - nakazał Wilhelm kilku rycerzom ze swego otoczenia. - Muszę go mieć, żywego czy martwego!

Ale Guy zdołał się wymknąć. Gnał tak szybko, jak tylko znużony wierzchowiec mógł go unieść i dotarł do zamku Brionne. Wilhelm zaklął, ale opanowawszy się, powiedział:

- Nie dziś, to jutro. Żaden zamek w Normandii nie uchroni go od mego gniewu i mej pogardy dla zdrajców.

Zabitych, lojalistów i buntowników na równi, pogrzebano po chrześcijańsku. Rannych opatrywano, odwożono z pola. Szlachtę i rycerzy wziętych do niewoli, jeżeli stwierdzili, że Guy de Brionne przymusił ich wbrew woli, wcielono do wojska księżęcego z zastrzeżeniem, że zapłacą okup po ostatecznym rozgromieniu buntu. Wilhelm już wtedy umiał myśleć o skarbcu swego księstwa.

Zbuntowani baronowie zmierzyli się ze swym księciem w otwartej bitwie - i przegrali. Wprawdzie Francuzi udzielili pomocy, ale wszystkie współczesne relacje z bitwy - normandzkie i francuskie - zgodnie przyznają, że czynnikiem, który rozstrzygnął o zwycięstwie, był osobisty przykład i talent taktyczny młodego księcia. Guy i inni zaliczali się jeszcze do wrogów jego tronu, ale od bitwy na równinie Val-čsdunes nikt nie wątpił, że Wilhelm zawładnie całym księstwem. Król Henryk, oznajmiając o swoim powrocie wraz z wojskiem do Francji, powiedział na pożegnanie:

- Widzę, że doskonale potrafisz sam rozgrywać własne bitwy i utrwalić swoje panowanie.

Podziękowawszy swemu lennemu zwierzchnikowi, Wilhelm zaczął przygotowania do oblężenia zamku Brionne. Ale zanim wyruszył, wysłał gońca do matki i hrabiego Herlwina:

„Cieszcie się wraz ze mną, moi drodzy i bliscy. Dzisiaj udowodniłem, kto jest księciem Normandii. I księciem pozostanę, z dnia na dzień rosnąc w siłę”.

## Rozdział 5

### SKÓRY DO GARBOWANIA, SKÓRY!

Mniej więcej w połowie drogi między Lisieux a Ev-reux wznosi się zamek Brionne, malowniczy i groźny. Od patrzącego zależało, która z tych jego cech wywierała większe wrażenie. Malowniczość zamek zawdzięczał przede wszystkim położeniu na wyspie pośrodku rzeki Risle, a także kamiennym murem wież, o symetrycznym kształcie. Pozostałe fortyfikacje były drewniane-, nawet wieże rzadko jeszcze budowano z kamienia. Jednak malowniczość dodawała tylko grozy zamkowi w oczach przyszłego zdobywcy, bo w takim charakterze podchodził do Brionne książę Normandii po bitwie na równinie Val-čs-dunes.

Po odjeździe króla francuskiego Wilhelm pospieszył w pościg za kuzynem Guy. Książę poniósł poważną stratę, która powiększyła jego odpowiedzialność. Oto Raoul de Gacć uległ atakowi febry. Doktorzy niewiele mogli mu pomóc, więc na własne żądanie chorego odwieziono go w lektyce do rodowej siedziby, gdzie chciał umrzeć. Wilhelm szczerze żałował człowieka, który więcej od innych przyczynił się do zachowania całości księstwa podczas jego małoletności, ale nie mógł ukryć przed samym sobą satysfakcji, jaką mu sprawiało samodzielne sprawowanie najwyższego dowództwa. Był młody, jednakże nie młodszy od wielu ówczesnych dowódców, i chociaż zdradzał chwilami porywczosć, właściwą młodym latom, miał wyjątkowe wyczucie taktyki wojennej i wiele zdrowego rozsądku.

- Val-čs-dunes to drobnostka w porównaniu z zadaniem, jakie nas teraz czeka - powiedział do swoich rycerzy, obejrzawszy fortyfikacje zamku Brionne. - Zdobycie tej twierdzy będzie nie ladą sztuką. Ale jej dokonamy.

Kilku rycerzy z tych, którzy poprzednio pod przymusem walczyli przeciw księciu, a teraz się do niego przyłączyli, znali dobrze zamek. Ci potrząsali głowami i ostrzegali:

- Hrabia Guy mniema, iż zamek Brionne jest nie do zdobycia i to może być prawdą.

- Starannie obmyślonym, wytrwałym oblężeniem, każdy zamek można zdobyć - burknął gniewnie Wilhelm. - Nie będziemy tracić czasu i ludzi na daremne szturmowanie. Wybudujemy dwie wieże na brzegu rzeki, przeciwstawimy zamkowi nasze fortyfikacje, będziemy bombardować za pomocą naszych machin, okrążymy ich, zagłodzimy załogę.

„Machiny”, o których książę wspominał, były to ogromne katapulty, wyrzucające wielkie kamienie i żelazne kule.

Wzniesiono wieże i rozpoczęto bombardowanie. Minęła jesień, nadciągała zima, a hrabia Guy i załoga zamkowa nie zdradzali żadnych oznak niepokojów. W Normandii zdawano sobie sprawę, że wbrew wyzywającemu oporowi Brionne, większa potęga

była po stronie Wilhelma, wypróbowanego już wojownika i wodza. Przyłączali się więc do niego coraz liczniej rycerze i baronowie, którzy do tej pory wahali się, niepewni, kto ostatecznie zwycięży.

Księżę i jego najbliżsi rycerze nieustannie polowali, zaopatrując wojska w dziczyznę. Pod gradem strzał szturmowano zamek, przeprowadzając się na wyspę łodziami lub pontonami, ale te ataki nie tyle miały na celu dokonanie wyłomu, ile zatrudnienie zniechęconych bezczynnością żołnierzy.

Wilhelm osobiście wyjeżdżał wciąż na rekonesanse, bacznie obserwując szkody, wyrządzone bombardowaniem, szukając słabego punktu w fortyfikacjach. Korzystając z takiej sposobności, hrabia Guy pewnego razu urządził chytrą zasadzkę. Niewielki oddział rycerzy opuścił zamek, odciął Wilhelma od eskorty i otoczył go. Księżę najechał na najbliższego jeźdźca i toporem zwałił go z konia, ale jednocześnie topór wojenny wypadł mu z ręki. Spiesznie dobywając miecza, odparował atak z drugiej strony, spiął ostrogami konia, jednym zamachem odciął ramię trzeciemu wojownikowi, zajeżdżającemu mu drogę i wyrwał się z kręgu otaczających go wrogów. Zginęło tylko dwóch rycerzy z jego eskorty, usiłując dotrzeć do księcia.

Wierząc w ostateczne zwycięstwo, Wilhelm bardzo cierpliwie prowadził oblężenie. Ale gdy zdarzyła się sposobność dywersji, podchwycił ją od razu, zwłaszcza iż rozporządzał coraz liczniejszymi wojskami. Nie miał zresztą wyboru, jeżeli chciał bronić swego księstwa.

Blisko południowych granic Normandii leżały dwa miasta, Domfront i Alençon, liczące po parę tysięcy mieszkańców. Każde bronione dobrze ufortyfikowanym zamkiem, każde panowało nad doliną rzeki, stwarzającej łatwy dostęp w głąb Normandii. Domfront od jakiegoś czasu należało do Maine, natomiast Alençon było teoretycznie normandzkie. Geoffrey Martel, hrabia Maine, z dawna planując zdobyć przyczółek na ziemiach normandzkich, systematycznie zasiedlał Alençon swoimi ludźmi, a w końcu, przyrzekłszy mieszkańcom różne beneficja i przywileje, odciągnął wielu z nich od lojalności wobec księcia. Obecnie, przekonany, że Wilhelm jest bez reszty zajęty obleganiem Brionne, hrabia Maine obsadził własną załogą zamki obu tych pogranicznych miast.

Otrzymaawszy tę wiadomość, Wilhelm bez zwłoki przystąpił do działania. Swemu zastępcy, hrabiemu Beaumont, wydał rozkaz:

- Podzielimy wojsko: ty zostaniesz tutaj, by nadal prowadzić oblężenie. Ja wezmę część armii i dam nauczki tym mieszkańcom w Alençon, a także włączę Domfront na powrót do księstwa. Król francuski będzie tylko rad, kiedy się dowie, że ukróciłem wybujałe ambicje jego wasala, hrabiego Maine!

Normandia była stosunkowo małym państwem. Na zachodzie sięgała wybrzeży półwyspu Manche, od wschodu graniczyła z hrabstwami Ponthieu (dzisiaj Somme i

Oise) oraz Vexin, na terenie którego leżał Paryż. Od wybrzeży kanału La Manche do granicy z hrabstwem Maine odległość wynosiła mniej więcej dwieście kilometrów, od zachodnich wybrzeży półwyspu Manche do granicy z Ponthieu - dwieście czterdzieści kilometrów. Były to przy ówczesnych warunkach komunikacyjnych ogromne odległości. Aby spod Brionne przybyć do Domfront, Wilhelm musiał ze swoim wojskiem przebyć ponad sto kilometrów.

Książę po raz pierwszy ujrzał Domfront: górską fortecę, do której dostęp prowadził tylko dwoma wąskimi traktami.

- Nieomal tak niedostępna jak Brionne - mruknął. - Nie weźmiemy jej nagłym atakiem. Taka próba tylko by Normandię wdowami i sierotami zaludniła... Trzeba zastosować tę samą taktykę, co pod Brionne.

Wybudowano więc aż cztery drewniane wieże na rogach wzgórza, stanowiącego podstawę Domfront. Po raz drugi Wilhelm, zorganizowawszy zaprowiantowanie swoich wojsk, rozłożył się obozem i cierpliwie czuwał, by hrabia Maine jakimś podstępem nie próbował przyjść na odsiecz oblężonej i odciętej od dostaw żywności załodze. Było to zimą i oblegający znosili niemałe trudy, żyjąc w namiotach.

Jakoż niebawem wywiadowcy donieśli, że od południa nadciąga wojsko. Książę wybrał dwóch młodych rycerzy, Rogera de Montgomery i Williama Fitz Osberna, by wyjechali naprzeciw z zapytaniem, jakim prawem Geoffrey Martel najeżdża ziemie normandzkie. Hrabia Maine przyjął posłów wyniośle:

- Powiedzcie temu młokosowi, którego zwiecie waszym księciem, a który musiał króla francuskiego na pomoc wzywać, by poskromić własnych zbuntowanych wasali, że odegnam precz jego śmieszne wojsko spod Domfront. Jeśli mi się spróbuje przeciwstawić, własnymi rękoma go zabiję. Ale będzie miał szansę uciec przede mną, ponieważ łatwo mnie będzie rozpoznać: jedyny wśród moich żołnierzy będę dosiadał siwego jabłkowitego wierzchowca, a na zbroję nałożę czerwoną koszulę z herbem Mainel

Posłowie, z prawdziwie normandzką dumą, wysoko podnieśli głowy:

- Radzimy nie marnować energii na wyjazd pod Domfront - odparł Roger de Montgomery. - Bo nasz pan i książę sam przyjedzie tutaj, chętny do pojedynku, który wasza wysokość proponuje. Jego rumak będzie czarny, a na żółtej koszuli będą wyhaftowane normandzkie lwy.

I Geoffrey Martel stchórzył. Dumne słowa Rogera, a zaraz potem wiadomość, że Wilhelm idzie na niego spiesznym marszem, ścięły mrozącym strachem krew w jego żyłach i odjęły mu dawną pychę. Uciekł wraz z całym wojskiem. Wilhelm najechał ziemie hrabstwa Maine tuż przy granicy, grabił i plądrował, po czym wrócił pod Domfront. Załoga fortecy, pozbawiona nadziei odsieczy, skapitulowała.

W ciągu całonocnego, spieszego pochodu Wilhelm przebył pięćdziesiąt kilometrów dzielących Domfront od Alençon. Ale to miasto również stawiało początkowo opór, a co gorsza, oblegających oddzielała od Alençon rzeka Sarthe, na której wznosił się silnie ufortyfikowany most. Zirytowany oporem mieszczan książe podjechał bliżej mostu, by zbadać umocnienia - i nagle jego irytacja wybuchnęła płomieniem szalonego, niepohamowanego gniewu. Bo przed fortyfikacjami wywieszono świeże skóry, a gdy Wilhelm podjechał, zza palisady rozległy się okrzyki:

- Skóry do garbowania! Skóry! A także:

- Normandzki bastard nie przejdzie!

Z, twarzą purpurową, piersią wzburzoną, Wilhelm poprzysiął:

- ... wyciąć w pień tych zdrajców! Pozwoliwszy swoim ludziom na krótki wypoczynek i posiłek po całonocnym marszu, książe osobiście poprowadził atak na most. Wojsko, również rozwścieczone obelgami, rzucanymi na ich wodza, zaatakowało z pasją, zdobyło most i wyrżnęło obrońców. Ale miasto otaczały wysokie mury, bramy zawarte. Przed murami widniało kilkanaście domostw.

- Rozwalić mi te domy - rozkazał Wilhelm. - Dachy, drewno rzucić pod bramy i podpalić.

Obrońcy Alençon nadal obrzucali go obelgami. Wilhelma ogarnęła taka furia, jakby go demony opętały.

Jego matka i wychowawcy z dawna go ostrzegali, że musi nauczyć się hamować wybuchy swego gniewu, który prowadzi na niebezpieczne drogi, zraża tych, którzy by mogli być jego przyjaciółmi. Na ogół Wilhelm stosował się do tych napomnień. Okazywał też zazwyczaj miłosierdzie po zdobyciu twierdz i miast we własnym księstwie. Ale przestawał nad sobą panować, bywał okrutny i bezwzględny, gdy go oszukano lub znieważono. Wówczas nie zważał na nic, nie dbał o to, że budzi wrogość, wymierzając mściwe kary. Znienawidził mieszczan Alençon bardziej nawet, niż Guya de Brionne i jego buntowników. Rozkazał:

- Przyprowadzić do mnie wszystkich mężczyzn z tych zburzonych domów.

Trzydziestu dwóch mężczyzn stanęło przed nim, prawie sparaliżowanych strachem. Nie bez racji, jak się okazało.

- Obciąć im ręce i nogi! - krzyknął Wilhelm, nadal w pasji takiej, iż mu odbierała zmysły. Zdawało się, że nie odpowiada za swoje słowa i uczynki.

Nieszczęśnicy padli na kolana, wołali, że nikt z nich nie wywieszał skór, a tylko dwóch rzucało obelgi - niechaj tych dwóch poniesie karę, ale nie wszyscy. W otoczeniu Wilhelma szemrano, ale na widok straszego gniewu księcia nikt nie odważył się wstawić za skazanymi.

- Wykonać rozkaz! - krzyknął książe do strażników, otaczających więźniów. - A obcięte członki przerzucić przez mury do zamku. Niech cała Europa wie, jaki los

spotyka tych, którzy ośmielią się znieważać księcia Normandii!

Było to jedno z tych barbarzyńskich okrucieństw - nawet Karol Wielki miał podobne na sumieniu - które plamią sławę wieku tak zwanej rycerskości. Niestety, nie ma chyba jednego rozdziału w dziejach ludzkości, który byłby od takich plam wolny.

Zamek poddał się pośpiesznie. Cierpienie trzydziestu dwóch ofiar uśmierzyło nareszcie furię Wilhelma. Nie pozwolił na dalsze dręczenie mieszkańców Alençon, nie pozwolił nawet na zwykłe w takich razach wybryki żołnierstwa, na grabież i gwałty. Kazał zgromadzić ludzi z Maine, przysłanych do miasta poprzednio i nawet, ich nie przesłuchując, wygnał za granice księstwa.

Po przywróceniu w Alençon dawnej lojalności i ostatecznym włączeniu Domfront do księstwa, Wilhelm, pogodny już i panujący nad sobą, oznajmił otaczającym go rycerzom:

- A teraz na Brionne! Musimy przywieść mego kuzyna do opamiętania.

Ale gdy księżę zbliżał się do Brionne, napotkał kawalkadę swoich ludzi, eskortujących około tuzina wynędzniałych postaci w łachmanach. Przez kilka miesięcy oblegający otaczali wyspę Brionne jakby żelaznym pierścieniem, aż wreszcie, gdy obrońcy zaczęli umierać z głodu, pan i dowódca zamku skapitulował.

- Mój kuzyn! Zdrajca! - wykrzyknął Wilhelm. Hrabia Guy, wyzbyty dawnej czelności, złamany głodem, chorobą i klęską, ukląkł na gościńcu, a za nim poklękali jego druhowie. Alençońska furia opuściła już Wilhelma. Tylko żal go ogarnął na widok człowieka, który, gdyby był lojalny, mógł zająć wysoko w godnościach i urzędach, a którego jego własna niewczesna ambicja doprowadziła do takiego upadku. Księżę wyciągnął rękę, by podnieść nieszczęśnika.

- Jesteś chory, kuzynie.

Guy, z nawrotem dawnego, złośliwego humoru, odparł:

- To ci nie przeszkodzi mnie zabić.

- Co? Zabić cię, aby świat cały mówił, że się ciebie lękałem? Nigdy nie bałem się ani ciebie, ani nikogo innego. I nie możesz teraz niczym mi grozić.

Zabranie zbuntowanych wasali nie należało do obyczajów feudalizmu.

-; Więc co ze mną zrobisz?

- Najpierw cię nakarmię. Musisz odzyskać swoje dawne świetne zdrowie i siły. Potem pogadamy.

Może sumienie dokuczało Wilhelmowi z powodu Alençon. W każdym razie nie wydał rozkazu egzekucji ani jednego z buntowników. Do hrabiego Guya, który szybko wracał do sił, chociaż nie odzyskał dawnej zawadiackiej chętności, powiedział:

- Zamki Brionne i Vernon wraz z należącymi do nich ziemiami wrócą pod moje osobiste władanie. Co do ciebie, kuzynie, możesz żyć na moim dworze, jeśli chcesz. Spróbujemy odnowić dawną przyjaźń i razem polować.



Guy de Brionne się nie zgodził. Życie na normandzkim dworze przypominałoby mu stale, codziennie, o jego klęsce i o wszystkim, co utracił. Wyjechał do Burgundii, we wschodniej Francji i odtąd wszelki słuch o nim zaginął. Historia nie wspomina o jego dalszych losach. Wszystkim baronom, którzy popierali hrabiego Guya, prócz jednego, zaproponowano złożyć ponownie hołd lenny księciu. Wszyscy też z tego skwapliwie skorzystali. Jednakże pojmując, że nie tyle ludzie są niebezpieczni, ile ich fortece i zamki, Wilhelm nakazał je zburzyć. Tym jedynym rycerzem, któremu nie dano szansy ponownego złożenia przysięgi lennej, był Gilbert de Plessis. Książę dowiedział się, że to on uknuł zamach w Valognes i namówił hrabiego Guya do jego wykonania - co stało się hasłem do rewolty.

- Chociaż zdołałem ująć z życiem, dzięki szczęściu i dzięki wierności błazna, nie zwalnia to ciebie od winy - powiedział książę. - Resztę życia spędzisz w lochach Rouen, skuty łańcuchami, aż ci ciało zgnije, a kości zmurszeją!

W więzieniu, widując jedynie strażników i księdza, de Plessis gorzko żałował swojej zdrady. Umarł w rok później, wyraziwszy życzenie, aby go pochowano po śmierci w łańcuchach, „gdyż zdradziłem mego pana i księcia”.

Sława Wilhelma rozchodziła się coraz szerzej. Francuzi przyznawali, że jego wojska stanowiły sprawną i skuteczną siłę zbrojną. Król Henryk zasięgał u niego rady we wszystkich kwestiach militarnych. Książęta Owernii w środkowej Francji i Gaskonii na południu, jak również władcy hiszpańskich prowincji ślali mu kosztowne dary, by sobie zaskarbić jego fawory. Nawet Geoffrey Martel - chociaż jego pochwały mogły nie być bezinteresowne, ponieważ chciał się zapewne zrehabilitować w oczach człowieka, przed którym haniebnie uciekł - twierdził, że nigdzie nie znalazłbyś rycerza i wodza równie zdolnego jak książę Normandii. Wśród wasali króla francuskiego od jakiegoś już czasu nie było wybitniejszego dowódcy. Teraz Wilhelm wypełnił lukę. A król Henryk obserwował ten fenomen z mieszanymi uczuciami.

Wilhelm tymczasem udowadniał, że jest mistrzem w niejednej sztuce, nie tylko w sztuce wojowania. Wzmocnił w całym księstwie administrację, która, chociaż utrzymywała Normandię jako jednolitą całość, jednakże rozprzegła się do pewnego stopnia wobec braku silnej, kierującej ręki. Wznosił nowe zamki, niepodobne do dawnych, prymitywnych budowli z drewnianych pali i ziemnych nasypów, lecz otoczone kamiennymi murami i głębokimi fosami - regularnie oczyszczanymi i pogłębianymi - oraz zwodzonymi mostami. W tych twierdzach osadzał najwierniejszych, wypróbowanych stronników, zapewniając sobie militarną kontrolę nad ziemiami księstwa. Dalej Wilhelm zarządził, aby intraty z jego osobistych posiadłości, wraz z opłatami z ziem feudalnych wasali - główne dochody jego skarbu - były właściwie i oszczędnie użytkowane. I dopilnowywał tego! Każdego podległego mu

zarządcę, który okazał się nieudolny, leniwy lub nieuczciwy, bez zwłoki zastępowano innym, a jego samego, o ile nie był za stary, wcielano do normandzkiego wojska.

Wasalom przypomniano o obowiązkach doglądania interesów ich lennego pana na podległych im ziemiach. Wilhelm zaprojektował zakładanie takich instytucji centralnych, jak kancelaria, urząd skarbu, główne sądy i nakazawszy wybudowanie odpowiednich gmachów, organizował urzędy. Celowo popierał rozwój Caen, aż miasto to przerosło Falaise i zajęło drugie miejsce w księstwie, stając się wraz z bardzo silną kamienną fortecą strategicznym ośrodkiem władzy książęcej w zachodniej Normandii, w tych okolicach, gdzie poprzednio hrabia Guy szerzył truciznę buntowniczego spisku.

Jednocześnie książę silną ręką objął władzę nad Kościołem. On sam mianował duchowieństwo: niebawem jego przyrodni brat Odo w wieku zaledwie dwudziestu lat został biskupem Bayeux. Wilhelm szczególnie dbał o to, by w każdym ośrodku, w każdej klasie społecznej i w każdym zawodzie mieć ludzi, na których lojalności mógł polegać. Ci, których mianował na wysokie kościelne dostojeństwa - biskupstwa i opactwa - musieli przestrzegać zwykłych feudalnych powinności, obowiązujących wasali, to znaczy dostarczać na książęce wezwanie, w ilościach proporcjonalnych do ziem lennych, wojowników różnej rangi. Takiej samej powinności wymagano od klasztorów i religijnych instytucji, wyposażonych w specjalne funkcje. W Normandii ustrój feudalny miał charakter przede wszystkim militarny.

Wybrawszy bardzo starannie odpowiednich ludzi na stanowiska wicehrabiów, zarządców i wyższych duchownych, Wilhelm trzymał ich w ryzach. On sam podejmował, a przynajmniej zatwierdzał, wszelkie decyzje, o ile nie dotyczyły wyłącznie spraw lokalnych. Nieustannie objeżdżał ziemie księstwa, doglądając osobiście wykonywania swych planów i rozkazów. Za czasów Wielkiego Rollona poseł francuski zapytał pewnego razu jednego z jego nordyckich rodaków, jak ma tytułować jego pana, na co otrzymał dumną odpowiedź: „On nie ma tytułu, bośmy wszyscy równi władzą”. Te czasy minęły.

- Gdy władza każdego z baronów niedaleko sięgała - zauważył kiedyś Wilhelm - wszyscy mogli być równi, żyć na jednakowej stopie; ale władza niektórych, z powodu nierozważnych darów a także z powodu przywłaszczania ziem i zamków, rozrosła się niepomiarowo. To się nie może powtórzyć. Żaden z baronów nie może czuć się tak potężnym, by mógł zagrozić księciu.

Jednakże byli jeszcze tacy w Normandii, chociaż na razie siedzieli cicho. Parę lat wewnętrznego pokoju pozwoliło Wilhelmowi uczynić Normandię najlepiej zarządzanym państwem feudalnym w Europie. Ale krewniacy Ryszarda Śmiałego, pozamykani w warownych zamkach w odległych zakątkach księstwa, nie porzucili nadziei zdetronizowania swego władcy. Z pierwszym z nich, który ujawnił aspiracje podobne jak Guy de Brionne, Wilhelm rozprawił się szybko i radykalnie. Hrabia de

Mortain był wnukiem Ryszarda, prawego urodzenia. Jakoś pod koniec roku 1051 Wilhelm dowiedział się, że hrabia chępliwie zapewnia swoich przyjaciół, że niebawem za jego sprawą będą oni mogli zagarnąć wszelkie ziemie, na jakie tylko będą mieli chętkę.

Wilhelm nabrał już doświadczenia i wiedział, że każdą rewoltę trzeba zdławić w zarodku i wyciąć aż do korzeni. Wezwał hrabiego de Mortain, który przyznał się do chępliwych słów, ale nie chciał wyjaśnić ich znaczenia, chociaż właściwie wyjaśnienia były tu zbędne. Książę skazał go na banicję stwierdzając:

- Spiskowałeś, by wzniecić w Normandii buntowniczą wojnę, knułeś podstępne plany, chciałeś wydziedziczyć mnie, mianowanego przez mego ojca prawowitym następcą. Dlatego obiecywałeś łupy swoim druhom. Ale, z łaską Boga, nieprzerwany pokój, którego pragniemy, nie zostanie zerwany. Dla ciebie księstwo to tylko sposobność wzbogacenia siebie i swoich stronników. Ale ja, w którego żyłach płynie krew prostych ludzi, wiem, że kto jest księciem, musi dbać o każdego człowieka w Normandii i raczej samemu zubożeć, niż wzbogacać się ich kosztem. I w tym sposobie władam. A ty, ze swoimi samolubnymi zamiarami opuścisz ziemie Normandii i nie wrócisz tu nigdy, dopóki żyć będę.

Wnukowi Ryszarda Śmiałego pozwolono zabrać ze sobą na wygnanie tylko jednego giermka. Wilhelm mianował swego drugiego przyrodniego brata, Roberta, hrabią de Mortain, co równało się przejściu hrabstwa w książęce ręce. O tych wydarzeniach pisze Wilhelm de Jumičges:

„Tak tedy surowo rozprawił się książę z uniesionymi pychą krewniakami swego ojca, a wysoko wyniósł skromnych krewniaków swojej matki, córki garbarza”.

Dwie następne próby zamachów, przeprowadzonych przez potomków dynastii Rollona miały dla Wilhelma szczególne znaczenie, gdyż wskazywały niedwuznacznie, że król Francji zaczyna się niepokoić wzrostem potęgi i sławy swego niedawnego pupila. William Busac był trzecim synem przyrodniego (z nieślubnego łoża) brata Ryszarda Śmiałego i trzymał w lennie zamek Eu z przyległymi posiadłościami, w północno-wschodnim zakątku Normandii. Gdy i on nagle osnzymał o swoich pretensjach do książęcego tronu, Wilhelm natychmiast zdobył jego zamek, a jego samego skazał na wygnanie. Busac wyjechał do Francji, gdzie król Henryk przyjął go z sympatią i ożenił z dziedziczką posiadłości w Soissons w hrabstwie Aisne.

Trzecią i ostatnią rewoltę, uknutą przez potomków tej drugiej linii książęcej dynastii, wzniecił drugi hrabia d'Arqués. Ta przyczyniła najwięcej kłopotów. Hrabia był nieślubnym synem Ryszarda Śmiałego, a więc stryjem Wilhelma. Wkrótce po nieudanym buncie Busaca, hrabia d'Arques, bez porozumienia się ze swym zwierzchnikiem feudalnym, ufortyfikował stolicę hrabstwa - na północ od Rouen - i

wzniósł zamek. Książę Wilhelm nie zgadzał się na budowanie zamków bez swego zezwolenia - i bez pewności, że załoga będzie mu wierna.

Wiadomość o prowadzonej przez stryja budowie zastała księcia na łowach w lasach Valognes. Natychmiast ruszył z nieliczną eskortą towarzyszy do Rouen, jadąc bardzo spieszenie, przez Bayeux i Caen. Zostawiał po drodze każdego z towarzyszy, który nie nadążał w tym szaleńczym galopie i do Rouen przybył z sześciu zaledwie jeźdźcami. Tu zatrzymał się tylko na krótki posiłek, zmianę wierzchowców i zabranie trzystu konnych wojowników, którzy zawsze stali w gotowości. Wydawszy rozkazy, aby znaczne siły z łucznikami i machinami oblężniczymi bez zwłoki wyruszyły w ślad za nimi, pogalopował dalej na północ, do Arques.

Mniej przezorny niż zazwyczaj, książę nie czekał przybycia posiłków. Porywczo, wbrew ostrzeżeniom towarzyszy, przypuścił natychmiastowy szturm na Arques. Miasto zdobyto, ale zamek się oparł. Zwycięski impet księcia zahamowano.

Wówczas król francuski odkrył karty. Ruszył z silnym wojskiem na odsiecz oblężonemu w zamku hrabiemu. Wilhelm otrzeźwiał: jednak przezorność wzięła górę.

- Przeciw feudalnemu panu, nawet na ziemiach mego księstwa broni podnosić nie będę - oznajmił. - Jakież przykład dałbym moim własnym wasalom?

Polecił rozgłosić, że wezwały go „naglące sprawy” i zostawił dowództwo w rękach Ryszarda de Hugleville, jednego z kilku baronów w hrabstwie Arques, którzy nie przyłączyli się do buntu hrabiego. A zanim odjechał, ułożył szczegółowy plan kampanii, który miał w zmodyfikowanej formie powtórzyć w piętnaście lat później, w najsławniejszym zwycięstwie, jakie odniósł.

Hugleville wykonał plan umiejętnie i dokładnie. Król Henryk ciągnąc z wojskami i taborami na pomoc oblężonemu, zatrzymał się na postój w St. Aubin. Wówczas część wojsk Hugleville'a zaatakowała Francuzów, po krótkim starciu rzucając się do pośpiesznej ucieczki. Zgodnie z przewidywaniami, Francuzi puścili się w pogoń. Drugi, silniejszy oddział Normanów czekał w zasadzce, i gdy wojska królewskie minęły określone miejsce, z ukrycia wybiegli normandzcy wojownicy i zaatakowali Francuzów od tyłu, a ci, którzy pozorowali ucieczkę, w tej samej chwili zawrócili i przypuścili atak od frontu. Schwytni z dwóch stron, Francuzi ponieśli druzgocącą klęskę, a wielu sławnych rycerzy poległo w walce.

Król Henryk spieszenie wycofał się do Francji, zostawiając zamek, pomimo rozpaczliwych wezwań hrabiego d'Arqués, jego własnemu losowi. Książę od razu pojawił się ponownie na horyzoncie i załoga skapitulowała. Hrabiemu Wilhelm okazał większą łaskawość niż poprzednim buntownikom.

- Chociaż lata mądrości ani dobrej woli ci nie przysporzyły - powiedział - wszelako jesteś moim stryjem, a siwizna już ci skronie przyprószyła. Nie rozprawię się więc surowo z tobą. Twoje hrabstwo i nieprawnie ufortyfikowany zamek muszę ci zabrać,

ale, jeżeli złożysz mi przysięgę wierności na przyszłość, gdzie, indziej w moim księstwie przydzielę ci włości.

- Mój książę i panie - odrzekł hrabia. - Uznaję twoją wielkoduszność, ale proszę, abyś mi zezwolił z niej nie skorzystać i opuścić księstwo, którego pokój naruszyłem i gdzie już by mnie więcej zaufaniem nie darzono.

Hrabia d'Argués, człowiek w podeszłych latach, udał się na wygnanie do Boulogne na dwór księcia Eustachego.

Pokój zapanował znów na ziemiach księstwa. Ale Wilhelm wiedział już, że król Henryk obawia się rosnącej potęgi swego wasala, a to mogło go skłonić do zadania ciosu, uprzedzającego ewentualny najazd na, ziemie francuskie. Jeśliby wszyscy, a choćby tylko większość francuskiej szlachty dopełniła feudalnego obowiązku, Henryk mógł wystawić znacznie silniejszą armię niż Normanowie. Toteż Wilhelm postanowił szukać potężnych sprzymierzeńców. Jego wybór padł na hrabiego Flandrii Baldwina, władającego bogatymi ziemiami pogranicza, między królestwem francuskim a cesarstwem niemieckim, a z dawna odnoszącego się przychylnie do księcia. Co więcej, Baldwin miał córkę w latach odpowiednich do małżeństwa, córkę słynną z piękności, godną pożądania - Matyldę.

## Rozdział 6

### KLĄTWA I POTĘPIENIE

Gdy panna młoda z rodzicami i rycerstwem z całej Normandii i Flandrii przejeżdżała wąskimi uliczkami Eu do katedry, ludność wiwatowała, podziwiając urodę dziewczyny, która miała zostać ich księżną. Długie włosy, jasne jak len, splecione w warkocze pod koro-netą, lśniącą od drogich kamieni; twarz okrągła, cera mleczno-różana, oczy błękitne, brwi ciemniejsze od włosów; usta szerokie wargi pełne, kształtne, czerwone; zarys podbródka zdradzający silną wolę, może nawet upór. Matylda dosiadła bogato przyozdobionego wierzchowca z dumą potomka królewskiej krwi: krwi Karola Wielkiego i królów anglosaskich, płynącej w żyłach jej ojca, hrabiego Baldwina i krwi dynastii francuskiej, z której wywodziła się jej matka, Adelajda.

Naręczona oczarowała wszystkich, a pan młody budził okrzyki zachwytu. Mieszkańcy Eu widywali już poprzednio księcia, znali jego wysoką, barczystą postać, twarz o stanowczym wyrazie, bystrym spojrzeniu, potężnej szczęce okrytej bujną, kasztanową brodą. Dzisiaj wydał im się jeszcze wspanialszy niż dawniej, w płaszczu ze złotogłowiu na tunice połyskującej od klejnotów. W jego żyłach nie płynęła krew tak błękitna, jak w żyłach jego naręczonej, ale on szczylił się swoim pochodzeniem, dumny z domieszki krwi prostego ludu, nad którym panował. Jego matka, Lady Herleva, jeszcze urodziwa i dostojna, w bogatych szatach, jechała tuż przy nim, a on chwilami kładł na jej ramieniu swoją rękę w haftowanej rękawiczce.

Lady Herleva już od dłuższego czasu nalegała na syna, by zawarł związek małżeński. Stan kawalerski nie jest odpowiedni dla księcia. Normandia potrzebowała dziedzica i następcy tronu. Prócz tego Arletta, chociaż sama teraz pełniła ze spokojnym zadowoleniem rolę żony Hrabiego Herlwina - wiedziała dobrze, że dla młodych najgłębsze szczęście zawiera się w odwzajemnionej, namiętnej miłości.

A Matylda i Wilhelm nie byli sztywną parą, udającą się do Kościoła po to, by zawrzeć nieromantyczny, oficjalny mariaż tylko ze względów racji stanu. Prawda, ich małżeństwo miało podkład polityczny: Normandia potrzebowała silnego sprzymierzeńca. Ale tych dwoje, po ostrych sprzeczkach w pierwszej chwili, zakochało się w sobie nawzajem. Teraz jechali na czele kawalkady ze wzrokiem utkwionym przed siebie, wypatrując z utęsknieniem tej niedalekiej już chwili, gdy ukoją pożądanie we wzajemnych objęciach.

Na niczym obliczu, ani młodej pary, ani ich rodziców, skądinąd wiernych wyznawców Kościoła, nie znać było żadnej troski. A przecież zawarcie tego małżeństwa i jego skonsumowanie groziły klątwą papieską.

Od pierwszej chwili, gdy posłowie Wilhelma przybyli na dwór Baldwina z prośbą o rękę jego córki, stary hrabia powitał propozycję mariażu przychylnie. Normandia i jej książę mogli być użytecznymi sprzymierzeńcami w epoce, gdy granice państw Europy o tyle tylko były bezpieczne, o ile dość silne wojsko stało na ich straży. Ale Matylida nie należała do dziewcząt, które można użyć jako narzędzie pla'now politycznych i wydać za mąż za człowieka, którego nigdy nie widziała, a który pochodzeniem jej nie dorównywał. Dumna i samowolna, przypominała pod tym względem matkę pretendenta do swojej ręki. W obecności wysłanych przez Wilhelma posłów, dumnie wyprostowana - a była wysoka jak na kobietę - zapytała ojca pogardliwie:

- Czy ty sądzisz, mój ojciec i panie, że ja, księżniczka Flandrii, krwi królewskiej, poślubię bastarda, którego matka była zwykłą nałożnicą? Raczej wstąpię do klasztoru!

Zgroza na twarzach rodziców. Gniew na twarzach posłów. Hrabia, człowiek łagodny i dobrotliwy, zaczął:

- Ależ, moja córko...

Tylko drzwi trzasnęły za odchodzącą Matylidą.

Jąkając się, hrabia sumitował się wobec posłów, którzy odpowiedzieli sztywnymi ukłonami, hamując gniew. A hrabina Adelajda pośpieszyła za córką.

- Twoja duma zgubi nas wszystkich! Czy nie rozumiesz, że twoje słowa, nie do wybaczenia w przytomności posłów obcego dworu, mogą się skończyć wojną?

- Więc mamy się bać tego normandzkiego bastarda? Przecież on nie szuka związku ze mną, ale z ojcem, by własną słabość podeprzeć! Niech się ośmieli wypowiedzieć wojnę! Ja zrobię to, co mieszczanie z Alen-çon: wywieszę świeże skóry i będę wołała: „Skóry do garbowania! Skóry!”

- Ciszej! Twój ojciec ma bardzo wysokie mniemanie o księciu.

- Szanuję mego ojca. Wiesz o tym, mamó. Ale nie podzielałam jego „wysokiego mniemania” o tym tak zwanym księciu. Moją decyzję wyraziłam chyba dość jasno.

- Uczono ciebie, że osoby naszej godności niekoniecznie powinny zawsze wyrażać się tak jasno. Ze względów politycznych...

- Nie chcę męża ze względów politycznych.

- Książę Wilhelm jest ponoć głęboko religijny...

- Nie chcę też świętego. Chcę dzielnego męża, śmiałego kochanka, którego bym mogła szanować tak, by mi mógł rozkazywać. Bastard, wnuk nikczemnego rzemieślnika... nigdy!

Hrabina nalegała na męża, by ukarał Matylidę, ale hrabia nadto kochał swoją piękną, a samowolną córkę, by jej sprawiać ból.

Trudno się dziwić, że Wilhelma rozgniewała relacja jego posłów. Opowiadając o tym matce, złagodził ostrzejsze wyrażenia, wiernie mu powtórzone. Arletta dobrze знаła swoją płęć - i wiedziała, jak skłonić syna do działania.

- Czy ustąpisz przed dumą młodej dziewczyny, choćby była i księżniczką? A ta właśnie jest pewno warta ciebie. Wierz mi, taka ostra odpowiedź na pierwszą propozycję świadczy, że będzie wspaniałą żoną dla tego, który ją zdoła poskromić. A wzgardzi takim, który złęknie się stawić jej czoła.

Po jednej bezsennej nocy Wilhelm uznał słuszność słów matki. Do tej pory znał, oprócz Arletty, tylko wdzięczące się damy dworów we Francji i Normandii, schlebiające i zalotne. Nie podobały mu się. „Ta będzie warta ciebie!” powtórzył i nim nadszedł świt, ułożył śmiały plan działania. Przebrany w proste suknie, bez żadnych insygniów swego dostojęstwa, udał się z paru przyjaciółmi na dwór flandryjski w Lille. Wjechał do miasta w niedzielę, w porze, gdy w katedrze odprawiano sumę. Wśliznął się między tłum wiernych tuż przed Podniesieniem, a wyszedłszy przed błogosławieństwem, zajął strategiczną pozycję na stopniach u wejścia.

Wkrótce, z kilkoma towarzyszącymi jej damami ukazała się młoda kobieta dumnej i wyniosłej postawy. Poznał ją łatwo po płowych warkoczach pod welonem, przymocowanym złotą przepaską. Jedno spojrzenie na nią sprawiło, że serce zabiło mu przyspieszonym tętnem, przypomniały mu się znowu słowa Arletty: „Ta będzie warta ciebie!” I dodał w duchu: „Tę mógłbym pokochać”.

Matylda ujrzała dorodnego młodzieńca, o pięknych rysach twarzy, szlachetnej postawie, stojącego w wyzywającej pozie z ręką wspartą na biodrze. Jego wzrok śmiały, uważny i zimny wydawał się przeczyć jego skromnej odzieży. Nie skłonił się jej jak inni, lecz nadal przyglądał się bez uśmiechu, jakby jej nie znał i nie chciał poznać.

- Kto to taki? - spytała księżniczka cichym głosem jedną z dam, i pomyślała: „Prawdziwy mężczyzna. Gdyby był odpowiedniego rodzaju, choć jego strój zdaje się temu przeczyć, takiego mogłabym...”

- Nigdy go nie widziałam, księżniczko. Chyba przejazdem przez miasto. Dowiem się później.

Matylda szła, świadoma wewnętrznego niepokoju, z trudem opanowując pokusę obejrzenia się za siebie.

Księżę zobaczył wszystko, co chciał. Gdyby nie dorównywała urodą opowieściom, jakie mu powtarzano, albo gdyby nie dorównała wyobrażeniu, jakie o niej powziął pod wpływem słów swojej matki, z miejsca odjechałby z powrotem do Normandii. Ale ona nie tylko dorównywała - jeszcze przewyższała pięknnością wszystko, co słyszał i co sobie wyobrażał. Wilhelm dosiadł wierzchowca i przybył na zamek jeszcze przed księżniczką. Hrabia i hrabina, choć zdumieni, przywitali go bardzo serdecznie. Ten nagły przyjazd mógł oznaczać tylko jedno: że Wilhelm nie przyjął odmownej odpowiedzi Matyldy, że chciał spróbować jeszcze raz. Hrabia był rad. Potrzebował przymierza z Normandią w równej mierze, co i Normandia z nim.



Gdy Matylda wróciła z kościoła, hrabia posłał po nią, by jej przedstawić nowo przybyłego gościa. Zaskoczona, w pierwszej chwili posłała obcemu sprzed katedry zdumione spojrzenie. Wilhelm skłonił się z dala, formalnie i chłodno, po czym odwrócił się, by rozmawiać z hrabiną. Matylda przygryzła wargi. Wróciwszy do siebie, złościła się i zdumiewała, chodząc prędko tam i z powrotem po komnacie.

- Wspaniała postać... co za dostojeństwo... i jaki męski... jaka surowość w tym spojrzeniu... gdyby złagodniał patrząc na mnie... och, głupia jestem... to bastard... z urodzenia nie godzien, by być ojcem moich dzieci... wnuk garbarza... taka krew miałaby się mieszać z moją? A jednak, drugiego takiego nie widziałam... ciekawam, czy ci posłowie powtórzyli mu dokładnie moje słowa?

Matylda przystanęła, tupnęła nogą.

Nie spotkała się z nim aż do wieczora, gdy hrabia wydawał ucztę, pośpiesznie zorganizowaną na cześć gościa. Wilhelm, teraz wspaniale przystrojony, siedział po lewej ręce hrabiego. Hrabina Adelajda, która dostrzegła, jak jej córka przygryzła wargę, gdy Wilhelm wzgardliwie się od niej odwrócił, posadziła ją z drugiej strony gościa. Ciekawość Matyldy co do tego, jak się przedstawiała relacja posłów znalazła odpowiedź w jego zachowaniu. Wilhelm odwrócił się do niej nieomal tyłem i poświęcił się wyłącznie rozmowie z hrabią.

...Gbur... czego innego można się spodziewać po normandzkim barbarzyńcy, jedną nogą jeszcze tkwiącym na pokładzie statku Wikingów?

...Czy księżniczka francuskiej krwi królewskiej musi przyjmować takie traktowanie? Mama powiada, że mówić jasno, to nie zawsze najlepsza polityka... W moich własnych sprawach nie dbam o politykę... będę mówiła bez ogródek...

Więc oznajmiła głośno, aby wszyscy mogli usłyszeć:

- Książę obok mnie zapomniał o swych manierach, jeśli w ogóle takowe posiadał. Proszę mi wybaczyć, że nie zechcę już dłużej patrzeć na jego lewą łopatkę...

Hrabia Baldwin zaczerwienił się gwałtownie. Oczy hrabiny błysnęły gniewnie, zanim spuściła je na własny talerz w pomieszczeniu. Wilhelm tylko na w pół obrócił głowę i rzekł mimochodem:

- Jestem zajęty rozmową z hrabią.

Bojąc się nieposkromionego języka swojej córki, bojąc się po prostu wybuchu kłótni między dwojgiem młodych, hrabia oznajmił spokojnym, cichym głosem:

- Córko, pozwalam ci oddalić się.

Gdy Matylda, pogardliwie wykrzywając piękne wargi, wyszła z sali, hrabina przechyliła się poprzez męża, by powiedzieć:

- Prosimy wybaczyć, mości książę.

Gość uśmiechnął się i powiedział, tym razem z dworną układnością, jakiej nabył na francuskim dworze, a którą jeszcze podkreślał jego osobisty urok:

- Piękność waszej córki wszystko ekskuzuje. Obym to ja mógł być tym szczęśliwcem, którego kochanie złagodziłoby jej dziewczęcą przekorę, nie pozbawioną własnego wdzięku.

Nieco później, w chwili krótkiej przerwy w ucztowaniu, ksiązę wyszedł się przejść po zamkowych ogrodach. Noc była ciepła, rozgwieżdżona i księżycowa, wydawało się prawdopodobne, że... A jeśli nie teraz, z pewnością później albo nazajutrz wieczorem. Jego nadzieje szybko się spełniły. W towarzystwie dwóch dam Matylda również przechadzała się po ogrodach, wciąż w pasji, mruczając do siebie: „Barbarzyński bastard!” i przystając chwilami, by ze złością tupnąć nogą. Ani dbała o damy, które usiłowały ją ułagodzić. Wilhelm podszedł śmiało.

- Proszę nas zostawić - rzekł rozkazującym tonem do dworek.

Obie spojrzały na jego surową twarz - i usłuchały.

- Wracajcie! - krzyknęła Matylda, próbując naśladować jego kategoryczny rozkaz.

Odwróciły się, zawahały, ale Wilhelm rzekł ostro:

- Proszę robić, co każę! - Więc pobiegły spiesznie, znikając za zakrętem alejki.

- Masz czelność rozkazywać moim... - zaczęła Matylda, wściekając się w bezsilnej złości.

- Mój rozkaz przeciw twojemu... A widziałaś, kogo twoje towarzyszki wołały usłuchać!

Ona w gniewie, on gniew udając, oboje pominęli wszelkie tytuły. Wilhelm chwycił ją za ramię. Próbowała się wyrwać, ale na próżno.

- Jak śmiesz?

- Ośmielę się na więcej, kiedy mam przed sobą taką złošnicę. Otrzymałem od moich posłów twoją odpowiedź, słowo po słowie... a oto moja odpowiedź...

Zanim zdołała się obronić, Wilhelm przełożył sobie przez kolano księżniczkę francuskiej krwi królewskiej i zdrowo ją zbił. A postawiwszy z powrotem na nogi, rzekł:

- Masz do czynienia z mężczyzną! Bastârdem, zaiste, ale nie dworskim fircykiem!

Matylda dławiała się łzami wściekłości i upokorzenia. Ksiązę odszedł. Dwie damy dworu czekały przy drzwiach zamkowych, poszeptując trwoźnie a ciekawie:

- Co to może znaczyć?...

- Nie powinnyśmy jej były zostawić...

- Tak samo jego posłuchałaś, jak i ja...

Mijając je, Wilhelm powiedział:

- Możecie teraz iść do księżniczki.

W kilka minut później na salę, gdzie ucztowano, przyniesiono księciu list. Udał, że go odczytuje - w rzeczywistości sam go napisał i zarządził, by mu przyniesiono - i natychmiast zaczął się bardzo dwornie usprawiedliwiać przed hrabią i hrabiną: będzie

musiał bez zwłoki powracać do Normandii. Pilne, zaiste naglące sprawy księstwa wymagają jego natychmiastowej obecności.

Matylda do późna w nocy leżała bezsennie, najpierw trawiona gniewem, później...

- ... ale co za odwaga! Wybić córkę hrabiego Flandrii... - Kobiety podówczas jeszcze nie wypychały się różnymi spódniczkami i krynolinami, więc pośladki piekły ją nie na żarty. A jednak dotknęła ich jakby z satysfakcją: - Byłam jak trzcina w jego rękach... Musiała to być prawda, co mi mówiono, że nikt inny nie naciągnie jego łuku, a on to potrafi na koniu w pełnym galopie... w nim jakby się ogień palił... jakaś potęga, nie tylko z racji jego stanowiska, ale w nim samym... Mężczyzna. Prawdziwy mężczyzna... Czy można mu się oprzeć? Czy trzeba? Czy nie żałowałabym przez całe życie, gdybym się oparła?...

Arletta z rozbawieniem wysłuchiwała opowiadania syna. Rzeczywiście, takim sposobem można przywieść do opamiętania dumną złošnicę. A jednak była prawie w takiej samej trwodze, jak hrabina Adelajda, gdy Matylda znieważyła posłów.

- To duże ryzyko. Jeśli ona o tym powie ojcu, może wybuchnąć skandal a nawet wojna...

- Nie powie. Nie przyzna się, że ją zbił... - z szacunku dla matki przełknął ostatni wyraz. - Zresztą, po to przecież posłałaś mnie do Lille?

- Nie mogłam sobie wyobrazić, że ją poddasz takiemu upokorzeniu - zaprotestowała Arletta, ale nie mogła pohamować uśmiechu, wyobrażając sobie tę scenę.

- Jest samowolna - rzekł Wilhelm. - Kobiety samowolne, jeśli je Bóg obdarzył inteligencją, a ona nie jest wcale głupia, łączą się z silniejszymi od siebie, takimi jak ja. Zobacysz.

Miał słuszność.

W dwadzieścia cztery godziny po powrocie do Rouen, Wilhelm otrzymał przez specjalnego gońca list z Flandrii.

„Moja córka, księżniczka Matylda - pisał hrabia Baldwin - jeszcze raz rozważyła swoją wcześniejszą decyzję. Poślubi ciebie, mój księżę, jeśli taka jest nadal twoja wola. Zaprasza, byś ją odwiedził jak najprędzej. Co do mnie, jestem ogromnie rad, jak sam wiesz, mój mości księżę, iż mariaż ten połączy przymierzem panujące domy Flandrii i Normandii”.

Baldwin ze zdumieniem przyjął „volte face” swej córki. Nie znał szczegółów spotkania w zamkowych ogrodach. Powiedział:

- Ale na uczcie osądziłaś, że cię znieważył.

- Nie więcej niż ja jego. Pozwól mi na nieco kobiecej zmiennej płochości, ojczec. Zdecydowałam, że to mężczyzna odpowiedni do moich kaprysów. Będziemy siebie nawzajem poskramiać... zobaczymy, komu się to lepiej uda!

Hrabia pocałował ją w czoło.

- Dobrze zdecydowałaś - powiedział i dodał z uśmiechem: - Wiesz, do tej pory sądziłem, że ciebie nikt nie poskromi.

- Do tej pory, mój ojciec, nie spotkałam człowieka, którego rozkazu bym usłuchała. A powiadają, że nie ma miłości tak silnej jak ta, którą zrodziła nienawiść. Książę jest bastardenem, ale ja chcę jego i nikogo innego.

- A jego matka córka garbarza?

- Byle kochał. Nie, a ja jego, to i ją też pokocham. Przyjmując jego pochodzenie, mogę przyjąć i rodziców.

- Dobrze mówisz, moje dziecko. Rozsądek i serce przez ciebie przemawia.

Wilhelm pośpieszył z powrotem do Lille. Kiedy Matylda znowu go teraz spotkała, kiedy jego ramiona objęły ją nie po to, by upokorzyć lecz z czułością, kiedy w dzień zaręczyn poczuła jego usta na swoich - jej miłość zapłonęła płomieniem, wybiegła na spotkanie jego uczuciu.

- Będę należeć do niego, a on do mnie, i to już prędko! - powiedziała sobie.

W głos mówiła niewiele oględniej:

-> Przysięgam ci wierność, Wilhelmie z Normandii. Będę ci miłującą żoną, lojalną księżną, Normanką, jakbym się z normandzkiej krwi urodziła. Z radością spłodzę ci synów, którzy przyniosą nam zaszczyt.

Uśmiechając się do niej, rozkoszując się nią, powiedział:

- Miłość prędko się w tobie rodzi...

- A w tobie? - odparowała..

- Ja jestem pod urokiem, jaki na mnie rzuciłaś.

- Czy miałeś inne?...

- Nie posiadałem żadnej kobiety.

- Ani ja nie znałam żadnego mężczyzny. I nie pozwalałam nikomu sobie rozkazywać, nawet memu ojcu. A twoją wolę będę wypełniać.

- To będzie nasza wspólna wola - odrzekł i biorąc ją znowu w ramiona dodał: - Nie ma w całym moim księstwie, w całej Flandrii, w całej Europie człowieka równie szczęśliwego jak ja dzisiaj!

A jednak wątpliwe, czy naprawdę wiedział, jaki skarb zdobył swymi bezceremonialnymi sposobami.

W ciągu całego ich małżeńskiego pożycia Matylda wypełniała swoje powinności z głębokim uczuciem, umiejętnie i - prócz jednego razu - lojalnie. Wkrótce się przekonał, że wyjeżdżając na krótszy czy dłuższy czas, mógł z zupełnym spokojem pozostawiać księstwo i jego sprawy w rękach żony.

Wśród panujących dynastii ta para należy do wyjątków, ponieważ - oboje zdrowi, silni i o normalnych skłonnościach - żadne z nich nie będzie dzielić łoża z kim innym.

Gdy pewnego razu gościnnie gospodarz, u którego przebywał z wizytą, zaofiarował mu towarzyszkę na noc, Wilhelm odparł:

- Wasza uczynna gościnność posuwa się bardzo daleko. Jednak przyjęcie jej byłoby nie tylko grzechem, ale i niewdzięcznością wobec mojej żony, która jest tak ochoczą towarzyszką łoża, jakiej tylko mógłbym sobie życzyć. Byłoby to też niepięknie wobec tej młodej niewiasty, co swoje ciało gotowa mi ofiarować, gdyż robiłbym nieprzychylnie porównania i z samego wstydu mógłbym jej sprawić zawód.

Jednakże Wilhelmowi i Matyldzie łatwiej - przyszło się zakochać niż pobrać. Wróciwszy do Rouen, by poczynić przygotowania do zaślubin i do przyjęcia narzeczonej, księżę usłyszał niespodziewaną i bezceremonialnie wygłoszoną przez arcybiskupa Malgera wiadomość:

- To małżeństwo, mój panie i księżę, nie może zostać zawarte.

Wilhelm osłupiał.

- A cóż to za głupstwa? Matylda z Flandrii i ja jesteśmy sobie przyrzeczeni z błogosławieństwem hrabiego Baldwina!

- Papież nie zezwala na małżeństwo. Jesteście spokrewnieni.

- Na Boga, arcybiskupie, zmysły postradaliście!

Spokrewnieni! Daleki przodek Matyldy był Normanem. Ożenił się we Flandrii. Cóż to za pokrewieństwo?

- Papież się nie zgadza, mój księżę.

- Więc ja i on nie będziemy się zgadzali. Małżeństwo zostanie zawarte.

- Proszę zrozumieć, mości księżę, że narażasz się na papieską klątwę i twoja naręczona także!

- Jeśli ma do takiego głupstwa dojść, to niech będzie! Narazimy się oboje na klątwę i na potępienie także. Jestem człowiekiem religijnym i doprawdy przypisuję świętemu Piotrowi więcej rozsądku, niż ty i papież w tej chwili przejawiacie. Kościół być może zbudowano na opoce świętego Piotra, ale różnymi czasy budowniczo wie się mylili.

Gdy Wilhelm przywiózł tę wiadomość do Flandrii, hrabia Baldwin już o wszystkim wiedział. Najwyższa rada w Reims zabroniła mu wydać córkę za księcia Normandii.

- Zamierzam zignorować zakaz - oznajmił spokojnie hrabia. - Znam moją córkę. Co sobie zamyśliła, to zrobi i nie odwiedzie jej od tego ani papież, ani ja, Potrafi nas obu skreślić ze swoich kalkulacji.

Przyczyny, dla których kościół tak obcesowo potraktował tę sprawę, od dawna stanowiły temat dociekań kronikarzy, historyków i teologów. Powinowactwo, łączące księcia z Matyldą było zbyt odległe, by naprawdę mogło wchodzić w rachubę. Powody musiały być natury politycznej. Króla Henryka francuskiego łączyły podówczas bardzo ściśle stosunki z papieżem. Wolno przypuszczać, że obawiał się swego rosnącego w siły

wasala i nie chciał, by jeszcze umocnił się przymierzem z drugim silnym państwem - Flandrią. Prawdopodobnie on to nakłonił papieża do zakazania zawarcia małżeństwa.

Matylda buntowała się równie gorąco jak i Wilhelm.

- Bałam się, że może zmienisz swoją decyzję - powiedziała.

- A ty?

- Ja boję się tylko stracić ciebie.

- Więc jesteśmy jednej myśli! Objął ją, mówiąc:

- Wiem, że znalazłem najwspanialszą dziewczynę, Termin ślubu wyznaczono za dwa miesiące. Tymczasem Wilhelm otrzymał zaproszenie, by odwiedzić swego krewniaka, Edwarda, od kilku lat zasiadającego na tronie Anglii. W roku 1035, tym samym, w którym zmarł Robert Wspaniały, rozstał się również ze światem duński władca Anglii, król Kanut. W ciągu kilku następnych lat angielscy wielmoże kłócili się i wojowali, dążąc do ukoronowania różnych swoich protegowanych. Ale w roku 1042 hrabia Godwin ostatecznie opanował sytuację i sprowadził z Normandii Edwarda, który od dwudziestu lat pędził tam spokojny żywot, poświęcając się studiom i modlitwom w opactwie Jumičges. Nowy król przywiózł ze sobą i sprowadzał później - jako przeciwwagę wpływom Godwina - wielu normandzkich przyjaciół, którym powierzył wysokie stanowiska kościelne i państwowe. Wzmógł w ten sposób proces normanizacji anglosaskiej Anglii, proces, rozpoczęty małżeństwem króla Kanuta z Emmą, siostrą Ryszarda Śmiałego.

Wilhelmowi sprzyjały wiatry, jego dwie pierwsze przeprawy przez kanał La Manche odbyły się pomyślnie. Co więcej, dzięki Edwardowi odżyły w sercu księcia, wszczepione mu niegdyś przez ojca, ambicje owładnięcia Anglią. Edward oznajmił: „Chciałbym żebyś ty był następnym królem Anglii”.

- Czy wiesz o tym, że mogę zostać ekskomunikowany z chwilą zawarcia małżeństwa z Matyldą? - spytał Wilhelm.

- Słyszałem, słyszałem. Ale ojciec święty nie lubi żywić długo urazy do takich jak ty. Koło fortuny się obróci, wiatry europejskiej polityki inaczej powieją - i ta sprawa będzie załatwiona.

Ksiązę wiedział doskonale, że po bezpotomnej śmierci Edwarda wybuchnie walka o tron. Ale jeśliby Edward na łożu śmierci mianował następcą swego normandzkiego krewniaka, miałoby to poważne znaczenie, zwłaszcza w oczach władców europejskich, łącznie z papieżem.

Od tej pory przechwałka chłopca: - „Nim umrę, zawładnę Anglią” - przekształciła się w nieugiętą determinację potężnego księcia.

Najpierw hrabiemu Baldwinowi, potem innym przyjaciołom, stronnikom i potencjalnym sprzymierzeńcom Wilhelm opowiedział o woli Edwarda Wyznawcy. Matylda, otrzymawszy wraz z bogatymi podarunkami ślubnymi również obietnicę, że

pewnego dnia zostanie nie tylko księżną Normandii, ale również królową Anglii, była w pierwszej chwili zachwycona.

- Czy Edward długo pożyje?

- Jest stary, ma ponad pięćdziesiątkę.

Na owe czasy był to istotnie wiek podeszły, ale król Anglii miał żyć jeszcze trzynaście lat. Kanut panował lat dziewiętnaście, a umarł własną śmiercią w czterdziestym roku życia.

Po zastanowieniu w umyśle Matyldy zrodziły się różne wątpliwości:

- Czy Anglosasi nie są barbarzyńcami? Czy uznają jakiś ład? Czy można nimi rządzić?

- Zapewne szlachty nie cechuje fircykowata dworność niektórych Francuzów. Ale to samo można powiedzieć o wielu Normanach, jak sama się przekonasz. A wiem, że ich zaakceptujesz - dla mnie. Z drugiej strony metody rządzenia są w Anglii dobrze rozwinięte. Istnieją zdrowe ramy administracji, urzędnicy wykształceni i doświadczeni, skuteczny system ściągania podatków. Nie mówię, że nie będę potrzebował lojalnych Normanów i ufortyfikowanych zamków, zwłaszcza po to, by moją władzę narzucić. Ale ludność, chociaż mało zdyscyplinowana, samowolna, jest pracowita i zapobiegliwa.

- A klimat, krajobraz... czy nie są bardzo posępne?

- Deszcze częściej tam padają niż w Normandii, to pewne. Ale kraj ma wiele uroku: kraina pagórkowata, rzeki szerokie i kręte strumienie, gęste lasy, dobrze uprawiona rola. Sporo czasu spędziłem jeżdżąc tam konno, incognito. Gościńce, z których wiele budowali jeszcze Rzymianie, są dobre, i sporo jest zajazdów, gdzie podróżny może się pokrzepić i nocleg znajdzie nie najgorszy. Razem biorąc, kraj wielkich możliwości - w silnym ręku...

Matylda się uśmiechnęła.

- Widzę, że cię urzekła myśl o Anglii pod normandzkimi rządami. Jeśli tego dokonasz i jeśli ci to da zadowolenie, to i ja będę rada - nawet gdyby to był kraj jałowy i barbarzyński.

Ślub odbył się u wejścia do katedry w Eu - tak, by wszyscy mieszkańcy mogli się przyglądać. Po mszy, odprawionej wewnątrz kościoła, państwo młodzi wyszli uśmiechnięci, wpatrzeni w siebie, a powitały ich okrzyki tłumów, dla których wytoczono antałki z winem i pieczono mięso dzików na roznach.

Ceremonii zaślubin dokonał brat przyrodni Wilhelma, Odo, biskup Bayeux, wbrew arcybiskupowi Malgerowi, który nie tylko odmówił udzielenia sakramentu małżeństwa, ale gdy buntowniczą parę połączono związkiem małżeńskim, kazał odczytać we wszystkich kościołach Normandii zawiadomienie o ekskomunice, rzuconej na księcia i księżną.

- Niech sobie papież i arcybiskup robią co chcą! - wykrzyknął Wilhelm. - Ani dla nich, ani dla żadnego innego człowieka w chrześcijaństwie nie cofnąłbym tego, co już się stało. To najlepsza rzecz, jaką uczyniłem, a może jaką w ogóle w życiu uczynię!

Jak w późniejszych czasach Henryk Ósmy, tak i Wilhelm bez ceremonii pozbawił urzędów wszystkich kościelnych dostojników, którzy nie chcieli mu się podporządkować, co jeszcze bardziej zirytowało papieża. Klątwa, rzucona na całą Normandię - ale nie na Flandrię ani na hrabiego Baldwina - wywołała pewne niepokoje wśród wielmożów; Wilhelm jednakże trzymał teraz swoje księstwo w ryzach tak mocno, że nie obawiał się żadnej rewolty. Niektórzy biskupi i opaci podtrzymywali klątwę papieską, ale inni, wraz z przeważającą większością niższego kleru, nadal wykonywali swe duszpasterskie obowiązki. Dzięki temu ludność, mogąc jak dawniej słuchać mszy, spowiadać się, zawierać śluby, chrzcić dzieci i grzebać zmarłych, nie zwracała w ogóle uwagi na rozkazy papieża, który tak im się wydawał odległy jak cesarz chiński. Książę, ich książę, który bronił ich przed nadmiernym uciskiem wielmożów, zachęcał i wspierał w rolniczych i rzemieślniczych zajęciach, wziął sobie piękną dziewczynę za żonę. Więc niech go Bóg wspomaga - i da mu synów.

Wilhelm, w głębi duszy wierny syn Kościoła, życzył sobie prędkiego odwołania ekskomuniki. Wspomniawszy jednak na łagodzące, mądre słowa króla Edwarda angielskiego, postanowił uzbroić się w cierpliwość i czekać sposobności, która by mu pozwoliła naprawić zerwane stosunki.

Matylda, której namiętność w łóżu zdumiała i uszczęśliwiła jej młodego małżonka, w miesiąc po ślubie już spodziewała się dziecka. Urodziny zdrowego, dużego synka sprawiły im obojgu radość, a razem z nimi weseliła się ludność księstwa. Wilhelm wziął na ręce niemowlę, które miało być ochrzczone imieniem Roberta, uśmiechnął się czule do niego, pocałował w czoło, a potem podniósł wysoko w górę oznajmiając:

- Będziesz nie tylko księciem Normandii, ale i królem Anglii.

Inaczej miały się sprawy ułożyć, a ten syn stał się powodem jedynej poważniejszej kłótni, która rozdzieliła rodziców. Ale na razie wszystko było radością i weselem na zamku w Rouen i w całym księstwie.



## Rozdział 7

### WSZYSTKO GOTOWE. NA ANGLIĘ!

- Wiem, że daremnie ci przypominać, abyś się oszczędzał - mówiła Matylda. - Zawsze będziesz w gęstwinie bitwy. Tylko... tylko... wróć do mnie zdrów i cały!

Wilhelm roześmiał się i ucałował ją.

- Dawniej miałem tylko księstwo i moje ambitne plany, by chcieć żyć. I to było niemało. Teraz jeszcze ciebie mam, a to znacznie więcej. Jeśli Bóg i honor pozwolą, wrócę do ciebie zdrów i zwycięski.

Papież nalegał, aby król Henryk francuski przedsięwziął wyprawę przeciw swemu normandzkiemu wasalowi, który wyzywająco zlekceważył Watykan i radę w Reims, wywołał skandal, a co gorsza, mógł takim postępowaniem dać zgubny przykład innym książętom chrześcijańskim. Życzenia papieża najzupełniej się pokrywały z własnymi chęciami Henryka i nadały od dawna po cichu planowanej wyprawie na Normandię pozorów krucjaty. Protekcja papieskiego sztandaru ułatwiała wezwanie pod broń lenników z całej Francji. Odmowa uczestnictwa, co francuscy baronowie i rycerze dobrze rozumieli, mogłaby zostać poczytana za sprzyjanie księciu, który odrzucał wyroki Kościoła.

Były i inne przyczyny, nakazujące posłuch wezwaniu króla Henryka. Wyjątkowa potęga, wybudowana przez Wilhelma na fundamentach położonych przez jego poprzedników z dynastii Wielkiego Rollona, wzbudzała zawiść wśród ludzi, którym fortuna mniej sprzyjała. Geoffrey Martel i inni, upokorzeni przez Normanów, chętnie przyłączyli swe wojska do królewskich. Z Poitou i Owernii, z Akwitanii i Gaskonii, z Bretanii i Burgundii - której księciem był jeden z braci Henryka - nadciągały mniejsze i większe oddziały, tworząc w końcu jedną z najpotężniejszych armii, jakie Francja w owych czasach wystawiła.

Rzesłani zwiadowcy donieśli Wilhelmowi, że będzie musiał stawić czoła wojsku o wiele liczniejszemu od tego, jakie on sam mógł wyprowadzić w pole. To go nie zrażało. Wiedział, że jest lepszym wodzem od Henryka i chętnie witał sposobność wykazania swojej i swoich wojsk wyższości w szlachetnej sprawie - obrony księstwa. Podobnie zapatrywali się normandzcy baronowie i rycerze. Tłumnie przybywając do swego księcia dowiedli, że również i dla nich dobro ich księstwa było ważniejsze od bulli papieskiej, wydanej nie z religijnych, lecz politycznych przyczyn.

- My jesteśmy stroną pokrzywdzoną - mówił do nich Wilhelm. - Nie wypowiadamy wojny naszemu suwerenowi. Lecz jeśli on uderzy, odpowiemy ciosem na cios. Będziemy się bronić. Odeprzemy nieprzyjaciela od granic naszego kraju i damy mu nauczkę, by wiedział, z jakimi ludźmi ma do czynienia.

Wobec tego, że wojsk normandzkich było mniej, decyzja taka była słuszna również jako posunięcie taktyczne. Wilhelm zawsze się starał zmniejszać własne straty dzięki przeczynom kalkulacjom przed bitwą, niekoniecznie rozstrzygającą, a także dzięki umiejętnemu wykorzystywaniu elementu zaskoczenia.

Wojska francuskie były podzielone na dwie dywizje. Na czele pierwszej stał sam król, rozłożony obozem koło Mantes-sur-Seine. Drugą dowodził jeden z królewskich braci, Odo, który przekroczył granicę Normandii dalej na północy. Wilhelm z częścią swojej armii cofał się przed nim, wydawszy podkomendnym rozkazy, aby.

- ... żadnych wątpliwości nie pozostawić, że my tylko odpieramy najazd. Przed następującymi Francuzami zagarniać bydło i wszelką żywność. Palić, czego nie możecie zabrać.

Tymczasem król dotarł do hrabstwa Brionne bez poważniejszej walki, prócz drobnych utarczek z małymi patrolami. Był w świetnym nastroju, pogardliwie wyrażał się o przeciwniku, twierdził, że Normanowie nie zaryzykują swego życia w obronie księstwa. Powinien był lepiej znać swoich lenników. Niedługo mógł sobie na tę pogardę pozwalać.

Wilhelm wysłał zwiadowców do Mortemer:

- Dostarczyć mi, i to najspieszniej, wieści o rozłożeniu sił Odo.

Najważniejszą z dostarczonych informacji było to, że w Mortemer Francuzi, pijąc, hulając i zabawiając się z uprowadzonymi kobietami, lekceważyli warty nocne. Wilhelm natychmiast wydał rozkaz:

- Dziś jeszcze, pod osłoną nocy, otoczmy miasto. Wystawić strażę przy wszystkich wyjściach. Ułożyć stosy drewna pod bramami i podpalić. Wrzucać pochodnie przez mury na domy wewnątrz.

- Nasi rodacy w mieście ucierpią - ośmielił się zaprotestować jeden z normandzkich kapitanów.

- To mniejsze zło - odparł Wilhelm, bezwzględny w dążeniu do celu. - Tych mieszczan musimy poświęcić po to, by żołnierze nie tracili życia nadaremno i mogli cały nasz kraj obronić.

Francuzi obudzili się - w płomieniach. Paliły się dachy nad ich głowami. Konsternacja, panika, zamieszanie. Wyścig do dróg, prowadzących z miasta.

- Teraz na nich! Nikt nie ma prawa uciec!

Wbrew rozkazom Wilhelma i wysiłkom jego żołnierzy dużo nieprzyjaciół zdołało się wymknąć, bo Normanom przeszkadzali w walce mieszkańcy Mortemer, również uciekający przed pożarem. Ocalał też brat królewski książę Odo, który umknął jako jeden z pierwszych, zostawiając swoje wojsko na pastwę wroga.

Straty po stronie normandzkiej były małe, natomiast zginęło sporo mieszczan, a jeszcze więcej straciło dach nad głową. Większość Francuzów wycięto, tylko rycerzy w

bogatyh zbrojach brano do niewoli, by wziąć za nich okup. Był to powszechny podówczas obyczaj, pozwalający kapitanom odzyskać koszty wyekwipowania oddziałów, przyprawionych zgodnie z obowiązkiem lennym, a także, choć w mniejszym stopniu, wynagradzać podkomendnych. Skarbiec księcia również na tym korzystał, ponieważ według zwyczaju wódz naczelny miał prawo do części wszystkich wypłacanych okupów.

Wilhelm chodził tam i z powrotem przed namiotem, zacierając ręce z satysfakcją.

- Teraz weźmiemy francuskiego króla w obroty! Humor mu na resztę tej nocy ze szczętem zepsujemy!

Współczesny kronikarz spisał wydarzenia, które czyta się jak opowieści ze Starego Testamentu albo ballady trubadurów. Posłano rycerza, obdarzonego głosem lwa, by pogalopował na południe, do obozu francuskiego koło Brionne, gdzie znajdował się namiot królewski. Pod osłoną ciemności rycerz wdrapał się na pobliskie drzewo i wywrzeszczał z wierzchołka wieść o klęsce Francuzów pod Mortemer. Króla tak przeraził ten głos z ciemności zwiastujący mu klęskę jego brata, jakby był nadprzyrodzonej mocy. Kazał zwinąć obóz i równo z brzaskiem pośpieszył ku granicy normandzkiej.

- Jego francuski majestat - śmiał się książę - nie zapomni prędko nauczki, jaką tej nocy dostał!

Przeoczył fakt, że uczeń czasem zwraca się przeciw nauczycielowi, szukając odwetu. Jednakże na razie Wilhelm mógł jechać do swojej Matyldy, za której objęciami bardzo tęsknił w obozie. Wziął szczupłą eskortę, poleciwszy wojsku, by dopomogło mieszkańcom Mortemer w odbudowaniu miasta. We właściwym czasie, kiedy traktat - który okazał się tylko krótkotrwałym rozejmem - został podpisany, król Henryk zobowiązał się wypłacić kompensatę mieszkańcom Mortemer za straty, jakie wynikły wskutek zajęcia przez niego miasta.

Wkrótce po wyruszeniu do Rouen Wilhelm dostrzegł nadjeżdżającego ku niemu samotnego jeźdźca na koniu, najwidoczniej ochwaconym. Gdy się przybliżył, książę rozpoznał w nim opata klasztoru Bec koło Brionne. Opat ten, nazwiskiem Lanfranc, człowiek podówczas czterdziestoletni, studiował niegdyś prawo cywilne w Padwie i stworzył tam wyższą uczelnię, która miała stać się sławnym uniwersytetem. Po powrocie do Normandii założył klasztor Bec, gdzie zajmował się kształceniem młodych księży. Zasłynął jako jeden z najwybitniejszych uczonych Zachodniej Europy, a także jako organizator życia zakonnego. Wilhelm przyjaźnił się z nim dawniej i często zasięgał jego rady w kwestiach prawnych i administracyjnych. Dobrze świadczyło to o tych dwóch stanowczych i na ogół bezkompromisowych indywidualnościach, że każdy z nich doceniał i szanował zalety drugiego. Ale opat Lanfranc poparł klątwę, rzuconą

na Wilhelma i Matyldę, wobec czego księżę skazał swego dawnego przyjaciela na banicję razem z arcybiskupem Malgerem.

Wilhelm bez gniewu powitał jeźdźca na kiepskim wierzchowcu; mówiąc tonem raczej dobrotliwym:

- Jakże to się dzieje, że widzę ciebie jeszcze na moich ziemiach? Czyż nie rozkazałem ci na zawsze opuścić księstwa?

- Niestety, mój księżę i panie, tak mi rzeczywiście rozkazałeś, ku wielkiemu mojemu strapieniu. I właśnie do Francji jadę. Ale mój wierzchowiec, chociaż najlepszy, jakim opactwo rozporządza, kuleje i tylko bardzo pomalutką nieść mnie może. Gdybyś wasza księżęca mość zechciał mi podarować jednego z tych pięknych zapasowych wierzchowców, które twoi jeźdźcy tam prowadzą, znalazłbym się tym prędzej poza obrębem księstwa.

Wilhelm był w doskonałym usposobieniu. Odparł potężne wojska najeźdźców od granic swego księstwa i jechał do ukochanej żony, do małżeńskich uciech i odpoczynku. Roześmiał się szczerze, szeroko:

- Pierwszy to raz, mój zacny opacie, słyszałem, iżby skazany swego sędziego o lepszy sznur prosił!

Nikt lepiej od księcia nie wiedział, że żaden panujący nie może sobie pozwolić na utratę dobrych i mądrych przyjaciół. Pochylił się do Lanfranca.

- Wcale nie chciałem, by ten kto mi jest przyjazny opuszczał księstwo.

- Zawsze ci byłem przyjazny, mój księżę.

- Ale przekładasz nade mnie papieża Leona.

- Gdy mnie wyświęcono na księdza, złożyłem pewne śluby. Jeśliby się dało nakłonić papieża do usankcjonowania małżeństwa waszej księżęcej mości, całym sercem poparłbym i ja to małżeństwo i ciebie, panie, jak zawsze.

- Chętnie bym przyjął dobrą wolę papieża i twoją - przyznał Wilhelm. - Ale jak go nakłonić?

- Jeślibym nadal zwał się przyjacielem mego księcia i pana, to mógłbym, tylko na lepszym wierzchowcu od tej ochwaconej szkapy, wybrać się do Rzymu, by wyjaśnić, że bardzo wielu, jak i ja sam, nie widzi żadnego argumentu przeciwko temu małżeństwu, żadnego znanego kanonicznego przepisu, zgodnego z którym można by go legalnie zabronić...

- Czy tak? A wiedząc o tym, wielebny opacie, jak mogłeś?...

- Moja duchowna sukienka, jak już waszej księżęcej mości przypomniałem, nakłada na mnie pewne nieuniknione obowiązki. Ale gdyby papież zdanie zmienił, będę od nich zwolniony.

- Na Boga, ojciec duchowny, zawsze wiedziałem, że z was człowiek i mądry i obrotny. Chodźcie, dostaniecie konia i odpowiednią eskortę, abyście mogli przybyć do

Rzymu, jak wypada waszej godności.

- Zawsze zamierzałem przedstawić Ojcu Świętemu moje poglądy na sprawę tego małżeństwa, choćbym na własnych dwóch nogach miał dokończyć podróży.

Opat Lanfranc wybrał się do Rzymu. Jednakże jeszcze pięć lat miało upłynąć, a na miejscu papieża Leona zasiadł Mikołaj Drugi, zanim Watykan nareszcie pofolgował. Wraz z usankcjonowaniem małżeństwa nadeszło zalecenie, aby tytułem pokuty za nieposłuszeństwo każde z dwojga małżonków ufundowało przybytek święty. Tak powstały w Caen dwa słynne klasztory: Opactwo Mężczyzn (dzisiaj piękny kościół St. Etienne) oraz Opactwo Dam (dzisiaj Świętej Trójcy).

A za swe usługi i przyjaźń Lanfranc otrzymał od księcia najwyższe godności duchowne.

W Rouen czekała na Wilhelma smutna wiadomość, więc pospieszył od razu do Conteville. Arlette, od paru lat owdowiała, zmogła choroba, której medycy nie umieli rozpoznać. Wybladła, ale wciąż piękna, leżała na poduszkach zbyt słaba, by uściskać swego najstarszego syna.

- To już koniec, Wilhelmie - powiedziała. - Nie przecz. Mam dość odwagi, by znieść tę świadomość i nie chcę, byś przede mną udawał. Idę do mego kochanka i do mego męża... byli zawsze dobrymi przyjaciółmi. Syn ucałował ją, a Arletta ciągnęła:

- Jak dumna z ciebie byłam... i jestem.

- Nie więcej niż ja z ciebie - powiedział szczerze.

- Przecież jestem tylko córką garbarza, a ty... - uśmiechnęła się słabo.

- Dla mnie jesteś największą księżniczką w chrześcijaństwie.

- Masz dworne maniery, kiedy chcesz - zauważyła.

W parę dni później Arletta umarła w ramionach syna. Pochowano ją z całym ceremoniałem, obowiązującym wedle zwyczaju przy pogrzebach wdowy po księciu, w opactwie, które sama ufundowała. Jej ostatnie słowa do pierworodnego syna brzmiały:

- Pamiętaj, że kiedy nosiłam ciebie pod sercem, śniło mi się wielkie drzewo, które rozciągało konary poza Normandię, za morza...

Wilhelm nie zapomniał o tym śnie ani o własnych ambicjach. Ale, choć tak często gwałtowny i porywczy, umiał też zdobyć się na cierpliwość i wyczekiwać odpowiedniej pory.

W Normandii i Francji zapanował spokój, ale obie strony obserwowały się nieufnie. Wilhelm budował zamki na swoich wschodnich i południowych granicach, żałując chwilami, że oddał niegdyś Francji Tillières, co wytworzyło jakby lukę w jego linii obronnej. W jednym z nowo wzniesionych zamków, w Breteuil na południowym wschodzie, księżę osadził w charakterze dowódcy załogi i gubernatora Wilhelma fitz Osberna, krewniaka zamordowanego Osberna de Crépigny. Mężny i doświadczony żołnierz, fitz Osbern walczył u boku Wilhelma przeciw Guyowi de Brionne,

Geoffreyowi Martelowi, a ostatnio - królowi Francji. Namówił on swego księcia, by ten przyrzekł szczególne przywileje kupcom i mieszczanom, którzy by pobudowali miasto wokół zamku Breteuil. Kilkunastu przedsiębiorczych ludzi założyło wspólnotę handlową, której gubernator nadał prawa tak mądre i dalekowzroczone, że „edykty z Breteuil” stały się w Europie wzorem dla ustawodawstwa municypalnego, a Wilhelm wprowadził je do administracji jego największej zdobyczy - kraju, który miał dopiero w przyszłości zdobyć.

Król nie mógł długo beczynnie przyglądać się swemu lennikowi, wzrastającemu w siły po bitwie pod Mortemer. Tym razem Francuzi przekroczyli granicę hrabstwa Hiesmois w południowej Normandii. Wilhelm, jak poprzednio, postawił załogi zamków w stan gotowości, a sam cofał się, wysyłając podjazdy, by nękały i szarpały flanki postępujących wojsk królewskich. Jego taktyka miała jeszcze dodatkową zaletę. Zezwalając na rabunek części normandzkich ziem, Wilhelm podsycił nienawiść Normanów do swego suwerena, a zarazem był pewien, że gdy nadejdzie pożądana sposobność, walnym zwycięstwem zapewni sobie własną popularność.

Pozwolił więc Henrykowi zapuścić się w głąb księstwa na ponad sto kilometrów i dotrzeć na północ prawie do Caen. Wojska normandzkie towarzyszyły postępującym Francuzom po stronie zachodniej. Szpiedzy donieśli Wilhelmowi, że król zamierza teraz skręcić na wschód, co go zmusi do przeprawy przez rzekę Dive w pobliżu jej ujścia.

- Oto nasza sposobność, nagroda za cierpliwość - powiedział Wilhelm swoim kapitanom. - Pod Mortemer naszym sprzymierzeńcem był ogień; teraz, pod Varaville, będzie nim woda!

Zawsze znalazł się ktoś słabego ducha, by zaprotestować przeciw śmiałym i oryginalnym planom księcia.

- Masz zbyt słabe siły, mój książę - odezwał się jeden z baronów. - Nie możemy atakować wojsk tak licznych jak francuskie!

Wilhelm odparł mu tylko pogardliwym spojrzeniem i rozkazał:

- Wezwać wieśniaków z całej okolicy, niech stawiają się przede mną z taką bronią, jaką mają, choćby to były tylko kosy i siekiery.

Nienawiść do łupiestwa Francuzów wydatnie mu pomogła. Z takim mieszanym, niejednorodnym wojskiem szedł w ślad za nieprzyjacielem, wystrzegając się wszystkiego, co mogłoby króla uświadomić o jego bliskości, aż koło Varaville dotarł do brzegów Dive. I jeszcze wstrzymywał atak, dopóki król i jego przednie straże nie przeprawili się przez most - stary i niepewny - ponad ujściem, na wschodni brzeg. Kiedy główne siły francuskie znajdowały się częściowo na moście, ale w większej części, razem z taborami, jeszcze na zachodnim brzegu - Wilhelm pojawił się nad doliną rzeki i wezwał swych różnorakich, pośpiesznie ściągniętych' zwolenników.

- Teraz na nich! Na łupieżców waszych domostw, na gwałcicieli waszych żon i córek! Wybić ich do nogi!

I sam, zsiadłszy z konia, pieszo poprowadził żołnierzy w dół stromizny wzgórza.

Król Henryk natychmiast wydał rozkaz żołnierzom, którzy już się przeprawili przez most, by zawrócili i pośpieszyli na pomoc zagrożonym towarzyszom. Fatalne posunięcie. Na moście zetknęły się idące naprzód wojska z szeregami, które zawróciły i spieszyły w przeciwnym kierunku. Most nie wytrzymał, naporu, zatrzęszczał i pękł. Król stał bezsilny patrząc, jak połowa jego armii brodziła i topiła się w wodzie, a drugą połowę wycinali na tamtym brzegu kosami i siekierami rozwścieczeni wieśniacy.

Zwycięstwo pod Varaville było jeszcze donioślejsze od bitwy pod Mortemer. Król, zmuszony do ucieczki, poprosił swego wasala o zawarcie pokoju. Nie miał już alternatywy.

- Ojciec mnie pouczał - opowiadał Wilhelm Matyldzie - abym zawsze szukał raczej przyjaźni niż wojny z Francją. Tak też postąpiłem teraz. Zażądałem jedynie twierdzy Tilliçres, którą musiałem oddać, kiedy jeszcze byłem małoletni i niepewny mego księstwa, nie mając wtedy innego wyboru. Król się zgodził i teraz moja linia obronna jest zamknięta. To mi wystarczy, bo Henryk chyba po raz trzeci klęski nie zaryzykuje.

Mogłoby się wydawać, że Wilhelm mało osiągnął swymi dwoma świetnymi zwycięstwami. Ale on był zadowolony. Zabezpieczył księstwo i - co może znaczyło dla niego równie wiele - nie będąc sam agresorem, tak upokorzył swego suwerena w oczach całej Europy, że jego lenno było odtąd właściwie tylko nominalne, a on sam niepodległym władcą.

- Gdybym zażądał jakiejś części ziem francuskich i zapewne ją otrzymał - mówił dalej - stworzyłbym powód do dalszych zatargów w przyszłości. A jeżeli ma być znowu wojna, tym razem ja zadecyduję, jak i kiedy!

W rok po Varaville król Henryk zmarł, zostawiając tron swemu ośmioletniemu synowi, Filipowi. Teraz stało się jasne, ile korzyści - oprócz osobistego szczęścia - przyniosło Wilhelmowi małżeństwo z córką hrabiego Flandrii. Bo właśnie hrabiego Flandrii wyznaczono regentem Francji. Przez kilka najbliższych lat z tej strony nic nie mogło zagrażać Normandii. Żaden francuski baron nie poważiłby się na własną rękę najechać jej granic, a z pewnością teść księcia nie zorganizowałby najazdu połączonych sił swoich wasali. Duże znaczenie miał również fakt, na razie jeszcze nie doceniany, że wszystkie porty północnej Francji i Flandrii były w rękach przyjaznych Wilhelmowi.

Matylda urodziła mu do tej pory trzech synów - Roberta, Ryszarda i Wilhelma - oraz dwie córki: Cecylię i Adelisę. Była nadal żoną serdecznie oddaną i kochającą z wzajemnością, podzielała też ambicje swego męża. Niejeden raz przypominała:

- Przed naszym ślubem kusieś mnie koroną Anglii. Kiedy?... Bo ja wiem, że ty na próżno nie marzysz!

Gdyby miał rządzić Anglią, tłumaczył Wilhelm, musiałby wiele w tym kraju przebywać. I dlatego trzeba mu najpierw dobrze zabezpieczyć Normandię - od wrogów postronnych i od wewnątrz.

- Prócz tego... nie chcę krzywdy mego kuzyna Edwarda. Muszę poczekać, aż on...

- Nikt prócz Boga nie wie, kiedy to nastąpi - odparła. - A lata mijają, nie jesteśmy młodszy...

- A jednak czekać musimy - nalegał Wilhelm. - Nie ja jeden mam pretensje do tronu Anglii, a z tytułu więzów krwi moje pretensje nie są najsilniejsze. Będę się opierał na tym, że Edward powiedział, iż mianuje mnie swoim następcą.

- Masz doprawdy nadludzką cierpliwość...

- Szaleństwem byłoby sięgać po jabłko, póki nie dojrzeje. Za wcześnie zerwane, może mieć gorzki smak.

W ciągu następnych paru lat książę jeszcze silniej zabezpieczył swoje południowo-wschodnie granice poprzez atak na prowincję Maine i zdobycie jej stolicy, Le Mans. Ułatwiła mu to śmierć hrabiego Geoffreya Martela i właśnie, jakie wybuchnęły pomiędzy lokalnymi baronami. W końcu dokonał najazdu na Bretanię, prowincję, której mieszkańcy, słynni z odwagi i dzielności, nadal żyli w ustroju plemiennym. Wilhelm wziął szturmem fortecę Dinan. Brak politycznego zjednoczenia w Bretanii umożliwił mu nie tylko stworzenie pasa neutralnego na pograniczu, ale również zyskanie przyjaciół, nie tylko wrogów, wśród tamtejszych wodzów. Te przymierza przydały się wkrótce.

Książę Normandii stał się obecnie niekwestionowanym panem całej północno-zachodniej Galii. Jako wódz dowiódł świetnych talentów strategicznych i taktycznych, budził strach sąsiadów. Jako przywódca zdobył lojalność swoich feudalnych wasali a także ludności. Jego niepospolite zdolności administracyjne i popieranie handlu zapewniły miastom normandzkim rozwój, w którym dorównywały słynącym z bogactwa miastom flandryjskim. Sukcesy te osiągał nie w dążeniu do osobistego wywyższenia ani też jako cel sam w sobie. Stanowiły one część wytrwałych, dalekowzrocznych przygotowań do zrealizowania najważniejszej, wszystko przewyższającej ambicji, dotrzymania obietnicy danej ojcu, żonie i synowi. A sposobność, jakiej wyczekiwał, na jaką liczył, wydawała się teraz bliska.

Po powrocie z najazdu na Bretanię powiedział Matyldzie, że jest rad z wyniku. I dodał spokojnie:

- Teraz wszystko gotowe do podboju Anglii. I otrzymałem wiadomość, że Edward jest złożony ciężką niemocą.



# **Część druga**

## **ANGLIA**

## Rozdział 8

### RZECZ O KRÓLU HAROLDZIE

- Zdrajca! Wiarołomca! Uroczyście zaprzysiągł wszelkich dostępnych środków użyć, by mnie na tron angielski poprzeć... A król! Powiedział mi, że nigdy Harolda, hrabiego Wessexu, swoim następcą nie wyznaczy... Mnie, mnie wyznaczy... A teraz oni tam opowiadają, że na łożu śmierci Edward królestwo Haroldowi powierzył... kłamią, beczelnie kłamią... plugawią pamięć świętobliwego człowieka!

Nowy rok 1065 ksiązę Normandii spędził na łowach. Czuł się szczęśliwy. Radowało go rześkie powietrze, przymrozki, konie niecierpliwie grzebiące kopytami twardą ziemię, psy wyrrywające się na smyczach, sokoły gotowe unieść się w powietrze za upatrzoną ofiarą, a wieczorami płonący ogień i wesola kompania. Po Trzech Królach wrócił do Rouen i otrzymał wiadomości, które zmieniły jego doskonały humor w wybuch wściekłości.

Goniec z wybrzeża, na klęczkach przed panem czekając, by go odprawiono, dygotał ze strachu, że za przyniesienie tak złych wieści, może sam paść ofiarą niepohamowanego gniewu księcia. Matylda złękła się; nie o siebie, ale o zdrowie swego męża. Gdy był w pasji, jak teraz, gniew tego olbrzyma spadał jak plaga z niebios na wszystkich dookoła - prócz jej jednej tylko. Na nią od ślubu nigdy ręki nie podniósł. Zaryzykowała więc odprawienie skinieniem ręki dygocącego posłańca, a ten wymknął się z komnaty jak zbity kundel.

Wilhelm tak bardzo pragnął dotrzymać obietnic danych ojcu, żonie i pierworodnemu synowi, że sięgnął marzenie o władaniu Anglią, nie tylko Normandią, iż rozbijała ambicja w tej jednej sprawie wypaczyła jego przenikliwość. Wielu powątpiewało, czy król Edward angielski będzie rzeczywiście mógł, gdy nadejdzie pora, mianować następcą cudzoziemskiego księcia, choćby nawet powinowatego; wielu też powątpiewało, czy Harold dotrzyma obietnicy, danej pod przymusem. Wybuch wściekłości Wilhelma w obliczu przyniesionej przez gońca wiadomości rodził się i stąd, że nagle zdał sobie sprawę z własnego zaślepienia. Wszelkie, wyrażane przez innych wątpliwości, odtrącał, i to z irytacją, ponieważ nie chciał dopuszczać myśli o ich prawdopodobieństwie. Nie zastanawiał się nawet nad kłopotliwymi wieściami, nadsyłanymi mu przez normandzkich przyjaciół na dworze angielskim, o wzrastającej popularności Harolda i o tym, że młody hrabia całkowicie oświadczył schorowanym królem.

Wilhelm powtarzał, uderzając prawą pięścią w swoją szeroką lewą dłoń:

- Zapłacą mi za to... własną krwią zapłacą... Harold i cała jego barbarzyńska horda anglosaskich dzikusów!

Edward Wyznawca zaniemógł już wtedy, gdy Wilhelm, wciąż krótkowzrocznie wierząc, że odziedziczy tron angielski, wracał z wyprawy do Bretanii. Król żył potem blisko rok, chociaż tak chory, że nie mógł nawet pojechać na poświęcenie olbrzymiej budowli - jeszcze nie ukończonej - którą ufundował w roku 1050 ku większej chwale Bożej: Opactwa Westminsterskiego.

129 -

Nie opuszczał już swojej komnaty w zamku na wyspie Thorney, pośrodku Tamizy. Tam też, dnia 5 stycznia 1066 roku, po korytarzach i komnatkach, od królewskich apartamentów aż po piwnice, lochy i hen, w górę, do wieży wartowniczej, rozeszły się ciche szepty:

- Król umarł.

Z sypialnej komnaty królewskiej wyszedł Harold hrabia Wessexu, od dawna już sprawujący funkcję władcy, w towarzystwie swojej siostry, królowej Edyty, swego brata Gyrtha, arcybiskupa Yorku Ealdreda i dwóch jeszcze dygnitarzy. Edward nie miał potomstwa. Zgromadzonym w sieni zamkowej baronom, rycerzom, duchownym i damom arcybiskup oznajmił:

- Świętej pamięci Edward, król Anglii, wyraził życzenie, aby jego następcą został hrabia Wessexu.

Nikt się temu nie zdziwił. Harolda nie łączyły wprawdzie ze zmarłym monarchą więzy krwi, ale wywodził się po kądzieli od królów Szwecji, a ojciec jego był Anglosasem. Takie dwie poważne zalety w połączeniu z jego faktyczną władzą i dużą popularnością w kraju powinny były zapobiec wszelkiej poważniejszej opozycji. Jedynym w Anglii pretendentem do korony mógł być bratanek króla, Edgar, ale piętnastoletni zaledwie młodzik nie rządziłby osobiście, a regencje nie miały dobrej sławy w Anglii, podobnie, jak i w Normandii. Mało było prawdopodobne, aby Witan wybrał właśnie jego, nawet gdyby Edgar zgłosił swoją kandydaturę, czego do tej pory nie uczynił.

- A co z księciem Normandii? - spytał Leofwine, jeden z braci Harolda.

Od chwili przymusowego pobytu Harolda na dworze normandzkim, po rozbiciu jego statku przed dwoma laty, w Anglii wiedziano powszechnie o aspiracjach Wilhelma i jego bezwzględnych metodach.

- A cóżby? - odparł Harold. - Nie chcę mieć nic do czynienia z księciem Normandii, a jeśli by on próbował... niech go Bóg od tego powstrzyma! Bo gdyby nawet morze i żywioły go przepuściły, nasze silne ramiona i wypróbowane miecze zawrócą go, jeśli żyw będzie jeszcze!

- Ale ty księciu przyrzekłeś... czyż nie? - wtrąciła królowa Edyta.

Nie miała ona żadnej korzyści w upominaniu się o Wilhelma. Wówczas, kiedy jej małżonek wyraził życzenie, by tron po nim odziedziczył książę Normandii, Edyta

przebywała w klasztorze. Ale głęboko religijna, żywiła respekt dla przysięgi, złożonej na świętych relikwiach. Więc dodała jeszcze:

- Wielkim grzechem byłoby złamanie takiej przysięgi i z pewnością mogłoby na całe królestwo gniew Boży sprowadzić.

Dotknęło to do żywego Harolda. Zwrócił się do niej z irytacją:

- Przysięgałem pod przymusem i uczyniłem myślowe zastrzeżenie! A królestwo to nie klasztor, sestro, i praktykowanie chrystusowych cnót tu nie wystarcza! Władca musi być śmiały, zdecydowany, bezwzględny!

Królowa spuściła wzrok, przesuwając w palcach paciorki różańca, a do rozmowy wmieszał się arcybiskup oznajmiając:

- Od tej tak zwanej przysięgi w Normandii hrabia Wessexu jest zwolniony. Składał ją pod grozą śmierci, a więc go nie wiąże.

Tak Harolda zwolnił od dotrzymania przysięgi jeden z najwyższych kościelnych dygnitarzy w Anglii. Jednakże cień księcia Normandii zawisł nad angielską koroną. Było więc pożądane, by jak najprędzej postawić go w obliczu faktu dokonanego.

Szczęśliwym trafem na Boże Narodzenie Witan zebrał się był w Westminsterze i ostatniego dnia świąt - na Trzech Króli - ogłosił wybór Harolda na króla. Taka elekcja stanowiła ważny precedens. Stało się jasne od tej pory, że ambitny poddany w sprzyjających okolicznościach może sięgnąć po koronę królewską. Tegoż samego dnia Kościół potwierdził ten precedens, bo arcybiskup pośpiesznie ukoronował Harolda. W chwili, gdy zgodnie ze zwyczajem celebrujący uroczystość koronacyjną zapytał zebranych w Opactwie Westminsterskim dygnitarzy, rycerzy, księży, damy, czy przyjmują Harolda jako ich władcę, zerwał się krzyk entuzjazmu, rozwiewając wątpliwości co do tego, czy rzeczywiście najważniejsi ludzie w królestwie życzą sobie jego sukcesji.

Później Harold - siedząc przy Edycie o Łabędziej Szyi, wpatrzony w jej piękną, spokojną, zawsze jakby nieco senną twarz i zapominając, a może nie chcąc pamiętać, że dwaj bodaj najpotężniejsi hrabiowie, Mercii i Northumbrii, nie przybyli na obrady Witanu i koronację - powiedział:

- Gdyby Wilhelm z Normandii, mój jedyny wróg, ten okrzyk w Opactwie usłyszał, wszelkie myśli o Anglii by porzucił, a zajął się tylko łowami i napaściami na pograniczne kraje!

- Pewno, że ludzie nie chcą Normana - powiedziała spokojnie Edyta. - Niechaj własnymi ziemiami włada, a twoje tobie pozostawi. I tak obaj dosyć do roboty byćcie mieli.

Ani świeżo ukoronowany król, ani jego kochanka ruie wiedzieli jeszcze, że nie tylko Wilhelm uważał Harolda za uzurpatora tronu. Władcy na kontynencie niechętnym okiem spoglądali na znamienny precedens, który mógł znaleźć naśladowców wśród ich

własnych ambitnych a niezadowolonych poddanych. Normano-wie podkładali drew do ognia, rozgłaszając wszędzie, że Harold złożył przysięgę lenną. Oczywiście, nie wspomniano, w jakich to się stało okolicznościach. Przypisywano Haroldowi nie tylko wiarołomstwo, ale i wszelkie możliwe wady i nałogi. William z Poitiers pisał o nim jako o tyranie:

„...napiętnowanym występkiem, okrutnym mordercy, nadętym zyskami ze zdzierstw, wrogu sprawiedliwości i wszystkiego, co słuszne”.

Tyranii, morderstw, niesprawiedliwości - poddani króla Harolda chyba nie zaznali. Miał kochankę, to prawda, ale nie osądzano tego jako występku, raczej rzecz zwykłą mężczyźnie. Chciwy podatków może był, ale w tym się nie różnił od innych. Za panowania słabego Edwarda Wyznawcy Harold z pewnością nabił sobie kabzę, jednak reputację znamienitego wojownika zdobył, odpędzając z powodzeniem walijskich wodzów plemiennych, usiłujących zagarnąć należące do Anglików ziemie. W normalnych, pokojowych okolicznościach Harold postępował jak człowiek uczciwy, przywoity i skromny. Dowiódł również, że był rozumnym administratorem - chociaż może nie tak genialnym jak książę Normandii - i cierpliwym dyplomatą.

I to nie Wilhelm z Normandii pierwszy ściągnął kłopoty na głowę Harolda. W Anglii istniały podówczas trzy wielkie hrabstwa, które niegdyś były samodzielnymi królestwami: Wessex na południowym zachodzie, Mercia, obejmująca przeważną część ziem środkowych i Northumbria, rozciągająca się od Yorku do granicy szkockiej na północy. Władający nimi hrabiowie byli, ściśle biorąc, urzędnikami podległymi królowi i jego radzie, ale też ulegającymi naciskom od dołu, ze strony pomniejszych władcyków. Mieli jednak od panów normandzkich więcej ziemi i liczniejsze poczty, większą autonomię i władzę.

W roku 1055 król Edward mianował hrabią Northumbrii Tostiga, drugiego syna zmarłego Godwine'a. Wydaje się, że uczynił to, by przeciwdziałać wzrastającej potędze starszego brata, Harolda, hrabiego Wessexu. Niefortunna to była próba. Northumbrią zawsze rządzą urodzeni tu hrabiowie i mieszkańcy niechętnie się odnosili do intruza z południa. Co więcej, Tostig rządził despotycznie i bezwzględnie. W końcu za daleko się posunął: nakazał zgładzenie trzech wybitnych „thegnów” - lokalnych wodzów. Gdy Tostig wyjechał na południe, pod jego nieobecność w Northumbrii wybuchła rewolta, dwustu „thegnów” z mnogimi pocztami zbrojnych pomaszerowało do Yorku, wycięło w pień wszystkich stronników hrabiego i powierzyło jego władzę niejakiemu Morcarowi. Zamieszki na tym się nie skończyły: wojsko rebeliantów szło dalej na południe, a przyłączył się do nich hrabia Mercii, Edwin, brat Morcara.

Rebelianci dotarli aż do Oxfordu. Król Edward w tym stanie rzeczy bardzo dogodnie dla siebie zachorował i zlecił Haroldowi rozprawić się z buntem. Kronikarze normandzcy przedstawiali później poczynania Harolda jako wywołane obawą, że jego

młodszy brat uzyska wpływ na króla, a także nadzieją, że Edwin i Morcar będą popierali jego własne aspiracje do korony, gdy właściwy czas nadejdzie. Może mieli rację. Walki o władzę w rodzinie - często bezwzględne i krwawe - nie należały do rzadkości. Faktem pozostaje, że przywrócono pokój w kraju, a cała Northumbrią się radowała, bo Harold skazał własnego brata na wygnanie, a potwierdził wybór Morcara.

Z początkiem roku 1066 Haroldowi, już jako obranemu królowi zagrozili poważni wrogowie. Tostig na wygnaniu zbierał popleczników i organizował inwazję. Wiadomo też było, że Wilhelm z Normandii nie pogodzi się tak łatwo z pogrzebaniem nadziei na tron angielski. A jeżeli Harold spodziewał się poparcia w Northumbrii i Mercii - zawiódł się srodze. Hrabiowie Edwin i Morcar wkrótce wyjaśnili, że ich nieobecność na elekcji w Witanie i koronacji nie była przypadkowa.

Harold ponownie zwołał Witan i znalazł jednogłośnie poparcie wszystkich, którzy na obrady przybyli. Uradzono, aby z przeciwnikami rozprawić się kolejno. Gdyby im dano czas na zawarcie przymierza i gdyby zaatakowali równocześnie - dwaj hrabiowie z północy, Tostig od wybrzeża wschodniego, a Wilhelm od południowego - Harold przegrałby sprawę, a w Anglii zapanowałby kompletny chaos, ponieważ jego wrogowie pokłóciliby się o podział łupu. Ale z którym zagrożeniem powinien był Harold rozprawić się najpierw? Arcybiskup Yorku, Ealdred, wysunął projekt, który mógł załagodzić jeden kłopot:

- Miłościwy panie, Edwin i Morcar mają siostrę, Aldgytę.

- Tak, wdowę po walijskim wodzu - odrzekł Harold - który poległ w bitwie, gdy prowadziłem przeciw niemu i innym Walijszykom wojska króla Edwarda.

- Słyszałem, jakoby w Yorku powiadano, że gdyby miłościwy pan pojął tę wdowę za żonę, to jej bracia daliby się ułagodzić, tak samo, jak ułagodzonego twojego ojca, miłościwy panie, zaślubinami twojej siostry ze zmarłym królem.

Sposób często praktykowany, a rodzinie rebeliantów dawał szansę bliskiego pokrewieństwa z następnym monarchą.

- Poślubić? Ja... poślubić? - zdumiał się Harold. Arcybiskup zrozumiał, co działo się w umyśle jego suwerena.

- Królowie żenić się winni według potrzeb polityki, miłościwy panie, i dziedziców korony płodzić - szepnął, pochylając się ku Haroldowi. - A dokąd się zwrócą po miłość, to rzecz inna i tylko ich sumienia dotyczy...

Westchnąwszy ciężko, król długim, posępnym spojrzeniem zmierzył Ealdreda.

- Jesteście mądrym człowiekiem i zacnym przyjacielem, ojcze najwielebniejszy - rzekł w końcu. - Ale ja muszę się zastanowić... i... i jeszcze...

Edyta o Łabędziej Szyi spokojnie i rozsądnie przyjęła - jak niegdyś matka Wilhelma - swoją pozycję kochanki, która nigdy nie mogła zostać poślubioną przez człowieka,

kochającego ją szczerze i głęboko. Trzeźwą mądrością dorównywała arcybiskupowi Yorku, a przywiązaniem go przewyższała, jak miało się w przyszłości okazać.

- Moje kochanie jedyne - powiedział Harold, przedstawivszy jej sugestie arcybiskupa - jakżeż ja mogę wziąć za żonę tę kobietę, czy jaką bądź inną? Królową mego państwa nie możesz zostać, ale na zawsze jesteś królową mego serca.

- I to mi wystarcza - odrzekła. - Nie będę się sprzeciwiała niczemu, co umocni twoje panowanie.

- Aldgyta mnie z pewnością nienawidzi - mruknął Harold. - Przecież ma prawo uważać mnie za zabójcę swego męża.

- To nie ma znaczenia... byle jej braci zjednać.

- Wiesz, nie spodziewałem się, że ty mnie jeszcze namawiać będziesz...

- Dla mnie to najważniejsze, co jest z korzyścią dla ciebie i twego królestwa. A nas dwojga twoje małżeństwo z Aldgytą nie rozdzieli... prawda?

Harold miłował ją wciąż, ale kochanie nie pozbawiło go zdrowego rozsądku. Wiedział, że Ealdred i Edyta dobrze mu radzili.

- Nie pójdę z nią do łóża! - powiedział.

Jego kochanka z pewnym wysiłkiem przywołała uśmiech na usta:

- To już się staje tradycją angielskich królów. Edward też nie skonsumował swego małżeństwa. - Przerwała, zmarszczyła brwi: - Potrzebny ci syn, następca tronu. - Uśmiechnęła się znowu: - To dalsze sprawy. Teraz, zaraz, powinienes się ubezpieczyć od napaści hrabiów z północy.

Edwin i Morcar - którzy sami podsunęli tę myśl arcybiskupowi - nie robili trudności, nawet nalegali na pośpiech. Odbył się ślub. Aldgyta na rozkaz braci zgodziła się zaślubić Harolda, ale go nienawidziła, jak on sam przewidywał, a prócz tego wiedziała jak wszyscy, o jego miłości do Edyty. Tej dość było zostać królową Anglii, a nie pragnęła ani objąć króla, ani jego serca; tamta była szczęśliwa z posiadania jego miłości, i nie dbała o godność królowej.

Gniew księcia Normandii z powodu wiarołomstwa Harolda przemienił się w determinację zdobycia siłą tego, czego nie zdołał osiągnąć na drodze konstytucyjnej, legalnej.

- Ponoć Edward powierzył żonę i królestwo opiece Harolda - mówił Wilhelm. - Jednakże mamy na to tylko słowo wiarołomcy i jego wspólników. A jeśli nawet nie kłamią, to umysł Edwarda pewno już nie działał jasno albo też, zmęczony chorobą król nie miał sił opierać się temu, co mu podpowiadali. Teraz Harold złamał drugą przysięgę, daną mojej córce, i poślubił inną kobietę!

Ale Wilhelm potrafił zdobyć się na cierpliwość. Starannie przygotowywał plany i chociaż siła miała rozstrzygać, on dbał o to, by się wydawało, że prawo jest za nim.

Żona Tostiga była siostrą hrabiego Flandrii Baldwi-na, a więc ciotką księżnej Normandii. Skazany na banicję, Tostig spędził kilka lat na dworze w Lille, wciąż żałując straty Northumbrii. Gdy jego brat został królem Anglii, Tostig dostrzegł szansę odzyskania utraconych ziem. Zapewne za aprobatą Baldwina odwiedził Rouen i ofiarował księciu Normandii pomoc w inwazji na Anglię za cenę odzyskania dawnych godności. Wilhelm wiedział, że Tostig nie zasługuje na zaufanie.

- Gdyby odzyskał hrabstwo - mówił księżę do Matyldy - dokąd ambicja by go zaprowadziła? Nie, nie. Za duże ryzyko. Władzę nad Northumbrią powierzę takiemu memu stronnikowi, którego już wypróbowałem.

Dyplomatycznie Wilhelm nie odmówił Tostigowi wprost, tylko odłożył rzecz na później, tłumacząc, że jego plany ledwie są w zarodku. Jednakże Tostig rwał się do działania.

- W takim razie ja wyruszę na własną rękę - rzekł. - I obyśmy się w Anglii spotkali, gdzie pewno przybędę pierwszy i zajmę moje ziemie!

Był rzeczywiście pierwszy, nie tylko w Anglii, nawet w Northumbrii - zajmując ziemię długości dwóch metrów.

W parę tygodni po wstąpieniu Harolda na tron posłaniec przyniósł mu wiadomość, że jego brat, Tostig, porywczy i szalony, z paru niewielkimi statkami najechał południowe wybrzeże i siłą włączył do swych oddziałów grupę angielskich marynarzy. Harold bez zwłoki wyprawił się przeciw niemu, ale zanim dotarł na wybrzeże - intruz się ulotnił.

Tostig pożeglował na północ i wylądował na brzegach Northumbrii. Nie było to mądrym posunięciem, bo w tych stronach nienawidzono go powszechnie. Edwin i Morcar, nie tyle z powodu lojalności wobec Harolda, ile dla obrony własnych ziem, zebrali spiesznie dość liczne wojsko, by odpędzić dawnego tyrana. Tostig wycofał się, niczego więcej nie dokonawszy, prócz złu-pienia okolicy, jakby naśladował dawnych Wikingów. Potem zaś schronił się ze swymi statkami do portów niezależnego królestwa Szkocji, a stamtąd udał się do Norwegii, by szukać pomocy u króla Haralda Trzeciego, zwanego Hardradą, znakomitego wodza, który jako młodzieniec i łowca przygód służył w rzymskiej gwardii najemnej i wślawił się zwycięstwami we Włoszech, na Sycylii i w północnej Afryce.

- Jeśli Kanut z Danii mógł władać Anglią przez dziewiętnaście lat - argumentował Tostig - czemu Hardrada z Norwegii nie miałby tego samego uczynić? Ale musisz się pośpieszyć, by uprzedzić tego kunktatora, księcia Normandii.

W końcu - dołożywszy obietnice pomocy, mało realne, ze strony Szkocji i Northumbrii, Tostig nakłonił norweskiego króla do rozpoczęcia przygotowań do najazdu na Anglię. Za własną pomoc w tym przedsięwzięciu Tostig zażądał oczywiście



Northumbrii. Ale nie mniej ambitny od swego ojca, hrabiego Godwine'a czy też brata Harolda, w powrotnej drodze do Szkocji powiedział w zaufaniu bliskiemu druhowi:

- Koniec Mor cara będzie również końcem Edwina. Więc i Mercia dostanie się w moje ręce. A wówczas Norweg może sobie nosić angielską koronę, ale rzeczywistą władzę ja będę sprawował, jak kiedyś mój ojciec. A Hardrada ma już pięćdziesiątkę, długo nie pożyje...

„Kunktatorem” nazwał Tostig księcia Normandii. Ale Wilhelm lepiej od Tostiga i króla norweskiego rozumiał trudności związane z podbojem, nie najazdem.

Przede wszystkim wysłał do papieża, Aleksandra Drugiego, posła, ojca Anzelma, słynnego z uczości mnicha, prawą rękę opata Lanfranca w klasztorze Bec.

- Nie życzę sobie zbytym pośpiechem podważyć prawowitości mojej wyprawy - pouczał swego posła. - Przekonaj, ojcze wielebny, całą mocą twojej elokwencji Ojca Świętego o słuszności moich praw do tronu Anglii: praw według pokrewieństwa ze zmarłym królem Edwardem, według jego jasno przede mną wyrażonej woli, praw z powodu krzywoprzysięstwa tego wiarołomcy i parweniusza Harolda.

Zadanie ułatwił ojcu Anzelmowi sam Harold, który - może w obawie dezaprobaty, która by zwróciła przeciw niemu jego poddanych, zaniechał wysłania do papieża własnego poselstwa. Watykan inaczej ocenił złożoną pod przymusem przysięgę aniżeli arcybiskup Yorku. Z radością witano w Rouen powracającego z Rzymu ojca Anzelma, który przywiózł ze sobą sztandar papieski, na znak błogosławieństwa udzielonego przez Ojca Świętego wyprawie na Anglię. W niepewnej sytuacji politycznej, w jakiej podówczas znalazła się Stolica Apostolska, z pewnością korzystniej było zyskać sobie wdzięczność potężnego i powszechnie respektowanego księcia Normandii aniżeli Harolda angielskiego, jeszcze nie wypróbowanego w roli monarchy.

- Mam teraz po mojej stronie - mówił Wilhelm do przyrodniego brata Odon, biskupa Bayeux - nie tylko prawo, bo to zawsze miałem... ale również wszelkie prerogatywy prawa i słuszności.

Zawezwał do siebie trzech ludzi, którym ufał najbardziej ze wszystkich w całej Normandii: Odon, drugiego przyrodniego brata, Roberta hrabiego Mortain oraz Wiliama fitz Osberna, gubernatora Breteuil.

- Wam powierzam zadanie - powiedział im - na-

- kłonicie do udziału w inwazji na Anglię każdego możniejszego a niezbyt leciwego barona i rycerza w moim księstwie... wraz z ich pocztami.

- Nakłonić, miłościwy książę? - przerwał Fitz Osbern. - To ich obowiązek lenny, potwierdzany przysięgą...

- ...która ich obliguje do obrony Normandii - pohamował go Wilhelm. - Żaden nie ma obowiązku towarzyszyć mi w wyprawie na obcy kraj. Musicie każdego kolejno

przekonać, że on, właśnie on, ma dla mnie olbrzymie znaczenie... bo tak jest. Obiecujcie im łupy i jasnowłose anglosaskie kobiety.

Szlachta i rycerstwo łatwo się dali nakłonić. Wojowanie było ich zawodem, a od kiedy Wilhelm ujął księstwo w rzy i trzymał je żelazną ręką, nie przewidywali sposobności wypróbowywania w ojczyźnie swego wojennego kunsztu. Rozgłaszane wieści o złamaniu przez Harolda przysięgi posłużyły jako wymówka tym, którzy nie mieli wyższych ambicji, jak tylko zdobyć dla siebie posiadłości w Anglii. Przysięgi należy dotrzymywać, wszystko jedno, wymuszonej, czy też nie: wiarołomstwo nie może uchodzić bezkarnie. I czyż sztandar papieski tego właśnie nie oznacza? Takimi argumentami gładka wymowa skrywała pożądlivość serca. Wilhelm przewidział to wszystko. Ochotnicy napływali tłumnie - nie tylko z Normandii, ale również z Bretanii, Flandrii, Pikardii i z całej Francji, a nawet z miast włoskich i z Sycylii, gdzie rządili Normanowie: hrabiowie i baronowie, młodszy synowie możnych rodów, wielu o nazwiskach dobrze znanych w późniejszych dziejach. Także duchowni, jak Arfastus, biskup Helmstedtu w Niemczech; tych sztandar papieski zachęcił do przyłączenia się do wyprawy. Na podbój miała więc wyruszyć siła zbrojna nie tylko normandzka, ale reprezentująca zachód Europy.

Wilhelm zwołał naradę normandzkich panów i wszystkich wyższych oficerów, którzy mieli mu towarzyszyć.

- Ludzi wojennego rzemiosła będziemy mieć dość - powiedział im. - Bynajmniej nie lekceważę żołnierzy angielskich, ale niech tylko postawię stopę na wyspie, to ich zwyciężymy. Najpierw jednak musimy postawić stopę na wyspie, a to znaczy przepłynąć się przez kanał. Zaweźwałem was, byśmy się mogli naradzić nad środkami przeprawy. Statki! Ile ich potrzebujemy? Ilość dysponujemy? Ile jeszcze moglibyśmy zbudować?

- Szkutników na wybrzeżu nie braknie w książęcych dokach - zauważył Robert Mortain, brat księcia.

- To prawda - przyznał Wilhelm - ale do zbudowania floty tak wielkiej, jakiej nam trzeba, musielibyśmy mieć wielkie ilości drewna... no i pieniędzy.

Rozejrzał się po zgromadzonych. Rycerze i kapitanowie szeptali między sobą.

- Ja mam zapewne jedną piątą potrzebnych nam statków - mówił dalej Wilhelm. - A co do reszty... Będzie to, moi przyjaciele, przedsięwzięcie, które przyniesie ogromne, niebywałe zyski każdemu z uczestniczących, nie tylko w łupach, ale w ziemiach, dochodach, podwładnych i tytułach. By zdobyć tak wiele, każdy z nas winien coś wyłożyć najpierw, każdy zależnie od swego stanu.

Robert odezwał się znowu:

- Zobowiązuję się dostarczyć sto dwadzieścia statków...

Zawtórował mu biskup Odo:

- A ja sto.

Potem już jeden przez drugiego panowie zaczęli na wyścigi zgłaszać swoje zobowiązania: hrabia d'Evreux - osiemdziesiąt statków, hrabia d'Eu, Fitz Osbern, Roger de Beaumont, Roger de Montgomery, Hugh d'Av-ranches - po sześćdziesiąt każdy; Hugh de Montfort - pięćdziesiąt. Zgłaszano i mniejsze ilości, aż wreszcie osiemset statków przyrzeczono dodać do floty książęcej. Później ofiarowano jeszcze jeden, piękny statek „Morę”, który miał zostać okrętem flagowym, a ofiarowała go dla swego małżonka i jego najbliższego otoczenia - księżna Matylda.

Ale dopiero teraz książę zaskoczył zebranych:

- Wszystko musi być gotowe na sierpień tego roku. Zerwały się okrzyki protestu:

- Za prędko!

- Drzewo trzeba wyciąć i zwieźć na wybrzeże... - Płótna żaglowe utkać...

- Szkutnicy musieliby dniem i nocą się trudzić... - Niemożliwe, mości książę!

Wilhelm ogarnął ich wszystkich uprzejmym uśmiechem:

- Na sierpień, powiedziałem. Musimy przed zimą dobrze się rozgościć na ziemi angielskiej. Nie traćmy więc czasu. Do roboty, przyjaciele, a pamiętajcie stale o bogatych nagrodach, jakie nam nasz trud przyniesie!

Wszyscy wiedzieli, że dalsze dyskusowanie z księciem było bezcelowe.

Wilhelm osobiście doglądał budowy i transportu ruchomych wież, podobnych do tych, jakich używano przy obleganiu zamków. Wieże te miały być po przewiezieniu wzniesione na wybrzeżach Anglii, by bronić normandzkiego przyczółka. Z punktu widzenia militarnego był to pomysł rewelacyjny, poprzednik pływających portów, których używali Anglicy, Amerykanie, Polacy, Kanadyjczycy podczas inwazji na Normandię, okupowaną przez Niemców.

Pod koniec sierpnia największa armada, jaka się kiedykolwiek zebrała na europejskich wybrzeżach, stała w gotowości przy ujściu rzeki Divy. Zgromadzone wojska oczekiwały rozkazu zaokrętowania. Jedyne, czego jeszcze potrzebowano, to południowego wiatru, by zaniósł flotę na brzegi hrabstwa Sussex w Anglii. Te wszystkie przygotowania, na skalę jakiej nikt jeszcze nie widział - jak również perspektywa zostania królową, nie tylko księżną - radośnie podniecały Matyldę, która zresztą nigdy nie wątpiła o tym, że jej małżonek dotrzyma danej obietnicy. Jednakże bała się o niego i przewidywała długą, gorzką rozłąkę, jeśli nawet wszystko pójdzie szczęśliwie. Jeszcze w czerwcu zauważyła z westchnieniem:

- Anglia jest daleko.

- Wcale nie dalej niż stolica twego ojca, Lille - odparł książę.

- Ale za morzem, a to duża różnica. Kanał nas rozdzieli. Będzie mi bardzo tęskno za tobą...

- Co nocy?

- Nie tylko...

- Głowa do góry, kochanie! Skoro się rozprawię z tym uzurpatorem, wrócę, by cię zabrać do Anglii, na koronację I

- Kto zajmie się sprawami księstwa pod twoją nieobecność? Twój brat Odo?

- Czy to możliwe, że ty naprawdę o to pytasz? Czy możliwe, aby twoje serce i głowa nie znały właściwej odpowiedzi?

- Nie znam odpowiedzi, prócz tej, którą ci dałam. Ufasz Odonowi.

- Owszem, ale jest ktoś, kto moje zamysły lepiej przenika, na kim mogę polegać jeszcze pewniej niż na moich braciach, ktoś, kto jednoczy się ze mną i ciałem i sercem...

Matylda wsunęła się w jego objęcia, położyła mu głowę na ramieniu, oplótła go rękami. Była wzruszona.

Ale wiedziała, że jej zalety i zdolności - choć rzeczywiste - nie były jedynym, może nawet nie najważniejszym powodem jej nominacji. Matylda miała ojca, hrabiego Flandrii i regenta Francji. Zostawiając księstwo w rękach żony, Wilhelm zapewniał sobie dodatkowego opiekuna, którego potęga będzie do dyspozycji Matyldy, gdyby sama nie mogła sobie poradzić z ewentualnymi kłopotami.

## Rozdział 9

### DWIE INWAZJE NA ANGLIĘ

„Przysięgałeś przed dwoma laty... wzywam cię teraz do zrzeczenia się korony angielskiej i przekazania jej mnie oraz do poślubienia mojej córki Adelissy, co również zaręczyłeś... jeśli tak postąpisz, zapomnę o wszystkim, co zaszło od śmierci mego kuzyna Edwarda i na znak mej przyjaźni i dobrej woli zatwierdzę cię przy twoim dawnym hrabstwie Wessex...”

Tymi słowy pisał Wilhelm do Harolda króla Anglii, czekając na wiatr, sprzyjający armadzie.

- Chyba nie oczekujesz, że on się zgodzi? - spytała Matylda.

- Oczywiście, że nie. Ale odtrącając moją wyciągniętą rękę, Harold tym bardziej doda pozorów słuszności memu przedsięwzięciu w oczach innych władców.

List, doręczony przez specjalnego gońca, mocno Harolda zirytował. Sumienie mu dokuczało, bo jednak przysięgał na święte relikwie, chociażby nawet pod przymusem. Z tym większą złością wybuchnął:

- Ten normandzki bękart chciałby mną i moim królestwem rządzić, dyktować nam! Niech popróbuje! Będziemy gotowi go przyjąć!

Jego brat, Leofwine, przyznał mu rację:

- Nawet gdybyś się zgodził oddać mu tron, od czego Boże zachowaj, to na pewno niewiele wody upłynie, a Wilhelm wymyśli jakiś pretekst, by ci wyrwać Wessex, a ciebie samego i resztę rodziny skazać na banicję.

Niemniej jednak Harold na list księcia odpowiedział układnie. Przypomniawszy okoliczności, w jakich przysięgę składał, jak również, że elekcja na tron Anglii należy do prerogatyw Witanu. Zgodnie z ostatnią wolą zmarłego króla, Witan obrał królem jego, Harolda, i zobowiązał się go popierać. Co do Adelissy:

„Dla dobra moich poddanych i bezpieczeństwa mego królestwa poślubiłem Aldgytę, siostrę hrabiów Mer-cii i Northumbrii. Nie mogę jej odpędzić...”

Wiedząc już o zbierającej się armadzie normandzkiej, Harold fortyfikował, o ile tylko mógł, południowe wybrzeża Anglii. Słaba to była obrona i bardzo niepewna. System militarny Anglii był według ówczesnego europejskiego standardu przestarzały i niesprawny. Ustrój feudalny w tej formie, w jakiej istniał w Normandii, nie dotarł na wyspę. Moźnowładcy i ich prywatne wojska szli na pomoc królowi - o ile chcieli. Stąd po części znaczenie, jakie Harold przykładał do załagodzenia Edwina i Morcara. Nie było legalnego ani nawet zwyczajowego obowiązku, aby wieśniak walczył za swego pana, a ten znów za swojego lennego zwierzchnika.

Król posiadał niewielką armię zawodowych żołnierzy - zwanych „housecarles” - którzy szli za nim wszędzie, gdziekolwiek interes stanu, osobisty interes króla albo choćby jego kaprys ich skierował. Prócz tego, każdy zdolny do walki mężczyzna winien był w teorii stawać w obronie kraju, a zwłaszcza w obronie swego hrabstwa. Tego rodzaju pospolite ruszenie, powoływane niekiedy, nie wyćwiczone i bez broni, nosiło nazwę „fyrd”. Takie wojsko, nawet jeśli ożywione duchem patriotyzmu - co niekoniecznie się zdarzało, bo Anglosasi byli krnąbrni i samowolni - postawione oko w oko z doświadczonymi wojownikami Hardrady albo księcia Normandii, nie miało żadnych szans.

Nie mając jednak nic lepszego, prócz skąpych oddziałów swoich „housecarlów”, Harold w czerwcu powołał „fyrd” południowych hrabstw. Najlepsze, czego mógł się po nich spodziewać, to że będą opóźniali pochód najeźdźcy, utrudniali mu poruszenia, dopóki „housecarlowie” nie nadciągną i nie wybiorą pozycji do bitwy. Od czerwca do września roku 1066 obronne siły hrabstwa czuwały więc wzdłuż wybrzeży Sussexu i Kentu.

W tym czasie po obu stronach kanału La Manche rozpleniły się zabobony i wieści o nadprzyrodzonych zjawiskach. Na niebie świeciła kometa o długim, płomiennym ogonie. Mieszczanie i wieśniacy, Anglicy i Normanowie, wpatrywali się w nią z ulic i pól, zastanawiając się, co by też mogła wróżyć. Niektórzy widzieli w tym zjawisku znak przychylny dla siebie, inni odwrotnie. Księża i zakonnicy wysłuchiwali spowiedzi o od dawna zatajonych grzechach i zbrodniach. Harold i Wilhelm wchodzili, każdy u siebie na najwyższą wieżę zamkową, i każdy - może dlatego, że obaj byli urodzonymi wojownikami - dostrzegał w niebieskim zjawisku kształt miecza. Toteż król Anglii Oznajmił:

- Oznacza to, że Bóg chce, bym z mieczem, w ręku bronił mego królestwa i że Bóg wzmocni siłę mego ramienia.

A księżę Normandii:

- Oto zapowiedź, że Bóg pobłogosławi mnie, gdy mieczem będę odbierał to, co jest moim prawem.

Obaj, księżę i król, widzieli kometę. Ale tylko księżę otrzymał wiadomość o szykowanym przez Hardradę najeździe. Anglosasi nic o tym nie wiedzieli, a Normanów to nie zmartwiło.

- Skoro Norwegowie wylądują w Anglii - rozważał księżę - prawdopodobnie na północy, aby z Tostigiem łączność nawiązać, to ten wiarołomca Harold przeciw nim pośpieszy. Tym lepiej. Nam łatwiej przyjdzie wylądować na południu. A który by z nich dwóch nie zwyciężył, my i tak skorzystamy. Żaden nie będzie się kwapił do nowej wojny, a w najgorszym razie staniemy w obliczu wojska znużonego i wykrwawionego.

Już od sześciu tygodni armada i wojska czekały przychylnego wiatru. Trudne to były tygodnie i dla żołnierzy, i dla ich dowódców. Nic tak nie demoralizuje wojska jak bezczynność przed niebezpiecznym przedsięwzięciem. Dobrze świadczy o Wilhelmie jako wodzu, iż potrafił wówczas utrzymać dyscyplinę i prawie idealny ład w tym wojsku, którego tylko część winna mu była posłuch jako bezpośredniemu panu feudalnemu. Żołnierzy dobrze karmiono, nie potrzebowali rabować żywności, a okoliczni mieszkańcy, mężczyźni i kobiety, mogli oddawać się zwykłym zajęciom bez obawy, że będą molestowani - do tego stopnia, że tamtejsze niewiasty lekkiej konduity zapytywały, czy nie jest to przypadkiem wojsko eunuchów. Niesłychana to była rzecz, aby feudalne wojska, oderwane od własnych okolic, utrzymać w karbach.

Wciąż wyglądano wiatru z południa. Zamiast tego powiał wiatr zachodni, co skłoniło księcia do wydania rozkazu przeprowadzenia całej armady z ujścia Divy do ujścia Sommy, skąd bliżej było do upatrzonego miejsca lądowania w Anglii - Zatoki Pevensey, koło mia-

- sta Hastings. Statki przeszły na nowe lądowisko sprawnie i bez zakłóceń - nowy dowód talentu organizacyjnego wodza - i dnia 12 września cała armada znalazła się na nowych pozycjach.

Wilhelm lustrował flotę z uzasadnioną dumą. Wśród blisko tysiąca statków - małych i szybkich do obrony oraz ciężkich i dużych, jak na owe czasy, do przewozu - wyróżniał się jego okręt flagowy „Mora”. Dziób wyrzeźbiony na kształt lwa, heraldycznego symbolu książąt Normandii, a na rufie sporządzona ze szczerzego złota figura dziecka, trzymającego w jednej ręce róg a w drugiej proporczyk. Ze szczytu masztu powiewał sztandar, wyhaftowany zręcznymi palcami Matyldy i jej dam niebieskim jedwabiem na białym tle, z krzyżem ze złotych nici w samym środku.

Codziennie Wilhelm sprawdzał niektóre oddziały wojska i część statków. W zimno i niepogodę wolny czas poświęcał, jak pisze współczesny kronikarz Guy z Amiens, na wpatrywanie się w blaszany kurek na kościelnej wieży.

Gdy najeźdźcy doskonalili swe pozycje do wypadu, w Anglii sytuacja obronna się pogarszała. „Fyrd” hrabstwa Sussex stał na straży już cztery miesiące, chociaż powinność ich służby ograniczała się zwyczajowo do jednego miesiąca, jeśli nie toczyła się wojna. Ludzie ci nie znali, co to wojskowa dyscyplina, nie mieli też nad sobą feudalnych zwierzchników. Król nie mógł przebywać długo z nimi, by ich musztrować i zachęcać, bo obowiązki wzywały go gdzie indziej. Uskarżali się więc gorzko:

- Co będzie ze zniwami...?

- Opał na zimę czas już zbierać...

- Bydło nam pomarniej bez należytego starania...

- Co tam nasze kobiety porabiają?

Gdy prowiant się skończył, zabrali się do rabowania najbliższych wsi, ciemienia wieśniaków. Bardzo szybko znaleźli się wobec niewiast, widłami broniących swego dobytku. Wybuchaly też klótnie w wojsku. I wreszcie cały „fyrd” zaczął się rozłazić, wyciekać stopniowo, powracać do własnych domostw. Bezbronne brzegi Anglii stały otworem przed najeźdźcą.

Nawet w obozie normandzkim, jak wspomina inny ze współczesnych kronikarzy, Wilhelm z Malmesbury:

„... prości żołnierze szemrać poczynali, że trzeba być obłąkanym, by chcieć podbijać obcy kraj; że ojciec księcia też tego próbował i musiał ustąpić przed siłą wichury, zawrócony z drogi ręką Boga... że losem potomków Wielkiego Rollona było żywić wybujałe ambicje, które sam Bóg powściągał...”

Stojąc na wybrzeżu Wilhelm też przeklinał przeciwne wiatry i z trudem powstrzymywał się od bluźnierstw:

- Nie sposób, aby Bóg był po stronie wiarołomcy, który złamał przysięgę, złożoną na kości świętych pańskich! Więc dlaczego nie odwraca wiatrów? Bóg musi, musi, przyjść mi z pomocą...

‘Szemrania w obozie zataczały coraz szersze kręgi, coraz częściej też powiadano, że chyba Bóg i święci pańscy nie pochwalają wyprawy. A tymczasem Wilhelm otrzymał wieści, że ten sam wiatr, który blokował normandzką armadę w ujściu Sommy, przygnał Hardradę do wybrzeży hrabstwa York. Nawet niektórzy rycerze i kapitanowie - zwłaszcza ci, którzy nie byli wasalami Wilhelma - rozpowiadali, że wyprawa, chociaż na Anglię, chociaż z papieskim błogosławieństwem, najwidoczniej jednak nie cieszy się przychylnością jeszcze wyższej instancji. Bo przypuśćmy, mruclili, że Hardrada i Harold dojdą do porozumienia i wspólnie wystąpią przeciw normandzkiemu księciu?

151 -

Co wtedy? Hardrada ma dość statków, by zaatakować samą nawet Normandię i może tak uczynić, gdy jej najlepsi wojownicy wypłyną do Anglii.

Nie pozwalano sobie na szemrania w przytomności księcia, ale echa dotarły do niego. Najbardziej go zaniepokoiły obawy, oparte na przesłankach religijnych.

- Temu trzeba kres położyć - powiedział do swego najbliższego otoczenia. - Może ty, Odonie, znajdziesz sposób skierowania pobożnych uczuć twoich owieczek w inną stronę...

Biskup z Bayeux znalazł sposób.

Miasto u ujścia Sommy, gdzie zebrały się wojska inwazyjne, nosiło miano swego świętego patrona - St. Valéry. Następnego dnia po rozmowie z Wilhelmem relikwie świętego Waleriana wyniesiono z kościoła ceremonialnie, a szkatułkę z nimi obnoszono w procesji przed wojskiem, zgromadzonym na brzegu rzeki. Zanoszono modły i ofiary. Prości żołnierze klękali i modlili się z wielką nabożnością, ku



zadowoleniu księcia. Jak tego się spodziewali Wilhelm i Odo, żołnierze uznali, że święty Walerian, przynajmniej on, patronuje ekspedycji. Może tak i było, a może Wilhelm należał do tych, o których w wiele stuleci później wojenny geniusz z Korsyki mawiał: „Do zwycięstwa wódz winien mieć nie tylko talent i odwagę, ale również odrobinę szczęścia”. Bo oto najbliższej nocy po procesji i wystawieniu relikwii - wiatr skręcił na południowy.

Szemrania ustały. Teraz powtarzano sobie:

- Jednak Bóg jest po stronie naszego księcia...

- Święty Walerian wstawił się za nami...

- Aniołowie niebiescy będą teraz z pewnością obok nas walczyli...

Wilhelm, odetchnąwszy z głęboką ulgą, natychmiast wydał rozkaz:

- Zaokrętować wojska. Zaczynać z pierwszym brzaskiem dnia! Ani chwili do stracenia, bo znowu wiatr się zmieni!

Następnego dnia wieczorem wszystko było gotowe - dalszy dowód sprawnej organizacji księcia. On sam złożył dziękczynienie w kaplicy świętego Waleriana. W mroku olbrzymia flota zaczęła się poruszać: wiosła uderzyły o wodę, na maszty wybiegły z łopotaniem płótna żagli. Na każdym statku zawieszono latarnie, by uniknąć zderzeń czy też rozproszenia. Wszystkie wyszły z portu i rzuciły kotwice na redzie. Noc była smoliście czarna, bezksiężycowa. Książę wydał rozkaz wygaszenia latarni, by nieprzyjaciel nie mógł dostrzec armady i rozpoczęcia przeprawy przez kanał. Na czele szedł okręt flagowy „Mora”.

Wilhelm udał się do nadbudówki, specjalnie dla niego wzniesionej. Przy blasku migającej świecy ciemności dookoła wydawały się jeszcze czarniejsze. Podniecenie, napięcie, niepokój - odbierały mu sen.

Statki transportowe były duże, do trzydziestu metrów długości i od dziesięciu do piętnastu szerokości. Niektóre miały więcej niż jeden pokład, ale wszystkie były niskie, więc praktykowano podówczas sposób osłaniania się przed atakiem za pomocą tarcz umieszczonych na burtach. Wprawdzie galery te posiadały żagle, jednakże główną siłę napędową stanowiły wiosła. Załadowane konie i ciężko zbrojni ludzie, przygotowane do zmontowania części wież, obmyślonych przez księcia, prowiant, by wyżywić wojsko zanim zdołają opanować część Anglii i zdobywać żywność na miejscu - wszystko to bardzo obciążało galery. Poruszały się z wolna, niewygodne i niezwrótne, bo sterował nimi za pomocą jednego długiego wiosła stojący na rufie marynarz. Sklecono je pośpiesznie, małym kosztem; z całą pewnością nie oparłyby się poważniejszemu atakowi nieprzyjacielskich statków, budowanych do walki.

Równo z brzaskiem do księcia przyszedł kapitan „Mory”, Stephen Fitz-Erard, z posępną twarzą:

- Mości książę, jesteśmy sami. Ani jednego statku na horyzoncie.

Straszna chwila. Przemarznięty do kości, głodny Wilhelm poczuł ogarniającą go desperację. Czy okręt flagowy wyprzedził tak znacznie wolno idącą flotę? Czy też galery i transportowce zawróciły? Wilhelm dotknął woreczka z relikwiami, zawieszona na piersi. Na wpół rozmyślał, na wpół się skarżył:

- Gdzie są statki, żołnierze... przygoda, podbój, królestwo... skusiły mnie tylko po to, bym zaznał porażki, upokorzenia... Bóg czy diabeł?

Kapitanowi nie podobało się osamotnienie jego statku na nieprzyjacielskim morzu, więc przerwał posępne rozmyślenia:

- Czy mam nawrócić, mości książe? Szukać floty... choć nie wiem, gdzie miałbym jej szukać... albo wracać do...?

Wilhelm ochłonął, otrząsnął się, wyszedł z nadbudówki.

- Wracać!?! Nigdy! - wykrzyknął głośno, by wszyscy go mogli usłyszeć. Niezwyciężony, pobłogosławiony przez papieża i Boga nie może okazywać żadnej słabości oczom załogi. - Żeglujemy najlepszym statkiem. Oczywiście, prześcignęliśmy inne. Rzuć kotwicę, kapitanie, każ przygotować dla wszystkich gorący, obfity posiłek i wydać każdemu po kusztyku najlepszego wina z korzeniami. A zanim się posilimy, flota do nas dołączy!

W duchu modlił się gorąco do świętego Waleriana, aby rzeczywiście tak się stało. Jego rozkazy spełniono, ludzie pokrzepili się posiłkiem. Pod wpływem wina i coraz cieplejszych promieni słonecznych humory poprawiały się z każdą chwilą. I nagle z bocianiego gniazda rozległ się okrzyk:

- Cztery statki na horyzoncie, kapitanie!

Jeszcze wątpiono. Czy to czasem nie angielskie statki albo norweskie? Ale wkrótce znowu okrzyk:

- Maszty floty jak las na morzu!

Na okręcie flagowym podniesiono kotwicę i „Mora” poprowadziła całą armadę do zatoki Pevensey, do której zawinięto o dziewiątej rano w dzień świętego Michała - patrona, bardzo czczona w Normandii.

Książę, baronowie, rycerze i żołnierze wypatrywali oczy, by dostrzec, jaki opór ich czeka. Nie widać było ani jednego obrońcy. Najeźdźcy podejrzewali zasadzkę, jakąś gigantyczną pułapkę - nie wiedząc, że anglosaski „fyrd” znużył się czekaniem, ludzie trudnili się właśnie zbiorami i orką. A Harold ze swymi regularnymi „housecarlami” był o setki kilometrów stąd, na północy Anglii.

Co było jeszcze dziwniejsze i musiało zdumiewać Wilhelma, chociaż kronikarze jakoś milczą na ten temat - to nieobecność angielskich statków na kanale. Nikt nie próbował przeszkodzić przepływającej się armadzie. Co najmniej od IX wieku Anglia posiadała marynarkę wojenną, złożoną z dość licznych jednostek, które nawet niekiedy z powodzeniem odpędzały skandynawskich najeźdźców. Miasta na wybrzeżu a także

niektóre z miast położonych w głębi łądu, były zobowiązane - według praw miejskich i przywilejów dostarczać królowi okrętów. Co pewien czas ściągano również specjalne daniny na obronę wybrzeży. W okresie kiedy król Norwegii i książę Normandii, każdy ze swej strony, przedsiębrali inwazję na Anglię, rozmiary anglosaskiej floty bez wątplenia mogły stanowić poważną zaporę.

Oprócz jednostek wojennych Anglia, wraz z rozwojem handlu docierającego aż do portów Lewantu i północnej Afryki, miała zapewne więcej statków handlowych od innych państw europejskich. Ujścia Tamizy i większych rzek zapępniały statki wszelkich rodzajów i rozmiarów. A to również oznaczało, że wielu doświadczonych żeglarzy można by zwerbować, choćby pod przymusem. Ówczesne statki handlowe, po minimalnej adaptacji, nadawały się do walki na morzu. Były powolne, ale powolna również była armada normandzka.

Jakim więc sposobem Wilhelm nie napotkał, jak się zdaje, żadnych przeszkód w przeprawie przez kanał? Odpowiedzią jest znowu przestarzała i nieudolna organizacja obrony w Anglii. Harold panował dopiero od kilku miesięcy i nie czuł się jeszcze zbyt pewny na tronie. Taka sprawność, jaką „Wilhelm zaprowadził w Normandii, wymagała czasu. Gdyby mu dany był ten czas, a także lojalne poparcie hrabiów, Harold mógłby zapewnić Anglii większe bezpieczeństwo i lepszą obronę. Ale czasu nie miał, a poparcie jego hrabiów wciąż stało pod znakiem zapytania.

Istniało w Anglii zwyczajowe prawo, pozwalające marynarzom wracać do domów na święto narodzin Najświętszej Marii Panny, które wypadło na trzy tygodnie przed wypłynięciem armady normandzkiej z portu St. Valéry. Pretekstem tego prawa była religia, ale jego funkcje miały znaczenie praktyczne. Odpoczywający marynarze z reguły pomagali przy zbiorach i przygotowaniu opału na zimę. Gdyby wiedzieli o bliskim już zagrożeniu swego kraju, niewątpliwie pozostaliby na okrętach. Nie poinformowano ich - jeszcze jeden dowód nieudolności organizacyjnej w przygotowaniu do obrony - więc siedzieli w swych domostwach, rąbiąc drewno. Skoro tylko rozeszła się wieść o wylądowaniu Wilhelma, wszyscy żeglarze pośpieszyli do portów i pod wodzą dwóch nieślubnych synów królewskich, Godwine'a i Edmunda, pożeglowali do Irlandii, by okręty nie wpadły w ręce najeźdźcy.

Tak więc ani marynarka, ani „fyrd”, czyli pospolite ruszenie, ani też regularne oddziały królewskich „housecarłów” nie znalazły się tam, gdzie mogłyby przeszkodzić lądowaniu Wilhelma - w zatoce Pevensey.

Z początkiem września, kiedy normandzka armada stała jeszcze w ujściu Divy, król Norwegii Hardrada wyruszył z fiordu Sogne koło Bergen i pożeglował na zachód, do wysp Orkadów i Szetlandów, które były wówczas w jego władaniu. Tu zaokrętował posiłki i skierowawszy się na południe, połączył się z Tostigiem, który miał niewielką liczbę najemników ze Szwecji. Najeźdźcy weszli w ujście rzeki Humber, na granicy

między hrabstwami York i Lincoln. Wylądowali na północnym brzegu rzeki, nie napotykając prawie żadnego oporu, po czym Hardrada z Tostigiem pomaszerowali na York. O trzy kilometry przed miastem, w Fulford, rozproszyli miejscowy „fyrd” - kiepskich, wojaków pod dowództwem hrabiów Edwina i Morcara. Zamierzając owoładnąć tę część Anglii, Tostig nie pozwolił norweskiemu królowi złupić miasta York.

Tymczasem król Harold, powiadomiony o najeździe na północy, pomaszerował jak najspieszniej starym rzymskim gościńcem z Londynu do Yorku na czele swoich „housecarłów”, zagarniając po drodze ludzi zdolnych do walki, ilu tylko zdołał.

- Będziemy szli dniem i nocą - zapowiedział. - Bo pod naszą nieobecność Wilhelm z Normandii może wylądować na południu. I będziemy mieć dwóch najeźdźców na raz do wypędzenia z Anglii.

Pochód Harolda był rzeczywiście jak na owe czasy nadzwyczaj szybki. W pięć dni zaledwie po klęsce Edwina i Morcara król wczesnym rankiem zaskoczył siły norweskie przy moście Stamford na rzece Derwent, o parę kilometrów na wschód od Yorku. Nieprzyjaciel rozmieścił wojska częściowo na lewym brzegu rzeki, częściowo na prawym. Harold, chociaż ludzi miał pomęczonych forsownym marszem, poprowadził ich od razu do ataku na Norwegów, którzy na prawym brzegu wypoczywali, jedli i pili, zupełnie nieprzygotowani. Zaskoczonych zapędził do rzeki.

Złapawszy oddech w piersi, Harold zastanowił się, jak teraz zawładnąć mostem. Tostig wysłał do swego królewskiego brata gońca z żądaniem, by oddał koronę Hardradzie. Northumbria miała przypaść Tostigowi, a Wessex Haroldowi. Król odpowiedział listem w tonie raczej pojednawczym.

„Synom tej samej matki walczyć przeciw sobie nie przystoi. Ja nie żądam od ciebie, mój bracie, byś obrócił swój oręż przeciwko twemu przyjacielowi Hardradzie, lecz byś wycofał się z bitwy, a przyrzekam nadać ci ziemię i godność hrabiego.” Z kolei ustęp, bynajmniej nie pojednawczy, pod adresem króla Norwegii: „Co do Hardrady, mogę mu ofiarować ziemię angielskiej całej siedem stóp”.

Była to przymówka do wysokiego wzrostu Hardrady-, liczył ponad dwa metry. Na takie posłanie nie było już dalszej odpowiedzi. Edwin i Morcar, dowiedziawszy się o przybyciu Harolda, przyłączyli się do niego ze swoimi pocztami. Wzięcie mostu opisuje kronikarz Opactwa Benedyktynów w Abingdon w sposób dość pobieżny i bezceremonialny:

„Stał tam pewien Norweg, który się Anglikom opierał tak, że nie mogli przez most się przedostać. Więc jeden z Anglików strzelił do niego z łuku, ale bez skutku. Wtedy drugi przelazł pod mostem i cios mu zadał prosto w członek wstydlawy, pod drucianą zbroicą? a wtedy Harold, król angielski, przeszedł przez most i jego wojska wraz z nimi.”

Na Norwegów i Szkotów na drugim brzegu przypuszczono wściekły atak. Dzień był gorący. Anglicy, lekko odziani, mieli tylko skórzane kubraki dla osłony. Norwegowie, w ciężkich zbrojach, męczyli się w upale. Bitwa toczyła się przez cały dzień, ale angielscy mnisi nie przekazali nam szczegółów - znali się lepiej na zastępach niebieskich niż na ziemskich wojskach - prócz informacji, że późnym popołudniem strzała przeszła gardło Hardrady, a gdy Norwegowie ujrzeni, jak ich olbrzymi wódz padał, stracili ducha i ponieśli zupełną klęskę. Tostig zginął również od ciosu topora wojennego - jedni powiadali, że zabił go Harold, inni, że Morcar. Tak zakończyła się angielskim zwycięstwem ostatnia wielka bitwa w toczącej się od trzech stuleci walce między Skandynawami i Anglikami.

Zamiast się radować, król, który tym zwycięstwem dowiódł, że był jednym z najdzielniejszych wojowników i najzdolniejszych wodzów w północnej Europie - siedział tej nocy przed ogniskiem ze spuszczoną głową, rękoma wsparty o kolana. Byli z nim jego bracia Gyrth i Leofwine, którzy dnia tego walczyli równie dzielnie, jak i on. Harold powiedział posępnie:

- Dziękować Bogu, my trzej jesteśmy zdrowi i cali. Ale biedny Tostig!

- Gdyby żył, prędzej czy później znowu biedy by nam napytał - odparł realistycznie Gyrth. - On ci zawsze zazdrościł. Nigdy byś od niego nie był bezpieczny.

Harold bez słowa owinął się w płaszcz i legł na ziemi. Sen nie nadchodził, a o świcie król wstał i poszedł przyłączyć się do tych, którzy między stosami norweskich trupów mieli odnaleźć zwłoki jego brata. Gdy je znaleziono, kazał wyprawić Tostigowi należyty pogrzeb. I surowym głosem dodał:

- Przynieście również Hardradę. Obiecałem mu siedem stóp angielskiej ziemi i będzie je miał.

Ci z Norwegów, którzy ocalili w bitwie pod mostem Stamford, zostali odesłani do kraju. A tak ich było mało, tak wściekły był atak Anglików, że z trzystu statków, które przywoziły najeźdźców, tylko dwudziestu czterech potrzebowano, by odwieźć pozostałych przy życiu. Żołnierze Harolda dowiedli swego męstwa. Gdyby najeźdźcy z południa wiedzieli, jaką rzezią zakończyła się próba najeźdźców z północy, serca w niektórych piersiach może by zadrżały.

Edwin i Morcar wyprawili w Yorku wielką ucztę na cześć odniesionego zwycięstwa. Harold musiał do niej zasiąść, chociaż wciąż jeszcze strapiony śmiercią Tostiga. Ci dwaj bracia od dawna się kłócili, ale sumienie Harolda, już obciążone złamaną przysięgą, gnębiło go przeświadczeniem, że stał się ostateczną przyczyną śmierci Tostiga. Trapił się też pytaniem:

- Co na południu? Gdzie jest Wilhelm z Normandii?...

Gdy uczta dobiegała końca, otrzymał odpowiedź na te pytania. Lojalny wieśniak, jadąc dniem i nocą z drugiego krańca Anglii, przyniósł wieści, że księżę Normandii z

liczną flotą i wojskiem, wybornie wyekwipowanym, wylądował dnia 29 września w zatoce Pevensey, a teraz grabi i plądruje okolicę.

Anglosaskich mieszkańców nie było nigdzie widać, gdy żołnierze Wilhelma wychodzili brodząc na brzeg Najpierw łucznicy i kusznicy, aby odeprzeć ewentualny atak, gdyby jednak nieprzyjaciel się pojawił; następnie rzemieślnicy: cieśle, kowale, kaletnicy, kucharze; wreszcie rycerze i baronowie. Kilku kapitanów zostało na pokładzie razem z księciem, by dopilnować wyładunku części prowiantu i koni, a trudne to było zadanie, ponieważ zwierzęta musiały przepłynąć kawałek do brzegu. Przez ten czas Robert Mortain kierował wznoszeniem obronnych wież drewnianych i palisady. Wilhelm nigdy nie ryzykował zaskoczenia. A swoją drogą dobrze się stało, że budujący nie wiedzieli, iż wznoszą swoje umocnienia dokładnie na miejscu starej rzymskiej fortecy, której garnizon przed wiekami Anglicy wycięli w pień.

Wreszcie sam książę zszedł na ląd. Idąc po piaszczystym wybrzeżu, rozpostarł szeroko ramiona i wykrzyknął z patetycznym aktorstwem, godnym późniejszego króla angielskiego, Henryka Piątego:

- Anglia, nareszcie Anglia! Moja Anglia! Normandzka Anglia!

Nie patrzył gdzie idzie wymawiając te słowa, potknął się i upadł. Ci, co to widzieli, zamarli w przerażeniu. Doszukiwano się wszędzie wróżb i znaków. Jaką katastrofę przepowiada taki upadek?

Wilhelm znał ich przesady i zabobony - czyż i on sam nie wierzył w woreczek z relikwiami, który nosił na szyi? Obawy należy z miejsca uciszyć. Podniósł się na kolana i ujmując obiema garściami piasek, zawołał:

- Patrzcie! Patrzcie wszyscy! Oto Bóg sam daje mi Anglię w ręce! Nigdy ziemi angielskiej nikomu nie oddam!

Żołnierze wybuchnęli hałaśliwymi wiwatami. Bystry umysł Wilhelma obrócił przesady na własną korzyść.

## Rozdział 10

### BITWA, KTÓRA ZMIENIŁA BIEG HISTORII

Wilhelm wysłał jeden ze stateczków do Matyldy z wiadomością o pomyślnym wyładowaniu wojsk.

„... Twój cudowny podarunek, nieoceniona „Mora” całą flotę prześcignęła. Pięknie żegluje. Czuję się na pokładzie tak bezpieczny, jakbym po łądzie chodził... Na razie nawet jedną parą wideł nam nie pogrożono. Będziemy tutaj nieprzyjaciela oczekiwać. Żadnych wieści ani o nim, ani o Norwegu zasięgać nie możemy, bośmy do tej pory żywej duszy nie widzieli. Ale wcześniej czy później Harold popróbuje się z nami. O wynik się nie obawiam, a skoro tylko angielską koronę na głowę nałożę, pośpieszę do ciebie, której kochanie nawet ponad ambicję wyżej cenię i za której objęciami tęsknię...”

W rzeczywistości Wilhelm nie oczekiwał nieprzyjaciela. Wprędce się zorientował, że Pevensey nie będzie najlepszą bazą do operacji militarnych.

- Brak budowli nadających się dla nas - zdecydował. - A prócz tego, mniej tu okazji zdobycia wieści o poczynaniach Harolda niż w jakiejś ludniejszej okolicy.

Wysłał zwiadowców, by spenetrowali bliższe i dalsze sąsiedztwo. Z ich relacji wynikało, że w pobliskim miasteczku Hastings znajdują się znośne kwatery dla księcia i jego otoczenia. Wybrawszy się osobiście do Hastings, Wilhelm uznał, że to odpowiednia miejscowość i przeprowadził się tam z całym wojskiem. Statki przepłynęły za nimi wzdłuż wybrzeża.

Mieszkańcy Hastings, posępni, wystraszeni, nie witali przybyszów gościnnie, ale wypełniali ich żądania. Książę wydał rozkaz, by nie molestować mężczyzn ani kobiet.

- To będzie nasz kraj - mówił. - Nie jako najeźdźcy, grabieżcy i gwałciciele przybyliśmy, lecz by kraj podbić i tu pozostać. Dopóki ludność nie zdradza wrogości i nasze żądania spełnia, dopóty my się będziemy do nich odnosić z przystojną powściągliwością. Będzie dość czasu na ujęcie ich w żelazne kluby, jeżeli nam dadzą opór.

Usypano nowe fortyfikacje ziemne i wzniesiono na nich drewniane wieże, które miały służyć jako spichlerze, kuchnie i miejsce wojennych narad. A gdy wszystkie ładunki przeniesiono na ląd, książę zaskoczył niepomału swoich stronników i żołnierzy: wydał rozkaz spalenia wszystkich statków, prócz „Mory” i paru okrętów wojennych. Marynarzy zabrano na ląd, część uzbrojono i wcielono do piechoty, część wzięto do strażowania przy taborach i do posług. Całe wojsko zebrało się na wybrzeżu, by przyglądać się olbrzymiemu pożarowi. Gdy ostatnie płomienie z sykiem zamierały, Wilhelm oznajmił donośnie:

- Nie ma odwrotu. To, co nam mogło do wycofania się posłużyć, sami na pastwę płomieni oddaliśmy. Możemy tylko iść naprzód, by zwyciężyć lub zginąć!

Paru spośród ofiarodawców, których kosztem budowano statki, osłupiało na widok marnotrawstwa, jednakże większość wierzyła w zwycięstwo tak niezachwianie, jak i sam Wilhelm. Tylko zaciężna piechota szemrała po trochu, ale nikt ich nie słuchał. Szansa ujrzenia jeszcze raz pozostawionych w kraju rodzin - zawisała teraz od absolutnej solidarności i posłuchu wobec zwierzchników.

Przywiezione statkami zapasy żywności nie mogły starczyć na długo. Rozesłano po prowiant podjazdy po całym hrabstwie Sussex. Ziemianie i wieśniacy bardziej się początkowo opierali niż mieszczanie w Hastings, zabito więc kilku, by innych nauczyć uległości. Ale nadal oddawali bydło, owce, siano, ziarno ze, świeżych zbiorów tylko pod groźbą mieczy. Podjazd Normanów pod wodzą Roberta Mortain napotkał nieulekłe-go chłopca o włosach przyprószonej siwizną, który powiedział szyderczo:

- Długo tu nie zabawicie! Była wielka bitwa tam na północy, w Northumbrii.

- A kto zwyciężył? - dopytywali się Normanie. - Wszystko jedno, kto! - odparł wieśniak. - Czy to nasz król, czy też Hardrada. Zwycięzca wprędce tu nadciągnie, by się z wami rozprawić.

Za informację przeszyto go mieczem. Powtórzywszy słowa wieśniaka bratu, Robert dodał:

- Prawdę gadał czy łgał... sam nie wiem.

- Chyba prawdę - rozważał Wilhelm. - A tak czy siak, nadal nie wiemy, z kim nam przyjdzie walczyć: z Norwegami czy z Anglosasami? Wolałbym z Haroldem. Mam z nim dawne porachunki do załatwienia.

- Czy ruszymy im naprzeciw, kimkolwiek są? - pytał William fitz Osbern.

- Nie, nie! - zawołał książę. - Nie wiadomo, z której strony nadciągną. A jeśli to Anglicy, tedy będą znali okolice lepiej od nas, mogą zasadzki urządzać, napadać i urywać nasze wojska po trochu. Musimy cierpliwie na nich wyczekiwać. Im dłużej maszerują, tym bardziej się zmęczą, tym mniej będą mieli zapału do walki. Tutaj ich zniszczymy i tego krzywoprzysięcę, samozwańczego króla!

164 Przy moście stamfordzkim również omawiano ryzyko zmęczenia żołnierzy długim, spiesznym pochodem. Brat Harolda, Gyrth nalegał:

- Niechaj Norman tu do nas przyjdzie, jeśli się poważy! Po drodze miejscowe „fyrdy” będą mu dogryzać, osłabiają jego siły. Natomiast jeśli my na południe pośpieszymy...

- ... to nie stracimy żołnierzy, lecz zyskamy, bo po-drodze nowi ochotnicy do nas się przyłączą - przerwał mu Harold. - Co więcej, gdyby Winchester, Londyn i inne miasta na południu i w hrabstwach środkowych poddały się Wilhelmowi, źle by nasza sprawa



wyglądała. A słabo są teraz bronione. I w czasie pochodu Normanowie mogliby siłą werbować mężczyzn, którzy nasze szeregi powinni zasilić.

Decyzja spieszego pochodu przeciwko najeźdźcy nie była pozbawiona słuszności. Gdyby z resztkami swoich „housecarlów”, pozostałymi przy życiu po bitwie, Harold siedział o setki mil od jeszcze większego niebezpieczeństwa, zagrażającego jego tronowi - mogłoby to się wydawać tchórzostwem, a nawet wydaniem królestwa na łaskę Normanów.

Edwinowi i Morcarowi - w dobrych stosunkach z królem, od kiedy poślubił ich siostrę - polecono dokonać świeżych zaciągów w ich hrabstwach.

- Wasze dalsze poczynania będą zależały od rozwoju wypadków - powiedział im Harold. - Zanim zbierzecie ludzi, ja już będę szedł na Normanów. Ale nie wiadomo, czy oni czekają na mnie tam, gdzie są teraz, czy pomaszerują na Londyn albo Winchester. Jeśli ruszyli z miejsca, pośpieszajcie, by się ze mną połączyć; jeśli zaś siedzą w Pevensey, wynik bitwy zadecyduje, co dalej macie robić. W razie mojej porażki - od czego niech Bóg zachowa i czego się nie obawiam, zwłaszcza po naszym ostatnim zwycięstwie - nie puście Normanów na ziemi Mercii i Northumbrii. Będę do was gońców słał z każdą wiadomością, jaką sam zdobędę.

Bez zwłoki Harold ruszył w ponowny forsowny pochód, po drodze w miarę możliwości zapelniając luki w szeregach, poniesione w krwawej bitwie przy Moście Stamfordzkim. Jednakże ludzie, których mógł zwerbować, choćby i gotowi oddać życie w obronie wolności, nie byli ani tak wyćwiczeni, ani zdyscyplinowani, jak zdziesiątkowane obecnie oddziały „housecarlów”. Dotarłszy do Londynu, Harold zastał tam wyczekującego nań wysłannika od Wilhelma z ironicznymi gratulacjami z powodu „wiktorii, jaką odniosłeś nad Norwegami”. W dalszym ciągu książę pisał:

„Wszelako nie popełniaj błędu mniemając, iż ja i moje wojska trzęsiemy się ze strachu przed tobą i że opuścimy te brzegi, na które z łaski Boga przychylny wiatry nas przyniosły. Na potwierdzenie moich intencji mogę ci donieść, że rozkazałem spalić moją armadę... Mnie cierpliwości nie brak, Haroldzie z Wessexu (królem Wilhelm swego nieprzyjaciela nie tytułował) i będę czekał twego przybycia tu, w Hastings, gdzie rozstrzygniemy nasz spór sposobem najlepszym dla nas obu, a Bóg wzmocni ramię sprawiedliwego...”

Była to świadoma prowokacja przebiegłego wodza.

Dla Harolda może byłoby lepiej, gdyby posiadał cierpliwość w tej samej mierze co Wilhelm. W podobnym położeniu książę bez wątpienia czekałby na swego adwersarza w Londynie lub przynajmniej w pobliżu stolicy, licząc na to, że pochód najeźdźców w głąb kraju obudzi patriotyczne uczucia ludności i podwoi lub potroi liczbę obrońców. Spaliwszy swoje statki, Wilhelm musiałby w końcu zdecydować się na marsz. Jednakże natura Harolda nie wyposażyła go w wytrwałość w czekaniu. Zawsze rwał się naprzód,

by jak najszybciej stawić czoła wrogom. W przeszłości taka taktyka dobrze mu służyła, ale tym razem miał się spotkać z najwybitniejszym wodzem zachodniej Europy. W odpowiedzi na nalegania braci i innych wielmożów, by przynajmniej doczekał przybycia Edwina i Morcara ze świeżymi zaciągami, Harold rzekł:

- Musimy pobić tego bezczelnego Normana, pobić raz na zawsze i bez żadnej zwłoki. A wtedy, po dwóch wielkich zwycięstwach, nic już nie zagrozi ani mnie, ani memu królestwu.

Wniosek prawidłowy, ale wyciągnięty na podstawie założenia, słusznego tylko w połowie.

Mieszkańcy Londynu - a było ich podówczas prawdopodobnie poniżej dwudziestu tysięcy - lojalnie i bez nacisku wystawili dla obrony kraju liczny oddział żołnierzy pod dowództwem niejakiego Ansgara. Oddziałowi przyznano zaszczytny przywilej obrony królewskiej osoby i sztandaru w przyszłej bitwie. Z tymi posiłkami Harold, wysławszy gońca do hrabiów Edwina i Morcara z naleganiem na pośpiech, pociągnął dalej na południe i wszedł w granice hrabstwa Sussex. Jego żołnierze byli uzbrojeni w kolczugi i hełmy, miecze i dzidy, a także tarcze, zaokrąglone od góry, zwężające się w ostry szpic ku dołowi. Nowo zaciężni pospolitycy z „fyrdu” nosili tylko kubraki i tarcze skórzane dla osłony, ich broń stanowiły czasem miecze albo piki, ale najczęściej oszczepy i tak zwane duńskie topory - o długich trzonach i wyszlifowanych jak brzytwy ostrzach. Kogo stać było na kupno konia, jechał wierzchem, ale walczyli zwykle pieszo. Bardzo niewielu miało łuki, mniej stosunkowo niż w wojsku normandzkim. Dopiero nadejść miały dni, kiedy Anglicy zasłyną jako najwyborniejsi łucznicy w całej Europie.

Wieczorem 13 września Harold, jadący z braćmi i kilku rycerzami przed wojskiem, przybył do okolicy zwanej Senlac, o jakieś dziesięć kilometrów na północny-zachód od Hastings. Były tu wzgórza ciągnące się długim grzbietem do wysokości stu metrów, niezamieszkałe, pustynne, kamieniste i pocięte wielu strumykami.

- Zatrzymajcie wojska i każcie rozbić obóz - powiedział król. - Niech się ludzie dobrze tej nocy wyśpią. Potrzeba im sił, bo tu stoczymy bitwę z księciem Normandii, który ponoć, jak w Londynie powiadali, ma ze sobą kwiat zachodniego” rycerstwa. Oby Edwin i Morcar mogli rankiem przyłączyć się do nasi Oby się pośpieszyli!

Wszyscy Anglicy, włącznie z Haroldem, bardzo potrzebowali odpoczynku. Minęło dziesięć dni, od kiedy opuścili okolice York: dziesięć dni nieprzerwanego, forsownego marszu.

Król dobrze wybrał pole bitwy. Położenie nie pozwalało Wilhelmowi przesunąć wojsk ani na wschód ani na zachód bez odsłaniania własnych baz. Musiał więc wydać bitwę, czego Harold sobie życzył. A wzgórza Senlac doskonale się nadawały do statycznego oporu, który był jedyną dla Anglików metodą odpowiedzi na ataki normandzkiej jazdy - walczącego ramienia feudalizmu, mało znanego w wyspiarskim

królestwie. Żołnierze angielscy słynęli jako świetni obrońcy wyznaczonych pozycji. Ale brak jazdy i łuczników przemawiał na niekorzyść Harolda.

Nieprzyjacielscy zwiadowcy śledzili, jak wojska Harolda rozbijały obozowisko na wzgórzach, po czym pośpieszyli z powrotem do Hastings. Wilhelm wysłuchawszy doniesień, zasiadł do napisania kolejnej epistoły do swojej księżny:

„... nieprzyjaciel nadciągnął, jest tak blisko, że nieomal go widzieć możemy. Harold wybrał miejsce bitwy. Wolałbym wybierać sam, ale on mi chytrze możliwości wyboru nie zostawił. A więc jutro! Ośmielam się przyrzec ci, że w dniu jutrzejszym zdobędę dla ciebie dar, który będzie cię wart: diadem królewski... Moje serce bije tylko dla ciebie. Każdy cios, który moja ręka zada, będzie przybliżał chwilę mego powrotu w twoje objęcia...”

Rankiem Harold rozstawił swoich żołnierzy - było ich pięć lub sześć tysięcy - w ciasnym szyku wzdłuż grzbietu wzgórz, półkolem, oba skrzydła cofnięte, by się przeciwstawić atakom na flanki i wyzyskać w pełni naturalną osłonę pagórków. Najlepszych ludzi, swoich „housecarlów”, umieścił w pierwszej linii, gdzie tworzyli tarczami nieprzebyty mur. Mniej doświadczeni rekruci stanęli tuż za nimi. Wszystkich pouczono, aby za żadną cenę nie pozwolili na wyłom w szykach. W tym rozmieszczeniu wojska kryje się już załążek przyszłych „kwadratowych formacji”, zastosowanych w siedemset pięćdziesiąt lat później przez księcia Wellingtona przeciw wiarusom w bitwie pod Waterloo. W najwyższym punkcie wzgórza król zatknął swój sztandar, a wokół niego zgromadzili się londyńczycy z Ansgarem.

Gdy Anglicy zajmowali wyznaczone pozycje, Wilhelm prowadził swoje wojska londyńskim gościńcem, w poprzek którego rozstawili się żołnierze Harolda. Najeźdźcy nie przewyższali liczebnie obrońców, ale każdy z nich był doświadczonym, wytrawnym wojownikiem. Natomiast ludzie Harolda, w większości wieśniacy, zręczniejsi władali widłami i łopatą niż mieczem i dzidą. Normanowie byli uzbrojeni podobnie jak Anglicy, tylko mieli kopie zamiast dzid, no i łuki.

Naprzeciw Senlac znajdowało się drugie wzgórze, na którego zboczu, odleglejszym od Anglików, Wilhelm czekał, aż nadciągną wszystkie jego oddziały, bo pochodu w ścisłym szyku jeszcze nie praktykowano. Następnie ustawił wojsko do bitwy: w pierwszej linii lekkozbrojna piechota, za nimi łucznicy i procarze - ci mieli zasypywać obrońców Senlac chmurami strzał i gradem różnych pocisków, jak ostre kamienie, ułamki metali, by zmusić ich do złamania szyków i ułatwienia ataku jeździe - na tyłach zaś oddziały konnych rycerzy, najliczniejsza część wojska normandzkiego.

Gdy Normanowie ukazali się ponad wzgórzem oczom Harolda, widać było, że idą trzema zgrupowaniami. Wilhelm prowadził środek: wokół niego miał się skoncentrować najgorętszy wir walki. Zamiast sztandaru jego księstwa, z kroczącymi lwami, powiewała nad nim chorągiew papieska. Wilhelm miał nadzieję, że zastraszy w

ten sposób chrześcijańskich chłopków Harolda; że poczują się, jak niewierni w obliczu krzyżowców. W tym się zawiódł. Na lewym skrzydle szli głównie Bretończycy, na prawym - ochotnicy z Francji.

Dwaj wodzowie, których armie stanęły teraz przeciw sobie, w walce wręcz byli zapewne wojownikami mniej więcej równymi sobie. Wilhelm miał reputację lepszego taktyka, tym razem jednakże nie widział możliwości wykorzystania swoich talentów z powodu wybranego przez Harolda pola bitwy. Wiele ze swoich świetnych zwycięstw książę odniósł dzięki zimnej krwi i cierpliwości, wyczekując na chwilę nieuwagi przeciwnika, by przypuścić niespodziewany, druzgocący atak. W bitwie, nazwanej później przez historyków bitwą pod Hastings, Wilhelm nie miał wyboru: musiał atakować od razu. Takie bitwy rozstrzygało starcie zmasowanych wojsk, bez manewrowania, nawet ze strony atakującego. Wpływ wodzów na przebieg walki ograniczał się głównie do osobistego przykładu i do ich umiejętności natchnienia ludzi nowym zapałem w chwili krytycznej; ale i tutaj można było wykorzystać błąd wroga albo osłabienie na jakimś odcinku jego szeregów.

Tego dnia - 14 października 1066 roku - jedyną przewagą po stronie Harolda była dobrze przez niego wybrana pozycja defensywna. Liczebność obu wojsk - o ile można się zorientować z niedokładnych i niejednokrotnie sprzecznych kronik - nie przekraczała sześciu tysięcy po każdej stronie. Szansa zwycięstwa polegała dla Harolda na utrzymaniu niezachwianego szyku, dopóki atakujący nie wyczerpią swych sił. To wymagało dyscypliny - a któż mógł polegać na dyscyplinie tych właściwie zupełnie nie wyćwiczonych wieśniaków?

Była już godzina dziewiąta rano, gdy Wilhelm rozkazał ruszyć do ataku. Harold po raz ostatni obejrzał się jeszcze za siebie, na północ, choć właściwie nie mógł się spodziewać, że zobaczy nadciągające posiłki pod wodzą Edwina i Morcara. To odwrócenie głowy było tylko wyrazem spóźnionego żalu, że nie dodał do swych sił owych świeżo zwerbowanych ludzi. Bardzo niepewny był wynik rozpoczynającej się bitwy. Ale żalowanie tego, czego zabrakło, nawet z jego własnej winy, nie leżało w charakterze Harolda. Wzruszył ramionami i powiedział:

- Amen. Nasza liczba żołnierzy powinna wystarczyć do zwycięstwa. A niejeden mieszkaniec północnych hrabstw, któryby poległ tutaj, powróci zdrów do domu.

Gdy wojska normandzkie schodziły niezbyt wyrównanymi szeregami ze wzgórze naprzeciw Senlac, przed pierwszą linię wybiegł wyzywająco młody żongler i minstrel, nazwiskiem Taillefer, w biegu wyrzucając do góry i chwytając z powrotem swój miecz. Grupa angielskich harcowników dopadła go i chociaż jednego z napastników rozplątał mieczem, a drugiego położył ciosem, uzbrojonej pięści - jednak padł. Pierwsze ofiary dnia.

Łucznicy normandzcy ślali strzały za strzałami na obrońców, a ci w odpowiedzi ciskali oszczepy, rzucali pozbieranymi na wzgórzu kamieniami. Jazda ruszyła przedzierając się pomału pomiędzy łucznikami, ich impet hamowany był koniecznością Wspinania się pod górę. Anglicy czekali ataku za tarczami, rzucając kamienne młoty w konie, gdy już zbliżyły się dostatecznie.

„Housecarlowie” za murem swoich tarcz stali twardo, nieporuszeni. Topory wojenne w potężnych, muskularnych ramionach rozplątały niejednego hełm normański razem z czaszką pod nim. Na lewym skrzydle Bretończycy zachwiali się, cofnęli, zawrócili, wywołując zamieszanie w centrum sił normandzkich. Część Anglików, wbrew poprzednim rozkazom Harolda i obecnym nawoływaniom, by stać w miejscu, złamała szeregi i puściła się w pogoń za nieprzyjacielem w dół zbocza. Jazda umknęła łatwo, ale wielu poprzewracało się z końmi na samym dole, gdzie niespodziewanie natknęli się na niewidoczny z dala, kamienisty jar. Czeladź przy taborach za liniami wojsk normandzkich wpadła w panikę. Odo de Bayeux z trudem ich uspokoił.

W ogólnym zamieszaniu zraniono konia pod Wilhelmem, który nie brał udziału w ataku. Książę spadł. Zerwał się okrzyk rozpacz:

- Książę zabity!

Ale Wilhelmu nic się nie stało. Pochwyił przebiegającego konia bez jeźdźca, dosiadł go i unosząc wysoko swój hełm nad głowę, krzyknął potężnym głosem:

- Głupcy! Tchórze! Nie wystawiajcie pleców na angielskie dzidy! Zawracać i walczyć! Za mną!

Trudno było wykonywać skomplikowane manewry, ale Normanowie mieli przewagę ruchliwości, gdy Harold mógł tylko stać pod swoim sztandarem, zadając ciosy tym z normandzkich rycerzy, którzy się przedarli przez mur z tarcz - i klnąc, ponieważ nie słucha-’ no jego rozkazów.

Ucieczkę Normanów powstrzymano. Zawstydzeni rycerze zawrócili i wycięli w pień wszystkich ścigających. Energia i zimna krew Wilhelma przekształciły chwilową porażkę w cenny sukces, dodając ducha jego wojownikom. Siły Anglików zostały uszczuplone o wielu najdzielniejszych żołnierzy, zalegających pokotem zbocze, tratowanych kopytami normandzkich wierzchowców. I wtedy to książę dostrzegł możliwość podstępu, w razie potrzeby bardzo użytecznego.

Najeźdźcy uformowali na nowo szyki i ruszyli do ataku, tym razem prowadzeni osobiście przez Wilhelma. Anglicy, pod gradem przekleństw i szturchańców Harolda i jego braci, zwarli znowu szeregi, tworząc ów nieprzebyty mur - forma obrony stara jak wojna, a jednak mało znana Normanom. Jazda atakowała, ich książę w gęstwinie bitwy, tnąc i siekąc razem z nimi, baczenie czuwał, by w porę hamować wszelkie oznaki chęci odwrotu, w czym mu dzielnie sekundowali brat przyrodni Robert, fitz Osbern i

Roger de Montgomery. Przez kilka godzin trwała zacięta walka ze znacznymi stratami po obu stronach.

Wilhelm napotkał Gyrtha i po krótkim pojedynku zabił go; padł też Leofwine, śmiertelnie zraniony kopią normandzką. Trzykrotnie zabijano konia pod księciem.

I nawet jego donośny głos wykrzykujący słowa zachęty, trudno było usłyszeć, tak wielka była wrzawa bitwy, szczęk broni, uderzenia mieczy i toporów o zbroje, kwiki rannych koni, jęki konających mężczyzn.

Nadal Anglicy, nieugięci, walcząc jakby Bóg lub szatan wzmacniał ich siły, utrzymywali swój szyk, odpierali wszystkie próby ruszenia ich z pozycji, przełamania formacji. Położenie Normanów stawało się krytyczne. Dla nich, na obcej ziemi, nierozegrana bitwa byłoby równie fatalna, jak i klęska. Wilhelm liczył na to, że Anglicy, znużeni forsownym marszem, prędzej osłabną w długiej walce niż jego własni ludzie, dobrze wypoczęci. Ta kalkulacja zawiodła. Chłopskim rekrutom niedostawało ćwiczenia wojennego, ale ich własny prymitywny tryb życia zahartował ich, nadał im odporność i siłę dzikich zwierząt. Żażartość oporu bynajmniej się nie zmniejszała.

Teraz więc Wilhelm przypomniał sobie o wcześniejszym swoim pomysle użycia podstępu, by złamać wreszcie ten nieugięty mur tarcz. Wycofał się nieco z gęstwy i zgromadziwszy wokół siebie kilkunastu rycerzy - wśród nich byli tu Robert, Fitz Osbern i Hugh d'Avranches - zawołał do nich:

- Za mną, ale baczyć pilnie! Bądźcie gotowi zawracać konie na mój znak każdej chwili!

Grupa jeźdźców puściła się galopem w dół zbocza, jakby uciekali, zostawiając za sobą lukę przed frontem angielskiego szyku. Harold zrozumiał podstęp, ale nie słyszano czy też nie chciano słuchać jego rozpaczliwych krzyków:

- Nie ścigajcie ich! Stać w miejscu! Stać!

Po raz drugi, a tym razem świadomie uwiedzeni, angielscy piechurzy przedarli się przez bardzo już uszczuplone szeregi „housecarlów” i rzucili się za na pozór uciekającym nieprzyjacielem, wrzeszcząc:

- Zwycięstwo! Zwycięstwo!

- Zabić każdą normandzką świnię! - Bij, zabij!

Gdy gnali w dół bez opamiętania, już nie mogąc się zatrzymać, Wilhelm i jego rycerze rozproszyli się, zawrócili i wpadli na bezładny, rozpędzony tłum angielskich piechurów, okrążając ich, przebijając kopiami, tnąc i siekąc mieczami, toporami.

Harold, wściekły i zrozpaczony, zdołał jednak raz jeszcze zewrzeć szyki, skracając linię frontu tak, by przy uszczuplonej liczbie żołnierzy nie zostawiać luk. Kazał ścieśniać szeregi tak bardzo, iż nawet zabici i ranni nie mieli gdzie upaść. A Edwin i Morcar nadal nie nadciągali. Zaiste, byli w owej chwili jeszcze o wiele mil na północ od Londynu.

Wilhelm poprowadził jeszcze jeden atak, ale konie były pomęczone i „kwiat zachodnioeuropejskiego rycerstwa” nadal nie zdołał przełamać muru tarcz, trzymanyh silnymi ramionami.

- Koniec z Normanami! - zakrzyknął Harold, a uniesienie dodało mu sił. Zwycięstwo nasze!

Nie znał jednak pomysowości księcia Normandii. Wilhelm dostrzegł, że skrócenie linii angielskich odsłoniło lewe skrzydło ich szyku. Tam więc, skrzyknąwszy najbliższych rycerzy, przypuścił następny atak - a wiedział już, że to musi być atak ostatni.

Pod naporem atakujących z przodu i z boku, o zmierzchu załamała się nareszcie formacja angielska, tak bohatersko do tej pory utrzymywana. Wilhelm chciał sam dostać się do Harolda, własnoręcznie obalić swego wroga. Odparli go londyńczycy. W tym momencie hrabia Eu i Hugh de Montfort wraz z innymi pochwycili królewski sztandar. Ansgar walczył, jak obłąkaniec - aż poległ. Nagle rozległ się jeden jęk z wielu gardeł i jeden okrzyk:

- Nasz król zabity!

Niejeden rycerz normandzki dowodził później, że to on zadał śmiertelny cios - i być może niejeden miał przyczyny, by tak myśleć. Ciało króla, jak i ciała wielu Anglików, było poszarpane tuzinem straszliwych ciosów i pchnięć. Kronikarze nie są zgodni co do tego, czy Harold padł najpierw od strzały, która go ugodziła w oko, czy też od bezpośredniego ciosu. To ostatnie wydaje się prawdopodobniejsze, bo łucznicy nie słali już swych śmiercionośnych strzał, gdyż w zamęcie pod koniec bitwy mogli trafić równie dobrze w swoich jak we wrogów.

Przegrywając bitwę, która miała wyznaczyć nowy kierunek dziejów Anglii, Harold i jego „housecarlowie” uświadomili Wilhelmowi siłę piechoty, w zwartym szyku, na wybranym przez siebie stanowisku, dającej opór atakom konnych rycerzy. Bo to nie jazda ostatecznie rozstrzygnęła o zwycięstwie lecz szybka orientacja i pomysowość wodza. Od tej pory armie Wilhelma będą zawsze lepiej zrównoważone pod względem liczebnego stosunku piechoty do jazdy.

Dla Anglików bitwa właściwie się skończyła. „Hou-secarlowie” woleli ginąć z honorem niż szukać ocalenia w ucieczce. Wycięto ich prawie co do jednego. Zwerbowani wieśniacy, wyczerpani do cna, kuśtykając umykali do lasów na północnym zachodzie. Walczyli twardo, po bohatersku, a dla olbrzymiej większości była to pierwsza bitwa w życiu. Bystry umysł księcia wykorzystał ich niedoświadczenie, brak dyscypliny - i w końcu jazda ich zwyciężyła.

Uciekinierów ścigali jeźdźcy, zmuszając do galopu pomęczone konie, a chociaż i dla nich bitwa się skończyła - śmierć groziła im nadal. Nieco na lewo od pozycji, zajmowanych przez wojska Harolda, czaiła się wąska a głęboka przepaść, o ścianach

prawie prostopadłych. Nie znając terenu, w szybko nadciągającym mroku, ścigający wpadali do tej przepaści, nadziewając siebie i konie na własne kopie i miecze, łamiąc członki. Po odniesionym zwycięstwie jeszcze tuziny jeźdźców tak zginęły, złaknionych krwi ludzi już pokonanych, którzy nie mogli im więcej szkodzić. Śmierć ich upamiętniła nazwa, nadana tragicznej pułapce: „Malfosse”.

Późnym wieczorem Wilhelm wrócił na pobojuwisko i kazał sobie postawić namiot między zabitymi Normanami. Z grzebaniem trzeba było czekać do świtu.

- Widma poległych towarzyszy odpoczynek nam zakłóca - narzekał przyciszonym głosem Robert.

- Powitam ich z chęcią - odparł Wilhelm - by mężnym hołd złożyć! Oddali swe życie za królestwo, które teraz dodam do mego księstwa! - Westchnął i mówił dalej. - Nigdy mi do głowy nawet nie przyszło, że to będzie tak zażarta bitwa, i taka długa, i że tyle ofiar pochłonie.

- Czy po tym zwycięstwie cały kraj wpadnie już w nasze ręce? Jak sądzisz? - pytał Odo.

- Z całą pewnością. Mogą się zdarzyć jakieś lokalne bunty, ale te zgnieciemy bez trudu. Nikt nie ma sił, by się nam oprzeć. A w St. Valéry czekają posiłki, które niebawem się do nas przyłączą. Tu, w tym miejscu, gdzie pod normandzką przewagą padł ten, który zwał się królem Anglii, każę zbudować opactwo i nadam mu nazwę: „Świętego Marcina na pobojuwisku”.

Opactwo zostało zbudowane i istniało do chwili, gdy Henryk Ósmy rozwiązał zakony. Sir Anthony Browne, któremu nadano posiadłość, kazał zburzyć kościół, a ruiny klasztorne po dziś dzień stanowią atrakcję dla turystów.

Gdy ksiązę pozostał sam, wyszedł przed namiot i spoglądając na zamglony księżyc w pierwszej kwadrze, rozmyślał:

„... przed naszym rozstaniem Matylda powiedziała, że każdego wieczora, o tej porze, będzie wyglądała z okna i prosiła, bym ja również, gdziekolwiek będę, zwrócił wzrok w górę. I przynajmniej raz dziennie będziemy oboje jednocześnie patrzeć na nieporuszone niebiosa. Więc powiedzcie jej ode mnie, by się radowała, bo trud dzisiejszego dnia przyniósł jej koronę.”



## Rozdział 11

### DYDAKTYCZNE METODY WILHELMA

Wysoka, piękna kobieta o twarzy ubrudzonej i zalanej łzami, podniosła się nad pokaleczonych zwłok. Stała przez chwilę, wyprostowana, dostojna, po czym zwróciła się do normandzkiego rycerza obok niej:

- Prowadź mnie do swego pana.

- Mój pan jest księciem, a niebawem będzie królem Anglii. Nie zechce...

- Rób, co ci każe - krzyknęła Edyta o Łabędziej Szyi. - Bo cię przeklnę w imieniu naszych angielskich trupów!

Ludzie, z rozkazu Wilhelma szukający zwłok Harolda, nie odnaleźli ich. Ale Edyta, która w ślad za kochankiem przybyła z Londynu, rozpoznała po nadal widocznym na piersi znamieniu ciało zniekształcone od wielu ran, z głową rozbitą końskim kopytem.

Edyta wiedziała dobrze, jak trudne życie czeka ją teraz: nieustanna walka o ratowanie nieślubnych dzieci Harolda przed wrogością Wilhelma. O siebie nie dbała. Rozpaczała po utraconym kochanku. Nigdy więcej miłości nie zazna.

W swoim namiocie Wilhelm zmierzył kobietę uważnym spojrzeniem, jakby się upewniał o jej identyczności. Na chwilę wzruszyła go jej uroda i rozpacz. Nie była żoną; ale w chwili urodzenia go jego matka też nie była zaślubiona. Gdyby wczorajsza bitwa zakończyła się inaczej, może jego umiłowana Matyllda tak właśnie rozpaczałaby po nim. Edyta odpowiadała dumnym spojrzeniem na jego wzrok.

- Przyszłam żądać wydania mi ciała króla Harolda.

- Mylisz się podwójnie - odparł zimno książę, stłumiwszy w sobie uczucia, które go nie w porę nawiedziły. - Harold nie był królem, lecz wiarołomnym uzurpatorem. I żaden mężczyzna ani żadna kobieta nie mogą niczego ode mnie żądać.

Edyta przełknęła dumę, rzuciła się na kolana, wybuchnęła długo wstrzymywanym płaczem.

- ... słowa... nazwy, niczym są dla mnie... oddaj tylko mi, błagam cię... abym go mogła uczciwie pogrzebać... zezwól mi, a będę na zawsze twoją lojalną...

- Kościół nie czi honorowym pogrzebem wiarołomców i tych, którzy podnoszą broń przeciw papieskiemu sztandarowi - odparł Wilhelm.

Nie po to przybył do Anglii, nie po to wygrał wielką bitwę, by nim teraz miały zachwiać piękność i płacz kobiety. Lojalność czy nielojalność Edyty nic dla niego nie znaczyła. A gdyby zezwolił na pogrzebanie Harolda z ceremoniami i pietyzmem, uczyniłby z niego w sercach jego poddanych symbol ich narodu, - jego grób stałby się celem pielgrzymek, gdzie iskierki buntowniczych uczuć żarzyłyby się i buchały płomieniami. A prócz tego zdobywcy, który ma władać Anglią, nie wolno okazywać

słabości. Każdy, kto popróbuje oporu, utraci ziemię, członki, życie. Teraz, od razu, Wilhelm musi zacząć tak, jak zamierzał kontynuować: rządzić sprawiedliwie według własnej oceny, ale surowo.

- Wyprowadzić tę kobietę - rozkazał.

Edyta posłała mu spojrzenie gorzkiej nienawiści i wyszła z Senlac - wolna, ale ze złamanym sercem.

Trwało grzebanie Normanów. Kobietom, które przyszły na przesiąkłe krwią pobojuwisko, pozwolono pochować ich bliskich przyzwoicie, z udziałem księży - wszystkich, prócz Harolda. Błagać o jego zwłoki przyszła jeszcze jedna kobieta: nie jego niekochana i nie-kochająca żona, lecz osierocona matka, Gytha, owdowiała hrabina Wessex, która w bitwie przy Moście Stamfordzkim straciła syna Tostiga, a pod Hastings trzech synów.

- Zaklinam cię, wydaj mi ciała Harolda, Gyrtha i Leofwine'a - błagała pokornie. - Okaż litość...

- Nie mam litości dla wiarołomców i tych, którzy zagradzają mi drogę do mego prawowitego dziedzictwa - odparł Wilhelm.

- Dam ci tyle złota, ile ciała moich synów zaważą...

- Wyprowadzić tę kobietę! - rozkazał raz jeszcze Wilhelm.

Gytha odrzuciła udawaną pokorę i obrzuciła przekleństwami zwycięzcę. Ale on pozwolił jej odejść.

- Dzielne niewiasty, obie - burknął niechętnie. - Dla miłości zaryzykowały wiele... drażnić niedźwiedzia w jego jaskini...

Szczałki Harolda, ostatniego rodowitego króla angielskiego, wrzucono między skały, na wybrzeżu Zatoki Hastings. Wielu jego rodaków, chociaż ujarzmionych, nigdy tego księciu Normandii nie przebaczyło.

A jednak dzięki tej śmierci imię Harolda zostało zapisane w kronikach trwalszymi zapewne głoskami, niżby to się stało, gdyby dłużej żył. Panowanie stawiało przed nim tak trudne problemy, że ten ambitny parwe-niusz na tronie nie mógłby ich chyba rozwiązać. Czy potrafiłby zjednoczyć północne i południowe dzielnice królestwa, które od dawna dzieliła waśń, tylko bardzo powierzchownie załagodzona jego małżeństwem? Czy potrafiłby narzucić posłuch radzie królewskiej, podpo-

- rządkować sobie niezależną a możną szlachtę prowincjonalną? Czy bardziej krnąbrne elementy i buntownicze duchy, nie dbające o jedność królestwa, a tylko dążące do wzbogacenia się i zyskania większych wpływów nie pokonałyby go i nie skazały na wygnanie lub na niegodną śmierć od trucizny albo ciosu, zadanego w ciemnościach sztyletem? Przybycie Wilhelma i jego zachodnioeuropejskich wojsk najeżdźczych pozwoliło Haroldowi zginąć chwalebnie w obronie niepodległości ojczyzny i pozostać w pamięci pokoleń bohaterem narodowym.

Historia najsurowiej potępi świątobliwego acz nieudolnego Edwarda Wyznawcę za jego winy nie wobec królestwa, lecz wobec starożytnej dynastii monarchów anglosaskich. Nie spłodził potomka. Gdyby miał syna, choćby nawet małoletniego w chwili śmierci króla, Harold nie wstąpiłby na tron, Tostigowi zabrakłoby wymówki, by namawiać Hardradę do najazdu, a nade wszystko Wilhelm normandzki, gdyby nawet ambicja bez cienia uprawnień i bez poparcia papieskiego skłoniła go do inwazji - zostałyby prawdopodobnie wyrzucony do morza przez „housecarłów” i wieśniaków wielokrotnie liczniejszych od armii, którą zdołał zwerbować Harold. Bitwa pod Hastings jest ogólnie uważana za punkt zwrotny w anglosaskiej historii. Ale to bezpłodność Edwarda legła u podstaw przyszłych zmian.

Anglia pod panowaniem Edwarda nie posiadała tak utrwalonego ustroju społecznego - feudalizmu - ani tak silnej władzy centralnej jak Normandia. Struktura społeczeństwa była chwiejna, łącząc w sobie elementy prymitywnego ustroju plemiennego z surowym paternalizmem. Autorytet korony i Witanu wzmacniał się lub słabł w miarę upadku lub wzrostu potęgi wielkich hrabiów: Wessexu, Marcii i Northumbrii. A na ogół hrabiowie rozporządzali znaczną potęgą.

Liczba mieszkańców kraju nie przekraczała półtora miliona, rozległe połacie ziem nie były w ogóle zamieszkałe. Rolnicze wspólnoty, złączone przeważnie więzami krwi lub powinowactwem, były w XI w. często zdane na łaskę potężnych możnowładców i wyzyskiwane przez rozwijającą się gospodarkę ziemiańską. Nieco lepiej zaludniona była południowa połowa królestwa. W hrabstwie Wessex, na południowym zachodzie, każda wieś należała do jednego dziedzica, ziemia dzieliła się na jego posiadłości i na „terra villanomm”. Pańszczyźniani chłopci winni byli pracą w zamian za opiekę, ale więzy miały raczej charakter patronatu, niż stosunków lennych. Kobiety bywały niekiedy poddawane woli dziedzica w noc poślubną, choć bez przymusu prawnego.

Niestabilność ładu społecznego była jeszcze wyraźniejsza w hrabstwach środkowych, gdzie rozległe, słabo zaludnione ziemie nie miały uznanego zwierzchnika prócz hrabiego, a ten przebywał daleko, przeważnie nikt go nigdy nie widział. W takich okolicach, wśród głębokich lasów, panoszyli się rozbójnicy, wyrzutki społeczeństwa, żerujący na wioskach i osadach. Jeszcze dalej na północ prymitywni mieszkańcy gwałtownie sprzeciwiali się wszelkim próbom nagięcia ich nawet do tych ograniczonych form ładu społecznego, jakie istniały na południu.

Brak jednolitego porządku społecznego miał z punktu widzenia Wilhelma zarówno stronę pozytywną, jak i negatywną. Niezależne gminy mogły się buntować” co byłoby dokuczliwe, ale niegroźne; natomiast zorganizowanie ogólnonarodowego oporu po klęsce Harolda, było praktycznie niemożliwe.

Miasta były małe i rozrzucone w dużej odległości.

Londyn liczył zaledwie piętnaście tysięcy mieszkańców, a York, drugie z kolei największe miasto - osiem tysięcy. Na południu i zachodzie leżały: Oxford, ośrodek targowy, Winchester, jedna z siedzib królewskich. Canterbury, gdzie mieściło się arcybiskupstwo, i Bristol, port handlujący z Irlandią, ale jak inne porty, żyjący głównie z rybołówstwa. Miasta hrabstw środkowych - Chester, Norwich i Ipswich - każde po około pięć tysięcy mieszkańców, były ośrodkami rolniczymi. Stosunkowo bogate Nottingham ciągnęło zyski z opłat za barki, płynące rzeką Trent, ważną arterią handlową. Wszystkie miasta miały po części charakter wsi, prawie każdy dom otaczały pola uprawne, pastwiska, gminne lasy. Większość mężczyzn stanowili pańszczyźniani chłopcy, podlegli najbliższemu lordowi.

Jednak w tych miastach, chociaż nielicznych i rozproszonych, kwitły już wówczas warsztaty rzemieślnicze i manufaktury. Właściciele żup solnych i młynów bogacili się na potrzebach społeczności rolniczej, mnożyli się kowale i kotlarze. Szewcy wytwarzali również uprzęż, skórzane flaszki, różne przedmioty ze skóry. Produkty rękodzielnicze wysyłano za granicę, gdzie ceniono zwłaszcza angielskie hafty i wyroby złotnicze. Manufaktury wełniane nie dorównywały jeszcze suknom, które wytwarzano na kontynencie europejskim, ale wełna angielska była doskonała; kronikarz niderlandzki wychwalał ją, jako „uprzedzoną tak cienko, iż można by ją porównać do nitki pajęczej”. Również zboże i mięso wywoziły statki przez Kanał i przez Morze Północne. Anglia miała więc już dość silne podstawy ekonomiczne i gotowa była do szybkiego rozwoju, gdyby powstały sprzyjające okoliczności.

W rozwoju rzemiosła i sztuk, a także oświaty i nauki - teologii, filozofii, nauk przyrodniczych - Kościół odgrywał ważną rolę. Istniejące od stu lat prawo nakazywało duchownym znać jedno przynajmniej rzemiosło. Wielu księży bywało złotnikami, wyrabiali piękne kielichy, krucyfiksy i naczynia. W IX wieku angielski król zabrał do Rzymu koronę z czystego złota wagi czterech funtów. Mnisi-rzeźbiarze ryli w drzewie wspaniałe płaskorzeźby. Architekci i budowniczy, również często duchowni, wznosili imponujące świątynie, jak kościół w Hexham na północy, zbudowany w roku 674, o którym współczesny kronikarz pisał, iż mury były z „polerowanego kamienia z wielu kolumnami i portykami, o wielkiej wysokości i długości. Kręte schody spiralami prowadzą i w dół i do góry. Przewyższa doskonałością wszelkie budowle po tej stronie Alp”. Może jest w tym trochę szowinizmu, ale zachowane po dziś dzień w kościele w Hexham pierwotne fundamenty, częściowo krypta i nawy wraz z pomnikiem ku czci rzymskiego żołnierza i krzyżem z datą roku 740 świadczą o dawnym anglosaskim kunszcie.

Ówczesna Anglia szczyciła się również prozą i poezją pisaną w rodzimym języku, przy czym najstarsze utwory miały charakter przeważnie heroiczny. „Beo-wulf” łączy w jedną opowieść, liczącą trzy tysiące dwieście wierszy, tematykę wielu ballad,

osnutych na tle historycznych wydarzeń z VI w.: przygody bohatera, wśród nich zabicie smoka symbolizowały - jak niegdyś wyczyny Herkulesa i Tezeusza - narodowe aspiracje i życie narodu. Przetrwały do dziś również niektóre poematy religijne i liryczne.

Prozę języka staroangielskiego najlepiej zachowały kroniki, w których zakonnicy z takich klasztorów, jak Winchester, York i Canterbury, spisywali wydarzenia w Anglii od początków ery chrześcijańskiej. Znalazły się tu ciekawe relacje o walkach z najeźdźcami duńskimi. Sporo było również tłumaczeń z łaciny - wśród nich poczesne miejsce zajmują przekłady króla Alfreda (panował od 871 do 901), nie tylko męznego i szczęśliwego wodza, ale również miłośnika nauki i sztuki.

W porównaniu z tą wysoką kulturą, najczęściej rozkwitającą wokół klasztorów, Normanowie, z pochodzenia Wikingowie, od niedawna prowadzący w Normandii osiadły tryb życia, nie mieli czym się poszczycić. Siedliska nauki, jak na przykład Jumičges, były dopiero w zaczątkach, a uczeni zakonnicy rzadko właściwie wywodzili się z Normanów, w każdym razie wiedzę swą zdobywali we Włoszech. Książę Wilhelm, wprowadzając do Anglii bardzo potrzebną sprawną administrację wraz z wojskowym ustrojem feudalnym, był zbyt rozsądny, by nie wykorzystał wyższej kultury podbitego narodu. Przeciwnie, stwarzał sprzyjające warunki jej rozwoju, wcielał dawne instytucje, tradycyjnie związane z ludnością, w ramy nowej organizacji.

Ale zanim Wilhelm będzie mógł zabrać się do udoskonaleń, było jeszcze sporo do zrobienia, więcej niż początkowo przypuszczał. W dwa dni po Senlac Robert Mortain zapytywał niecierpliwie:

- Kiedy maszerujemy na Londyn?

- Jeszcze nie - odrzekł przyrodni brat. - Chcę tu zaczekać, by wielmoże przybyli i złożyli mi hołd.

Próżne nadzieje. W Anglii nie rozumiano jeszcze, że najeźdźca przybył, by zostać. Dalsze trzy dni minęły, a ani jeden z anglosaskich panów nie zjawił się w obozie. Tylko z St. Valéry nadesłano statkami zapowiedziane posiłki.

W rzeczywistości Witan rozważał właśnie problem wyboru i ukoronowania nowego, rodzimego władcy. Czy zdecydować się na małoletniego Edgara, bratanka Edwarda Wyznawcy, czy też powtórzyć jeszcze raz eksperyment, zrywający z dawną dynastią i wybrać Edwina lub Morcara? Wybór padł na Edgara, jako posiadającego słuszniejsze prawa dziedziczne niż Wilhelm. Do koronacji jednakże jeszcze nie doszło, a Edwin i Morcar wycofali się na północ, do swoich hrabstw.

Z wolna Wilhelm zaczął się orientować, że zwycięstwo na wzgórzach Senlac nie rozstrzygnęło jeszcze o podboju całej Anglii.

- Widzę, że trzeba będzie udzielić paru ostrych nauczek - powiedział.

Szóstego dnia po bitwie książę obsadził załogą pośpiesznie wzniesiony zameczek w Hastings i wymaszerował z około sześciu tysiącami ludzi. Ale celem pochodu nie była stolica kraju.

- Nie będziemy szturmować Londynu ani go oblegać. Za parę tygodni najdalej jego mieszkańcy zrozumieją, że prosty rozsądek wymaga, aby nas uprzejmie zaprosić i bramy przed nami otworzyć. A mnie potrzeba stolicy normalnie funkcjonującej i handlującej, bazy do przyszłych działań, ośrodka administracyjnego, a nie zniszczonych i wyludnionych ruin.

Książę skierował się na wschód, gdzie o trzydzieści kilometrów dalej leżało Romsey. Na tych wybrzeżach osiadł na mieliźnie jeden z mniejszych statków armady normandzkiej, który w czasie inwazji odłączył się w nocy od reszty. Miejscowa ludność zabiła wszystkich trzydziestu marynarzy i żołnierzy na pokładzie. Tutaj więc postanowił Wilhelm udzielić lekcji pierwszej. Żadnej słabości. Surowa sprawiedliwość. Miejscowa ludność, nie mająca żadnej możliwości obrony, otrzymała rozkaz:

- Przysłać do mnie trzydziestu najważniejszych z waszych mieszkańców. Oko za oko i ząb za ząb, powiada Biblia. A ja mówię; życie za życie.

Ta popełniona z zimną krwią masakra nie należała do czynów szlachetnych. Z punktu widzenia księcia była może potrzebna a rzeczywiście należała do ówczesnych praktyk zwycięskich wojsk. O jej skuteczności przekonano się podchodząc do Dover, o jakieś dwadzieścia kilometrów dalej na wschód, małego, ale ruchliwego i zamożnego portu morskiego. Rajcy miasta wyszli naprzeciw Wilhelmowi, wręczając mu klucze od miasta i zamku, którego załoga - obciążona dodatkowo uciekinierami - złożyła broń. To jednakże nie ocaliło miasta od lekcji drugiej. Rycerze i najemnicy, całe wojsko normandzkie złupiło Dover do szczętu, ładując do wozów taborowych złoto, srebro i cenne sukna.

W ciągu ośmiu dni spędzonych w Dover Wilhelm wzmocnił fortyfikacje a na zamku urządził szpital, gdyż w jego wojsku, po spożyciu olbrzymich ilości świeżego mięsa i piwa - wybuchła dyzenteria. Potem ruszył dalej starym rzymskim gościńcem, znanym pod nazwą Watling Street, łączącym południowo-wschodnie porty z Londynem.

Przed Canterbury, siedzibą prymasa Anglii, znowu deputaci władz wyszli daleko na spotkanie nadciągającego wojska. Złożyli hołd lenny, zaoferowali zakładników, otworzyli bramy. Jeszcze korzystniejsze wrażenie wywarł fakt, iż najstarszy z deputacji przyklęknął na jedno kolano i wręczył sakwę z pieniędzmi, mówiąc:

- Przynosimy waszej lordowskiej mości zwyczajową opłatę, wręczaną corocznie przez nasze miasto królowi Anglii.

Dla Wilhelma był to triumf nie mniejszy od bitwy pod Hastings, a nie splamiony śmiercią towarzyszy i przyjaciół. Canterbury było jednym z najstarszych miast i

ośrodków nauki i sztuki, ważnym już za czasów rzymskich. W VI wieku św. Augustyn, przysłany przez - papieża Grzegorza dla dokończenia rozpoczętej przed trzystu laty christianizacji Brytanii, tu właśnie obrał swoją siedzibę.

- Dziękuję wam i pochwalam wasz rozsądek - powiedział deputatom Wilhelm. - Wy, jako pierwsi Anglosasi, którzy uznajecie moje prawa do tronu, będziecie mogli wysłać waszych przedstawicieli na koronację.

W miarę zbliżania się wojska do murów Canterbury, ludzie cisnęli się, by złożyć powinny hołd, „jak muchy obsiadające ranę” - według wyrażenia kronikarza Guya z Amiens. Aie wjeżdżającego do miasta księcia musieli z obu stron podtrzymywać na koniu jego dwaj przyrodni bracia. Zapadł na ciężką dyzenterię, która go unieruchomiła na miesiąc.

Mieszczanie złożyli hołd i wypłacili daniny. Natomiast chłopci pańszczyźniani i inni w okolicznym hrabstwie Kent zakopywali ziarno, ukrywali siano, wypędzali bydło i owce do głębokich lasów. Rozkazy Wilhelma, wydane w Hastings, wzbraniające gnębienia ludności, nie obejmowały nieposłusznych i krnąbrnych. Wojownicy zabrali się do „pouczania” mieszkańców Kent - i odleglejszych hrabstw, bo wieści rozchodziły się szybko - jak Normanowie rozprawiają się z opornymi. Młodych mężczyzn nie było wielu w okolicy, bo przeważnie poległ pod Senlac. Ale starców obojga płci wieszano za ręce, podpalano ogień pod ich stopami, aż w męce wyjawiali miejsce ukrycia swego dobytku. Domostwa palono. Młode kobiety, niedorośle dziewczęta pławiono w stawach i strumieniach, zmuszano do tańczenia nago wokół obozowych ognisk i gwałcono. Na dzieci polowano jak na dzikie zwierzęta i przebijano je kopiami.

Niejedna świeżo owdowiała kasztelanka barykadowała rodzinę i służbę we dworze. Prędzej czy później czekał je zwykle ten sam los, co ich uboższe siostry. Wilhelm przyrzekł garnącym się pod jego sztandary ochotnikom łupy i jasnowłose kobiety. Takie więc były początki tworzenia się anglo-normandzkiej rasy, która łączyła solidną rzetelność z awanturniczością, a miała wydać Francisa Drake'a i Waltera Raleigh, Olivera Cromwella i księcia Marlborough, lorda Nelsona i Wellingtona, Williama Pitta i Palmerstona.

Niektórym z kobiet miłość zdobywców przypadła do gustu i później odjeżdżały wraz z nimi, usadowione na koniu. Ale inne, wyczekawszy odpowiedniej chwili, przebijały normandzkiich rycerzy sztyletami, a same uciekały do lasów. Pewna młoda, przed kilku tygodniami poślubiona małżonka, której mąż padł u boku Harolda, przy pomocy swoich trzech dziewcząt służebnych obezwładniła wojownika, który chciał ją pohańbić i wykastrować go myśliwskim nożem.

Na pociechę w chorobie Wilhelma poddało mu się następne ważne miasto: Winchester, o sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód. To największe miasto hrabstwa Wessex, miejsce przechowywania anglosaskich klejnotów koronnych i skarbcza,

próbowało nawet rywalizować z Londynem o rolę stolicy Anglii. Hołdowi znowu towarzyszyła danina wraz z kosztownymi podarunkami od ważniejszych mieszczan, którzy chcieli zyskać sobie łaski zdobywcy. Przesłano też dar od Edyty, siostry Harolda a wdowy po Edwardzie Wyznawcy.

- Na znak mego zadowolenia - powiedział do mieszczan z Winchester Wilhelm, przyjmując ich deputację jeszcze w łożu - raz w roku będę nakładał moją koronę w waszym mieście. Połączenie darów od królowej Edyty i od was stanowi uznanie moich praw jako dziedzica dynastii jej zmarłego małżonka.

To wzniosie brzmiące stwierdzenie było może i prawdą, ale Wilhelm nie przewidywał, że czeka go jeszcze blisko trzy lata nieustannych walk, i że trzecią część Anglii będzie musiał obrócić w perzynę, nim hrabstwa wschodu, zachodu, północy i południa ulegną jego woli tak, jak Canterbury i Winchester.

Listopad dobiegał już końca, zanim wódz Normanów wyzdrowiał i mógł nakazać dalszy pochód. Skierował się w stronę Londynu i posłał podjazd złożony z pięciuset jeźdźców, by zbadali podejścia i mury obronne stolicy. Londyńczycy postanowili się bronić. Jedyną przeprawą przez Tamizę do miasta, które w przeważającej większości skupiło się na północnym brzegu, był wąski most. Ochotnicy z londyńskiego „fyrdu”, przeszedłszy przez most, spróbowali zaatakować podjazd, ale odparto ich, zadając londyńczykom ciężkie straty. Normanowie spalili przedmieście Southwark na południowym brzegu, ale powróciwszy oznajmili księciu, że Londyn jest właściwie nie do zdobycia, głównie z powodu tego bardzo wąskiego mostu. Wilhelm powtórzył w odpowiedzi swoją ulubioną maksymę:

- Nie marnować życia w daremnych szturmach. Londyn sam musi otworzyć przed nami swe bramy. Przeprowadzimy się przez Tamizę gdzieś dalej na zachodzie i na razie będziemy kontynuować nasze metody dydaktyczne tuż przed drzwiami tych upartych londyńczyków.

Rzezie i gwałty, grabież, podpalanie. Normanowie tak zdewastowali hrabstwa Surrey i Berkshire, że w dwadzieścia lat później jeszcze nie mogły się odrodzić. Teraz traktowano tak samo tych, którzy dobrowolnie dawali prowiant i tych, którzy swój dobytek ukrywali.

Londyńczycy byli dość tępi w pojmowaniu tych lekcji, ale gdzie indziej uznano sprawę narodową za ostatecznie przegraną. W Wallingford, gdzie Normanowie przeprowili się przez Tamizę, arcybiskup Canterbury Stigand - który uznał za rozsądniejsze opuścić siedzibę arcybiskupstwa wtedy, gdy to miasto się poddawało - przybył do księcia z powinnym hołdem i złożył przysięgę na wierność. Stigand słynął z chciwości. Jako arcybiskup zatrzymał swoje dawniejsze biskupstwo Winchester i kilka opactw wraz z ich dochodami. Niewiele dbał o niepodległość kraju, zależało mu tylko na potwierdzeniu jego przywilejów, tym bardziej że jego nominacja w swoim czasie



mocno zatracęła schizmą. Pod naciskiem starego hrabiego Godwi-ne'a, ojca Harolda i bez porozumienia z Watykanem, Edward Wyznawca skazał na wygnanie poprzedniego arcybiskupa, dawnego swego przyjaciela, który przyjechał za nim z Jumičges, i mianował na jego miejsce Stiganda. Trzech kolejnych papieży odmówiło zatwierdzenia tej nominacji.

Charakterystyczne, że chociaż Wilhelm walczył i podbijał pod chorągwią papieską, jednakże sam sprzeciwiał się władzy papieża, ilekroć tak mu było wygodniej.

- Lepiej będzie zatwierdzić Stiganda - powiedział do biskupa Odo. - Dzięki temu zjednamy sobie znaczną część angielskiego kleru. Bądź co bądź, Stigand jest przynajmniej nominalnie głową tutejszego'kościoła. Dość będzie czasu, by papieża ułagodzić i rozprawić się później z arcybiskupem.

Na północnym brzegu Tamizy najeźdźcy prowadzili dalej dzieło zniszczenia. Nawiedzili ogniem i mieczem hrabstwa Buckinghamshire, częściowo Herefordshire i Bedfordshire. I znowu niektórzy Anglicy, znaczniejsi nawet od królowej wdowy Edyty i arcybiskupa Stiganda, zdecydowali raczej się poddać niż być powodem coraz straszniejszych rzezi i dewastacji. Na zamku Great Berkhanstead, o czterdzieści kilometrów na północny-zachód od Londynu, sam Edgar, królewski elekt, wybrany przez Witan, wraz z dawnym przyjacielem i doradcą Harolda, Ealdredem arcybiskupem Yorku, oraz biskupami Worcester i Hereford - złożył hołd lenny i dał zakładników.

W obliczu odstępstwa królewskiego elekta, uznając, że teraz Wilhelm był jedynym, który mógł mieć pretensje do dziedziczenia tronu - Londyn w końcu pogodził się z nieuniknionym. Był to trzeci ważny etap podboju. Stare, ale nadal bardzo dobre gościńce rzymskie rozchodziły się wachlarzem na południe, zachód i północ od tego naturalnego ośrodka handlowego. Nawet kupcy zza morza szukali przywileju osiedlenia się za jego murami. W porównaniu z Londynem, normandzka stolica Rouen była prowincjonalnym miasteczkiem.

Kiedy tuż przed świętami Bożego Narodzenia roku 1066 zastępy łupieskich zdobywców zbliżyły się do stolicy, na spotkanie wyszli biskup Londynu i miejscowi notable prosząc księcia, by zechciał przyjąć koronę, której tak namiętnie pragnął.

- Do posłuchu królowi nawykliśmy i chcemy monarchy o silnej ręce - powiedzieli.

- Sztywne karki macie i trudno lekcje pojmujecie - odparł ostrym głosem Wilhelm. - Gdybyście moje słuszne prawa dynastyczne uznali, zamiast koronować uzurpatora i krzywoprzysięcę Harolda, zaoszczędzilibyście swoim rodakom wielu nieszczęść. Dlatego winę za te nieszczęścia wy ponosicie, a na mnie niechaj nikt jej nie składa! - przerwał, popatrzył na wystraszonych mieszczan, i dodał łagodniej: - Jednakowoż, skoro okazujecie lojalność, krzywdzić was ani waszego miasta nie zamierzam. Co było, pójdzie w zapomnienie, a z boską pomocą, potężne państwo wspólnie zbudujemy.

Wilhelm chyba za daleko się zapędził, by złożyć na karb londyńczyków grabieże, gwałty i mordy, popełnione przez Normanów. Był zapewne w euforii, wywołanej świadomością, że po trzech miesiącach na angielskiej ziemi i jednej jedynej bitwie oładnął całym prawie południem kraju oraz sporą częścią hrabstw środkowych. No, i był już pewien koronacji. Cierpliwość i „dydaktyczne metody” przyniosły owoce.

## Rozdział 12

### POPŁOCH W OPACTWIE

W Opactwie Westminsterskim nagła wrzawa... okrzyki angielskie, krzyki francuskie... tupot nóg, szczęk stali...

Nomandzkich jeźdźców, trzymających straż przed wejściem, ogarnął przestрах. Podjechali bliżej, nasłuchiwali, wymieniali zdumione spojrzenia. Tego ciemnego zimowego poranka w dzień Bożego Narodzenia odbywała się wewnątrz Opactwa koronacja ich wodza na króla Anglii. Ale...

- Co tam się dzieje? - zapytywali się nawzajem, patrząc na potężne drzwi dębowe, nabijane ćwiekami, zamknięte i zaryglowane przed nadmiarem niepożądanych gości.

- Wcale mi się to nie podoba!

- Na Matkę Boską! Jeśli mu zrobią krzywdę... A któryś, o bujniejszej imaginacji, zawołał:

- Może go zabiją przed ołtarzem!

- Nie... przecież tam w środku więcej jest naszych rycerzy niż tutejszych...

Hałas wewnątrz przybytku Bożego wzrastał się, rozrastał.

- Coś trzeba zrobić...

- Te drzwi tylko taranem dałoby się rozwalić...

- Podpalimy tamte sterty starych desek. Ogień bę-

- dzie widać przez okna i stworzy dywersję, jeśli tam coś nie w porządku...

Na placu, gdzie wybudowano Opactwo - jeszcze niedokończone - poza obrębem obronnych murów miejskich, stały poprzednio nędzne drewniane baraki, zamieszkałe przez ludzi stanu niewolniczego. Nie wszystkie uprzątnięto. To właśnie były owe „sterty desek”, które Normanowie podpalili, ani dbając, czy wewnątrz mieszkają ludzie, czy też nie. Buchnęły od razu jasnymi płomieniami, a jeźdźcy krzyczeli na całe gardła:

- Pali się! Uciekać! Pali się!

Wielkie drzwi Opactwa rozwarły się od wewnątrz z trzaskiem. Zgromadzeni ciżbą wypadali na dwór, rozpychając jedni drugich, Anglicy i Normanowie. Ci pierwsi spieszyli, by chronić swoją własność, gdyż cały prawie ówczesny Londyn pobudowano z drewna. Normanowie gotowi byli rzucić się na podpalaczy, czy też wmieszać do każdej awantury.

Przed ołtarzem pozostał Wilhelm, naprzeciw arcybiskupa Yorku, Ealdreda, biskupa Odon z Bayeux, innych księży i akolitów. Tak samo zaskoczył ich niespodziewany pożar na zewnątrz, jak poprzednio strażujących jeźdźców hałas wewnątrz Opactwa. Ealdred i Odo unieśli pytająco brwi. Wilhelm, nieporuszony, wymówił jedno słowo:

- Kon-ty-nu-ować... - każdą sylabę oddzielnie, wyraźnie, wargami formował, aby go zrozumiano, nawet jeżeli głosu nie dosłyszają.

Jeżeli w mieście coś się zakotłowało, Wilhelm ufał, że wojsko sobie poradzi. Natomiast przerwanie rytuału koronacyjnego byłoby najgorszym z możliwych proroctw.

Aż do wybuchu zamieszania w Opactwie, uroczyste i spokojnie odprawiano wspaniałą ceremoniał, wielki publiczny symbol monarchii i inwokację boskiej opieki, trzymając się bardzo ściśle tradycji anglosaskiej, w której elementy mistyczne otaczały osobę królewskiego pomazańca. Arcybiskup Ealdred i biskup Coutrance, jeden po angielsku, drugi po francusku, donośnymi głosami zapytali zgromadzonych w kościele:

- Czy przyjmujecie Wilhelma, księcia Normandii, z krwi zmarłego Edwarda Wyznawcy, jako prawowitego waszego suwerena, króla Anglii? Czy będziecie go czcić i dawać mu posłuch, czy będziecie wspierać jego panowanie i strzec jego osobę z poświęceniem nawet waszego własnego życia?

Jeszcze ich głosy nie przebrzmiały, gdy zerwały się w obu językach okrzyki aprobaty, ale najgłośniejsze po francusku. Dłonie w ciężkich rękawicach klaskały, nogi tupwały, zbroje brzęczały. Arcybiskup podniósł rękę, nakazując ciszę. Ale aklamacji nie przerwano, a normańscy rycerze jęli uderzać rękojeściami mieczów o hełmy, które trzymali w ręku. Tę właśnie wrzawę, krzyki i szczęk broni strażujący na zewnątrz jeźdźcy przyjęli za odgłosy utarczki, może zdrady.

Kiedy w Opactwie przez kolorowe szyby witraży dostrzeżono płomienie, dosłyszano wołanie „Pali się” - hurmem rzucono się do drzwi.

W prawie pustym kościele pomazano Wilhelma olejami świętymi. Głos zwycięzcy, dosłyszalny ponad zgiełkiem wymawiał słowa przysięgi:

- ... bronić Kościoła i jego sług, rządzić sprawiedliwie wszystkimi ludźmi, poddanymi mej królewskiej woli, strzec prawa, zabraniać gwałtów i niesprawiedliwości, opiekować się ubogimi, chronić słabych przed uciskiem...

W przytomności niewielu osób nałożono koronę na głowę Wilhelma. Arcybiskup, który dokonał aktu koronacji, popełnił pewnego rodzaju zdradę. Harold za życia mówił o Ealdredzie jako o „człowieku mądrym i zacnym przyjacielu”. Wziąwszy pod uwagę okoliczności, może to i było mądrze uznać suwerenność Wilhelma. Co więcej, Wilhelm nie chciał, by go ukoronował schizmatyk Stigand. Ale było jeszcze co najmniej dwóch angielskich biskupów - z Hereford i z Wor-cester - którzy już złożyli hołd lenny. Więc „zacny przyjaciel” Ealdred mógł śmiało, nie obrażając nikogo, uniknąć funkcji nałożenia własnymi rękoma korony na czoło sprawcy śmierci Harolda.

W liście do Matyldy, opisując ów pamiętny dzień Bożego Narodzenia, Wilhelm żartował z fałszywego alarmu, z popłochu rycerzy, ciżbą rzucających się do drzwi, z

koronacji w opustoszałym kościele. Na zakończenie dodał:

„To bez znaczenia. Zostałem ukoronowany z całym należnym ceremoniałem, religijnym i świeckim. Tylko gorzko żałowałem, moje serce, że ty nie uklękną obok mnie. Ale sama rozumiesz, że względy polityki wymagały pośpiechu, a we właściwym czasie i ty uzyskasz swoje pełne prawa, jako królowa...”

Zanim wyznaczył dzień koronacji, Wilhelm żywił pewne wątpliwości, czy nie powinien jeszcze zaczekać, dopóki całego królestwa nie ujmie mocniejszą ręką i dopóki nie można będzie jednocześnie ukoronować także Matyldy? Ale główni jego doradcy - William Fitz Osbern, biskup Odo i Robert, hrabiowie Evreux i Eu, Roger de Montgomery, Hugh de Montfort i Hugh d'Avranches - nalegali, by nie zwlekał.

Różne buntownicze duchy, dowodzili, ochłoną w świadomości, że opór, dawany Wilhelmowi, jest zdradą stanu. I wszelkie rozruchy trudniej uśmierzyć obcemu księciu, który wygrał bitwę, zabił uzurpatora, ogniem i mieczem pokarał krnąbrne hrabstwa, niż zasiadającemu na tronie, uznanemu suwerenowi.

Słuchając ich, Wilhelm uśmiechał się, a gdy skończyli, rzekł:

- Wasze racje słuszne są, przyznaję. - I sam przytoczył argument, dobrze wiedząc, że każdy z nich myślał o nim, ale żaden nie poważył się wypowiedzieć głośno. - Pojmuję doskonale, że wy wszyscy oczekujecie i z całkowitym usprawiedliwieniem, kiedy zostaniecie wynagrodzeni nadaniami ziem i urzędów, a nadawać je może tylko król. Stąd, wedle waszego rozumienia, im prędzej korona na mojej głowie spocznie, tym lepiej dla każdego z was. - Panowie szurali nogami, odwracali wzrok, jak mali chłopcy przyłapani na kradzieży jabłek. - Wcale waszych nadziei nie potrzebujecie się wstydzic - mówił dalej Wilhelm. - Dla mnie korona i dochody z podatków, dla was majątki i urzędy: po to rzecz podjęliśmy. Po to ja się wyprawiłem, po to wyście się do mnie przyłączyli. Dlatego też przyznaję słuszność waszym argumentom i tym, któreście tu przytoczyli i tym, których nikt nie wypowiedział. A królowa będzie ukoronowana później ze wszelkim należnym ceremoniałem.

Decyzja księcia wywołała radość w całym wojsku. Gdyby ogłoszono odłożenie koronacji, zapewne bardzo wielu rycerzy i panów zażądałoby zezwolenia na powrót do domów.

Interesujące byłoby wiedzieć co naprawdę myślał Wilhelm w okresie swojej koronacji i bezpośrednio po niej. Plany i myśli ludzkie są uwarunkowane okolicznościami - społecznymi, ekonomicznymi, geograficznymi, historycznymi - i właściwym zrozumieniem tych okoliczności. Pojęcia Wilhelma ograniczał fakt, że jego „świat” mieścił się między irlandzkim wybrzeżem atlantyckim na zachodzie, a Renem na wschodzie - czy praktycznie biorąc, nawet Sekwaną. Nie potrzebował, jak mąż stanu w XX wieku, nieustannie mieć na uwadze tuzina państw, powiązanych z jego krajem względami polityki i stosunków handlowych. Anglia była wyspą, którą w roku

1066 mało kto się interesował, prócz paru kupców na kontynencie i niekiedy pirackich najeźdźców. Na forum europejskim do tej pory się nie liczyła. Znajomość historii Wilhelm miał z pewnością ograniczoną: z historii Normanów sięgał w przeszłość do Rollona, - o historii Anglii mógł wiedzieć nie więcej, jak to, że przed tysiącem lat Rzymianie podbili kraj, zostali tam czas jakiś i wycofali się wraz z ogólnym osłabieniem ich cesarstwa; że Skandynawowie najeżdżali wyspę, niektórzy zostali i zasymilowali się; że toczyły się nieustanne walki pomiędzy rywalizującymi pretendentami do korony, w rezultacie czego kraj dzielił się niekiedy na więcej niż jedno królestwo. Taka mogła być wiedza Wilhelma. Kto najmniej zna historię, kto najmniej ją ceni, ten najmniej się boi przyszłości. Wilhelm zapewne nie wybiegał myślą daleko w przyszłość. Niewiele więcej możemy powiedzieć o stanie jego umysłu w chwili koronacji. Sądząc według kryteriów dzisiejszych, musiał być człowiekiem realistycznym, o spontanicznych odruchach, a jego politykę dyktowały przede wszystkim bezpośrednie wydarzenia.

Kilka dni, spędzonych w Londynie, wprawiło wielu Normanów w doskonały humor. Robert Mortain, zacierając z satysfakcją ręce, mówił do przyrodniego brata:

- Kobiety i wino w tym mieście służą mi nadzwyczajnie!

- W takim razie zabierz ze sobą tego towaru na zapas - odparł Wilhelm. - Bo jutro przenosimy się do Barking!

- Barking? Gdzież to jest!? I czemu właśnie tam; ;

Położone o jakieś dwanaście kilometrów na wschód od Londynu Barking było małym ośrodkiem targowym, znanym głównie z powodu zakonu mniszek, jednego z najstarszych i najbogatszych w Anglii, ufundowanego w 670 roku..

- Mam do królowania prawa moralne i prawa pokrewieństwa z Edwardem - odpowiedział Wilhelm. - Ale nie jestem pewien, czy wszyscy moi poddani to dobrze pojmują. W Londynie żyje wielu możnych ludzi. Mogłoby im przyjść do głowy, w czym by się zresztą mylili, że z korzyścią dla nich byłoby wzniecić jakieś powstanie. Dlatego lepiej dwór ulokować gdzieś dalej.

Wojsku, pozostawionemu w stolicy, wydał specjalne rozkazy:

- Pamiętajcie, że jesteście w kraju chrześcijańskim... wstrzymujcie się od gwałtów i zniewag, najczęstszych przyczyn rebelii... niechaj przez was nie ucierpi dobre imię Normandii...

Nie zezwolono otwierać burdeli i tylko niewiele tawern było czynnych. Wilhelm nie oczekiwał, by jego żołnierze naśladowali jego własny przykład wstrzeźliwości podczas rozstania z żoną, ani też, by nie pili wina i piwa. Ale w domach publicznych, w szynkach wybuchały najczęściej kłótnie między Anglikami a Normanami, kłótnie prowadziły do zabójstw, zamieszek, może i do rebelii.

Do Barking przybywali ci ze znakomitszych Anglików, którzy do tej pory nie złożyli hołdu lennego, między nimi Edwin i Morcar, a także Waltheof, hrabia Northampton, o którym jeszcze będzie mowa. Wilhelm uznał za właściwe nie zauważyć, że hołdy te były mocno spóźnione; mówiono nawet, że każdy mógł go ułagodzić pod warunkiem, iż złożył odpowiednią daninę pieniężną. Wilhelm nie chciał stwarzać sobie nieprzyjaciół. Każdy winien dowieść swej lojalności postępowaniem. Jeśli zaś jego postępowanie świadczyło o czymś wręcz przeciwnym, król będzie wiedział, jak się z nim rozprawić. Danina pieniężna jako warunek niekoniecznie dowodziła chciwości króla. Doświadczony administrator, Wilhelm wiedział dobrze, że narzucenie ustroju feudalnego i jego osobistej władzy nie obejdzie się bez wysokich kosztów. Im więcej Anglicy dadzą z pozorną dobrą wolą, tym mniej trzeba będzie ściągać nakładaniem ceł, podatków, różnych opłat i przymusowych pożyczek, niechętnie widzianych przez obywateli wszystkich epok i wszystkich państw.

Król różnymi drogami zmierzał do spacyfikowania kraju. Rozpoczął budowę fortyfikacji, które miały stać się największą twierdzą Anglii. Symbolem panowania Edwarda Wyznawcy było Opactwo Westminsterskie, ale symbolem panowania Wilhelma będzie ta potężna wieża, nazwana Tower of London, na północnym brzegu Tamizy, dominująca nad miastem, w której podziemiach mieściło się osławione więzienie. Przez setki lat ta nazwa budziła grozę. Zdetronizowani królowie i pretendenci do tronu w tych kazamatkach dokonywali żywota. Brat króla Ryszarda Trzeciego, książę Clarence został tu utopiony w beczce małmazji, a bratankowie Ryszarda tu, według tradycji, zostali zamordowani i zakopani pod schodami. Z komnaty w Tower of London wyprowadzono na śmierć Sir Thomasa Moro (Morusa). Dwie żony Henryka Ósmego, Anna Boleyn i Katarzyna Howard tu zostały ścięte i pochowane. Królową Elżbietę Pierwszą, jeszcze jako księżniczkę, jej siostra królowa Maria wtrąciła do więzienia w Tower, a za czasów Stuartów Sir Walter Raleigh tu dał głowę pod topór.

Kiedy Wilhelm prznosił swój dwór do Barking, rozpoczynano właśnie kopanie fosy dookoła Tower, sypiąc jednocześnie wały, które miały otaczać główną twierdzę, zwaną White Tower, z czterema wieżyczkami. Jednocześnie król chciał wyrazić aprobatę posłuszeństwu londyńczyków oraz zaufanie do nich - którego chyba nie czuł tak całkowicie - nadając im przywilej, łączący świecką władzę „portreeve’a”, czyli dowódcy wojskowego i urzędnika z duchowym autorytetem biskupa:

„Wilhelm, król, pozdrawia Williama, biskupa i Gosfregtha, portreeve’a, a także wszystkich mieszczan Londynu, francuskich i angielskich. I ufa, że obaj będziecie godni tych przywilejów, którymi cieszyliście się za panowania króla Edwarda. I życzy sobie, aby każdy syn mógł dziedziczyć po swym ojcu i będzie strzegł, aby żaden człowiek was nie pokrzywdził. Niechaj Bóg ma was w swej pieczy.”

To zwycięże nadanie potwierdzało uprzywilejowaną pozycję Londynu wśród miast angielskich, stało się podstawą jego handlowego rozkwitu, jak również zapewniało znaczną autonomię, którą stolica posiada po dziś dzień. Pierwszym portreevem król mianował Normana, Godfryda (Gosfregtha) de Mondeville-, zdolnego i oddanego mu człowieka, któremu powiedział:

- Nie mógłbym powierzyć tak ważnego stanowiska nikomu z Anglosasów, bo chociażby życzył sobie być mi lojalnym, mógłby zostać uwiedziony albo sterroryzowany przez innych. W twoje niezawodne ręce oddaję bezpieczeństwo mojej angielskiej stolicy i tej wielkiej twierdzy, którą należy wybudować z całym pośpiechem.

W Normandii koronacja Wilhelma wywołała zrozumiałą radość. „Nigdy jeszcze nad Normandią pogodniejszy świt nie wstał” - pisał William z Poitiers -

„niż ten, kiedy rozeszła się wieść, że ich książe, strażnik ich pokoju, został królem. W miastach, zamkach, wsiach, klasztorach cieszą się i radowano wiktoria, a jeszcze bardziej koroną”.

Wilhelm chciał więc jak najprędzej pokazać się swym normandzkim poddanym, przyodziany w nową godność. A jeszcze bardziej mu się spieszyło do objęć żony, bo od wierności i wstrzeźliwości nie odwiódł go „jasnowłose kobiety angielskie”. Ale przed chwilowym choćby wyjazdem ze swego świeżo zdobytego królestwa wiele jeszcze było przygotowań.

Należało wynagrodzić rycerzy i panów, a zwłaszcza tych, którzy nie tylko własnymi osobami służyli, ale ofiarowali również statki i żołnierzy do inwazji. Paru - po części dlatego, że powątpiewali o wierności swoich pozostawionych w domu żon - uznało, że Anglia to nie miejsce dla nich i poprosiło o zezwolenie na powrót do kraju. Takich zezwoleń udzielano łatwo. Normandia także potrzebowała lojalnych i dzielnych ludzi. A w Anglii Wilhelm chciał wokół siebie zgromadzić baronów chętnych do osiedlenia się na stałe, którym mógłby powierzyć obowiązek spacyfikowania poszczególnych prowincji królestwa, bo byłoby to również w ich własnym interesie.

Większość oddziałów najemnych spłacono i odesłano statkami z powrotem na kontynent. Ich miejsce w wojsku zajęli ochotnicy anglosascy, również rycerze, którym Wilhelm potwierdził ich rycerski stan. Tymczasowo król zachował lokalne „fyrdy”, a jednocześnie uformował oddziały milicji, której zadaniem była obrona kraju, ale która nie była zobowiązana służyć wojskowo poza granicami królestwa.

Względy polityczne jak i wdzięczności decydowały o nadawaniu zasłużonym Normanom rozległych ziem - i przydzielaniu żołnierzy do ich strzeżenia. Autorytet - związany z posiadaniem wielkich majątków ziemskich, kościelnych i świeckich, był konieczny do utrwalenia rządów. Przydzielane majątki przeważnie należały poprzednio do rycerzy poległych wraz z Haroldem na wzgórzach Senlac, do tych, którzy udali się na wygnanie i tych, którzy nie złożyli hołdu lennego. Ci ostatni zeszli



do poziomu drobnych dzierżawców, a nawet niewolnych. William z Poitiers dowodzi, że nikt z Normanów nie otrzymał daru, odebranego Anglikom „bezprawnie”. Ale kronikarz sam był Francuzem i jego pojęcie o tym co jest „bezprawne” mogło niezupełnie odpowiadać pojęciu wywłaszczonego.

Budowanie zamków, począwszy od Tower w Londynie, objęło niebawem cały kraj. Te właśnie twierdze więcej zapewne niż jakikolwiek inny czynnik przekreśliły nadzieje narodowe Anglików. Nawet jedenastowieczne fortyfikacje odstraszały buntowników i powściągały lokalne rozruchy przeciw królewskim kapitanom i zarządom.

Powierając przed swoim wyjazdem do Normandii regencję Williamowi Fitz Osbernowi i biskupowi Odo-nowi z Bayeux, król nakazywał:

- Budować zamki w każdym większym mieście, także wzdłuż ważniejszych gościńców. Później trzeba będzie wyszukiwać najbardziej odludne, najtrudniej dostępne okolice, gdzie rebelianci mogliby się zbierać, a najeźdźcy ukrywać, i tam również wznosić fortyfikacje.

Chociaż większość ówczesnych zamków budowano w pośpiechu dość prymitywnie, jednakże objęcie nimi całego kraju, jak planował Wilhelm, wymagało wielu lat. Ale realizację planu rozpoczęto jeszcze przed pierwszym po podboju wyjazdem króla do Normandii i kontynuowano podczas jego nieobecności.

Zamki, zwane królewskimi, a było ich w surmie około trzydziestu, wznoszono w większych, otoczonych murami miastach. Te wybudowano solidnie z kamienia; podobnie jeszcze kilka, wzniesionych przez naj-możniejszych panów normandzkich. Pewna liczba tych twierdz, uzupełnianych i modernizowanych w ciągu stuleci, przetrwała do dziś dnia. Fortece pomniejszych baronów były o wiele prymitywniejsze: fosa z wałem (później murem) wysokości trzech do czterech metrów, główny budynek drewniany, wysoki, trochę przypominający wiatrak bez skrzydeł, osadzony na fundamencie podsypnym z ziemi, jakby na kopcu, mógł mieć cztery piętra. Zapasy przygotowane na wypadek oblężenia mieściły się na parterze, wielka jadalnia powyżej, na wyższych piętrach izby sypialne dla barona i jego rodziny albo konkubin, wreszcie blanki i parapety obronne. Długa drabina na zewnątrz prowadziła od podstaw do drzwi jadalni: wokół podnóża szopy, stajnie, spichlerze; jedna brama z mostem (później mostem zwodzonym) przez fosę. O wygody mało dbano; około pięciuset takich fortec, bardziej przypominających koszary niż dwór, wybudowano w ciągu trzydziestu lat po podbiciu Anglii. Normañscy baronowie pędzili tryb życia mniej więcej taki sam, jak ich anglosascy poprzednicy, chociaż lepiej jadali i nosili bogatszą odzież.

Dla wielu powodów mieszkańcy Anglii, zwłaszcza chłopci i ludzie ubożsi, nienawidzili tych fortec. Stanowiły dla nich zagrożenie, symbol ucisku. Prócz tego chłopci i rzemieślnicy musieli bezpłatnie wykonywać przy budowie wszystkie najcięższe

prace. W niektórych miastach wyburzono domy, by przygotować teren pod zamek. W Lincoln zburzono 160 domów, w Cambridge 27; w hrabstwie Huntingdon 20 gospodarstw obrócono w perzynę. Dla Anglosasów na wszystkich szczeblach drabiny społecznej zamki były symbolem utraty niezależności osobistej, którą Wilhelm postanowił zniszczyć w interesie jednolitości państwowej i gospodarczej, wzmocnienia poczucia obowiązków obywatelskich i wojskowych. Zamki stanowiły też zewnętrzną oznakę wprowadzenia feu-dalizmu.

Najeźdźcy, którzy otrzymali lenna, pozostawali w służbie królewskiej. Wielmoże zarządzali prowincjami i wchodziłi w skład rady koronnej, pomniejsi piastowali urzędy lokalne i odpowiadali przed zwierzchnikami za przestrzeganie prawa i porządku. Za opieszałość lub niedołęstwo można było utracić nadane ziemie i urząd - wielki czy mały. Tak kładziono fundamenty królewskiej władzy feudalnej w całym kraju.

Wilhelm był nareszcie prawie gotów do wyjazdu do Normandii i do Matyldy, która, przy pomocy Rogera de Beaumonta dobrze sprawowała rządy w księstwie, ale często pisywała, tęskniła, błagała, by albo wrócił do niej, albo też ją wezwał do siebie. Niektóre angielskie hrabstwa trzeba było jeszcze pozostawić pod władzą dawniejszych zarządców, ale Normanom przydzielono najważniejsze okręgi, włącznie z hrabstwem Kent - o wielkim znaczeniu strategicznym, z portami na kanale La Manche, z gościńcem do Londynu - które otrzymał Odo z Bayeux, i hrabstwem Hereford - stanowiącym klucz do południowego środka kraju - oddanym Fitz Osbernowi wraz z tytułem hrabiego.

Tym dwóm Wilhelm powiedział:

- Ufam, że pod moją nieobecność nie będziecie mieli poważniejszych kłopotów.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by zaufania waszej królewskiej mości nie zawieść - powiedział nowo kreowany hrabia Hereford. - Ale wieleb-

- ny biskup Odo i ja troskamy się niepomąlu z racji paru tutejszych Anglosasów. Co przedsięwzięmie Edgar, były elekt, Edwin i Morcar, a także Waltheof i arcybiskup Stigand?! Czy nie będzie jakichś rozruchów w ich imieniu? Rzekłszy prawdę, miłościwy panie, my w ich lojalność nie wierzymy.

- Słusznie mówisz - przyznał Wilhelm. - Ale ten problem bez trudu rozwiążemy. Niechaj ci ludzie, których wymieniłeś, towarzyszą mi do Normandii. Będą zaproszeni jako goście... odmówić nie mogą... ale nasi rodacy widzieć w nich będą właściwie jeńców, ozdabiających triumf zdobywcy, żywych świadków naszego podboju! - przerwał i roześmiał się. - W rzeczy samej, świetny koncept! Bo Edgar na pewno, a Edwin i Morcar prawdopodobnie, każdy z osobna po śmierci Harolda pod Hastings żywił nadzieję zdobycia dla siebie korony. A to ja ją noszę, ich łaskawy gospodarz!

Ogólnie biorąc, uważa się Wilhelma Pierwszego angielskiego za gorszego aktora na tronie niż jego następcę w trzy wieki później, Henryk Piąty. Oczywiście, jako aktor na scenie historii, Henryk Piąty zapisał się wyraziściej dzięki plastycznej wizji samego Szekspira. Ale i Wilhelmowi nie brak było talentu do dramatycznego gestu i trafnego zwrotu. Więc gdy Robert Mortain powiedział:

- Wypłyniesz z Dover, oczywiście. Wilhelm odparł:

- Nic podobnego! Rozwinimy żagle i wypłyniemy dokładnie z tego samego miejsca, w którym wylądowaliśmy: z zatoki Pevensey.

# **Część trzecia**

## **ANGLIA I NORMANDIA**

## Rozdział 13

### PODBITY NARÓD I NOWY PAN

Decyzja powrotu do Normandii na Wielkanoc roku 1067 była czymś tak dla Wilhelma nietypowym, tak sprzecznym z jego zwykłą przenikliwością, cierpliwością i inteligencją, iż można by przypuszczać, że spowodowała ją chyba zaślepiająca euforia po zwycięskim podboju i koronacji. Wprawdzie Anglicy zostali pokonani i z racji swego społecznego ustroju mało było prawdopodobne, aby się mogli zjednoczyć w zorganizowanym oporze przeciw zwycięzcy, którego niechętnie ukoronowali; ale większej części kraju Wilhelm wcale sobie nie podporządkował. Zdumiewające, że nowy król, tak zazwyczaj skrupulatny, w chwili, gdy wychodził na morze z Zatoki Pevensey nie zwiedził, bodaj powierzchownie, więcej jak jednej trzeciej Anglii, nie wybadał nastrojów ludności, a tym mniej - nagiął ich do posłuchu swą żelazną wolą. Czy zapomniał, że Anglia nie znała właściwie feudalizmu, a poddanie się - nawet założywszy, że można je było uznać za trwałe - niektórych panów i rycerzy wcale nie oznaczało poddania się skromniejszych mieszkańców miast i wsi? Czy zapomniał o tym, co sam wielokrotnie powtarzał: że Anglicy mieli twarde karki, nie znali subordynacji, byli niekarni i nie zrezygnują z niezależności osobistej i wspólnot gminnych?

Wilhelm nie zapomniał. Jego niekonsekwencja zrodziła się z braku cierpliwości - tej cierpliwości, którą tak skutecznie stosował w operacjach militarnych. Wilhelmowi się spieszyło, by odbyć triumf w Normandii, by się pokazać swym normandzkim poddanym w całym blasku nowej godności, w otoczeniu nowych wasali. Ludzka słabość. Może by jednak nie wystarczyła, by odwieść go od dokończenia podjętego zadania, gdyby nie jeszcze jedna ludzka słabość, nad którą do tej pory panował z żelazną siłą woli, a której ulegali w Anglii nieomal wszyscy z jego normandzkich towarzyszy. Wilhelm dochował wierności Matyldzie, a pierwsze chwile po jego powrocie do księstwa wydają się potwierdzić przypuszczenie, że od pragnienia powszechnego aplauzu bardziej nagłaça była tęsknota za małżeńskimi objęciami.

Pięknego wiosennego dnia, tuż przed zachodem słońca, Matylda, którą Wilhelm pozostawił księżną a uczynił królową, czekała na niego z liczną świtą dam i rycerzy na normandzkim brzegu, w pobliżu portu Fécamp. Ujrawszy ją, Wilhelm skoczył do morza, jeszcze po kwietniowemu zimnego, i silnymi uderzeniami ramion roztrącając wodę, popłynął na brzeg. Zwycięzca - olbrzymia postać, o twarzy ogorzałej, rozłożystych barach, z wodą kapiącą z włosów i tuniki, oblepiającą spodnie na nogach mocarnych, jak konary dębu - wybiegł na piasek wybrzeża. Kilku jego towarzyszy również skoczyło do wody, ale zostawił ich daleko w tyle. Gdy tak biegł do Matyldy,

ona, z dramatycznym wyczuciem chwili, padła na kolana, rozkrzyżowała ramiona, odrzuciła w tył głowę, a jej bujne piersi zdawały się wyrywać z obcisłego stanika.

- Mój księżę i mój król! - wykrzyknęła.

Wyciągając ręce, by ją podnieść, Wilhelm wybuchnął potężnym śmiechem i odparł tak donośnie, by wszyscy mogli usłyszeć.

- Księżę czy król, księżę i króli Wszystko jedno! Dla ciebie, moje umiłowanie, najważniejsze, że jestem, czym byłem od piętnastu lat - twoim mężem!

Powitalny całus, jaki złożył na jej wargach, nie był tylko formalnym pozdrowieniem, lecz namiętym, długim pocałunkiem kochanka, jednocześnie obejmującego ją niedźwiedzim uściskiem. I nagle poderwał ją z ziemi niosąc w ramionach, jakby nie ważyła więcej od niemowlęcia, wielkimi krokami przemierzył wybrzeże, nie zwracając uwagi na Rogera de Beaumonta i innych, którzy szli go witać. Nie odpowiadał na żadne powitania, ani nie zatrzymał się, aż dotarł do książęcej rezydencji, gdzie szedł prosto do sypialnej komnaty i do przygotowanego przez Matyldę szerokiego łóża, zasłanego pościelą, haftowaną jej własnymi, zręcznymi palcami. Tu ją posadził i rozkazująco krzyknął na służbę, cisnącą się wraz z gwardzistami na korytarzu:

- Przynieść zimnych mięs i wina, natychmiast! Matylda uśmiechnęła się, w jej oczach błyszczała obietnica, pożądanie. Gdy paziowie i słudzy wbiegli skwapliwie, postawili tace z posiłkiem na stole i czekali, by obsłużyć królewską parę, Wilhelm wypędził ich, zamknął i zaryglował drzwi...

Dopiero po południu następnego dnia król i królowa - pogodni i uśmiechnięci, chociaż cokolwiek znużeni, o ciężkich, opadających powiekach - ukazali się, by pełnić, swe funkcje polityczne i wojskowe, towarzyskie i społeczne.

Gdy Matylda złożyła relację z regencji, Wilhelm podziękował jej gorąco za utrzymanie ładu w księstwie i zapytał:

- Co mogę ci ofiarować, by odpowiednio cię wynagrodzić? Mów, a otrzymasz!

Matylda położyła mu ręce na ramionach i z łobuzerskim uśmiechem spojrzała w oczy.

- Za to, co już otrzymałam, szczerze Bogu dziękuję! - i ciągnęła dalej, nieco poważniej: - Dość, że jesteś z powrotem w Normandii, zdrow i cały, twoje ambicje zaspokojone! - I znowu żartem, udając ton oskarżycielski: - A co z tymi anglosaskimi kobietami? Czy cię nie uwiodły?

- Nie było żadnej, by się z tobą mogła równać. Nie kusiły mnie. - To wcale nie komplement dla mnie...

- Nie mam daru pięknych słówek, wiesz o tym. Ale chyba jest komplementem, gdy mówię, a mówię prawdę, że przewyższasz wszystkie kobiety po tamtej stronie Kanału i po tej?

- Owszem, ale czy nie bardziej po rycersku byłoby powiedzieć, że te jasnowłose Angielki próbowały cię uwieść, zrzucały przed tobą suknie, rozpałały twoje żądze - a jednak pamięć o mnie utrzymała cię w wierności?

Śmieli się oboje, aż stłumili śmiech pocałunkami.

Odrywając się od spraw państwowych, Wilhelm przepędzał czas z synami: pierworodnym Robertem, Williamem Rufusem i Ryszardem. Córki, prócz może jednej Adelissy, za małe jeszcze były, by ojciec się nimi interesował. Ich czas dopiero nadejdzie - jako pionków, a czasem ważniejszych figur w grze polityki i dyplomacji.

Do Normandii przyzeglowało wraz z „Morą” kilka statków obciążonych łupami wojennymi, zrabowanymi z kościołów, z zamków i dworów angielskich panów, którzy polegli z Haroldem, albo nie chcieli uznać zdobywczy. Były tam drogocenne kamienie, złote i srebrne zastawy stołowe, kunsztownie rzeźbione krucyfiksy, kielichy, naczynia kościelne, naszywane perłami kapy; broń i zbroje, pyszne rzędy i czapraki, flakony, flaszki, wazy, puchary. Matylda otrzymała - prawo pierwszego wyboru i chciwie rzuciła się na cudnie utkane makaty, by przyozdobić nimi ściany komnat zamkowych w Rouen i Falaise. Dla Roberta - wysadzany klejnotami miecz: dla Rufusa - złote ostrogi; dla Ryszarda - bogatą uprzęż; a dla dziewcząt osobiste ozdoby ze złota i drogich kamieni. I dalej rozdawano podarunki panom i rycerzom, którzy z konieczności pozostali w kraju, pomagając Matyldzie i Rogerowi de Beaumont w zarządzaniu księstwem.

- Niechaj rozkładają i pokazują te trofea w swoich zamkach - mówił Wilhelm. - I niechaj razem z przyjaciółmi, z gośćmi wspominają, jak to normandzkie i frankońskie wojska podbiły wyspiarskie królestwo, a potomka Wielkiego Rollona osadziły na tronie.

Matylda chciała uroczyście obchodzić święta Wielkiejnocy w stolicy.

- Nasze kwatery tu, w Fécamp, są ciasne, niegodne monarchy - powiedziała. - Tęsknię za przestronnością i wygodami zamku Rouen.

Ale jej mąż inaczej postanowił.

- Tu Wielkanoc świętować będziemy. Zacni benedyktyni w Opactwie odprawią wszelkie nabożeństwa z należnym ceremoniałem i wystawią relikwię „Prawdziwej Krwi Chrystusowej”.

Do dzisiejszego dnia relikwia ta jest wysoko cenioną własnością kościoła w Fécamp. Według legendy znalezioną ją w dziupli pnia figowego drzewa, który to pień, niesiony falami, przyplłynął z Palestyny po Morzu Śródziemnym i na północ, wzdłuż wybrzeży Normandii.

- Nie przypadkiem tę właśnie miejscowość wybrałem, by wylądować - tłumaczył Wilhelm. - Bo tu, w Fécamp, przed trzydziestu dwu laty mój ojciec zaprezentował mnie, chociaż bastarda, naszym normandzkim baronom, jako dziedzica księstwa i

swego następcę. Tutaj mnie po raz pierwszy obwołali księciem, i tutaj po raz pierwszy powitają mnie jako króla.

Uroczystości odbyły się z wielkim przepychem. Jak Wilhelm przewidział, jego „goście” anglosascy - Edgar, Edwin i Morcar - budzili żywą ciekawość. Angielscy panowie mało jeszcze zaznali wykształcenia i nie mieli światowego obycia, więc ich długie włosy, czerstwe rumiane oblicza, z grubą ciosane rysy twarzy, prosta odzież wydawały się wytworniej odzianym, krótko ostrzyżonym Normanom po barbarzyńsku egzotyczne. Zupełnie tak samo, za czasów młodości Wilhelma, Normanowie wydawali się nieokrzesanymi barbarzyńcami na dworze francuskim.

Po krótkim pobycie w Rouen Wilhelm oznajmił Matyldzie:

- Musimy teraz udać się na objazd księstwa. Trzeba pokazać się naszym poddanym, niechaj wiedzą, że chociażem król Anglii, jednak zawsze jestem ich księciem i panem, ojcem troszczącym się o ich dobrobyt, pomyślność i pokój.

Królewska para wzięła udział w uroczystym poświęceniu nowego kościoła przy opactwie w Jumičges. W Caen Matylda ufundowała Opactwo Dam, a Wilhelm Opactwo Mężczyzn, wywiązując się z obowiązku, nałożonego na nich przez papieża, jako pokutę za zawarcie małżeństwa wbrew zakazowi Watykanu.

Wszędzie witano królewską parę z nadzwyczajną radością. Wszędzie odbywały się uczty, festyny, bankiety. W jednym mieście po drugim król ofiarowywał cenne podarunki - na pamiątkę podboju: złotą lub srebrną wazę, tacę czy jakieś naczynie kościelne, w oczach obdarowanych księży bynajmniej nie splamione tym, że zostało zrabowane z innego ołtarza.

Nadeszła wiadomość o śmierci arcybiskupa Rouen. Następcą normandzcy biskupi i zakonnicy wybrali

Lanfranca, dawnego przyjaciela Wilhelma i doradcę z Jumičges. Aie król-książę nie zatwierdził wyboru.

- Mam dla ciebie inną, ważniejszą robotę - powiedział Lanfrancowi. - Posłuchaj. Stigand, tytularny arcybiskup Canterbury jest, jak wiesz, schizmatykiem. Jeszcze nie uznałem za właściwe złożyć go z urzędu. Ale zaczekaj rok lub dwa...

A tymczasem Lanfranca wysłano znowu do Rzymu, by uzyskać paliusz dla Jana, biskupa” Avranches.

- Ta misja, jako taka, nie warta jest twoich talentów - tłumaczył Wilhelm. - Ale wobec planów co do twojej osoby, dobrze będzie, gdy Ojciec Świąty i kuria rzymska poznają cię bliżej, zapamiętają, że cieszysz się moim zaufaniem.

Miesiące biegly. Wilhelm sporo czasu zabawił w Rouen załatwiając sprawy państwowe, które Matylda odkładała do jego powrotu. Po Wielkanocy był wciąż jeszcze w doskonałym humorze, pełen energii. Stopniowo jednakże nastrój się zmieniał, oblicze posępniało, z trudem przychodziło mu z wesołą twarzą odpowiadać na radosne



aklamacje poddanych, nawet podczas uroczystego objazdu. Bo relacje, nadchodzące regularnie z Anglii, nie przypadły mu do gustu.

Wilhelm umiał trzymać w ryzach swoich żołnierzy. Grabili i gwałcili - owszem, ale tylko wtedy, gdy on im na to zezwalał, a nawet zachęcał, bo życzył sobie tego ze względów politycznych. A jeśli względy polityczne nakazywały co innego - nikt nie ośmielił się na niesubordynację. Wilhelm pozyskał miłość i przywiązanie niewielu ludzi, oprócz Matyldy; ale siłą charakteru narzucał szacunek wszystkim, którzy mu służyli, a budził strach u tych, którzy mu się narazili. Ani Fitz Osbern czy Odo, ani Robert Mortain, ani żaden z normandzkich wodzów nie był człowiekiem takiego kalibru. To nie angielscy, lecz normandzcy kroigo nikaarze sugerują, że zaraz po wyjeździe króla jego pełnomocnicy w wyspiarskim królestwie raczej pod żegali niż tłumili brutalność i ucisk, typowe dla okupanta.

Widząc w Normanach zmiany, wywołane oddaleniem silnej ręki ich wspólnego władcy, Anglicy również zyskali na śmiałości. W ich poczynaniach zabrakło koordynacji, która by umożliwiła wybuch ogólnego powstania przeciwko nieobecnemu królowi, ale dochodziło do częstych rozruchów lokalnych, buntów, anarchii. Na północy zadawnione właśnie między możnymi rodami przekształciły się w jawne walki, z podpalaniem domów, a nawet kościołów, w których uciekinierzy szukali azylu. Na zachodzie Edric, zwany Szalonym, szukając pomsty na Normanach z zamku Hereford, którzy niszczyli jego ziemie, namówił dwóch walijskich wodzów, by przyłączyli się do niego w rabunkowej wyprawie. Garnizon normański, nie dość liczny, by wydać bitwę w otwartym polu, zamknął się na zamku, posławszy gońców do Fitz Osberna o pomoc. Zanim jednak Fitz Osbern nadciągnął z odsieczą, Edric i jego kompani wycofali się w góry, unosząc łupy.

Trzecie, poważniejsze zamieszki wybuchły na południowym wschodzie, gdzie spróbowano odbić Dover pod nieobecność biskupa Odo i jego zastępcy, Hugh'a de Montfort, którzy z większą częścią wojska wyprawili się na północ od Tamizy z ekspedycją karną. Miasto Dover rebelianci zdobyli, ale zamek bronił się uparcie, aż wiadomość o powrocie Odo'na rozproszyła oblegających, z których wielu poległo w ucieczce.

Otrzymaawszy tę ostatnią wiadomość, Wilhelm wykrzyknął:

- Barbarzyńcy! Barbarzyńscy rebelianci! Nie powinienem był wyjeżdżać z Anglii!

Matylda spojrzała na niego z wyrzutem.

- Nie sądz, że tego żałuję - dorzucił pośpiesznie Wilhelm. - Musiałem do ciebie przyjechać. Ale teraz trzeba mi wracać. Pokażę im, kto jest panem mego wyspiarskiego królestwa!

Pytając, ostrożnie, zaproponowała:

- A ja... czy nie mogłabym pojechać z tobą?

- Jeszcze nie teraz. Niezadługo. Skoro tylko się upewnię, że to bezpieczne, pošę po ciebie.

Prosiła, błagała - nadaremnie. Wilhelm nie był jeszcze tak zupełnie pewien stanu królestwa, by zaryzykować zabranie tam swojej ukochanej Matyldy. W wilię wyjazdu powiedział do Rogera de Beaumont:

- Sądziłem, że pod moją nieobecność Odo i Fitz Osbern lepiej się będą spisywali.

Podeszły wiek upoważniał Rogera do śmiałości:

- Chciałeś tak sądzić, miłościwy panie, boś się spieszył wracać. Miałeś swoje powody, których niedaleko szukać... Może i dobrze się stało, że wróciłeś. Ale jedno muszę powiedzieć: za długo tu siedzisz.

Wilhelm odparł ten zarzut, ale bez przekonania:

- Przecież Fitz Osbern to dobry żołnierz i wierny druh. A Odo, to krew z mojej krwi... i niegłupi.

- Ale żaden z nich - odparł Roger de Beaumont - nie jest z takiej gliny ulepiony, aby zrozumieć, a tym mniej przeprowadzić to niesłychanie trudne zadanie: pogodzić podbity naród z nowym panem.

Boże Narodzenie roku 1067 król świętował w Westminsterze, gdzie przed dwunastu miesiącami odbyła się jego koronacja. Budowa londyńskiej twierdzy, Tower of London, posunęła się przez ten czas znacznie naprzód pod kierunkiem i według planów wybranego przez króla architekta, Gudulpha, który był zarazem biskupem Rochesteru. Z tego Wilhelm był zadowolony - iz niczego więcej. Jednakże gniew jego nie spadł na głowy tych, pod których opieką zostawił królestwo. Jeśli nie posiadali odpowiednich zdolności, nie można ich było za to winić. Wilhelma nie zaślepiły zwycięstwa i władza: potrafił przyjąć naganę ze strony człowieka mądrego, doświadczonego i przyjaznego, jakim był Roger de Beaumont. Jednakże oznajmił:

- Jedyńm sposobem zmuszenia do posłuchu krnąbrnych poddanych jest obudzić w nich strach. Będą się mnie bali. Te angielskie gbury muszą wiedzieć, że ja nie znam miłosierdzia, gdy chodzi o nieposłuszeństwo, cóż dopiero o rebelię. W pewnych prowincjach tej wyspy, zwłaszcza na północy i zachodzie, jest jeszcze sporo mieszkańców o sztywnych, nieugiętych karkach. Ogniem i mieczem będę ich uczył, wysoko urodzonych i gmin po równi, jeśli inna nauka nie skutkowała! Tylko przestrzegając moich praw mogą żyć w pokoju i mieć warunki do dobrobytu.

Bardzo szybko nadarzyła się królowi sposobność urzeczywistnienia tej groźby. Jego przybycie do Anglii nie ugasiło tłących się zarzewi buntów. Na południowym zachodzie, w Exeter - jednym z pół tuzina najpotężniejszych miast i portów kraju, położonym w We-ssex, dawnym hrabstwie Harolda - mieszkańie wzmocnili fortyfikacje, zmusili wszystkich mężczyzn, włącznie z zamieszkałymi tam

cudzoziemskimi kupcami, do wzięcia za broń i wydali proklamację, łącząc wyzwanie z propozycją kompromisu:

„Gotowi jesteśmy zwyczajowe podatki Normanowi płacić tak długo, dopóki angielską koronę nosić będzie, ale nie zdradzimy jego anglosaskich poprzedników na tronie składając mu przysięgę na wierność, ani też go nie wpuścimy w obręb murów naszego miasta.”

Być może sądzili mieszczenie, że zdobywca, ułagodzony obietnicą zapłaty, nie zdecyduje się prowadzić swego wojska przez dwieście mil wrogim krajem, odsłaniając własne zaplecze i pozostawiając Londyn praktycznie bez obrony. Ludzie z Exeter nie znali jeszcze charakteru normandzkiego króla. Wilhelm podejrzewał, że ich buntownicze nastroje wiążą się z osobą Gythy, matki Harolda, której niegdyś odmówił wydania ciała jej syna, a która zamieszkała w Exeter.

- Zobaczymy - powiedział król - czy mnie wpuszczą do miasta, czy też nie! I nie przywykłem, by poddani się ze mną targowali.

Wilhelm rzeczywiście nie miał ochoty prowadzić swoich żołnierzy przez okolice nieujarzmione i wrogie. Wybrał śmiałą alternatywę. Wyprawił się z małą tylko częścią normańskiego wojska, a przodem wysłał oddziały rycerzy, by zawezwali pod broń miejscowe „fyrdy”, czyli pospolite ruszenie. Ryzykowne to było przedsięwzięcie, ale mało która okolica odmówiła wysłania ludzi. Pamiętano dobrze, co się stało minionego roku w Surrey i Berkshire i w innych hrabstwach, które nie posłuchały rozkazów króla.

Tymczasem odwaga mieszczan exeterskich zachwiała się nieco. Normandzki zakonnik, który w XII w. napisał „Orderis Vitalis Historia Ecclesiastica”, opowiada, że gdy król nakazał postój na cztery mile przed Exeter, „na spotkanie mu wyszła procesja pięknych dziewic w bieli i rajców miasta, z księżmi, niosącymi święte księgi i kościelne naczynia”. Proponowali kapitulację bezwarunkową, na co Wilhelm się zgodził. Kler i rajców odesłano z powrotem do miasta, by zgotowali odpowiednie przyjęcie dla króla, ale dziewczęta i sześciu najstarszych mieszczan zatrzymano jako zakładników. Gdy następnie rodziny ujrzały znowu swe dziewczęta, biel ich szat nie była już niepokalana. Nie byłoby to zapewne niespodzianką w żadnym razie, ale większość mieszczan w Exeter miała odmienne od Wilhelma poglądy na sprawę „odpowiedniego przyjęcia” dla króla. Dowodzili oni, że nie można ufać obietnicy króla, iż nie będzie prześladowań ani odwetu. Rajcowie ustąpili i bramy miasta pozostały zamknięte.

Wściekły Wilhelm rozkazał wojsku podejść pod same mury.

- W takim razie poprobujemy ich zastraszyć - rzekł. - Przyprowadzić tutaj jednego z zakładników i niechaj mu na oczach tych zdrajców na murach oczy rozżarzoną żelazną wypalą.

Król chciał przerazić nie tylko upartych mieszczan. Miało to być ostrzeżenie również pod adresem rekrutów z „fyrdu”, stanowiących przeważającą część wojska:

ostrzeżenie i przypomnienie, jaki los czeka każdego, kto nie zechce z dostatecznym zapalem walczyć przeciwko własnym rodakom.

Rekruci, jak się zdaje, pojęli lekcję. Ale nie mieszczanie z Exeter. Fale morza omywały tylne drzwi ich kamienic, w porcie stały przycumowane liczne statki. Głodem ich nie wezmą. W ciągu osiemnastu dni odpierali ataki na mury. W jednym szturmie po drugim - niektóre prowadził sam król - poległo wielu Normanów i wielu Anglosasów. Z murów lano na głowy atakujących wrzątek, ciskano głązy. Tych, którzy zdołali się wspiąć aż na górę, zabijano mieczem, toporem, dzidą.

Wilhelm nie miał zwyczaju nadaremno tracić żołnierzy. Przez jednego z zakładników doręczył starszym miasta posłanie:

„W zamian za otwarcie bram miasta oraz złożenie należynej przysięgi na wierność, król zobowiązuje się nie podwyższać podatków, zwyczajowo wypłacanych, suwerenowi, nie ściągać daniny ani kompensaty na pokrycie poniesionych kosztów wojennych, oraz poręcza mieszczanom życie i mienie.”

Obrońcy, do tej pory triumfujący, jeszcze teraz nie mieli ochoty się poddać. Ale obietnica Wilhelma, że nie podwyższy podatków ani w inny sposób nie tknie ich sakiewek, przypadła do przekonania kupcom i możliwym panom, których daniny najbardziej by obciążęły. Ci namówili innych do przyjęcia warunków królewskich; czyli, jak zapisał angielski kronikarz: „starsi miasta zdradzili jego mieszkańców”.

Bądź co bądź Exeter odniosło pewnego rodzaju triumf. Może prawdziwie normańska armia, skuteczniej by się sprawiła od tej zbieraniny świeżych rekrutów. W każdym razie rzadko się zdarzało, aby Wilhelm, nie mogąc zdobyć miasta, musiał proponować warunki i związywać się obietnicami. Mieszczanie z Exeter zasłużyli na osobną wzmiankę na kartach historii.

Zanim otworzono bramy, Gytha, w obawie o los swoich młodych dworek, wsiadła wraz z nimi na statek i opuściła miasto, by po wielu przygodach wylądować w końcu w St. Orner na brzegach Flandrii, gdzie przyjęli ją gościnnie poddani hrabiego Baldwina.

Wilhelm poprowadził armię po hrabstwie Kornwalii, pozwolił żołnierzom tytułem nagrody na trochę rabunku i zostawił swego przyrodniego brata Roberta de Mortain jako zarządcę tej prowincji. Na Wielkanoc król był z powrotem w Londynie. Nic nie zagrażało w danej chwili pokojowi królestwa, zdecydował więc zawezwać Matyldę z młodszymi dziećmi z Normandii Najstarszy syn, Robert, chociaż niepełnoletni, został nominalnie regentem.

Na Zielone Świątki w Opactwie Westminsterskim zebrało się liczne zgromadzenie, reprezentujące stan, do którego doszedł podbój kraju: nowy ład następujący na piąty dawnemu. Biskupi Lisieux, Bayeux i Coutances ramię w ramię obok anglosaskiego arcybiskupa

Yorku i biskupów Exeter, Wells i Londynu, William Fitz Osbern, hrabia d'Eu, Roger de Montgomery i Hugh d'Avranches przepychający się z Edwinem, Morcarem i Waltheofem.

W obecności ich wszystkich arcybiskup nałożył koronę na jasne włosy wciąż jeszcze pięknej Matyldy, która bardzo zręcznie postanowiła zaapelować do sentymentów anglosaskich matek, występując w otoczeniu swych dzieci. Ich gromadkę miał w rok później powiększyć czwarty syn, Henryk, poczęty i urodzony na ziemi angielskiej. Był on pierwszym z krwi normandzkiej, którego Anglicy naprawdę uważali za współrodaka, pierwszym z normandzkiej dynastii - wstąpił na tron po śmierci swego brata, Rufusa - mówiącym biegle językiem poddanych.

Małżonka zdobywcy byłaby zapewne dumna, gdyby wiedziała, że z jej łona mieli wziąć początek antenaci wszystkich, którzy od czasów jej męża do chwili dzisiejszej zasiadali na angielskim tronie. Linia dynastii wahała się często, bliska wygaśnięcia, i ratowało ją tylko pośrednictwo kobiet z tego rodu, które same często nie odegrały żadnej roli w dziejach. Ale Plantageneci, wielcy Tudorowie i niefortunni Stuartowie, królowa Wiktorja i królowa Elżbieta Druga - wszyscy oni ostatecznie zawdzięczają swoje istnienie związkowi Matyldy, córki hrabiego Baldwina z Flandrii, z Wilhelmem, bastardem księcia Normandii.

## Rozdział 14

### SPUSTOSZENIE PÓŁNOCY

„Siły wojskowe waszej królewskiej mości dostateczne się okazały, by udaremnić próby lądowania Duńczyków w Dover i Sandwich, o dwadzieścia mil dalej wzdłuż wybrzeża...”

Król Wilhelm polował w puszczy, zwanej Forest of Dean, na pograniczu walijskim, a Matylda bawiła u hrabiego Fitz Osberna w jego zamku Hereford, gdy w sierpniu roku 1069 biskup Odo wysłał tę wiadomość.

Drugi posłaniec przybył wkrótce, tym razem ze wschodniej Anglii, z dalszymi relacjami o najeździe Duńczyków:

„Duńczycy wylądowali w Ipswich, złupili okolice... Miejscowa ludność zaatakowała najeźdźców, zabiła około trzydziestu, resztę aż na statki odpędziła...”

I następny posłaniec od Ralfa de Wadera, dawnego wolontariusza z Bretanii, obecnie hrabiego i gubernatora zamku Norwich:

„Atak na miasto odparliśmy. Wydaje się, że Duńczycy pod wodzą Asbiorna zmierzają teraz do ujścia rzeki Humber. Jeśli uda im się tam wylądować, zapewne skierują się do Yorku”.

Miasto York było położone o jakieś czterdzieści kilometrów od najdalej w głąb sięgającego punktu ujścia rzeki do wąskiej zatoki.

- Fitz Osbern nalegał, by król i on sam wyruszyli jak najspieszniej na północ rozprawić się z duńskim najazdem.

- Wcale nie - odparł Wilhelm. - Jeśli w Dover i Ipswich, i Norwich na własną rękę mogli odpędzić tych bezczelnych rabusiów, niechaj gdzie indziej tak samo zrobią. Tylko daj znać do Yorku, żeby mnie wezwano natychmiast, gdyby ich do muru przyparto.

W parę dni nadeszła odpowiedź, że garnizon w York potrafi się bronić i przez rok przeciwko wszelkim siłom, jakie Duńczycy przyprowadzą. Król i jego otoczenie powrócili więc do łowów.

Nie był to bynajmniej pierwszy alarm od czasu rewolty w Exeter. Zdarzały się częste lokalne zamieszki, wyrażające protest Anglików, możnowładców i gminu przeciwko scentralizowanemu, zjednoczonemu państwu, jakie projektował zwycięzca.

Rozruchy tego rodzaju były może kłopotliwsze, a w każdym razie trzeba było więcej czasu, by każde po kolei tłumić, niż powstanie w skali ogólnokrajowej. Geniusz wojenny Wilhelma, stosunkowa nieudolność ewentualnych powstańców w porównaniu z nim, jego możliwości ściągnięcia z kontynentu nieomal nieograniczonej liczby jurgielników, niska wartość bojowa angielskich wieśniaków - umożliwiłyby

wycięcie wrzodu buntu raz na zawsze w jednej wielkiej operacji. Zamiast tego, nieustanne zamieszki w różnych prowincjach - jak rozproszeni po różnych domach pacjenci, z których każdy wymagał innego leczenia - zmuszały Wilhelma do ciągłego przerzucania się z wojskiem z krańca w kraniec kraju i opóźniały realizację jego projektu stworzenia silnego, rządowego państwa.

W parę tygodni po koronacji Matyldy z królewskiego dworu znikli Edwin i Morcar bez zwyczajowej kurtuazji pytania o permisję. Z pomocą walijskich wodzów plemiennych spróbowali zorganizować rewoltę, skoncentrowaną wokół Yorku, z zamiarem oderwania Mercii i Northumbrii od dominiów Wilhelma i utworzenia tam oddzielnego królestwa. Jednocześnie Edgar, były elekt, z matką i siostrami oraz grupą panów, w obawie, że zostaną wciągnięci w rewoltę, umknęli z królewskiego dworu i schronili się u króla Malcolma w Szkocji. Skończyła się ta afera wręcz sromotnie. Wilhelm ledwie pięść zacisnął, a dwaj główni rebelianci zadrżeli i skwapliwie ponowili swoje hołdy i przysięgi.

Jednakże z pobytom za północną granicą Edgara, którego prawa do angielskiego tronu, chociaż go się wyrzekł, nadal istniały, wiązało się rzeczywiste niebezpieczeństwo. Wrogowie Wilhelma mogli się gromadzić pod hasłem oddania tronu dawnemu elektowi. Wysłano więc biskupa anglosaskiego, Ethélwine'a z Durham - człowieka światowego i rozważnego, jak arcybiskup Yorku - na dwór edynburski dla negocjacji z królem Malcolmem. W zamian za obietnicę, że Wilhelm nie będzie molestował jego ziem, król szkocki wysłał do Yorku swego przedstawiciela, aby w jego imieniu złożył lenny hołd. Było to rozsądne posunięcie taktyczne ze strony Malcolma. Jego hołd był wyłącznie formalnością, on sam nie potrzebował osobiście zginać kolana, a odwrócono od Szkocji drapieżną zaborczość Wilhelma.

W Northumbrii nadal się kotłowało. Wilhelm chciał podporządkować sobie tę prowincję, mianując hrabią Normana, Roberta de Commines. Ale mieszkańcy północy dostrzegali w tej nominacji niebezpieczeństwo ostatecznego poddania się władzy Londynu. Kiedy Commines z pięciuset rycerzami przybył do Durham, o jakieś pięćdziesiąt kilometrów na północ od Yorku, - o świcie zaatakowano miasto, wycięto w pień Normanów, a dom, w którym zatrzymał się na nocleg de Commines, spalono wraz z ludźmi. Z pięciuset rycerzy tylko jeden ocalał i zdołał uciec.

Na ten sygnał Edgar i jego stronnicy wyprawili się na południe i zaatakowali nowo wybudowany zamek w Yorku. Wilhelm pośpieszył na północ, po drodze nakazując wzniesienie zamków w Warwick i Nottingham, rozbił rebeliantów - chociaż Edgar uszedł z życiem - i przed powrotem do Londynu kazał budować w Yorku drugi zamek, na przeciwległym brzegu rzeki Ouse.

Przez blisko rok panował mniej więcej spokój, tylko synowie Harolda, Godwine i Edmund, którzy po bitwie pod Hastings uciekli wraz z angielskimi statkami do

Irlandii, najechali południowo-zachodnie wybrzeże Anglii. Talentów wojskowych nie przejawiali i mieszkańcy nadbrzeżnych hrabstw odparli ich własnymi siłami, a o ich dalszych losach kroniki milczą.

Najazd Duńczyków w roku 1069 okazał się poważniejszym niebezpieczeństwem od wszystkich dotychczasowych zamieszek na północy królestwa. Duńczycy, po udanym lądowaniu w ujściu rzeki Humber, pomaszerowali w kierunku północnej stolicy, gdzie przyłączyli się do nich Edgar oraz Waltheof hrabia Huntingdon, człowiek odważny i dobry wódz. Tenże wezwał pod broń podległe mu hrabstwa na pomoc Duńczykom. Ochotnicy tłumnie się garnęli pod sztandar Edgara i we wrześniu roku 1069 liczna armia stanęła przed bramami Yorku: Anglicy na czele, przezorni Duńczycy w odwodzie.

W zasadzie zamierzenia Duńczyków nie różniły się od planów norweskiego króla Hardrady za czasów krótkiego panowania Harolda. Po śmierci Hardrady, najważniejszą osobistością w orbicie skandynawskiej był król Danii, Swegn Estrickson. Mieszkańcy Northumbrii, zdając sobie sprawę, że sami nie poradzą Normanom - a wbrew namiętnym sprzeciwom starego arcybiskupa Ealdreda, który przewidywał straszny los, czekający jego prowincję - wezwali Swegna na pomoc. Nie wiadomo dokładnie, co w razie zwycięstwa miał otrzymać Swegn, ale prawdopodobnie rebelianci wysunęli jako przynętę koronę Anglii z zastrzeżeniem, że północ otrzyma autonomię na zasadzie lenna.

Król Danii zgromadził dwieście czterdzieści statków, a wodzem wyprawy wyznaczył swego brata Asbiorna, którego wojsko tak samo nie było w całości duńskie, jak i Wilhelm nie przeprowadził najazdu siłami wyłącznie normandzkimi. Werbowano ochotników do wyprawy z różnych krajów na południe od Bałtyku - od Fryzji i Saksonii po „dzikich pogan z Litwy”, jak zapisali kronikarze. Byli też Polacy.

Dowódca garnizonu w Yorku, zapewniając dumnie, że będzie się opierał najeźdźcom przez rok, nie tylko przeliczył się co do liczebności wojsk duńskich, ale nie przewidział również pomocy, jakiej im będą udzielać Anglicy. Następne wieści, przywiezione Wilhelmowi do puszczy Forest of Dean, położyły kres jego polowaniom.

„Normanowie wycofali się z miasta do dwóch zamków... podpalili sąsiednie budynki, pożar się rozszerzył, ogarnął miasto, zniszczył między innymi kościół św. Piotra... wypad Normanów z zamku... nieprzyjacieli o wiele liczniejszy... porażka, wielu zabitych... resztki obu garnizonów usiłowały uciec... wycięci w pień przez Anglików i Duńczyków... hrabia Waltheof, stojąc przy bramie zamkowej, osobiście zarznął toporem stu, jednego po drugim, uciekających Normanów... oba zamki spalone ze szczeniem...”

Zamki były oczywiście drewniane: później, w swobodnym czasie, miano je zastąpić budowlami z kamienia.



Na konto krwawych wydarzeń w Yorku trzeba jeszcze zapisać śmierć arcybiskupa Ealdreda. Ten stary już człowiek, przewidując katastrofę i zgubę prowincji, na parę dni przed przybyciem Duńczyków umarł z rozpacz.

Katastrofa w Yorku nareszcie uprzytomniła Wilhelmowi całą groźbę położenia. Wpadł we wściekłość. Z Fitz Osbernem i całą świtą pojechał do Londynu, a o stanie jego umysłu może świadczyć fakt, że wbrew namiętnym, a nawet gwałtownym protestom Matyldy, wyprawił ją do Rouen.

- W tej kampanii, którą teraz zacznę, nie możesz mi towarzyszyć - wyjaśnił. - Będę w polu całymi tygodniami, może miesiącami.

- Więc pozwól mi tutaj na ciebie czekać. Dość jest normandzkich rycerzy, bym się czuła bezpieczna.

- Nie. Sama twoja obecność może skusić londyńczyków do jakiegoś szalonego postępu, który i ich i nas będzie drogo kosztował.

Ani łzy, ani wybuchy gniewu go nie poruszyły. Biskup, Odo eskortował Matyldę i dzieci na statek, który czekał w Dover. Miała przysłać z Normandii tylu jurgieltników, ilu tylko zdoła bez straty czasu zwerbować i podjąć na nowo obowiązki regentki księstwa.

Na rozkaz królewski Robert de Mortain, hrabia d'Eu, Robert de Montgomery i inni panowie zwerbowali wszystkich Anglików, których udało się im przekonać albo zmusić do wstąpienia do wojska, po czym Wilhelm ruszył na karną ekspedycję, z zemstą w sercu.

Gdyby angielscy baronowie potrafili się lepiej zorganizować i współdziałać, albo gdyby znalazł się wśród nich człowiek o takich talentach, osobistym wpływie i popularności, jak Harold - mieli ostatnią sposobność wypędzenia Normanów za Kanał. Zapewne rozwój państwowości Anglii, jej przyszły rozkwit zyskały na tym, że w tej ostatniej godzinie nie znalazł się taki człowiek, ani takie możliwości zorganizowanego współdziałania. Na poparcie mieszkańcom północy odezwały się tylko tu i ówdzie rozproszone bunty, które lokalne garnizony normandzkie bez trudu stłumiły. A w ogóle Normanowie zamykali się w swych zamkach i czekali, by wieśniacy wrócili do swych domów - wtedy mogli ich osiągnąć. Londyn i zamożne południowe i południowo-wschodnie hrabstwa popierały Zdobywcę w tym trudnym i niespokojnym czasie. A gdy angielskie oddziały chłopskie pod wodzą rycerzy z Devonu i Kornwalii podeszły pod Exeter, tamtejsi mieszkańcy, pamiętając poprzednią łaskawość Wilhelma, zamknęli przed nimi bramy miasta i odpędzili ich ze znacznymi stratami.

Dzięki temu król miał wolną rękę, by się rozprawić z buntownikami na północy - a w ręce niósł ogień i miecz.

W Nottingham czekała wiadomość, że na wieść o nadciąganiu straszliwego Normana Edgar schronił się z powrotem do Szkocji, a Asbiorn i jego mieszane

europęjskie wojsko opuściło York i uciekło na statki w ujściu Humber, pozostawiając na pastwę losu tych, na rzecz których interweniowali.

- Z pewnością obladowali się łupami - zauważył Wilhelm. - Ale honoru ze sobą nie wywieźli. Teraz mamy do czynienia tylko z rebeliantami. A jak się do nich zabiorę, to legendarne pustynie afrykańskie będą w porównaniu z Northumbrią kwitnącym ogrodem!

Ekspedycja karna napotkała na opór w pobliżu miasteczka Pomfret (dziś Pontefract) o jakieś pięćdziesiąt kilometrów na południe od Yorku. Na przeciwległym brzegu rzeki Ouse znaczne siły rebeliantów oczekiwały nadejścia Normana, bronione nurtem tak wezbrany po obfitych ostatnio deszczach, że nie można było myśleć o przeprawie, nawet łodziami. Wilhelm rozesał podjazdy.

- Przeszukać rzekę w dół i w górę. Musi być gdzieś miejsce, gdzie można się przepawić. Znajdźcie je, czekam waszego powrotu niecierpliwie.

Przez trzy tygodnie Wilhelm i jego żołnierze czekali w irytującej beczynności, aż wreszcie Roger de Montgomery przygalopował z sześćdziesięciu ludźmi, by donieść z dumą:

- Między górami, miłościwy panie, o jakieś czterdzieści mil na zachód, odkryłem bród!

- Jesteś pewien, że ludzie i konie mogą się tam przepawić? - upewniał się Wilhelm.

- Przepawiłem się z moimi ludźmi. Odpędziliśmy bandę rebeliantów po tamtej stronie rzeki i wróciliśmy z powrotem.

- Doskonale się spisałeś, Rogerze! Nie zapomnimy ci tego!

Roger de Montgomery otrzymał wkrótce tytuł hrabiego Shrewsbury.

Bez zwlekania wojsko pomaszerowało do brodu, a siły powstańcze pod Pomfret wyminięto. Zdemoralizowani długim czekaniem, opuszczeni przez sprzymierzeńców, w strachu przed gniewem króla rebelianci rozproszyli się; ale mało komu ucieczka się powiodła.

Król jeszcze nie od razu wkroczył do Yorku. Rozdzielił wojsko na kilka oddziałów. Jeden pod dowództwem przyrodniego brata, Roberta otrzymał specjalne zadanie: naprawić i obsadzić załogami poniszczone zamki. Pozostałe oddziały rozesałano po okolicy, jak myśliwych i naganiaczy w poszukiwaniu zwierzyny.

- Obrócić w perzynę ten kraj - rozkazał Wilhelm.

- Niechaj żaden człowiek, mężczyzna, kobieta czy dziecko, nie zdoła tu wyżyć. Pardonu nie dawać. Waszym sercom nie wolno znać litości!

Niebawem oddziały rozlały się po szerokich połaciach północnej krainy. Mieszkańcy Northumbrii rzucali się po desperacku na Normanów, albo padali do ich nóg błagając o łaskę - tych i tamtych wycinano bez litości. Zresztą, może ich los był lepszy od losu tych nielicznych, którzy ocaleli wśród ogólnej rzezi. Ci, którzy próbowali

przetrwać surowość zimy w jaskiniach, w szałasach zbitych naprędcie z powalonych drzew, znalazłszy swe domy w dymiących zgliszczach, żony i dzieci pomordowane, nadaremno próbując czymś się posilić - marli setkami przy gościńcach czy w nędznych kryjówkach. Niektórzy przedostawali się na południe, do hrabstw środkowej Anglii. Kronika Opactwa Evesham, w dość już odległym Worcestershire, zawiera wzmianki, jak uciekinierzy z północy przywlekli się długim sznurem do miasteczka, ale było ich za wielu, by zakonnicy mogli nastarczyć żywności, więc marli na ulicach.

Nim nadeszło Boże Narodzenie, cała północna kraina, od Morza Irlandzkiego na zachodzie aż po Morze Północne na wschodzie - zmieniła się w pustynię. W piętnaście lat później, gdy król zarządził wielką inwentaryzację stanu i zasobów królestwa, w hrabstwie York jedno gospodarstwo za drugim określano tak samo: „leży odłogiem”.

Rozmiary spustoszenia - podówczas bez precedensu w Europie, która przecież zaznała niemało zniszczeń i podpaień jako kar - nie były rezultatem wybuchu takiej niepohamowanej wściekłości, jak przed dwudziestu laty, gdy za znieważenie króla trzydziestu mieszkańcom Alençon utraciło członki; nie były środkiem obronnym, ani też wyłącznie karą za zabicie de Comminesa i jego rycerzy, lub za wezwanie na pomoc obcego władcy. Było to okrucieństwo na zimno, nakazane z wyrachowaniem i świadomie jako ostrzeżenie dla każdego, ktoby odważył się podnieść rękę przeciwko królowi. Wilhelm i jego Normanowie, ludzie religijni, mogliby powiedzieć o Anglikach to, co w wiele stuleci później amerykańscy koloniści, również bardzo religijni, mówili o tubylczych Indianach: „Z niektórymi poženiliśmy się, innych wybiliśmy, resztę zagłodziliśmy”. Dzisiaj czujemy się słusznie wstrząśnięci tym okrucieństwem. Ale za czasów Wilhelma życie było okrutne i zwykle krótkie. Wśród tych, którzy sprawowali władzę, ludzi świeckich i duchownych, okrucieństwo spotykało się nagminnie, a sukces usprawiedliwiał wszelkie środki. Anglia padła ofiarą tak zwanego „spustoszenia północy”; ale gdzie indziej mało podniosło się głosów potępienia. Nie usprawiedliwia to Wilhelma, tylko pomaga zrozumieć jego mentalność. Zgodnie ze świadectwem tych, którzy byli obecni przy jego śmierci - w ostatniej godzinie życia „spustoszenie północy” ciążyło mu na sumieniu.

Zdobywca wkroczył wreszcie do Yorku, gdzie mieszkańcy witali go z serdecznością, zrodzoną z oportunistów. Z ukrycia wyszedł Waltheof, prosząc o wybaczenie mu udziału w rewolcie i oświadczając gotowość złożenia ponownego hołdu. Przeprowadzono go przed Wilhelma. Król siedział w otoczeniu tych członków rady koronnej, którzy mu towarzyszyli w wyprawie na północ. Buntowniczy hrabia, równie olbrzymiego wzrostu i potężnej siły fizycznej, co i sam król, stał wyprostowany, wyzywający, założywszy ramiona na szerokiej piersi.

- Czemu miałbym ci wybaczyć? - pytał Wilhelm. - Złamałeś złożoną mi przysięgę na wierność, jesteś zdrajcą, a sam wiesz, jaki los czeka zdrajców.

Nawet Zdobywca nie mógł zastraszyć Waltheofa, który odparł:

- Postępowałem tak, jak ty sam, miłościwy panie, na pewno postąpiłbyś, gdyby angielska armia podbiła Normandię: to znaczy, próbowałem ratować honor moich rodaków...

- ... zabijając stu moich - przerwał mu Wilhelm. - Ty sam, bojowym toporem, w tym mieście.

- Cóż znaczy stu w porównaniu z tysiącami Anglików, którzy zginęli, od kiedy Normanowie najechali Anglię?

- Tylko dlatego, ponieważ sprzeciwiali się... Tym razem Waltheof przerwał, mówiąc śmieje:

- Czyż nie jest obowiązkiem podbitego narodu sprzeciwiać się i powstawać, miłościwy panie?

Wilhelm powściągnął uśmiech. Lubił śmiałków.

- Dobrze mówisz, Waltheofie. A człowiek twego rozumu pojmuje chyba, że karą za niepowodzenie w rebelii jest...

- Nie boję się kar. Katowski topór jest ze stali, tak samo, jak miecz, a ten nieraz już był nade mną. Ale ofiarowuję ci, miłościwy panie, hołd i służbę w zamian za przebaczenie. Królowie potrzebują dzielnych serc i silnych ramion, a mogą je zyskać nie tylko surowością, ale i wielkodusznym pobjazaniem.

- Bezczelny hultaj z ciebie - roześmiał się Wilhelm. - Ale muszę przyznać, że mi się twoja czelność podoba. Więc teraz, w okresie świąt Bożego Narodzenia, gdy każdy z nas winien okazać miłosierdzie, przebaczę ci twoje winy. Ale tym razem składaj hołd sercem, nie tylko głową. I wiedz, o czym, jak się zdaje, zapominasz: że ja nie jestem najeżdźcą, lecz twoim, prawowitym królem, wybranym przez Witan, krewnym zmarłego Edwarda Wyznawcy.

Waltheof skłonił głowę - ale niezbyt nisko. Nie tak nisko, jak w przyszłości skłoni ją na szafocie.

Po Bożym Narodzeniu, świętowanym z wielką pobożnością w Yorku, król postanowił jeszcze przed powrotem do Londynu, podporządkować sobie jedyne większe miasto w Anglii, które ani się nie poddało, ani w żadnej formie nie uznało jego zwierzchności - Chester, położone na południe od Lancashire, o jakieś pięćdziesiąt kilometrów w głąb lądu od Morza Irlandzkiego.

- Łotrzykowie z Irlandii i Walii - mówił król - mogą się tam zbierać, stamtąd napadać na hrabstwa środkowe. W Chester musi być nasz zamek z załogą, by wzbraniać dostęp i rebeliantom i rabusiom.

Pochód z Yorku do Chester był niebłahym przedsięwzięciem. Między tymi dwoma miastami leżą najwyższe, najbardziej niedostępne góry królestwa: Penniny, ciągnące się na południe od pogranicza szkockiego, daleko w głąb hrabstw środkowych. Wiele

szczytów przewyższa 700 metrów npm, niektóre sięgają blisko tysiąca. Do Wilhelma przyprowadzono angielskiego zakonnika, znającego dobrze te niegościnne strony.

- Czy nie ma żadnego gościńca przez góry? - pytał król.

- Żadnego, miłościwy panie. Przed wiekami Rzymianie zbudowali gościńiec, by ich legiony mogły tędy maszerować. Ale popadł on w ruinę i teraz nawet śladów nie sposób znaleźć.

- Muszą być doliny i wsie - protestował Wilhelm. - Jak ci ludzie sprzedają swoje płody, jak kupują, co im potrzeba?

- Góry nie są żyzne, miłościwy panie, i niezagospodarowane. Mieszkańców mało, a między odległymi wioskami tylko polne trakty.

- Czy chcesz powiedzieć, że wojsko nie zdoła wyżywić się w tych okolicach?

- Z pewnością nie, miłościwy panie. Żywność trzeba zabrać z sobą na grzbietach ludzi i koni.

- Jaką najlepszą drogę nam doradzisz, bracie?

- Nie ma najlepszej, wszystkie są jednakowo trudne i niebezpieczne, miłościwy panie. Latem dałoby się przejść przełęczą, którą płynie przez góry rzeka Aire, - ale teraz wody wezbrały, nurt porywisty, nie do przebycia. Mgły gęste i białe jak mleko, przysparzają dodatkowych kłopotów. Jedno tylko mógłbym powiedzieć: łańcuch górski jest mniej przerażający z tej strony, od Yorku, ponieważ zbocza wschodnie, po których trzeba się wspinać, są mniej strome od zachodnich, którymi żołnierze będą schodzili.

- Niewiele pociechy przynoszą mi twoje słowa, przyjacielu. Strome zejścia dla ciężko obciążonych ludzi i zwierząt są równie trudne, co i strome podejścia.

- Gdybym mógł złożyć pomyślniejszą relację, uczyniłbym to z miłą chęcią. Ale na Najświętszą Marię Pannę, nie mogę. Jeśli raczysz, miłościwy panie, posłuchać rady ubogiego mnicha, to zaniechaj tej przeprawy. Lepiej, by twoje wojsko pomaszerowało na południe, dookoła krańca Gór Pennińskich i z powrotem na północ, do Chester.

- Nie mam zwyczaju omijać przeszkód, ja je łamię! - odparł wzgardliwie król.

- Stanie się według twojej woli, miłościwy panie. Tylko zechciej pamiętać, że twoi Normanowie w rodzinnym kraju - wiem, bo spędziłem wiele lat w Jumičges, gdy przebywał tam król Edward, świec Panie nad jego duszą - nie mają szczytów górskich o takich wysokościach, jakie tu napotkają. Brak doświadczenia utrudni jeszcze wasz pochód.

Nic nie zachwiało decyzji Wilhelma. Zła pogoda często w tych stronach panowała, ale pochodowi Normanów towarzyszyły burze, gradobicia i ulewy o tak wyjątkowym nasileniu, iż nawet angielscy kronikarze to zanotowali. Po drodze napotymano na trzęsawiska wśród gór, gdzie wciąż grzęźli ludzie i konie. Te ostatnie wyciągano z mokradeł, o ile to było możliwe i szlachtowano - jedyne mięso, jakim umęczeni żołnierze mogli się posilić. Posuwano się czasem ledwie o parę kilometrów dziennie, a

noce spędzano bez dachu nad głową, na deszczu, w zimnie i we mgle Wreszcie dowlekli się na Wyżynę Cheshire, wygłodzeni, obdarci, setki ludzi bez butów. Na domiar rzuciły się na nich złe febry. Niewiele koni doszło. Tylko wódz o nieugiętej wytrwałości, popędzający bezwzględnie swych ludzi, mógł ich przeprowadzić. Wilhelm rzeczywiście był Zdobywcą: zwyciężył nawet przyrodę.

Chester nie stawiało oporu człowiekowi, który zdaniem mieszkańców musiał być w zмовie z diabłem, żeby przejść przez Penniny. Obrońcy się poddali, rajcy miasta złożyli hołd. Wilhelm nakazał postój, by ludzie mogli wypocząć, odżywić się i odziać - na koszt miasta - po czym ściągnął karną daninę za opóźnienie w uznaniu jego władzy oraz wybudował i obsadził załogą zamek. Następnie rozpoczęto pochód na południe.

- Południe Anglii w przeważającej części dochowało lojalności, gdy mnie nie było - mówił król z satysfakcją. - A północ dostała chyba skuteczną nauczkę. Nareszcie mój tron jest zabezpieczony.

Zasadniczo była to prawda. Jednakże jeszcze nawet teraz Wilhelm nie zdławił całkowicie ducha buntu. Jest we wschodniej Anglii rozległy, mniej więcej prostokątny obszar, obejmujący hrabstwa Norfolk i Suffolk, a częściowo również Lincoln i Cambridgeshire: kraj błotnistych nizin, trzęsawisk i stojących wód, odcięty od reszty Anglii tak dalece, że zwano go - i zwie się tak po dziś dzień - Wyspą Ely. Nieliczne uprawne ziemie skupiły się pod skrzydłami pięciu opactw benedyktyńskich, wybudowanych między VII a X wiekiem, dominujących nad bezmiernym obszarem bagien: Petersborough, Thorney, Crowland, Ramsey i Ely.

Idealne to było schronienie dla wyrzutków społeczeństwa i dla partyzantów; idealne dla wojny podjazdowej. Tutejsi mieszkańcy, nie mniej od mieszkańców Northumbrii, posiadali te cechy charakteru, które przez stulecia utrudniały rządzenie Anglią: przywiązanie do niezależności indywidualnej i gminnej, gotowość do walki na śmierć i życie za tradycyjne swobody.

Gdy Wilhelm podbijał resztę kraju, mieszkańcy bagien znaleźli wodza w osobie dzierżawcy nazwiskiem Hereward, który znał każdy strumień, jeziorko i grzęzawisko Wyspy Ely i którego natura obdarzyła wrodzonym talentem do wojny podjazdowej. Ten brutalny i gwałtowny człowiek miał być przez wiele miesięcy cierniem w boku Zdobywcy.

## Rozdział 15

### HEREWARD Z WYSPY ELY

Zaledwie z wiosną roku 1070 król Wilhelm wrócił do Londynu, gdy nadeszła wiadomość o ponownym pojawieniu się floty duńskiej, tym razem pod osobistym dowództwem króla Swegna. I znowu najeźdźcy wybrali ujście rzeki Humber jako miejsce lądowania i punkt wypadowy w głąb Anglii, jednakże tym razem nie ruszyli w kierunku spustoszonych krain północnych, gdzie nie mogli się spodziewać żadnych łupów, lecz w stronę południową na błotniste niziny i mokradła wschodniej Anglii, zwane Wyspą Ely, na wschód od Cambridgeshire. Tam do Asbiorna, dowodzącego duńskimi siłami lądowymi, dołączyli się rebelianci. Ich wodza Herewarda, chociaż jego stronnicy przypisywali mu nadprzyrodzoną moc i twierdzili, że jest mu przeznaczone wypędzić Zdobywcę, w tym wypadku nic nie oświeciło, nic nie ujawniło przed nim rzeczywistych wartości Duńczyków jako sprzymierzeńców - tych samych Duńczyków, którzy zaledwie przed kilku miesiącami tak haniebnie opuścili w potrzebie mieszkańców Northumbrii.

Bunt, nawet w otoczeniu sprzyjającej ludności, wymaga środków pieniężnych. Duńczycy nie kwapili się z finansowaniem rebeliantów, a Hereward nie był człowiekiem bogatym. Postanowił więc napaść na słynące z bogactw i nieobronne opactwo w Peterborough, o jakieś czterdzieści kilometrów na północny zachód od jego siedlisk. Duńczycy zostali w Ely, a „ludzie z bagien” dotarli do celu łodziami. Zakonnicy mężnie bronili opactwa, ale gdy Hereward podpalił okoliczne domy, i całe miasto ogarnęły płomienie - otworzyli bramy i wpuścili rebeliantów. Nie wyrządzono nic złego zakonnikom, ale zagarnięto pieniądze, cenne przedmioty z kościoła i klasztoru, wszystko, co dało się unieść. Hereward poprowadził obładowanych zdobyczą rebeliantów z powrotem do Ely, zabierając również ze sobą opata, nazwiskiem Ethelwold i dwóch świeckich braci, którzy prosili o pozwolenie towarzyszenia - w nadziei, starannie ukrywanej, odzyskania części przynajmniej zagrabionych kosztowności klasztornych.

Wilhelm z silnym wojskiem pospieszył do Wschodniej Anglii. Kazał wyszukać kogoś z mieszkańców, kto by znał osobiście przywódcę buntowników z kraju bagien. Stała przed nim żona szeryfa z Cambridgeshire, która niegdyś przebywała na dworze Edwarda Wyznawcy i tam nauczyła się francuskiego. Król spytał:

- Co pani wiadomo o tym bandycie, zwanym Hereward, który powążył się podżegać swych sąsiadów przeciwko ich prawowitemu suwerenowi? Skąd on pochodzi?

- O swoim pochodzeniu nigdy nie mówi, miłościwy panie. Ale w tych stronach ludzie powiadają, że jest synem Lady Godivy.

- Mówisz pani tak, jakby ta Lady Godiva była osobą powszechnie znaną. Czym sobie na sławę zasłużyła?

- Tym, miłościwy panie, że przejechała nago ulicami Coventry, okryta tylko płaszczem swych długich włosów.

- I za to w Anglii kobieta zyskuje sławę? Chyba raczej niesławę!

- Nie, miłościwy panie, sławę. Uczyniła to z dobroci serca, ponieważ litowała się nad prostym ludem. Jej małżonek, hrabia Leofric - nie żyje już, świeć Panie nad jego duszą - niegdyś zaufany doradca króla Edwarda, był człowiekiem twardym i surowym, który uciskał mieszkańców Coventry i okoliczną ludność, ściągając takie podatki i daniny, że wyżyć nie mogli. Ta zacna pani - która z łaską Boga żyje jeszcze ponoć gdzieś na południu - błagała swego męża, by pofolgował choć trochę, zlitował się nad nędzą ludzką. Hrabia odmówił najpierw, a później powiedział, że i owszem, jeżeli wpierw ona spełni jego życzenie. Odrzekła, że spełni każde życzenie, byle tylko ulżyć ciężkiej doli ludności. Wówczas hrabia Leofric zażądał, aby przejechała nago na koniu ulicami miasta - pewien, że tego nie zrobi. Ale ona zgodziła się, a hrabia był zbyt dumny, by cofnąć się w ostatniej chwili. Kiedy ukazała się Lady Godiva na białym koniu, mieszkańcy, którzy ją czcili, pozamykali okna i okiennice, a na ulicach nie było żywej duszy. Ale jeden człowiek wyborował otwór w swojej okiennicy i zerknął. A wówczas Pan Bóg, albo Najświętsza Panienska, albo święci pańscy, kto to wie? - porazili go ślepotą. Nazywany jest „Podglądającym Tomem”.

- A hrabia Leofric podatki obniżył? - zapytał Wilhelm.

- Tak, miłościwy panie, dotrzymał słowa, gdy ona jego warunek spełniła.

- Wdzięczna legenda, chociaż osobiście nie bardzo w nią wierzę. Ale nie wyjaśnia mi to wcale charakteru ani żadnych spraw, dotyczących domniemanego syna Lady Godivy, Herewarda. Słyszę, że jest ziemianinem. Gdzie i jakie dobra posiada? Jako syn hrabiego, powinien być bogaty.

- Z pewnością nie jest bogaty, miłościwy panie, chociaż powiadają, że zanim przybył w te strony; wielkie dobra posiadał. Z jakiejś przyczyny pokłócił się ze swymi rodzicami, porzucił kraj i w Hiszpanii przeciwko Maurom walczył. A gdy wrócił, wziął w dzierżawę ziemie, należące do opactw w Crowland i w Peterborough. Opat z Crowland wymówił mu dzierżawę, ponieważ Hereward nie dotrzymywał warunku zaopatrywania zakonników w ziemiopłody. Ale na ziemiach opactwa w Peterborough Hereward nadal gospodarzy.

- Tę dzierżawę zaraz mu odbierzemy - powiedział Wilhelm. - Zakonnicy zrobią, co im nakazę. Są zbyt lojalni, a może zbyt przezorni, by mi się sprzeciwić. Czy to wszystko, co możesz mi pani opowiedzieć o Herewardzie?

- Wszystko, miłościwy panie, prócz jednego jeszcze, co i dla ciebie jest jasne: że Hereward więcej ma serca niż rozumu.



Król się uśmiechnął.

- Tak, to jasne i wcale mi nie przypada do smaku. Ludzie o gorących sercach więcej kłopotów przysparzają od ludzi o rozumnych głowach. Do rozumu można przemówić wieloma sposobami: można obiecać pieniądze, ziemię, władzę, spełnienie ambicji. A serca bywają uparte. Dziękuję, madame, żeś zechciała przyjść i opowiedzieć mi to wszystko. Historię o Lady Godivie zaliczam do baśni. Coventry jest stąd daleko...

- Miłościwy panie, według mnie to prawda.

- Niech i tak będzie. A w każdym razie będę wyglądał sposobności, by tę historię powtórzyć królowej, chociaż ufam, że nie weźmie z niej przykładu, jakimi sposobami można przekonać małżonka.

Gdy żona szeryfa odeszła, Wilhelm kazał zawezwać opata z Malmesbury w odległym hrabstwie Wiltshire. Był to duchowny normański, Thorold z Fécamp, nagrodzony angielskim opactwem za udział w bitwie pod

Hastings, kiedy to nosił zbroję i walczył z rycerską zaciętością. W Wiltshire poznano go jako człowieka o wielkiej energii i wojskowej surowości. Opactwo jego zatrzymało na służbie oddział jurgieltników, których Thorold nieraz osobiście prowadził na karne ekspedycje przeciw pomniejszych rewoltom w okolicy.

Temu to Thoroldowi, gdy przybył na pogranicze wielkich bagien, król powierzył nowe zadanie:

- Jak się wydaje, jesteś z łaski Boga więcej rycerzem niż mnichem. A ja znalazłem wartego ciebie rebelianta, przeciw któremu będziesz musiał wyżyć wszystkie twe siły, męstwo, pomysłowość i doświadczenie wojenne. A zatem przenoszę cię z Malmesbury do opactwa w Peterborough. - Król powtórzył mu następnie wszystko, czego sam się dowiedział o „ludziach z wielkich bagien” i o ich przywódcy, a także o najeździe na opactwo w Peterborough, dodając na zakończenie: - Naprawiając tę krzywdę i pomagając mi poskromić tych bandytów, będziesz miał dość roboty, nawet jak na twoją energię!

Thorold chętnie podjął się zadania, Zażądał tylko - i jego życzenie spełniono - wolnej ręki w rządzeniu nie tylko zakonnikami w opactwie, ale również mieszkańcami miasta Peterborough.

Tymczasem Duńczycy namówili Herewarda, człowieka o większym sercu niż rozumie, by powierzył im na przechowanie zrabowane w opactwie łupy. Hereward miał na tyle przynajmniej rozsądku, że zatrzymał brzęczącą gotówkę, po czym wyprawił się z Ely, by otoczyć i wyciąć grupę Normanów, którzy zapuścili się w labirynt bagien i nie mogli znaleźć powrotnej drogi. Wówczas opat Ethelwold poprosił Duńczyków o permisję odwiedzenia opactwa w Ramsey - w rzeczywistości udał się prosto do króla. Powiedział mu, jak bardzo się obawia, że skarby jego opactwa, włącznie z wielu świętymi relikwiami, umieszczonymi w złotych i srebrnych

szkatułkach, zostaną wywiezione do Danii. Ethelwold spodziewał się, że Wilhelm rozkaże żołnierzom natychmiast dosiadać koni i pędzić, by z bronią w ręku odzyskać kosztowności; tymczasem odprawił chwilowo opata, zastanowił się nad nowinami i kazał go przywołać z powrotem.

- O ile rozumiem, jest to sprawa wielkiej wagi dla was, wielobny opacie, a pewno tak samo dla opata Thorolda, aby owe relikwie i kosztowności nie zostały wywiezione z kraju.

- Byłoby to straszne dla opactwa, miłościwy panie, i straszne dla całego królestwa.

- A czy masz dość odwagi, by udać się z powrotem do tych Duńczyków z nadzieją odzyskania łupów, a przynajmniej ich części, tyle, ile zdołalibyście unieść z waszymi dwoma świeckimi zakonnikami?

- Jeśli by była taka nadzieja, miłościwy panie, zgrzeszyłbym, pomijając sposobność.

- Więc posłuchaj mnie, mój zacny opacie. Wyprawa wojskowa może kosztować życie żołnierzy, nie jednego żołnierza i nie osiągnąć celu, bo Duńczycy z pewnością od razu łupy odesłaliby na statki. Ale mam pewien plan...

Wysłuchawszy króla, Ethelwold z entuzjazmem podjął się przedsięwzięcia, dodając jeszcze:

- Tak się szczęśliwie składa, miłościwy panie, że znam się nie najgorzej na ślusarstwie, uczyłem się tego za młodu w opactwie.

Posłano więc do Asbiorna opata, który wyjaśnił, że podjazd normański go zagarnął po drodze z Ramsay i przekazał list od króla Wilhelma do Sveгна, w którym to liście król zobowiązywał się pozwolić Duńczykom odpłynąć bez przeszkód i zabrać ze sobą takie łupy, jakie będą w ich posiadaniu.

Ostatni zwrot zawierał odcień ironii, którą Duńczycy mieli docenić dopiero później.

Svegn zdawał sobie sprawę, że tylko taktyka wojny podjazdowej, stosowana przez Herewarda, może być skuteczna w tej krainie mokradeł i wód, ale nie umieli jej praktykować ani jego żołnierze, ani Normanowie. Przyjął więc chętnie propozycję Wilhelma, umożliwiającą mu wycofanie się z godnością, ale jeszcze przez parę dni zastanawiał się nad formą odpowiedzi. Ethelwold, człowiek nie tylko roztropny i zręczny, ale też obdarzony przekonywającą wymową, tak się wkręcił w łaski Asbiorna, że mu ofiarowano biskupstwo, jeżeli będzie towarzyszył Duńczykom do ich kraju. Opat udał entuzjazm i odpowiedział, że wobec tego powinien sporządzić inwentarz skarbów z Peterborough. Asbiorn wpadł w pułapkę, wymyśloną przez Wilhelma: powierzył Etheiwoldowi opiekę nad skarbem, przydzielając zarazem czterech żołnierzy, którzy mieli trzymać straż przy skrzyniach z kosztownościami. Wszystkie szkatułki i skrzynie były pozamykane, a Asbiorn oświadczył, że Hereward zabrał klucze ze sobą. Ale dla Ethelwolda nie było to przeszkodą.

Gdy nadeszła wiadomość, że następnego dnia wojsko ma odmaszerować na wybrzeże, by się zaokrętować, Ethelwold namówił Asbiorna do wyprawienia wielkiej uczyt wieczorem. Sam się wymówił od uczestnictwa tłumacząc, że ślubował nie tykać mięsów ani mocnych trunków, a dzień przepędził na różnych własnych przygotowaniach. Dla strażujących przy skarbach żołnierzy dostał dobre, mocne wina, a jako towarzyski dla nich wynajął - cel usprawiedliwia środki - młode kobiety z miasta, zwykle oddające takie przysługi zakonnikom. Gdy uczta stawała się coraz weselsza i hałaśliwsza, Ethelwold kazał dwóm świeckim braciom czuwać i ostrzec go w razie, gdyby ktoś nadchodził, a sam zabrał się do roboty z narzędziami, w które się zaopatrzył. Zadanie nie było takie proste. Szkatułki miały po kilka zamków, dodatkowo opasano je metalowymi taśmami. Opat jednakże pracował wytrwale i ostatecznie wy dostał relikwie, a zewnętrzne umocnienia i zamki umieścił z powrotem tak, jak poprzednio.

Sprawdziwszy, że strażnicy już się popili, a młode kobiety zarabiają na przyrzeczone wynagrodzenie, Ethelwold, zgodnie z instrukcjami Wilhelma, wysłał świeckich braci do opactwa w Ramsay z relikwiami, umocowanymi na ciele, pod powłóczytymi szatami zakonnymi.

Następnego ranka w wojsku duńskim panowało sporo zamieszania, po części związanego ze skutkami ucztowania. Ethelwold bez większego trudu wymknął się niezauważony. Statki odpłynęły, razem z czterema żołnierzami wyznaczonymi do strażowania, też ledwie żywymi ze zmęczenia po nocnej hulance, stojącymi przy skrzyniach, o których zawartości, a raczej braku zawartości Duńczycy mieli się dowiedzieć dopiero po kilku dniach.

Przybywszy do kwatery króla, opat Ethelwold z zadowoleniem złożył relację.

- Dobry to był plan, miłościwy panie!

- I godny wykonawca, o mądrej głowie i dzielnym sercu - odrzekł Wilhelm. - Bóg był z nami, wszystko tak się zdarzyło, jak tego chcieliśmy. Co do ciebie, zacny opacie, moje uznanie wyrazi się w formie nowej nominacji dla ciebie, ale najpierw musisz dopomóc opatowi Thoroldowi. Trzeba podporządkować opactwo, urządzić uroczystości na powitanie zwróconych relikwii i skarbów.

Ethelwold nie doczekał nowej nominacji: zmarł w rok później.

Krótki epilog tej sprawy dobrze charakteryzuje dwóch dygnitarzy kościelnych. Chciwy opat z Ramsay odmówił zwrócenia do Peterborough relikwii i kosztowności. Wojowniczy Thorold odzyskał je, pojawiając się przed bramami opactwa z oddziałem zaciężnych żołnierzy i grożąc spaleniem klasztoru i kościoła.

Po odejściu Ethelwolda król powiedział do Rogera de Montgomery:

- Wszystko to dobrze, ale Hereward jest nadal na wolności. Muszę go mieć żywym czy martwym. Ten człowiek staje się legendą, a legendy mogą mi przysporzyć więcej

kłopotów niż cała armia nieprzyjaciół.

Król wspiął się na szczyt wiatraka, by się lepiej rozejrzeć po krainie bagien. Mokradła leżały spowite w gęstej mgle, w której jego ludzie nieraz już zabłądzili i poszli pod nóż ludzi Herewarda. Innych wciągały zdradzieckie trzęsawiska, a ich wołania o pomoc zagłuszały niesamowite, przenikliwe wrzaski ptactwa wodnego. Zabobon głosił, iż to dusze potopionych tak wołają. Nocami błędne ogniki tańczyły nad bagnami, zwodząc żołnierzy na manowce, w wodne przepaście. Normanowie szeptali między sobą, że cały ten kraj jest nawiedzany przez złe duchy. Wilhelm sam miewał różne wątpliwości.

- Hereward nie jest legendą, lecz żywym człowiekiem - rozważał. - A nad Wilhelmem z Normandii żaden człowiek nie triumfował długo... Tu chodzi o oblężenie całej tej okolicy. By odnieść zwycięstwo, trzeba wiele cierpliwości i rozwagi. Nie marnować życia żołnierzy w daremnych atakach wręcz, bo Hereward zawsze będzie miał przewagę znajomości tych zdradzieckich bagien.

Pojawił się ponownie Morcar, przyłączając się do rebeliantów z Wyspy Ely. Natomiast jego brat, Edwin, uznał opór Herewarda za beznadziejny i postanowił schronić się do Szkocji. Gdy po drodze zatrzymał się w karczmie na nocleg, jego trzech towarzysze napadli nań i zamordowali go, a odciętą głowę przywieźli królowi, oczekując nagrody. Ale się zawiedli.

- Każdy winien jest lojalność swemu panu - wybuchnął gniewnie Wilhelm. - To dotyczy moich wrogów tak samo, jak przyjaciół. Za waszą zdradę wyjmuję was spod prawa. Wynoście się i niechaj moi żołnierze nie znajdą was w sąsiedztwie żadnego miasta, bo spotka was los waszego pana.

Edwin miał wiele wad, ale był dzielny i przystojny. Jego męska uroda budziła zachwyty kobiet, a przyjaźń mężczyzn. Nawet Wilhelm, przeciw któremu Edwin trzykrotnie buntował się i chwycił za broń, płakał nad odciętą głową.

Edwin miał słuszość, przewidując klęskę Herewarda. Normanowie musieli w końcu zawładnąć krainą wielkich bagien. Ale rzeczywiście wymagało to całej; ogromnej cierpliwości Wilhelma, który w rzeczach wojskowych umiał na taką cierpliwość się zdobyć. Stawiano tymczasowe mosty przez moczary, jeden z nich długości ponad dwóch mil, budowano drogi, a wodne gościńce tarasowano łodziami. Wszystkiego doglądał osobiście Wilhelm, założywszy kwatery w Cambridge, oraz wszędobyłski opat Thorold. Nic zlekceważono też zabobonów normańskich rycerzy, włącznie z królem. Wzniesiono wieżę, a w niej zainstalowano czarownicę, która mając własne konszachty z diabłem mogła odpędzać jego sługi, inne złe duchy.

Na bagnach liczne oddziały wojska groziły większym niebezpieczeństwem sobie niż buntownikom. Hereward i jego ludzie, znając każdy moczar i każdą kępę na mokradłach, unikali otwartej bitwy, wychylali się niespodziewanie z mgieł, by

mordować dniami i nocą, a potem znikali równie tajemniczo, jak się pojawili. Przenosząc się szybko z miejsca na miejsce, następnego ranka wynurzali się z ukrycia w miejscu odległym o kilka mil, czyniąc wrażenie liczniejszych niż byli naprawdę. Nie brali jeńców. Nie można ich było zagłodzić, bo cała okoliczna ludność ich żywiła. Trzeba było ich odciąć od źródeł zaopatrzenia.

Przy pomocy mostów i dróg Normanowie najpierw otoczyli rozległe obszary, gdzie przebywali rebelianci, potem krok za krokiem ścieśniali krąg i zapędzali rebeliantów w stronę miasta Ely. Długie tygodnie na tym zeszły, ale cel osiągnięto. Zakonnicy z opactwa w Ely, spłoszeni losem, jaki spotkał Peterborough, nocą otworzyli bramy i wpuścili królewskich ludzi. Wzięto do niewoli Morcara i znaczną część rebeliantów. Herewarda jednak nie dostarczono królowi, ani żywego ani martwego. Z małą grupką towarzyszy uciekł z Wyspy Ely. Może nie była to bardzo rycerska ucieczka, zważywszy że ocalał własną skórę, większość swoich ludzi wydając na pastwę mściwego Zdobywcy. Ale to nie zaszkodziło jego sławie u potomności.

Jak nakazywał zwyczaj, szlachetnie urodzonych i bogatych jeńców traktowano pobłażliwie, natomiast szary tłum ich zwolenników - bezwzględnie. Tak więc Morcara wysłano do Normandii, gdzie stary Roger de Beaumont gościnnie go podejmował, jako honorowego jeńca, natomiast dziesiątki i setki tych, których nazwiska pozostały nieznane historii, wtrącono do lochów zamkowych w różnych stronach Anglii, oślepieno lub okaleczono przed uwolnieniem jako straszną przestrożę dla sąsiadów.

Dalsze losy Herewarda okrywa mgła tajemnicy. Po ucieczce z Ely nie zamierzał najwidoczniej kontynuować walki gdzie indziej. Według tradycji, nie popartej dokumentami, Hereward później, gdy gniew królewski ochłodził, ugiął kolana przed Wilhelmem i otrzymał przebaczenie. Podobno wziął za żonę szlachetną i bono gatą angielską damę: podobno nadano mu w lenno ziemię, należące niegdyś do jego ojca, hrabiego Leofrica. Czy to prawda, nie wiadomo. Faktem jest, że trubadurzy i minstrele snuli wokół postaci Herewarda ballady o bohaterskich wyczynach, o ratowaniu dziewczyc, o opiece nad ubogimi. I z tych legend - więcej niż z jego rzeczywistych zalet i zasług - zrodziła się sława Herewarda.

W angielskiej tradycji nie brak ludowych bohaterów: Wat Tyler, który w roku 1381 stanął na czele rewolty rzemieślników i czeladników przeciwko niewolniczym i feudalnym więzom, przeciwko uciskowi Kościoła; Robin Hood, wyjęty spod prawa rozbójnik, który rabował bogaczy, by wspomagać ubogich, wielbił Najświętszą Panienkę, ale nienawidził opatów i księży; Fergus O'Connor, w XIX wieku trybun wyzyskiwanych robotników fabrycznych, wróg burżuazji; i - wielu innych. Ich poprzednik Hereward miał z nimi dużo wspólnego. Jego towarzysze - chociaż według tradycji on sam był szlachetnie urodzony - wywodzili się z najuboższych warstw ówczesnego społeczeństwa: wieśniaków, niewolników, rzemieślników. Był odważny

lecz naiwny. Literatura - nie tylko w balladach i poezji, również w powieściach historycznych - uczyniła go narodowym bohaterem. Jeśli w angielskiej szkole zapytać chłopca, kto był obrońcą niepodległości Anglii w okresie podboju normańskiego, wielu odpowie: „Król Harold”; ale chyba tyle samo odpowiedzi będzie brzmiało: „Hereward z Wyspy Ely”.

## Rozdział 16

### DOBROBYT, BEZPIECZEŃSTWO, JEDNOŚĆ

- Rządy moim królestwem zamierzałem sprawować przy pomocy angielskich baronów - mówił król do Roberta de Mortain wkrótce po spacyfikowaniu wschodniej Anglii. - Ale ci okazali się zdrajcami i buntownikami. Teraz umieszczę Normana nie tylko na każdym zamku czy grodzie, ale w każdym dworze. Wszystkie ziemie Anglii są moją własnością prawem podboju. Mogę z nimi zrobić, co zechcę.

Robert lubił drażnić przyrodniego brata:

- Ach, więc teraz to prawo podboju. Kiedy indziej mówisz o elekcji Witanu i o pokrewieństwie z Edwardem Wyznawcą.

Żarty nie przypadły Wilhelmowi do smaku.

- Wiesz, bracie, jesteś człowiekiem prawym i dzielnym, ale czasem nie dopisuje ci rozum. Kiedy żądałem hołdu i posłuchu od angielskich baronów, którzy, Bóg świadkiem, nie dawali mi tego, podkreślałem zasadę elekcji i pokrewieństwa. Tak samo robiłem w listach do władców po tamtej stronie Kanału. Ale zwyczajni, prości ludzie w Anglii nie dbają o takie skrupulatne rozróżnienia. Oni wiedzą tylko, że są związani z ziemią, że winni pańszczyznę baronowi albo dziedzicowi we dworze. Jeśli ktoś wypędzi ich pana, muszą uznać nowego. Zdobyłem wszystkie ziemie Anglii i w oczach gminu jestem zdobywcą. I tylko tak ci ludzie mogą pojąć swój stosunek do mnie: jako do najwyższego z baronów i panów.

Zgodnie z tym nowym zamierzeniem, król zaczął „normanizować” wyższe warstwy społeczeństwa. W ciągu paru lat przeważająca część ziemi w Anglii, nie licząc dóbr już nadanych Normanom tytułem nagród za zasługi wojenne, przeszła w nowe ręce. Jedynie wpłacając olbrzymie sumy pieniężne mógł anglosaski ziemianin zatrzymać swój majątek - a i to zwykle nie na długo. Wilhelm twardo się targował i gdzie to było możliwe, urządzał coś w rodzaju licytacji, w której on sam najwięcej zyskiwał. Według kroniki anglosaskiej: „Jeśli drugi nabywca się zjawił i ofiarował więcej niż dał pierwszy (i to już „dał”!), to król przydzielał ziemię drugiemu. Jeśli nadszedł trzeci i zaoferował jeszcze więcej, to król przydzielał ziemię temu, który dał najwięcej ze wszystkich.” Wydaje się, że nawet, jeśli ktoś dał okup za swoją ziemię, to i tak nie mógł być pewien, jak długo będzie ją posiadał. W ciągu dwudziestu lat pozostało tylko dwóch angielskich baronów, którzy mieli w lennie ziemię od króla; obydwaj zagarnęli te ziemie swoim rodakom i zapłacili za nie olbrzymie sumy do królewskiego skarbcza. Dalszy ciąg kroniki: „Król nie troszczył się o to, czy jego szeryfowie niesłusznie konfiskowali ziemię i ile niesprawiedliwości wyrządzali. Im głośniejsze się mówi o prawie i sprawiedliwości, tym więcej jest krzywdy.”

Wraz ze zmianą tytułów własności można zaobserwować tendencję do zmniejszania liczby właścicieli. Kilka tysięcy mniejszych majątków przekształciło się w około dwieście olbrzymich dóbr w posiadaniu potężnych normańskich feudałów. Starą arystokrację i ziemiaństwo wymieciono, tworząc nowe, o cudzoziemskich nazwiskach. Angielscy rycerze uciekali z kraju, osiedlali się w Szkocji, Norwegii i Danii, w Turcji, gdzie wstępowali do gwardii sultańskiej, albo w południowych Włoszech, gdzie mogli dogodzić swojej chęci pomsty, walcząc z tamtejszymi Normanami.

Powinności właścicieli ziemi i dzierżawców były ściśle uregulowane, zależnie od utworzonej hierarchii społecznej, i rygorystycznie egzekwowane. Odnosiło się to przede wszystkim, oczywiście, do służby wojskowej, ponieważ jednym z głównych celów organizacji feudalnej było zapewnienie królowi możliwości wezwania pod broń każdej chwili licznej armii, ale bez utrzymywania żołnierzy na koszt skarbu, gdy ich nie potrzebowano. Z takiego porządku i z takiej hierarchii zaczęła się wyłaniać solidarność, dotąd w Anglii nieznana. Normanowie, zdobywcy w kraju zasadniczo nieprzyjaznym, trzymali się razem.

Powinności feudalne utworzyły nowy ustrój: wieśniacy podlegali dzierżawcom, dzierżawcy właścicielom ziemskim, ci z kolei królowi. Społeczno-polityczną strukturę budowano od dołu, podczas gdy monarchowie anglosascy bezowocnie usiłowali narzucić zjednoczenie od góry. Feudalizm dał krajowi ład i stabilność, potrzebne do utworzenia silnego, scentralizowanego rządu.

Zapoczątkowawszy te fundamentalne zmiany, Wilhelm udał się w objazd kraju. Jeździł po różnych okolicach, zatrzymując się na noc w grodach, zamkach lub dworcach, często w niewygodzie. Do tej pory oglądał swoje królestwo prawie wyłącznie oczyma żołnierza, oceniającego siłę i słabość nieprzyjaciela. Teraz chciał się przyjrzeć jego walorom ekonomicznym, ogólniejszym.. W ciągu jednej z takich podróży przyszedł Wilhelmowi do głowy pomysł, później zrealizowany, spisania szczegółowego i wszechstronnego rejestru - znanego pod nazwą Domesday Book - wszystkich gruntów i wszelkiego dobytku w kraju, aż do każdego wieprzka w chacie niewolnika. Prócz tego, że wielu Anglików, poprzednio właścicieli majątków, teraz zostało dzierżawcami małych gospodarstw albo niewolnikami, warunki w Anglii, jak na razie, mało się zmieniły. Gdy jeden z towarzyszy Wilhelma zwrócił mu na to uwagę, usłyszał w odpowiedzi:

- Ufam, że nowi panowie będą lepszymi zarządcami od poprzednich, ale prócz rezultatów, z tego wynikających, pożądanym jest, by praca oracza i gajowego szła nadal tak samo, jak zawsze. - Wilhelm mówił z przenikliwością, godną podziwu u średniowiecznego władcy: - Ci prości ludzie właśnie stanowią ogniwo, łączące dawny, przypadkowy porządek rzeczy z nowym ładem. Na scenie angielskiej oni to stanowią fundament i na nich opiera się dobrobyt królestwa.



Dlatego też król troszczył się o wsie, przez które jechał, tak samo jak o miasta. Społeczności wiejskie, odizolowane odległościami i brakiem dróg, były samowystarczalne, zaspokajając we własnym zakresie swoje potrzeby. Miasta zaopatrywały się głównie we wsiach najbliższej okolicy. Handel między miastami a prowincją jeszcze się nie rozwinął, nieliczne towary przewożono na grzbietach koni.

Najważniejszymi budynkami we wsi były dwór i kościół lub klasztor. Jak ówczesne zamki przypominały wyglądem wiatraki bez skrzydeł, tak dwory, najczęściej drewniane, rzadko kiedy murowane podobne były do dzisiejszych stodół. Parter przeznaczano na składy i spichlerze, jedyne piętro nad nim służyło do celów mieszkalnych, o umeblowaniu prymitywnym, nawet jeśli właściciel był zamożny. Tylko pierwsze piętro miało okna, a dach kryto strzechą lub trzcina.

Nic nie uszło uwagi Wilhelma. Oglądał kwatery dla owiec, wybiegi dla drobiu, wszelkiego rodzaju budynki gospodarskie i zagrody, omawiając z właścicielem lub rządcą ewentualne udoskonalenia, korzystne dla rozwoju gospodarstwa. Od wczesnej młodości, jeszcze w Normandii, król interesował się rolnictwem i rozumiał się na jego potrzebach. Nie pogardzał też wizytowaniem skrawków gruntu, otaczających chłopskie chałupy oddzielone od dworu pasami drzew. W przeciętnej wsi żyło do dwustu pięćdziesięciu dorosłych mieszkańców i połowa tej liczby - dzieci. Większość całe życie przepędzała w tej samej wsi, nie znając sąsiednich miejscowości, nawet dość bliskich. Wieś otaczały pola pańskie i gminne; na tych ostatnich wieśniacy mogli swobodnie wypasać swoje bydło i owce.

Zawsze ze szczególną uwagą oglądał Wilhelm kościół wiejski, przy sposobności dając przykład pobożnej modlitwy. Jeśli był również klasztor, wizytował dormitoria, refektorium, dom gościnny, pomieszczenia dla świeckich rękodzielników i parobków. Opatom i zakonnikom przypominał:

- Macie wielki wpływ we wsi, co jest ważne i dla Boga i dla królestwa. W pracy, którą podjąłem i którą będę kontynuował, wielkie znaczenie będzie mieć współdziałanie hierarchii kościelnej na wszystkich jej szczeblach.

Z zakonnikami król rozmawiał po łacinie, z ziemianami po francusku. Natomiast wieśniacy witali go gardłowymi dźwiękami, których nie rozumiał - miejscowym dialektem ich ojczystego języka. W dokumentach angielski ustąpił miejsca łacinie: w tym języku załatwiano sprawy publiczne. Francuski i łacina, jako języki sfer rządzących opanowały literaturę, chociaż od tej ogólnej zasady bywały wyjątki. Wilhelm, aczkolwiek sam nie posiadał głębszego wykształcenia, starał się przeciwdziałać zanikowi angielszczyzny i sprzyjał rozwojowi kultury. Biskupom zalecał:

- Od kiedy pierwszy raz odwiedziłem to królestwo, zawsze ceniłem anglosaską kulturę, jej literaturę, jej sztukę i rękodzieło. Opiekujcie się nimi. Rozwijajcie wasze

szkoły, niechaj zawsze będą ośrodkami rodzimej wiedzy.

Miasta katedralne - zwłaszcza Exeter, Worcester, Canterbury i Peterborough, gdzie nadal spisywano kroniki w języku angielskim - dbały o narodowe dziedzictwo. Dzięki temu zachował się rodzimy język pisany, a wchłaniając obce słowa i zwroty, bogacił się i modernizował.

W obyczajach Normanowie mało wnieśli do społeczeństwa angielskiego. Pierwszą epokę feudalną, której Wilhelm i jego rodacy byli przedstawicielami, cechowały nadal, pomimo wpływów wytworniejszych manier dworu francuskiego, dość prymitywne i nieokrzeseane formy bycia, formowane w ciągłych wojnach, więc żołnierskie w stylu.

Ci z Normanów, którzy zamieszkali na wsi angielskiej, należeli przeważnie do otoczenia baronów: zaciężni żołnierze, służba dworska, rękodzielnicy, kapelani, skrybowie. W miastach osiedliło się sporo Normanów - kupców, prawników, rzemieślników, królewskich urzędników - chociaż nigdy nie stali się liczebnie ważnym składnikiem zaludnienia Anglii.

Asymilacja działała w dwóch kierunkach. Z jednej strony wielu Anglików przekonało się, że normandzcy urzędnicy lepiej traktują tych spośród nich, którzy zmienili nazwiska na kontynentalne i przybrali obyczaje zdobywców. Z drugiej Normanowie przez małżeństwa wchodzili w rodziny angielskie. Potomstwo anglo-normańskie wyrastało w angielskim otoczeniu na Anglików.

Podczas objazdów kraju, król zwracał szczególną uwagę na lasy, w których się kochał nie tylko jako zawołany myśliwy. Nie podobało mu się to, co zastał pod tym względem w Anglii i rozpoczął wielką kampanię zalesienia kraju. Folgowanie tej namiętności nie miało na celu podniesienia dobrobytu poddanych, jak tyle jego innych poczynań. Na odwrót.

Typowym przykładem przeprowadzanego przez Wilhelma zalesiania był obszar leśny o powierzchni 75 tysięcy akrów w południowym hrabstwie Hampshire. Król dołączył do tego lasu najpierw dwadzieścia tysięcy akrów sąsiednich ziem, później jeszcze piętnaście tysięcy. Bezpośrednim rezultatem był spadek dochodu rocznego z przyłączonych ziem o dwie trzecie. Rozgoryczenie współczesnych oraz zarzuty, wysuwane później przez historyków, wywołała likwidacja pomyślnie rozwijających się osad, wysiedlenie około dwóch tysięcy wieśniaków i spalenie ich domostw, a wszystko „dla większej rozrywki obcego tyrana i jego dworaków”. Jelenie, sarny, dziki zasekwestrowano razem z lasami, które im dawały schronienie. Wieśniakom i niewolnikom odjęto wszelkie prawa do lasów, prócz zbierania chrustu. Rygorystyczna ochrona zwierzyny miała być przez wiele stuleci przyczyną niesnasek i narzekania wiejskiej biedoty.

- Kłusownictwo jest poważnym przestępstwem - dowodził Wilhelm - wszystko jedno, czy chodzi o ptactwo, zwierzynę czy ryby, i jako takie musi być surowo karane.

Niechaj gajowy i rządcy tego przestrzegają!

Przestrzegali. Wymierzane od ręki kary były częstokroć barbarzyńskie. I za czasów normańskich i później; człowiek który upolował zwierzynę, choćby dla nakarmienia własnych głodnych dzieci, bywał zabijany na miejscu, a jeśli wzięty żywcem, to go okaleczano, często wieszano. Utworzenie wielkiego obszaru leśnego, nazwanego New Forest, i bezwzględne metody, zastosowane przez Wilhelma, tak oburzały poddanych, że śmierć dwóch z jego synów, Ryszarda i Ru-fusa, właśnie w New Forest, przypisywano boskiej pomście za grzechy ojca.

Jednakże potomność przyznała, że królewska kampania zalesiania, rozciągająca się również na inne hrabstwa, chociażby podjęta dla celów egoistycznych, przyniosła w rezultacie Anglii wielkie korzyści ekonomiczne i środowiskowe.

Razem z królem wyjeżdżali na objazdy kraju jego poborcy, którzy ściągali od ziemian podatki, należne skarbowi państwa. Wilhelmowi zarzucano niekiedy chciwość. W chwili jego śmierci skarbiec w Winchester zawierał ogromne ilości złota, srebra, klejnotów, kosztownych szat - część może pozostawiona jeszcze przez królów anglosaskich. Ale finansowanie feudalnego państwa, wypłacanie żołdu zaciężnym rotom, potrzebnym, by nie dopuszczać do ewentualnych rozruchów, budowa zamków, coraz częściej wznoszonych z kamienia, egzekwowanie praw, rozrost administracji - wszystko to kosztowało. Jeśli król Wilhelm pomimo takich wydatków potrafił jeszcze zapłacić skarbiec, świadczyło to nie tyle o jego chciwości, ile o sprawnej pracy jego poborców.

Ogółem biorąc, Normanowie więcej dali niż wzięli. Anglicy zostali podbici, ale pobytu zdobywców na wyspie nie można było nazwać okupacją. Wilhelm nie traktował Anglii jako podrzędnego dodatku do Normandii, ani jako normandzkiego lenna. Zaplanował rozdzielenie księstwa od królestwa, wyznaczając po swojej śmierci najstarszego syna na tron księstwa, a drugiego na tron angielski.

- Aby lud był zadowolony - mawiał Wilhelm - musi mu się dobrze powodzić. A tylko wtedy państwo może być silne, jeśli lud jest zadowolony.

Nie wszystkim pod rządami Normanów wiodło się lepiej niż poprzednio, ciężko było zwłaszcza wyzutym z majątków właścicielom ziemskim. Ale ogólny poziom zamożności kraju niewątpliwie się podniósł. Handel z Normanami, Bretończykami, Skandynawami, z różnymi portami kontynentu rozwijał się bardzo szybko. Eksportowano ołów i cynę, ziarno, piwo, wełnę, skóry, sery i sól. Zagraniczni kupcy zjeżdżali tłumnie do angielskich miast, obracając pieniędzmi, ożywiając interesy. Murarze, cieśle, kowale oraz inne zawody rozwijały się i bogaciły dzięki wielkiej królewskiej kampanii budowania nie tylko zamków, ale również dworów, opactw, kościołów i dróg. Tysiące dotychczasowych niewolników na wsiach przeszło do pracy pańszczyźnianej. Normanowie, jako rozsądni, praktyczni gospodarze, wiedzieli, że

człowiek, dzierżawiący kawałek ziemi, którą uprawia i gdzie hoduje własne bydła, będzie pracował lepiej i na pańskim także niż niewolnik.

Pokój po roku 1070 ustalony w kraju pozwolił każdemu, prócz kompletnych nierobów, korzystnie i swobodnie uprawiać własny zawód bez przeszkód ze strony „różnorodnych niepocziwych wojen”, które charakteryzowały panowanie większości anglosaskich monarchów. Pomimo początkowych zniszczeń i krzywd podbój normański w ostatecznym rozrachunku przyniósł Anglikom korzyści.

Wraz z przeprowadzoną przez Wilhelma zmianą właścicieli i sposobu posiadania ziemi zachodziły nieuniknione zmiany w klasie rządzącej. Przed rokiem 1070 spotykało się dużo nazwisk angielskich na dworze Wilhelma i wśród władz prowincjonalnych. Od tej pory nazwiska takie znikają z urzędowych dokumentów.

Formalnie Witan zachowano, przemianowując go tylko na Radę. Jego funkcje ograniczały się obecnie przeważnie do reprezentacji, chociaż działał też jako organ najwyższej jurysdykcji, w ważnych sprawach. Uprawnienia w kwestiach polityki określił osobiście król w zwięzłych i dosadnych słowach:

- Rada jest dla mnie, nie ja dla Rady. Mogę się konsultować z Radą, ale ona nie ma prawa żądać konsultacji. Rada wyraża opinię, gdy ja sobie tego życzę, ale ja nie mam obowiązku stosować się do tej opinii.

Przebywając w Anglii Wilhelm personifikował ster rządów i ich dynamikę. I nawet gdy wyjeżdżał do Normandii, specjalne szybkie statki kurierskie nieustannie woziły pisma od niego z krytycznymi uwagami o przesłanych mu relacjach oraz ze szczegółowymi instrukcjami.

Wilhelma cechował również bardzo cenny dla średniowiecznego monarchy i rzadki talent: „Mówić potrafił płynnie i przekonywająco, mając praktykę w jasnym wyrażaniu swej woli. Głos miał szorstki, ale to co mówił, zawsze było trafne i dobrane stosownie do okoliczności”.

Ten talent po części wyjaśnia jego umiejętność rządzenia podwładnymi, zarówno Normanami, jak i Anglikami. Dokumentami potwierdzano decyzje, ale niepiśmiennym masom trzeba było te decyzje zakomunikować ustnie. Gdy był na objęździe, król wciąż szukał sposobności przemawiania do mieszkańców.

Stopniowo, jego wyspiarscy poddani - w olbrzymiej większości związani z ziemią nie tylko prawem, ale i własnym interesem - zaczęli przywykać do feudalizmu, nie znając zresztą tego słowa; a wreszcie uznali, że wysokie podatki lepsze są od bezprawia i zamieszek wojen domowych.

Wilhelm z całą bezwzględnością tłumił opozycję, jednakże jego rządów nie można nazwać tyranią. Nie uciskał, nie eksploatował dla własnego przepychu, lecz budował. Nie żywił niechęci do żadnej grupy społecznej, byle była lojalna i pracowita. Prawa i

zarządzenia, jakie ustanawiał, w zasadzie zmierzały do zamożności, bezpieczeństwa i zjednoczenia kraju.

## Rozdział 17

### ROZŁAM W RODZINIE

- Przynależ mi księstwo - mówił następca tronu, Robert, pierworodny syn Wilhelma. - Jestem starszy niż ty byłeś, gdy objąłeś rzeczywistą władzę. Jak długo mam czekać?

Od Rogera de Beaumont i innych panów w Normandii król słyszał już o swoim synu wiele rzeczy, bolesnych dla ojca. Ale jednak nie spodziewał się takiej bezczelności, takiego tonu, nawet bez dodatku zwyczajowego kurtuazyjnego zwrotu.

- Dopiero wtedy się rozbieram, kiedy mam się kłaść do łóżka - odparł. - Księstwo będzie twoje, gdy umrę.

Ze zdumieniem, ze zgrozą, Wilhelm dostrzegł w oczach syna nienawiść.

- Chyba ja umrę wpierw, nigdy księciem nie będąc! Jesteś zdrow jak koń, choć masz blisko pięćdziesiątkę, kiedy to człowiek w grobie już leżeć powinien.

- Żartujesz, ale kiepskie to żarty - rzekł Wilhelm. - Nieraz patrzyłem śmierci w oczy, w chorobie i w bitwie, lecz Bóg mnie zachował i on mnie do siebie powoła, kiedy zechce.

- Pan Bóg ma czas - odparł Robert. - Dał tobie Anglię, w każdym razie ty tak mówisz. Nie dosyć ci tego? Zostaw mnie Normandię! Rządzenie tymi gburami na drugim brzegu Kanału zajmuje cały twój czas!

Było to prawdą i Wilhelm już dawniej abdykowałby z tronu książęcego na rzecz syna, gdyby ten syn lepiej się nadawał do sprawowania rządów. Ojciec daremnie oczekiwał, że z wiekiem Robert się zmieni.

Zirytowany Wilhelm z trudem panował nad sobą.

- Wydaje się, że gbury są nie tylko po tamtej stronie Kanału - mruknął.

Robert zignorował to i ciągnął swój katalog żalów:

- Z prawa Anglia również mnie powinna przypaść. Ale jestem wspaniałomyślny. Daj mi tylko Normandię teraz, a Rufus może sobie brać Anglię, nie zależy mi na tym. A ty gdy wyjeżdżasz, nie powierzasz mi nawet regencji, dajesz ją mojej matce, pewno, żeby się nie złościła, kiedy ty się z angielskimi kobietami zadajesz.

Na to niesprawiedliwe szyderstwo ręka Wilhelma odruchowo chwyciła za rękojeść miecza. Jednakże się pohamował. Własnego syna, nawet gdy znieważa, nie można traktować jak innych mężczyzn. Przemógł się jeszcze raz i powiedział:

- Mnie wystarcza jedna kobieta, która nie tylko jest żoną, ale lojalnie i mądrze zastępuje mnie we wszelkich sprawach. Nie bój się, dotrzymam słowa. Księstwo będzie twoje, nie wtedy, kiedy ty byś chciał, lecz wtedy, kiedy Bóg postanowi. I powiem ci, że chociaż modłę się, by przy koronacji spłynęła na ciebie jego łaska i natchnęła cię

odrobiną rozsądku, to umrę w niepokoju o Normandię. Nigdy nie potrafisz tak panować, jak twoi poprzednicy...

- Skąd wiesz? - krzyknął Robert z pałającymi oczyma, przysuwając blisko twarz do twarzy ojca. - Miałem ledwo parę miesięcy próby, a i to ten stary grzyb de Beaumont sterczał wciąż nade mną i powtarzał: „Twój ojciec tego by nie zrobił... albo: Książę nie zaaprobuje...”

- Wiem jak będziesz panował - odparł Wilhelm - ponieważ wiem, jaki jesteś. Widzę, jak wszyscy widzą, że jesteś uparty i arogancki, że żądasz księstwa nie dla jego dobra lecz dlatego, żeś chciwy władzy i pieniędzy, że chcesz się pysznić swoimi francuskimi strojami i folgować sobie!

Strzały trafiły celnie, ale Robert był zbyt gruboskórny, by go mogły zranić. Słowa nagany nie docierały do niego. Otoczył się bandą schlebiających mu kompanów, ślepy i głuchy na ich prawdziwe intencje i szyderstwa za plecami. Ojca gniewały również jego liczne utrzymanki. Nie byłoby to niezwykle u nieznanego mężczyzny, a nawet u wielu żonatych, ale o młodym Robercie źle świadczyło, że gdy się znudził którąś z nich, wyganiał bez żadnego zaopatrzenia ani dla niej, ani dla nieślubnych dzieci, które z nią spłodził.

- Dość już mam tego, że jestem niczym, że żyję w twoim cieniu! - wołał Robert. - Jeśli nie mogę dostać mego dziedzictwa teraz, zaraz, to wyjeżdżam z Normandii!

- Godne pożałowania - mruknął Wilhelm - ale chyba lepiej niż żeby nasza rodzina dawała księstwu dzień w dzień zgubny przykład kłótni.

Odwracając się do wyjścia, Robert powiedział: - Może jeszcze pożałujesz mego wyjazdu bardziej, niż gdybym został. Mam wielu przyjaciół i tutaj, i we Francji.

Od dzieciństwa następcą tronu Normandii przysparzał kłopotów; kłócił się z braćmi, podżegał jednego przeciw drugiemu, dokuczał siostrom. Miał niski wzrost i nieproporcjonalnie krótkie nogi, więc zazdrościł męskiej postawy i urody, którą natura hojniej obdarzyła Ryszarda, Rufusa i Henryka. Od wczesnej młodości nadrabiał te braki strojeniem się i brawurą.

Sprzeczki z ojcem były na porządku dziennym. Teraz po bezczelnych żądaniach i groźbach syna, Wilhelm naprawdę zaniepokoił się o przyszłość księstwa; jednakże postanowił słowa dotrzymać z nadzieją, że oczekiwania poprawy mogą się jeszcze spełnić.

Jawny rozłam boleśnie dotknął Matyldę. Kochała męża całym sercem, podziwiała go, ufała mu, znajdowała rozkosz w jego wciąż jeszcze namiętnych uściskach. Ale jej pierworodny - jakżeż mogła i jego nie kochać? Miłość jej nie zaślepiła, widziała wady i słabość Roberta. Któraż kobieta jednak mniej kocha swego syna, dlatego że jest samowolny, uparty, hulaka i kobieciarz, że brak mu opanowania i cierpliwości?

- Zdumiałem się - mówił Wilhelm. - Żeby mnie aż tak nienawidzić...

- Bo on myśli, że ty jego nienawidzisz - odparła Matylda.

- Jeśli się nie poprawi, to takiego wyrodnego syna mogę naprawdę znienawidzić.

Robert z kolei przyszedł do matki, gorzko wyrzekając na niesprawiedliwość, jaka go spotykała. Królowa próbowała go ułagodzić, ale dostrzegła, że przynajmniej na razie do pojednania nie dojdzie.

- Powiedziałem temu... temu... - Robert aż się zająknął szukając epitetu.

- Powiedziałeś twemu ojcu... - podsunęła Matylda.

- ... temu królowi, który się za Boga poczytuje - dokończył Robert - że ponieważ nie chce mi dać mego dziedzictwa, teraz i zaraz, to ja wyjeżdżam z Normandii.

Królowa nie protestowała. Czowała, że gdyby ojciec i syn pozostali w pobliżu siebie, mogliby chwycić za broń przeciw sobie, mogłoby dojść do jakiegoś strasznego wybuchu. Wilhelm zamierzał pobyć teraz w Normandii, a ona chciała, by został jak najdłużej. Jednakże serce jej się ścisnęło na myśl, że jej pierworodny wyjeżdża z księstwa w gniewie i nienawiści.

- Jeśli już musisz jechać - powiedziała - to udaj się do Flandrii. Mój brat cię lubi. Napiszę do niego, że wybierasz się na dłuższy pobyt, że chcesz się uczyć jego metod rządzenia. Weź ze sobą, jako rękodajnego dworzanina, mego wiernego Samsona. Będzie mi brak jego usług, ale on ci potrafi dogodzić i jak wiesz, wybornie jeździ konno. Gdy będziesz miał dla mnie jakąś pilną wiadomość, on dotrze tutaj szybciej niż kto inny.

Ojciec Matyldy zmarł przed rokiem, hrabią Flandrii był obecnie jego syn. Robert zmienił ton:

- Jesteś najlepszą matką na świecie.

Chciała, by tak myślał. Pochlebił jej komplement. Ludzka słabość. Ujmując jego twarz w obie dłonie pocałowała go w czoło, które ledwie sięgało poziomem jej ust.

- Twój ojciec też byłby najlepszym ojcem dla ciebie, gdybyś ty...

- Nie mówmy teraz o tym, mamo. Ochłonąłem z gniewu. Ale, widzisz, mnie trzeba pieniędzy...

- Czy ci nie wystarcza gaża, jaką otrzymujesz ze skarbcza księstwa?

- Mnie potrzeba więcej, znacznie więcej... gotowizny, klejnotów, może sreber...

- Ale dlaczego? Na co ci to?

Robert zachnął się, odwrócił od niej, wybuchnął ostrymi, oderwanymi słowami, zająkując się niejasno:

- O, Boże! Mama także! Czy musisz mnie wypytywać, jak złodzieja! Masz przecież pieniędzy i klejnotów mnóstwo... pewno dostanę część, kiedy ty... to znaczy, któregoś dnia... Czy nie mógłbym ich dostać teraz? Czy muszę czekać, aż... czy muszę czekać i na to" tak jak na księstwo?



Instynkt, znajomość tego syna mówiły jej, że Robertowi trzeba pieniędzy na jakiś zły, zgubny cel. Wśród synów magnackich dość było zawadiaków, równie samolubnych i nieobliczalnych, jak on sam.

„Jeżeli spiskują, jeżeli z jego pomocą chcieliby zmusić Wilhelma...” Jej myśli pobiegly tym torem. „Mario Panno! Nie! Ode mnie nie dostanie ani szeląga, by zgromadzić wojsko przeciw...”

Odpowiedziała bardzo spokojnie.

- Nie mogę ci dać kosztowności, Robercie. Widzisz, w moich oczach one są mieniem, powierzonym mojej pieczy. Zaraz po podboju twój ojciec przywiózł wiele klejnotów i drogocennych kamieni, zsywał je do moich rąk i chociaż się przelewały, leżały stosami na ziemi koło mnie, on jeszcze wysypywał, coraz więcej. Do moich rąk, ale mógłby nadejść czas, kiedy będzie ich potrzebował...

- A że ja ich potrzebuję, to nic dla ciebie nie znaczy? - krzyknął gwałtownie Robert.

- Oczywiście, że znaczy. Ale musisz mi powiedzieć, na co ich potrzebujesz. Nie prosisz po prostu o sakiewkę monet, które bym ci dała chętnie, ale prosisz o skarby.

- Nie powiem ci. Jestem mężczyzną, moich postępów i intencji nie będzie podglądać byle kobieta... - ostatnie słowa wymówił z szyderstwem.

Matylda drgnęła, jak od uderzenia, ale nie odezwała się ani słowem.

- Więc nadal mi odmawiasz? - krzyknął.

Z wolna potrząsnęła przecząco głową. Robert wpadł w pasję. Miał gwałtowny temperament swego ojca, ale mniej się umiał pohamować.

- Więc przekleństwo synowskie na twoją głowę? Mam w Bogu nadzieję, że cię nigdy więcej nie zobaczę... A ojca dopiero wtedy, kiedy...

Trzaśnięcie drzwiami przecięło koniec zdania.

Matylda opadła na krzesło. Jej mąż znalazł ją tak wiele godzin później, siedzącą z głową wspartą na rękach, z twarzą poznaczoną łzami, które wypłakała już do końca.

Marzeniem Wilhelma przed podbojem Anglii było włączyć księstwo i królestwo w pokój i bezpieczeństwo, dobrobycie i pomyślności, by stać się wzorem sprawnych rządów dla całej Europy. Może każdy mąż stanu powinien być po trochu marzycielem. Urzeczywistnił tylko tę część swych ambicji, która się odnosiła do sprawnych rządów i dobrobytu jego poddanych. Ale dla niego nie było pokoju, ani pełnego bezpieczeństwa.

W okresie kłótni z Robertem król przebywał w Normandii, aby się rozprawić z buntem lenników z Maine. Z żołnierzami, których przywiózł z Anglii i z wojskiem normandzkim pomaszerował do Maine, stłumił rebelię ze zwykłą surowością, spustoszył ziemie buntowników i obsadził załogami ich zamki.

Po powrocie do Rouen, gdy warcholski Robert zniknął mu z oczu, Wilhelm miał nadzieję zażyć przynajmniej krótkiego wypoczynku przy żonie i rodzinie. Ale prawie

natychmiast wezwano go z powrotem na drugi brzeg Kanału, by przepędzić szkocki najazd pod wodzą króla Malcolma, który poślubił siostrę Edgara, przebywającego w Szkocji. Wilhelm ruszył w pochód na północ, jak zawsze szybko i sprawnie, a jądrem jego wojsk była teraz doskonale wyćwiczona anglonormańska jazda. Przeciw takim wojskom Malcolm nie miał żadnych szans i wiedział o tym. Pozwolił swemu lennemu panu bez przeszkód wkroczyć do Szkocji, następnie udał się do niego z małym tylko pocztem i z heraldem, niosącym białą flagę. Złożył mu ponownie hołd lenny i dał zakładników, między innymi własnego syna, jako porękę zachowania pokoju.

Wkrótce po tym, kiedy Wilhelm wrócił do Normandii, Edgar przepawił się za nim przez Kanał, wyraził skruchę, otrzymał przebaczenie i nadanie dóbr: tysiąc akrów ziemi w jednym ze środkowych hrabstw angielskich. Dawny elekt znużył się bezdomną włóczęgą, zebraniną na dworach królów Szkocji, Norwegii i Danii. Osiedlił się w nowo nadanej siedzibie wiejskiej i odtąd nie występuje na kartach historii.

- Czemuś był tak pobłażliwy dla niego? - pytała swego męża Matylda.

- Z dwóch powodów: byłoby głupotą robić z niego męczennika. I tylko w ostatecznej potrzebie wolno królom przelewać królewską krew; to rodzi zgubne pomysły.

W pięćset lat później Elżbieta Pierwsza z dynastii Tudorów przytoczyła ten sam powód, gdy ją zapytywano, czemu wbrew namowom swych doradców odwleka egzekucję Marii Stuart.

Jeszcze gdy Edgar przebywał w Rouen, zawiązał się w Anglii spisek, mający na celu niekoniecznie zabicie króla, ale detronizację. Przywódcami byli wielcy normańscy hrabiowie, którym pycha uderzyła do głowy. Ralf de Wader, hrabia Wschodniej Anglii, potajemnie sprowadził żołnierzy ze swoich bretońskich majątków. Roger, hrabia Hereford był synem hrabiego Fitz Osberna, przez wiele lat lojalnego sługi i nieocenionego druha Wilhelma. Stary hrabia już nie żył, a jego syn okazał się człowiekiem innego pokroju. Odziedziczywszy hrabstwo trzymał się z dala od Londynu i od dworu, natomiast zabrał się do niemiłosiernego wyciskania ostatniego grosza od swoich dzierżawców i niewolników.

W roku 1071, gdy usuwano anglosaską arystokrację, przyjaciel i doradca króla, Lanfranc z Caen, z aprobatą papieża zajął miejsce schizmatyka Stiganda jako arcybiskup Canterbury. Odtąd, wyjeżdżając z kraju, Wilhelm zostawiał ster rządów w zdolnych i lojalnych rękach arcybiskupa Lanfranca, a biskup Odo miał mu tylko pomagać i nie był zachwycony tą podrzędną rolą. Dowiedziawszy się, że hrabia Roger krzywdzi i wyzyskuje swych poddanych, Lanfranc upomniał go, by zmienił postępowanie i poszedł za przykładem swego ojca, którego, pisał arcybiskup, „czciłem i miłowałem więcej niż kogo bądź na świecie”. Ale Roger oburzył się i ostrymi słowami

zeliżyl arcybiskupa, który z kolei rzucił na niego klątwę, dopóki nie naprawi wyrządzonych krzywd.

Hrabia Roger nie przejął się ekskomuniką, natomiast namówił do spisku, który początkowo ograniczał się tylko do nielojalnych Normanów, hrabiego Walthofa. Ten, znudzony spokojnym życiem, szukając okazji do wojaczki, początkowo chętnie nakłaniał ucha szeptom konspiratorów i dał się wciągnąć w ich praktyki. Ale przepędził parę bezsennych nocy, żałując wkrótce własnej głupoty, gdy zastanowił się nad nieudolnością przywódców spisku, kiepską opinią zwłaszcza hrabiego Rogera i beznadziejnością takiego przedsięwzięcia. Wreszcie, gdy rebelia już wybuchła, udał się do Lanfranca, arcybiskup zaś wysłał go do Normandii, by wyraził skruchę przed królem i prosił o łaskę.

Hrabiowie nie zyskali poparcia u angielskich poddanych Wilhelma, którzy nie wiedzieli, dlaczego by mieli ryzykować utratę mienia i życia tylko po to, by jednego normańskiego władcę zastąpić innym - czy nawet dwoma. Lanfranc prędko zgniótł rewoltę, biorąc do niewoli hrabiego Rogera. Ralf de Wader umknął na wybrzeże, przebrany w suknie swojej żony, i za ciężkie pieniądze wynajął rybaka, który go przewiózł kutrem do jego bretońskich posiadłości. Jedynym w całej tej żalosalnej aferze gestem wielkoduszności i odwagi wyróżniła się żona de Wadera, a siostra Rogera imieniem Elspeth, która przez trzy tygodnie broniła zamku Norwich i poddała się dopiero, gdy załodze zagroził głód. A nawet i wtedy postawiła warunki, że będzie mogła się udać do swego męża razem ze wszystkimi Bretończykami na służbie. Lanfranc się zgodził, nie ukrywając podziwu dla dzielnej niewiasty.

Zanim Wilhelm przybył do Anglii, było już po wszystkim. Pozostawało tylko ukarać winnych. Hrabia Roger uniknął szafotu, po pierwsze ze względu na pamięć jego ojca, ale też dlatego, że prawo normańskie nie przewidywało kary śmierci dla szlachetnie urodzonych, nawet za bunt. Resztę życia syn Fitz Osberna przepędził w wiejskiej siedzibie, gdzie ludzie królewscy mieli na niego oko, ale gdzie mógł polować, przyjmować przyjaciół i gości, w otoczeniu służby i dworzan.

Mniej szczęścia miał Waltheof. Arcybiskup Lanfranc osobiście wstawiał się za nim, podkreślając, że nie brał czynnego udziału w rewolcie, tylko w przygotowaniach. Ale inni Normanowie na królewskim dworze nienawidzili tego ostatniego angielskiego hrabiego i argumentowali, że do niego stosuje się prawo anglosaskie, które zawsze karało śmiercią zdradę stanu. Po egzekucji rodacy Waltheofa zrobili z niego męczennika za sprawę narodową - Edgarowi nie dało się przypisać tej roli - i prawili o cudach, jakie miały rzekomo miejsce nad jego grobem. Co prawda, połączenie zawadiactwa z niezdecydowaniem, charakteryzujące Waltheofa, mało się chyba nadawało, by go kreować na bohatera. Historia oceniła egzekucję Waltheofa jako mord

pod płaszczykiem sądowej sprawiedliwości - i jeszcze jedną plamę na dobrej sławie Wilhelma.

Nadal nie było pokoju dla króla. Znowu musiał przeprowadzać się przez Kanał, by rozprawić się z zamieszkami w podległej mu Bretanii. Tam Ralf de Wader, aby odzyskać utracony prestiż, wspólnie z Geoffreyem, hrabią Rennes, zorganizował spisek przeciw hrabiemu Hoel, władcy małego państwa plemiennego i wasalowi Wilhelma. Młody król Francji, Filip, podchwytując sposobność zemszczenia się za porażki, jakie z rąk księcia Normandii poniósł jego ojciec, Henryk, pod Mortemer i Varraville, wyprawił się z licznym wojskiem na pomoc Bretończykom. O tyle mu się powiodło, że zmusił niepokonanego do tej pory króla Anglii do porzucenia własnego taboru i pośpiesznego wycofania się z pozycji. Po długotrwałych, dorywczych walkach, którymi w końcu Filip się znużył, hrabia Hoel przy pomocy wojsk anglonormańskich, natomiast bez osobistego udziału Wilhelma, ostatecznie podporządkował całą Bretanię sobie i władzy zwierzchnika lennego.

Pewnego dnia w roku 1079 Matylda zamknęła się potajemnie w swoich komnatach z Samsonem, rękodajnym sługą, który towarzyszył jej najstarszemu synowi i przywiózł pismo od niego. Robert donosił, że posprzeczał się ze swym wujem, hrabią Flandrii i opuścił jego dwór. Nie przytoczył powodu kłótni; hrabia bardzo rozsądnie nie chciał poprzeć nonsensownych planów swego gościa, który dążył do pozbawienia własnego ojca książęcego tronu Normandii. Z listu wynikało, że jego autor ze swym dworzaninem wędrowali w strapieniu i nędzy przez Niemcy, Turenję, Akwitanię i Gaskonię. Następca tronu najpotężniejszego księstwa w Europie, wstyd powiedzieć, nie miał za co podróżować według swojej godności. Czy jego matka nie zmieni zdania i nie prześle mu części swoich klejnotów, by mógł żyć, jak mu przystoi? Robert nie wspomniał słowem o ojcu, ale zapewniał, że nie użyje otrzymanych kosztowności w żadnym celu, który by nie był zgodny z dobrem Normandii.

- Powiedz mi, jak się memu synowi powodzi? - pytała Samsona królowa. - Czy zdrów? Jak żyje?

Ostatnie zdanie listu Roberta obudziło podejrzenia Matyldy. Dostrzegła, jak łatwo można by posłużyć się tym zapewnieniem, by usprawiedliwić każdy cel. Z drugiej strony wierzyła bez zastrzeżeń Samsonowi i spodziewała się od niego uczciwego potwierdzenia lub zaprzeczenia żalosego listu Roberta.

- Madame, twój syn omawiał ze mną treść listu, który masz pani w ręku - powiedział dworzanin. - Mogę powtórzyć to samo, co i jemu powiedziałem: że nie tylko nie podkreślił, ale pomniejszył niedostatki swego życia, które ostatnio i ja z nim dzielę. To nie jest brak możliwości życia w sposób odpowiedni do jego urodzenia, madame, to zwyczajnie nędza. Te pieniądze, jakie miał, ukradziono mu.

- Przyjdź jutro rano - poleciła królowa. - Dam ci paczkę dla mego syna.

Przez całą noc leżała bezsennie obok śpiącego męża.

„Tak... przeklął mnie... ale nie mogę pozwolić, by wędrował, jak żebrak... bywa może nawet głodny... nie wymyślił bajki, Samson zawsze był mi wierny, nie okłamywałby mnie... Wilhelm będzie wściekły, ale... nie musi o tym wiedzieć...”

Matylda już powzięła decyzję, szukała tylko usprawiedliwienia sama przed sobą. Nie wiedziała, nie mogła wiedzieć, że Samson był jej wierny dopóty, dopóki mu na służbie u niej zależało. Ale Samson znalazł kogoś, kto wyżej opłacał jego usługi.

Rano Matylda zaczęła przekładać drogocenne kamienie do skórzanej sakwy. Nagle usłyszała ciężkie kroki na korytarzu przed komnatą.

- Jezus Maria! Wilhelm!

W przestrachu i pośpiechu sypnęła drżącymi palcami znacznie więcej kosztowności do sakwy niż zamierzała. Kroki minęły drzwi, słyhać je było dalej na korytarzu, oddaliły się, ucichły. Matylda dyszała, jak po szybkim biegu. Gdyby ją tak zastał, z klejnotami w ręku? Jakby się wytłumaczyła? Już nie zaglądając do sakwy schowała ją między fałdami sukni i pośpieszyła, by odszukać i wysłać w drogę Samsona.

- Dopilnuj, aby przy moim synu byli wierni, zacni słudzy - poleciła - a potem wracaj tu do mnie z relacją, gdzie on się obraca i jak mu się wiedzie.

Wciąż jeszcze przejmowała ją obawa, czy aby jej mąż nie dowie się, co zrobiła. Słuszne to były obawy, bo fortuna się przeciw niej obróciła. Kiedy Samson, ponownie wracając do niej, podjeżdżał już z dwoma pachołkami do Rouen, natknął się na królewskie łowy. Trzej jeźdźcy nosili widoczne ślady dalekiej, męczącej podróży. Wilhelm zaczął rozpytywać Samsona, a ten, nieprzygotowany, plątał się w odpowiedziach.

- Zsiadaj z konia i przyjdź tu do mnie - rozkazał król.

Samson wykonał rozkaz, ale trzymał się z dala.

- Bliżej!

Król przechylił się z siodła i chwyciwszy Samsona za kołnierz, podniósł go, jakby był nie cięższy od worka z pierzem, aż dwie twarze znalazły się naprzeciw, o cal jedna od drugiej.

- Ty szelmo i łgarzu - plunął na niego Wilhelm. - Oby twoja dusza smażyła się w piekle!

Rzucił go na ziemię.

- Przeszukać gol - rozkazał jednemu z towarzyszących mu myśliwych.

W parę chwil później czytał list od swego syna, adresowany do „Miłościwej Pani, królowej Anglii i księżnej Normandii”. Robert dziękował matce z wylaniem za wspaniałomyślną hojność. Wiedział, że może liczyć na nią w potrzebie, ale nie oczekiwał pomocy aż na taką skalę. Teraz wszystko mu się dobrze układa, pisał

następca tronu, od kiedy ma środki finansowe, a król Filip francuski dał mu zamek Gerberoi w prowincji Beauvais - „skąd nie tak daleko do Rouen...”

Wilhelm podniósł papier, jakby chciał go przedrzeć na pół, ale się rozmyślił i wepchnął list za szeroki mankiet rękawicy. Splunął na Samsona i krzyknął do swoich ludzi:

- Na drzewo z nim!

Odjechał, gdy szarpiącego się dworzanina ciągnięto po ziemi. Myśliwi nie mieli dla niego litości. Zawsze wynosił się nad służbę, udawał lepszego od nich.

„Jedyna istota na całym świecie, której ufałem z głębi mej duszy...” - rozmyślał Wilhelm. Gniew, gorycz, strapienie walczyły o lepsze w jego sercu. - „Podarunki ode mnie jemu posłała... i widać wielkiej wartości, bo nawet Robert jej dziękuje... zamek Gerberoi... tuż nad granicą... król Filip widocznie go za sprzymierzeńca poczytuje... O Boże! Nie daj, bym zmysły stracił... przywykłem do zdrajców, ale - moja żona najukochańsza... i nasz pierworodny syn...”

Szedł wielkimi krokami przez sienie i korytarze zamkowe, z twarzą napiętą, szczękami zaciśniętymi. Matylda powitała go u szczytu schodów ze zwykłą serdecznością.

- Chodź ze mną! - powiedział głosem tym groźniejszym, że cichym.

- Dokąd?...

- Pokażę ci, dokąd. Chodź. Matylda zwróciła się do jednej z dam dworu, by podała jej narzutkę, ale Wilhelm chwycił ją za rękę w przegubie i pociągnął za sobą, jak stała, z powrotem przez korytarze i galerie. Musiała na wpół bieć, by mu kroku dotrzymać, a on szedł przez dziedzińce, ulice, z głową podniesioną a twarzą tak groźną, że nikt nie ośmielił się ani go zatrzymać, ani pójść za królewską parą.

- Wilhelmie... Wilhelmie! - wołała zdyszana Matylda. - Co się dzieje? Co to wszystko znaczy? Puść moją rękę, ból mi zadajesz...

- A ty zadałaś mi cios śmiertelny! Zabiłaś coś we mnie... na zawsze! - odparł.

Nie pofolgował żelaznego uchwytu ani nie zwolnił kroku, lecz włókł ją za sobą, aż za miasto, pod drzewo. Tu ją puścił. Matylda upadła w wyczerpaniu. Leżąc, podniosła wzrok ku górze i ujrzała wiszącą postać.

- Chryste Panie! - krzyknęła i zakryła twarz rękoma, jedną czerwoną i spuchniętą. - Ty... Samsona... dlaczego?

- To nie ja to zrobiłem, lecz ty, zdrajczyni! - odparł Wilhelm, a każde słowo ucinał, jak nożem. - Gdybym miał tu Roberta pod ręką, jego ten sam koniec by spotkał...

- ... dzięki Bogu, że go tu nie ma - przemknęło przez myśl Matyldzie, a on dokończył:

- I to by też było twoje dzieło, zdrajczyni!

Wyjął zza rękawicy list Roberta, rozłożył i rzucił jej na kolana. Nie biorąc go do ręki, mogła odczytać wielkie niekształtne litery, pisane ręką syna.

Matylda odgadywała bez trudu, co myślał jej mąż. To samo podejrzenie torturowało ją po nocach, pozbawiało snu, od kiedy wysłała nieszczęsną sakwę z kosztownościami. Instynktownie usiłowała się bronić - i bronić swego syna, zrodzonego z jej ciała.

- Był w nędzy... napisał o tym, a Samson potwierdził...

Wilhelm puścił w końcu wodze, którymi jego żelazna wola trzymała na uwieczną własną wściekłość. A hamował się z takim wysiłkiem, że nieomal mu żyły nie popękały. Pochylił się nad nią, grożąc zaciśniętą pięścią i krzyknął:

- A ty, która rządziłaś całą Normandią, gdy wyjeżdżałem, i mądrze rządziłaś, chcesz, bym uwierzył, żeś była taka głupia i przyjęła to za dobrą monetę, że ciebie opuścił wszelki rozsądek! Znasz jego i wiesz, jak mnie nienawidzi... - Tak, Matylda wiedziała, cierpiała nad tym, ale nadal kochała ich obu. - W nędzy! Z królem Francji jako przyjacielem, ofiarowującym mu zamki! Wiedziałaś tak dobrze, jak i ja, jak każdy człowiek przy zdrowych zmysłach, na co mu są potrzebne kosztowności... już je pewno na to właśnie Wydaje... Dom waśnią rozdzielony, powiada biblia, nie ostoi się. Ale ty byłaś gotowa dopomóc temu wściekłemu psu, temu załganemu, oszukańczemu, wyrodnemu synowi, by mnie wypędził z Normandii, wyrwał mi z rąk księstwo...

- Nie... nie wiedziałam... nie chciałam... przysięgam...

Była przerażona, oszołomiona. Ogarnął ją strach, że utraci tego z dwóch, którego kochała najbardziej... albo obu. Wilhelm nie słuchał jej.

- Twoje klejnoty! Zawsze mi przyrzekałaś, że je bierzesz, jako powierzony twej opiece święty depozyt... by je nosić, używać, ale nie pozbywać się...

- ... Robert by je dostał w swoim czasie... w każdym razie, znaczną ich część... - powiedziała niepewnym głosem.

Wilhelm nie dał sobie przerwać.

- ... jako gwarancję na wypadek, gdyby nieszczęście spadło na nasz dom. A ty je oddałaś temu bandycie, aby nieszczęście sprowadził... Tylko ciebie jedną na całym świecie prawdziwie kochałem, więcej niż własne życie... A ty... ty pomagasz memu synowi, by mnie wstydem okrył, wzniesając przeciw mnie rebelię...

W ciągu tej tyrady Matylda podniosła się z trudem, chociaż nie wyciągnął do niej pomocnej ręki. Przeciwnie. Uderzył ją i z powrotem na ziemię obalił, i bił jeszcze, aż legła bezsilnie.

- Następnie pewno dowiem się, że masz kochankę...

- Nie! - krzyknęła. - Nigdy, żaden mężczyzna prócz ciebie...

Nie słuchał już, odchodził wielkimi krokami, mrużąc do siebie:

- ...podli zdrajcy... oboje... A jednak, niech mi Bóg wybaczy głupotę, wciąż jeszcze ją kocham... i przeklinam siebie za to...

Zraniła go głęboko, ale wiedział, że nie zabiła w nim niczego... kiedy tak mówił, nie była to prawda.

Matylda płakała. Skrzywdziła go. Może nie celowo, ale jednak na wpół świadomie. A przecież, gdyby nie posłała klejnotów, a jej syn naprawdę był w nędzy - czyż nie cierpiałaby więcej niż w tej chwili, gdy jej ciało siniało i puchło od uderzeń ręki Wilhelma?

Znowu się podniosła, boleśnie, z pulsującymi skroniami. Prawie w tej samej chwili, gdy Wilhelm przeklinał sam siebie, ponieważ ją jeszcze kochał, Matylda rozmyślała:

- Zbił mnie, jak ostatni gbur... powinnam go nienawidzić... a jednak... jest w nim siła i wielkość... zawsze to wiedziałam... kobieta, która raz zaznała jego uścisków, nie może przestać go uwielbiać... Robercie, jesteś moim synem i jego, ale nigdy nie będziesz ani w połowie takim mężczyzną, jak on...

Niebawem do Rouen dotarły wieści, że na zamek Gerberoi ściągają z różnych stron księstwa i z królestwa francuskiego młodzi kompani Roberta, awanturnicy żądni przygód, łupów i przyszłych nagród. Nawet i starsi ludzie, do tej pory wierni poddani króla Wilhelma, obliczywszy jego lata wykalkulowali, że może warto przyłączyć się do młodego człowieka, z którego rąk niebawem zaczną płynąć - w ten sposób czy inny - dary, nominacje i nadania.

Pierwsza wiadomość o poczynaniach na zamku Gerberoi nadeszła, co początkowo wydawało się dziwne, od króla Filipa, który wspomagał Ralfa de Wadera przeciw Wilhelmowi, który Robertowi dał u siebie azyl, a później zamek. Otóż król Filip chętnie przysparzał kłopotów swemu potężnemu wasalowi, ale nie zamierzał na ziemi francuskiej dopuścić do rzeczywistej wojny, powątpiewając, czy mógłby ją wygrać. Wołał więc ostrzec swego „brata, króla Anglii”.

Znowu z mieszanym, anglo-normandzkim wojskiem Wilhelm wyruszył z Rouen. I on i jego królowa, oboje mieli powody do wstydu i żalu. Żadne z nich nie wspomniało nigdy ani słowem o scenie, jaka rozegrała się pod wiszącym na drzewie ciałem nieszczęsnego Sam-sona. Teraz, stojąc obok wierzchowca Wilhelma, Matylda powiedziała:

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece, mój mężu ukochany...

Uściskali się czule.

- Najświętszej Panience cię powierzam i w opiekę oddaję - rzekł Wilhelm.

Żadne nie wypowiedziało swoich myśli: królowa -

- nadziei, że Robert uniknie pomsty ojcowskiej; król - mocnego postanowienia, że przyprowadzi do stolicy swego syna w kajdanach.

Wzmocniono załogi zamków, leżących najbliżej Ger-beroi, dla zapobieżenia napaściom rebeliantów, po czym przystąpiono do oblężenia, nie tylko za zgodą króla



Francji, na którego terytorium zamek leżał, ale nawet z jego pomocą. Filip osobiście przybył do obozu Wilhelma.

Robert niewiele posiadał zalet, ale można było do nich zaliczyć pewne talenty wojskowe i odwagę, połączoną z arogancką zarozumiałością. Odpierał szturmy na zamek przez trzy tygodnie. Nie znał, co strach, nie uchylał się przed strzałami ani pociskami, wysyłanymi przez maszyny oblężnicze. W końcu własna nierozwaga go zgubiła. Chciał zakończyć oblężenie, wyprowadzając wojska i ryzykując otwartą bitwę z królewskimi siłami. Walka nie trwała długo, ale nie brakło jej zażartości. Robert miał za mało ludzi, by pokonać doświadczonych anglo-normańskich żołnierzy. Po godzinie rebeliantów zapędzono z powrotem do zamku.

Król Wilhelm, jak zwykle, był w samym sercu naj-zaciętszej walki. Robert trzymał się dzielnie i zagrzewał swoich ludzi do boju. Nagle, ojciec i syn znaleźli się oko w oko: po jednej stronie wściekłość wyzwanego rodzica, po drugiej - poczucie krzywdy, chęć dopięcia swego, udowodnienia, że nie jest gorszym.

Dwa wierzchowce ruszyły przeciw sobie. Wilhelm odniósł ranę w dłoń, a jego konia przebił dzidą jeden z rycerzy Roberta.

Roger de Montgomery, który był tuż za Wilhelmem, zeskoczył ze swego wierzchowca:

- Dosiądź mego konia, miłościwy panie! - zawołał, podając rękę, by dopomóc królowi wydostać się spod zabitego rumaka.

Prawdopodobnie dzięki temu wypadkowi Robert nie wjechał rzeczywiście do Rouen w kajdanach. Rycerze zbiegli się wokół króla, zatroskani o jego bezpieczeństwo i pozwolili zbuntowanemu synowi bez przeszkód pogalopować do bram zamkowych, które pośpiesznie zawarły się za nim. Rana Wilhelma była tylko powierzchowna.

Roger de Beaumont pojechał do Beauvais razem z wojskiem królewskim, ale jako starcowi, który dożył wieku niezwykłego w owych czasach, Wilhelm nie pozwolił narażać się w bitwie. Do niego zwrócił się tego wieczoru król ze słowami:

- Może mój syn dostał zbawienną naukę dzisiejszego dnia. Jutro przystępujemy do generalnego szturm. To będzie ostatni.

- Nie, miłościwy panie. Ten zatarg, w którym jak mogłoby się zdawać, ludzie poświęcają życie dla błahego sporu rodzinnego, musi się skończyć. Ojciec i syn, stający przeciwko sobie z bronią w ręku - to będzie głośne w całej Europie, a nikomu zaszczytu nie przyniesie. Zaklinam cię, miłościwy panie, połóż kres walkom. Tu trzeba niejedną ranę zaleczyć, a ja się ofiarowuję jako rozjemca.

Wilhelm położył swoją zdrową rękę na ramieniu starca.

- Mądry z ciebie doradca, stary przyjacielu, twoje rady zawsze mi dobro przynosiły. Prześlpijmy się teraz, a jutro rano niechaj Bóg nam wskaże właściwą drogę.

Król i jego doradca nie wiedzieli, że droga już stała otworem. W ciemnościach nocy Robert przemknął się przez otaczający zamek krąg królewskich żołnierzy, pomęczonych bitwą i pojechał do Flandrii. Dowiedziawszy się następnego dnia o tym, Wilhelm wrócił do Rouen, na wszelki wypadek zostawiwszy jednak większość wojsk na granicy. W staraniach o pojednanie Rogerowi de Beaumont dopomógł jego imiennik, Roger de Montgomery oraz król Francji. Kiedy następca tronu uległ ich namowom - hrabia Flandrii niezbyt mile widział tego gościa, a Robert nie miał się gdzie podziąć - wówczas Matylda zwróciła się do męża, błagając o pobłażliwość.

Zbuntowanym stronnikom Roberta pozwolono wrócić do ich domów po zapłaceniu wysokich grzywien. Zamek Gerberoi król Filip obsadził własną załogą. Następca tronu poddał się ojcu, otrzymał przebaczenie i formalne potwierdzenie, że odziedziczy księstwo. Został więc na jakiś czas przy dworze, ale humor mu nie dopisywał: chodził milczący i niespokojny. Życie w cieniu wielkiego ojca znowu mu dopiekało. Wilhelm nie ufał synowi i wciąż odkładał swój wyjazd do Anglii. Wreszcie Robert poprosił o zezwolenie ponownego wyjazdu z Normandii, tym razem, jak twierdził, by odbyć pielgrzymkę do Ziemi Świętej, jak niegdyś jego dziad. Do matki na pożegnanie powiedział:

- Żyj długo... bo ja nie wrócę, dopóki nie będę witany jako książę.

A jako książę okazał się władcą chwiejnym, niezdecydowanym, wszczynał waśnie w rodzinie, w końcu jego brat Henryk, król Anglii po Rufusie, zwyciężył go w bitwie i wtrącił do więzienia, gdzie zmarł w dwadzieścia lat później.

## Rozdział 18

# CIEMNA SAMOTNOŚĆ

W roku 1080 papież Grzegorz VII, lepiej w historii znany pod nazwiskiem Hildebranda, pierwszy, który zażądał dla Stolicy Apostolskiej władzy nad całym światem, zwołał synod do Rzymu. Watykan zauważył już, że wyżsi duchowni z Anglii i Normandii od jakiegoś czasu nie uczestniczyli w tych zgromadzeniach. Tym razem wezwano imiennie po jednym biskupie z każdej z tych prowincji Kościoła. Żaden się nie stawił, a Hildebrand łatwo wywnioskował, że kryje się za tym wola królewska.

Wprawdzie Hildebrand twierdził, że król obok papieża jest jak księżyc przy słońcu, odbijający tylko światło (nie tłumaczył, skąd brała się świetność blasku Salomona, Dariusza, Aleksandra, Juliusza Cezara i innych suwerenów z przedpapieskich czasów), jednakże Wilhelm, cały czas zapewniając o swoim oddaniu Stolicy Apostolskiej, zawsze osobiście rządził sprawami kościoła na podległych mu ziemiach. Interweniował w sprawy kościelnej legislatury, pozbawiał urzędu prałatów, którzy mu się narazali, kościoły w Anglii i w Normandii uzależnił od swojej woli. Do tej pory względy dyplomatyczne i bardziej naglące kłopoty Watykanu zapobiegały jawnemu zerwaniu stosunków między Zdobywcą a Rzymem.

Jednakże po tym ostatnim akcie nieposłuszeństwa ze strony angielskich i normandzkich biskupów, Hildebrand zażądał od Wilhelma złożenia hołdu lennego i bardziej punktualnego niż dotąd wypłacania świętopietrza.

Sam bezwzględny w ściąganiu podatków, danin i grzywien, Wilhelm zgodził się wypłacać świętopietrze, przeprosił za zaniedbanie tej sprawy „w ciągu ostatnich trzech lat, kiedy to wieloma kłopotami byłem zajęty” i przyrzekł odtąd osobiście doglądać regulowania zaległych i bieżących danin. Ale żądanie uznania Anglii i Normandii za państwa lenne Rzymu obudziło jego gniew. Formalnie rzecz biorąc, uznawał w odniesieniu do Normandii zwierzchność króla francuskiego, nigdy jednak papieża rzymskiego. Odmówił wręcz złożenia hołdu, dodając:

„Żaden z moich poprzedników nigdy dawniejszym papieżom hołdu nie składał, ani też ja się nigdy nie zobowiązywałem do czegoś podobnego...” Zakończenie pisma Wilhelma miało posmak nieco dwuznaczny: „Zawsze z głębokim uwielbieniem odnosiłem się do poprzednich papieży i moim szczerym pragnieniem jest wielbić również Ojca Świętego, zasiadającego obecnie na Stolicy Apostolskiej”. Jakby chciał zasugerować, że z tym uwielbieniem wiążą się pewne zastrzeżenia.

W jednej sprawie Watykan i Wilhelm od roku 1066 zgadzali się najzupełniej: w trosce o likwidację nadużyć wśród duchowieństwa angielskiego. Kościół na wyspie rzeczywiście przedstawiał żałosny obraz w chwili najazdu Wilhelma. Stigand przez

osiemnaście lat ciągnął dochody z dwóch diecezji - Canterbury i Winchester - a Ealdred z Yorku zarządzał trzema biskupstwami i jednym opactwem. Inni prałaci szli za przykładem zwierzchników. Kumulacja szerzyła się nagminnie. Arcybiskupi nie sprawdzali działalności biskupów, z których blisko połowa, jak notuje kronikarz, żyła w swoich wiejskich rezydencjach założonych po nawróceniu kraju na chrześcijaństwo, nie troszcząc się o sprawy pastoralne, a przepędzając czas na takich czy innych uciechach.

Mniej wiadomo o proboszczach w XI w. Święty Wulfstan - jeden z nielicznych biskupów z czasów panowania Edwarda Wyznawcy, którzy przetrwali na swojej diecezji w Worcester pod władzą Wilhelma Zdobywcy - narzekał, że chociaż księżom nie wolno się żenić, biorą sobie żony, a nawet odpędzają jedne, a biorą drugie. Dowodziłoby to braku dyscypliny, czemu trudno się dziwić, zważywszy że proboszczowie żyli wśród swoich parafian i tak samo, jak oni pracowali na roli, dzielili wspólne wiejskie rozrywki, a wyróżniali się jedynie odrobiną wykształcenia: znajomością łaciny o tyle tylko, by odprawić mszę.

Większość dawnych nadużyć uległa zlikwidowaniu pod władzą Wilhelma, zwłaszcza gdy arcybiskupstwo Canterbury objął Lanfranc. Ten mniej zajmował się kwestiami doktrynalnymi, natomiast zreorganizował kościół angielski, zaprowadził ład i dyscyplinę.

Wyższym normańskim dygnitarzom kościelnym, mianowanym przez Wilhelma po podboju, też można było wiele zarzucić. Opaci rządzili często nie tylko autokratycznie, ale wręcz po tyrańsku. Opat z Glastonbury rozkazał oddziałowi swoich najemnych żołnierzy zaatakować własnych mnichów, sprzeciwiających się wprowadzonym przez niego do nabożeństw śpiewom ambrozjańskim. Inni opaci nagminnie wydzierżawiali ziemie, formalnie należące do opactwa, krewniakom z Normandii. To budziło szczególny sprzeciw zakonników, ponieważ zmniejszało ich zwyczajowe dostawy mięs i piwa, a tylko napępniało kieszenie opatowi.

Normańskich opatów cechowała jedna zaleta: energia. Niewielu z nich zaliczono w poczet świętych, ale wielu zasłynęło jako wybitni uczeni, budowniczo, doskonali zarządcy. Często prałatów, najlepiej wykształconych ludzi w kraju, wciągano do spraw świeckich. Na dworze królewskim, gdzie o promocję było najłatwiej, tłumnie otaczali Wilhelma, dochodząc z nim do zażyłości nieomal takiej, jak Lanfranc. Ortodoksyjni benedyktyni gorszyli się tym, że opaci opuszczali swoje klasztory, na ich dobro należy jednak zapisać, że w większości normańscy duchowni nie oderwali się z powodu świeckich obowiązków od miejscowej ludności. Uczyli się angielskiego, nawet wygłaszali kazania w języku podbitego kraju i zachowali wiele form, właściwych rytuałowi kościoła angielskiego. Biorąc ogólnie, biskup i opaci stanowili czynnik, przyspieszający asymilację Normanów w Anglii.

Fortuna sprzyjała Wilhelmowi, bo gdy jego odmowa złożenia hołdu Stolicy Apostolskiej dotarła do Rzymu, Hildebrand znalazł się w obliczu rywala. Cesarz rzymski narodu niemieckiego, Henryk IV, wysunął alternatywnego papieża. Tyle kłopotów spadło na głowę Hildebranda, że nie mógł zająć się wyegzekwowaniem swych żądań od króla Anglii. Nie sposób przewidzieć, co by się zdarzyło w innych okolicznościach, ale zważywszy charakter Wilhelma, nie skłonnego do ustępstw w sprawach dotyczących władzy nad jego królestwem, można przypuścić, że kościół angielski oderwałby się od Stolicy Apostolskiej o cztery i pół wieku wcześniej, niż to się stało.

Tymczasem jednak Wilhelma zostawiono w spokoju i mógł nadal, z arcybiskupem Lanfranc jako swą prawą ręką, rozwijać według własnych poglądów kościół angielski. Po tej drodze, jaką wytknął, Wilhelm, kościół angielski będzie szedł aż do reformacji.

Umierającej matce, Arletcie, Wilhelm przyrzekł opiekować się swymi przyrodnimi braćmi. Dotrzymał słowa, a oni obaj do tej pory wywdzięczali mu się lojalną i cenną współpracą. Robertowi de Mortain dobrze się wiodło, miał hrabstwo Kornwalii i inne jeszcze rozległe posiadłości: to mu wystarczało. Odo, biskup Bayeux, zarządzał sprawnie, chociaż bardzo surowo, swoim hrabstwem Kent i dobrze wywiązywał się z rozmaitych obowiązków po obu stronach Kanału, którymi go Wilhelm obarczał.

Odo miał niemałe ambicje i sporo chciwości, w charakterze, ale przez jakiś czas czuł się zaspokojony. Zawiść obudziła się w nim dopiero wtedy, gdy arcybiskup Lanfranc został głównym doradcą królewskim. Jednakże w zawodzie kapłańskim istnieją wyższe godności nawet od stanowiska pierwszego prałata Anglii. A pewien wróżbita przepowiedział biskupowi de Bayeux, że po śmierci Hildebranda jego następcą na Stolicy Apostolskiej będzie człowiek noszący imię Odo.

Wielkie i święte posłannictwo następcy Piotrowego mało obchodziło biskupa Bayeux, lecz zdawał on sobie sprawę, że w owej epoce energiczny papież, obeznany w tajnikach polityki europejskiej - Odo spełniał te warunki - i bezwzględny w razie potrzeby - Odo bez wątpienia potrafiłby i ten warunek spełnić - mógł mieć władzę równą lub wyższą od królewskiej czy cesarskiej.

Hildebrand chorował, zestarzał się. Żył w czasach niespokojnych, a zwłaszcza kłopotów przyczyniał mu cesarz, na którego rzucił klątwę za wysunięcie anty-papieża, Klemensa. Odo ufał, że jego własne doświadczenie w świeckich sprawach pozwoli mu rozwiązać problemy, zbyt trudne dla człowieka świątobliwego, jakim był Hildebrand.

Aby przeprowadzić własny wybór na papieża, Odo, który nie był arcybiskupem ani nawet kardynałem, potrzebował przyjaciół w Rzymie i kufrów pełnych złota. Przyjaciół miał, a kufry napełniał, wyciągając różnymi sposobami pieniądze od mieszkańców swego hrabstwa, biorąc łapówki w Normandii i w Anglii od tych, którzy szukali jego względów i wpływów, jakich nadal mógł użyć u Lanfranca i u króla. Nawiązał też

stosunki z Normanami w południowej Italii, którzy gotowi byli wywrzeć nacisk, nie cofając się nawet przed groźbą zbrojnej interwencji, by przeprowadzić wybór biskupa Ba yeux na papieża. W roku 1081 polecił zaufanemu przyjacielowi, by zakupił dla niego, nie ujawniając jego nazwiska, pałac w Rzymie. Posyłał też kosztowne podarunki różnym kardynałom, o których posłyszał, że je przyjmują.

Odo wiedział, że Wilhelm nigdy by się nie zgodził na realizację tych pięknych planów. Mieć przyrodniego brata na stanowisku, łatwo prowadzącym do konfliktu, w którym Odo bez skrupułów przekupywałby i przeciągał na swoją stronę innych suwerenów - to z pewnością nie odpowiadałoby królowi. Więc biskup gromadził wokół siebie normańskich opatów i rycerzy, niezadowolonych ze swego losu<sup>1</sup>, obiecując im dygnitariaty i fortuny. I gdy Wilhelm wyjechał do Normandii w roku 1082, Odo zdecydował skorzystać z tej okazji i cichcem wymknąć się do Rzymu razem z gronem swych stronników. Zbudował w tym celu statek, nazwany „Bayeux”, który stał zakotwiczony przy wyspie Wight i na który teraz załadował zgromadzone skarby. Wszystko było gotowe do wyprawy po najwyższą władzę w katolickim kościele i po wszelkie inne zdobycze, jakie dostały się w jego zasięg.

Odo powinien był lepiej znać swego przyrodniego brata. Wilhelm nie ufał nikomu, prócz Matyldy - a i ona zawiodła raz jego zaufanie - i może Lanfranca. Rozbudował siatką szpiegowską, obejmującą każdy zamek w Anglii. Więc w chwili, gdy biskup właśnie zamierzał opuścić wyspę Wight, przyżegłowało kilka statków, napchanych uzbrojonymi po zęby normandzkimi żołnierzami i na pokład „Bayeux” wszedł król Wilhelm. Inne towarzyszące statki zajęły pozycje po obu stronach „Bayeux”: przygotowano bosaki, jak do abordażu.

Pierwszy przestraszył biskupa mijał po trochu, bo król był w świetnym humorze i potraktował wyprawę Odo na papieża jako doskonały żart.

- Więc mój zacny Odo wyobraża się w roli wielkiego klucznika. No cóż, każdy ma jakąś ambicję, chociaż nie każdemu dane jest ją osiągnąć. Ale co za wiara we własne siły! Planować przejście z Bayeux do Rzymu jednym skokiem. Na szczęście, ja jestem tutaj, byś nie mógł durnia z siebie zrobić.

Biskup odczuł głęboką ulgę, ponieważ król się nie rozgniewał: tylko upokarzały go te szyderstwa w obecności jego przyjaciół. Ale w chwilę później ogarnął go prawdziwy strach. Wilhelm trzepnął go po ramieniu i zawołał:

- Chodźmy, pokaż mi ten piękny statek, jaki sobie zbudowałeś!

Król kazał pootwierać wielkie paki, a gdy zobaczył olbrzymie skarby, jakie Odo zamierzał wywieźć, jego szyderczy nastrój zmienił się od razu.

- Ty rabusiul Złodzieju! Zdrajco! - krzyczał.

To straszne słowo: „zdrajco!” Słowo, najeżone konsekwencjami. Ale Odo nie był tchórzem, nie dał się zastraszyć nawet temu bratu, którego jako mały chłopiec tak

adorował.

- - Nic tu nie ma, prócz mojej własności! - zawołał.

- Twojej? Ty nie posiadasz nic! Ty, syn marnego normanskiego szaraczka, wszystko zawdzięczasz mnie! Twoje stanowisko, tytuły, zaszczyty, nawet te duchowne suknie, które nosisz! I dlatego to jest haniebne!

Król zwrócił się do trzech rycerzy, którzy razem z nim weszli na pokład.

- Aresztować tego... tego...

Nikt się nie ruszył. Być może Odo wszystko zawdzięczał królowi, ale bądź co bądź był biskupem. Zadać gwałt księciu kościoła, to prawie świętokradztwo! Wilhelm pojął tę duszną trwogę, chociaż do jego serca nie miała przystępu. Sam chwycił brata za ramię.

- Puść mnie! - wołał Odo, szarpiąc się i próbując oswobodzić. - Jestem biskupem, namaszczonym świętymi olejami! Biskupa może sądzić tylko papież!

Wilhelm trzymał go w żelaznym uścisku i roześmiał mu się w twarz:

- Aresztuję ciebie, wiarołomco, nie jako biskupa Bayeux, w którym to charakterze nigdy byś nie nagromadził tych skarbów, lecz jako hrabiego Kent, mego wasala, grabieżcy powierzonych mu dóbr!

Zawezwał żołnierzy ze swych statków, uwięził brata i osobiście eskortował go do Normandii i na zamek w Rouen. Tam sąd baronów, z królem w charakterze oskarżyciela - nikt mu się nie śmiał sprzeciwić - skazał hrabiego Kent na więzienie i konfiskatę wszystkich posiadłości.

Imię Odonu byłoby mało znane przyszłym pokoleniom, gdyby nie wiązało się z arcydziełem sztuki, unikalnym po dziś dzień: tkaniną z Bayeux. Na tej słynnej tkaninie długości około siedemdziesięciu metrów, a szerokości osiemdziesięciu centymetrów, przedstawioną jest w serii obrazów, wyhaftowanych na płótnie, historia podboju Anglii: od przysięgi, złożonej przez Harolda w Normandii, aż do jego śmierci na wzgórzach Senlac. Haft poczytywano niegdyś za dzieło zręcznych palców Matyldy i jej dworek, ale badania historyczne wykazały, że Odo zlecił wykonanie jakiemś bezimiennemu artyście o wielkim talencie i jego hafciarzom. Artysta oparł się na zapiskach Williama z Poitiers (które kończą się na roku 1068), na *Kronice Anglosaskiej* oraz na ustnych relacjach samego biskupa i ludzi z jego otoczenia.

W XVIII wieku William Stukeley określił tkaninę z Bayeux nie tylko jako arcydzieło sztuki, ale również „najwspanialszy na świecie pomnik, świadczący o naszej angielskiej historii”; w XIX wieku inny historyk, Edward Augustus Freeman, specjalizujący się w epoce normandzkiego podboju, nazwał tkaninę „autorytatywnym źródłem... najwyższym autorytetem od strony normańskiej”. Opowieść przedstawiona na tkaninie jako dzieje złamanej przysięgi nie jest bezstronna: ma silne zabarwienie normańskie. Ale największa wartość arcydzieła z Bayeux z punktu widzenia

historyków leży w tym, że jest to prawdziwa kopalnia informacji o XI wieku: o ubiorach, zbrojach, broni, ekwipunku, budowie statków i zamków. Według H. R. Loyna (*The Norman Conquest*, 1962) na tkaninie wyhaftowano 626 postaci Normanów - trzy z nazwiskami, ze świty biskupa Odo - 190 koni i mułów, 541 innych zwierząt, 37 statków, 33 budynki i 37 grup drzew. Są tu sceny, przedstawiające ścinanie drzew, budowanie i ładowanie statków oraz oczywiście walki i śmierć. Podkreślono też przewagę Normanów z powodu posiadania jazdy i łuczników, w przeciwieństwie do pieszych żołnierzy Harolda.

Napoleon kazał przewieźć tkaninę z Bayeux do Paryża, z zamiarem zabrania jej ze sobą - może jako talizmanu? - w czasie wyprawy na Anglię. Dzisiaj jest z powrotem w mieście, gdzie powstała, wystawiona na widok publiczny w ratuszu i dziesiątki tysięcy ludzi corocznie ją podziwiają.

Wilhelm surowo potraktował przyrodniego brata. Można przypuszczać, że konfiskata bez uwięzienia byłaby dostateczną karą. Nie było zbrodnią, że wysoki dostojnik kościelny aspirował do tiary papieskiej, chociaż może nie świadczyło to o świętobliwości Odon, ani jego chrześcijańskiej pokorze. Pod rządami Wilhelma nie za takie cnoty prałaci otrzymywali nominacje, ale za talenty polityczne, a nawet wojskowe. A ponieważ biskupi i prałaci uczestniczyli w rządach i wyższe szczeble drabiny mieli wciąż przed oczyma, nic dziwnego, że niektórym zachciało się wspinać wyżej.

Odo ucierpiał, ponieważ Wilhelm nie wyładował całego swego gniewu na wyrodnym synie i nazbyt po macierzyńsku czulej królowej. Ta nowa dezercja, zaplanowana w sekrecie, kazała Wilhelmowi przypuszczać, że zdrada pleni się nawet w kręgu najbliższych mu ludzi. Zabrakło Rogera de Beaumont, nie żył już, by wstawić się za winowajcą, a nawet arcybiskup Lanfranc, człowiek o wielkim i współczującym sercu, przebywał w Anglii. Wilhelm zadał cios gwałtowny i srogi, by strach otrzeźwił innych, może noszących w sercu podobne sekrety.

W miarę upływu lat Wilhelm coraz bardziej odczuwał potrzebę bliskości Matyldy. Niewiele pozostało z dawnego, namiętnego pożądania, ale towarzystwo jej było dla niego źródłem siły, spokoju, odrodzenia. W roku 1083 to na pozór niewyczerpalne źródło miało przestać bić na zawsze. Matylda na łożu śmierci jeszcze się martwiła, czy jej mąż w głębi serca nie żywi do niej nadal urazy za sfinansowanie - mimowolne, ale jednak wynikające z braku rozwagi - rebelii Roberta. Tak już słaba, że z trudem mogła mówić, wyszeptać:

- Wilhelmie, jedyny, ukochany... czy mi przebaczyłeś?

- Przebaczyć? To, żeś najwspanialszą i najbardziej kochaną kobietą pod słońcem? - wykrzyknął.

- Wiesz, co mam na myśli.



- Wiem, że byłaś zawsze cnotliwą kobietą, dobrą żoną i... - zająknął się przy tych słowach - ... matką o najlepszych intencjach.

Ta wymijająca odpowiedź wywołała błady uśmiech na jej twarzy.

- Więc powiedz, że mi przebaczyłeś, jakkolwiek krzywdę ci wyrządziłam, świadomie lub nieświadomie...

- Przebaczenie należy do Boga. Co do mnie, świadom jestem i będę do końca moich dni tylko twoich zalet. Ale dwukrotnie wobec ciebie brutalnie się zachowałem: raz jeszcze przed naszym ślubem, a drugi raz, kiedy... To ty mnie powiedz, czy mi moją gwałtowność przebaczasz?

Nadal uśmiechając się, wsunęła rękę w jego dłoń.

- Zimno mi. Ogrzej mnie, jak to zawsze robiłeś, sercem i ciałem. Pytasz, jakbyś kobiet nie rozumiał. Kiedy mnie pierwszy raz zbiłeś, przekonałeś mnie - może nawet więcej, niż w naszą noc poślubną, choć ta by wystarczyło - o swojej męskości. - Przymknęła oczy, przywołując pamięć dawnych wydarzeń. - A drugi raz... to ciebie nie zmieniło w moich oczach w żadnej mierze...

- Na Boga! - powiedział. - By ci wrócić życie, chętnie oddałbym moje.

- A cóżby mi przyszło z życia... bez ciebie? - Po długiej chwili przerwy szepnęła. - Życie dawałeś mi wciąż, w ciągu tych wszystkich lat... ale teraz, żadna ludzka siła, nawet twoja... - Wargi jeszcze się poruszały, ale najcichszy szept zamarł na nich.

Wilhelm czuwał całą noc przy ciele swej księżnej i królowej, wpatrując się w twarz, która w śmierci zdawała mu się powracać do urody dziewczęcych lat. Żal jego był głęboki i szczerzy. Odejście Matyldy poruszyło go bardziej niż świadomość - która miała niebawem nadejść - jego własnej, nieuniknionej już i prędkiej śmierci. Czuł się osierocony, jakby go pozbawiono największej, najwartościowszej części jego sił. Wielokrotnie patrzył w oczy śmierci, wielokrotnie patrzył na martwych. Ale zgon Matyldy upokorzył go, uświadamiając, że nawet on, Zdobywca, jest bezsilny w obliczu nieskończonej tajemnicy. Próbował się modlić, lecz jego serce, zwykle gorąco i szczerze odpowiadające słowom modlitwy, było jak kamienne. Noc mijała, nadciągał świt, Wilhelm rozmyślał.

- ... możemy zdobywać zamki, wygrywać bitwy, podbijać królestwa... Możemy zabijać lub dawać pardon, naginać ludzi do naszej woli... możemy skrzesać iskrę życia, ale o trwaniu płomienia... cudzego czy naszego... decyzja już nie do nas należy. Gorące niegdyś ognie migocą i gasną... popioły stygną, a ci, którzy odchodzą i ci, którzy zostają... drżą w ciemnej samotności.

## Rozdział 19

### NA DYMIĄCYCH ZGLISZCZACH

- Trzeba mniej jadać, miłościwy panie, inaczej twoja tusza zaprowadzi cię do grobu.

Tak lekarze przestrzegali Wilhelma wkrótce po śmierci Matyldy. Rzeczywiście bardzo się roztył ostatnio. Zamiast ścigłych, pełnokrwistych rumaków, które go chyżo niegdyś na łowy niosły, teraz musiał dobierać powolniejsze wierzchowce, rozrośnięte i silne, zdolne do dźwigania jego potężnego ciężaru. I z wyglądu się postarzał. Osiwiał prawie zupełnie, jego dawny zamaszysty krok zamienił się w ciężkie szuranie nogami. Dobry humor rzadziej mu się trafiał, a wybuchy gniewu były coraz częstsze. I najbliższe otoczenie i poddani teraz dopiero doceniali w pełni łagodzący wpływ, jaki dawniej wywierała królowa. Wilhelm był zawsze zatrwazającym władcą, a jego podwładni - prócz dawnych druhów, jak Wiliam Fitz Osbern, Roger de Montgomery i arcybiskup Lanfranc - darzyli go raczej szacunkiem niż przywiązaniem. Teraz budził nie tyle nawet szacunek, co po prostu strach.

Król coraz częściej szukał kompanii Rufusa, który jeździł przy boku ojca na polowania i na objazdy - powolniejsze teraz i krócej trwające niż dawniej - i był mu główną pociechą po odstępstwie najstarszego syna i po stracie żony. Tego młodego mężczyzny nie można było nazwać przystojnym. Miał ciężką budowę ciała, szeroki kark, niedźwiedzie ruchy: prócz tego zacinał się i jąkał w mowie. Trudno się dziwić, że nigdy nie znalazł dziewczyny, która by go zechciała za męża. Przewisko, które przylgnęło do niego (rufous znaczy brunatny) zawdzięczał rudym włosom i ogorzałej twarzy. Dziwny to był kompan dla króla, człowieka pobożnego i czystych obyczajów, bo Rufus sypał przekleństwami, uwodził dziewczęta - najchętniej skromnego pochodzenia, by trudniej im było mu się opierać - i wyrażał się pogardliwie o religii. Ale był wyznaczonym dziedzicem królestwa i żywił rodzaj szorstkiego przywiązania i podziwu dla swego ojca. Wilhelm traktował go, jako następnego w radzie królewskiej po arcybiskupie Lanfranc - miejsce, niegdyś zajmowane przez biskupa Odo - i swoją prawą rękę w tłumieniu wszelkich przejawów buntu. U boku ojca Rufus uczył się sztuki rządzenia. Miał zostać władcą energicznym, bezwzględny i surowym, ze skłonnością - odziedziczoną po ojcu, ale w jeszcze większym stopniu - do terroryzowania poddanych i wymuszania danin. Było to zrozumiałe, że w latach bliższych stosunków Rufusa z ojcem, pod koniec jego życia wystąpiły ze szczególną ostrością najgorsze cechy charakteru Wilhelma.

W tym okresie Wilhelm nakazał rozpoczęcie dzieła, które, ponieważ nie było tworem artystycznym, nie nadawało się do reprodukcji, mniej zyskało poza Anglią

sławy - prócz może samej nazwy - niż Tkanina z Bayeux. Przeprowadzone w ciągu roku było wyczerpującym inwentarzem, przedstawiającym gospodarczy i społeczny stan królestwa, a znane jest pod nazwą „Domesday Book”, ponieważ nie było odwołania od ewidencji jego danych, składanych pod przysięgą, jak od wyroków Sądu Ostatecznego.

*Kronika Anglosaska* podaje:

„Król wiele się zastanawiał i naradzał z najmądrzejszymi ludźmi, aby dokładnie się dowiedzieć o tym kraju, jak jest zaludniony i przez kogo. I posłał swoich ludzi do każdego hrabstwa w całej Anglii i nakazał aby ustalono, ile setek »hides«\* jest tam, jaką ziemię król posiada, jaki na ziemi dobytek, jakie dochody powinien mieć co roku z tego hrabstwa. Kazał również, aby spisano, ile ziemi mają jego arcybiskupi, biskupi, prałaci i hrabiowie, a także (choć się może powtarzam w wyliczaniu) ile i jakich gruntów trzyma każdy ziemianin w Anglii i jaki dobytek i jakiej wartości. A takie dokładne kazał przeprowadzić inwestygacje, że nie było jednej »hide« albo jarda ziemi, ani wołu, ani krowy, ani wieprzka, by nie został spisany. A wszystkie spisy później przyniesiono do króla.”

Ten rejestr, bez precedensu pod względem zasięgu i dokładności, ma olbrzymie znaczenie dla historyków ekonomistów, prawników, etnologów, socjologów. Sporządzenie go świadczy o wysokim poziomie organizacji i o sprawnie działającym aparacie administracyjnym, centralnym i prowincjonalnym, świeckim i kościelnym. „Domesday Book” jest w zasadzie dokumentem finansowym, pomyślanym tak, aby Wilhelm i jego następcy orientowali się w podatkowym potencjale królestwa i aby mogli odnajdywać osoby, wykręcające się od płacenia należności. Nie odnosi się do bogactwa wszelkiego rodzaju, a tylko do ziemi, zwierząt i narzędzi gospodarskich oraz ich zdolności produkcyjnej.

Wartość, jaką określono „manor”, czyli dwór i jego gospodarkę, nie oznaczał jego wartości finansowej, ani nawet rzeczywistego dochodu jego właściciela w gotówce i w płodach, ale ocenę czynszu dzierżawnego, który można by otrzymywać, gdyby całość wydzierżawić i uprawiać. Często są wzmianki o ilości pługów, co nie znaczy aktualnej ilości tych narzędzi w danym gospodarstwie, lecz ile pługów potrzeba do pełnego zagospodarowania ziemi. To z kolei oznacza rezerwy podatkowe, utajone w ziemi nie uprawianej. W „Do-mesday Book” podaje się stan na rok 1066 i stan na rok 1086.

Ogólne wyniki spisu wykazują, że było około pięć milionów akrów (ponad dwa miliony ha) ziemi uprawianej corocznie przez około trzysta tysięcy rodzin, co oznaczałoby jakieś dwa miliony ludności, nie licząc mieszczan. Między tysiącami innych cennych obserwacji, ze spisu można też wywnioskować, jak dawno i jak wielką rolę w Anglii pełniła zwłaszcza hodowla owiec. Stało się nawet zwyczajem, iż Lord Kanclerz będzie zasiadał w Izbie Lordów - i tak jest po dziś dzień - na worze z wełną, jako symbolu dominującego znaczenia tej hodowli w gospodarce kraju. Z innych

szczegółów wynika, że Zdobywca w ciągu dwudziestu lat od bitwy pod Hastings zgromadził w swoim ręku jedną czwartą ziemi w Anglii.

„Domesday Book” stanowi niewyczerpane źródło informacji dla badaczy wczesnej epoki normañskiej w Anglii i jeden z najcenniejszych oryginalnych dokumentów w posiadaniu jakiegokolwiek narodu. Obecnie znajduje się w szklanej gablocie w londyńskim głównym archiwum („Public Record Office”), razem z oryginalną starą skrzynią, w której początkowo trzymano rejestr w Winchester.

Rok 1086, w którym zakończono spisywać „Domes-day Book”, okazał się katastrofalny dla ludności rolniczej. Kronikarz zanotował:

„Roku tego w Anglii przyszła wielka zaraza i pomór na bydło. Ani zboża ani owoców nie dało się zebrać z powodu deszczy i trudno opowiedzieć, jakie okropne przechodziły burze, z grzmotami i piorunami, aż pozabijało wielu ludzi. I wciąż jest gorzej i gorzej. Bóg Wszechmogący odmieni to, kiedy sam zechce.”

Głód i epidemie przyszły po klęsce nieurodzaju. Ale Wilhelm jakby nie dbał o to, jakby zapomniał o własnych słowach, że od dobrobytu i zamożności ludu zawisła siła państwa - żądał od głodującej ludności wiejskiej podatków i danin w takiej samej wysokości. co i w latach urodzaju, konfiskował ziemie tym, którzy nie mogli zapłacić, a na nowych dzierżawców nakładał jeszcze wyższe podatki. Nic dziwnego, że wspominając Matyldę i jej dobroczynny wpływ na męża, wielbiono ją jak świętą.

Król nie pozostawał w kraju, by zobaczyć na własne oczy nędzę, wywołaną głodem, zarazami i jego własną zapamiętałą chciwością. Chory, znużony na duchu i ciele, przeprowił się do Rouen, gdzie lekarze kazali mu leżeć w łóżku i przepisali specyfiki, mające zredukować jego tuszę. Gdy tak leżał, nadeszła wiadomość, że francuska załoga z Mantes, tuż przy granicy, najechała księstwo.

Mantes znajdowało się we francuskiej prowincji Vexin, aie na protesty Wilhelma król Filip odpowiedział tylko zniewagami, obraźliwie wypominając mu jego otyłość. Szydził, że dawny Zdobywca za korpulentny jest teraz, by bronić własnych granic i dodał niewybredny żart:

„Królowi Anglii więcej czasu trzeba, by zmniejszyć rozdęty brzuch niż byle ciężarnej kobiecie we Francji”.

- Na takie zniewagi jest tylko jedna odpowiedź: wojna! - wybuchnął Wilhelm. Odrzucił pościel i zawołał do Rufusa: - Wezwij rycerzy i kapitanów! I niechaj mi konia szykują!

Rufus próbował wepchnąć ojca z powrotem do łóżka.

- Wojna, tak - rzekł. - Ale nie dla ciebie. Ja się z tą hałastrą rozprawię w twoim imieniu. Powierz mi tylko komendę i daj dosyć wojska.

- Co? Ty będziesz się bił z Francuzami, a ja mam w łóżku gnąć? Nie, o nie, dopóki mi jeszcze tchu w piersiach starczy! Gdyby król Francji tu był, rzuciłbym mu w twarz

rękawicę. A że go nie ma, na rany Chrystusa, takie zapalę świece wotywnie dla niego, iż cały Vexin spłonie!

Musiał dosiąść olbrzymiej powolnej szkapy, która równać się nie mogła z dawnymi jego rumakami. Ale znalazłszy się w siodle, Wilhelm naprężył mięśnie, podniósł głowę, jakby już czuł zapach bitwy i krwi.

- Oto najlepszy lek na starość i jej niedołęstwo' Od razu mi lepiej. Od śmierci królowej jeszcze nigdy tak dobrze się nie czułem.

Pod koniec lipca roku 1087 Wilhelm z Rufusem u boku poprowadził silne anglo-normańskie wojsko do prowincji Vexin i spustoszył okolicę ogniem i mieczem, aż doszedł pod Mantes. Król Francji nie posłał w ślad za swymi niepoczytalnymi szyderstwami dodatkowych sił dla wzmocnienia załogi zamku. Wilhelm tak śpieszył, tak popędzał swego ciężkiego wierzchowca ostrogami i płazem miecza, tak przynaglał żołnierzy, iż zaskoczył załogę nie przygotowaną, przed fortyfikacjami i zwyciężył ją jednym gwałtownym, niesłychanie krwawym atakiem, nie pozwalając brać jeńców ani dawać pardonu. Jego wściekłość nie ustępowała, a „tysiąc świec” spaliło rzeczywiście, jeśli nie cały Vexin, to w każdym razie miasto Mantes aż do gruntu.

Wilhelm jechał po dymiących zgłiszczach, posępnie zadowolony, nie patrząc na rozpaczające kobiety ani dzieci, które w płaczu kryły się za matczynymi spódnicami.

- Niechaj ten nędznik Filip przyjdzie i zobaczy, jaka jest zapłata za znieważenie króla Anglii!

Jego wielki i powolny wierzchowiec bardzo się już zmęczył forsownym pochodem pod takim ciężarem. Potknął się na tłących jeszcze popiołach, które parzyły jego kopyta, nie podkute, starte długą drogą. Padł na przednie kolana, uderzając gwałtownie jeźdźcem o kulę siodła. Wilhelm wypuścił cugle, chwycił się za brzuch, krzyknął z bólu i straciwszy przytomność, ześliznął się na ziemię.

Rufus wioził swego ojca, jęczącego z bólu, lektyką do Rouen. Lekarze potrząsali tylko głowami. Wewnętrzne obrażenia, jakie król odniósł, przekraczały możliwości zaradcze ich prymitywnej medycyny. Przewieziono go do klasztoru Sw. Gerwazego, na wzgórzu na zachód od jego normandzkiej stolicy. Tam przez sześć długich, nie kończących się tygodni toczył swoją najstraszniejszą bitwę: z atakami przerażających, nie do zniesienia bólów. Potężna siła fizyczna, którą tak się pysznił, odmawiała mu teraz jedynej możliwej ulgi. śmierci. Natomiast nie opuszczała go przytomność umysłu.

Robert był w Ziemi Świętej, albo w drodze. Rufus nie odstępował ojca. Trzeci żyjący syn, Henryk - bo Ryszard zginął w wypadku na łowach - przyjechał z Anglii, razem z Robertem Mortain, hrabią Kornwalii. Gilbert Mamot, biskup Lisieux, lekarz i przyjaciel, zamieszkał w klasztorze, żeby stale być pod ręką; także arcybiskup Rouen, opat z Jumičges i inni.

Cierpliwość i dobry humor, które ostatnio Wilhelma opuściły, teraz powróciły i zatriumfowały nad cierpieniem. Między atakami bólów opowiadał historię swego życia, później spisaną przez biskupa i opata. Wyraził satysfakcję, może nawet dumę, z jednego tylko rezultatu swoich rządów w Anglii, w ten sposób zanotowanego w *Kronice Anglosaskiej*:

„Ład król Wilhelm taki zaprowadził, iż każdy człowiek mógł sam podróżować z jednego końca kraju na drugi bezpiecznie: i nikt się nie ważył zabić drugiego, choćby wielką krzywdę odniósł.”

Król sam zabił niemało ludzi, ale zapewnienie podróżnym takiego bezpieczeństwa było bez wątpienia osiągnięciem rzadkim w owych czasach. Na łożu śmierci Wilhelm uznał nieważność przysięgi, złożonej pod przymusem przez Harolda, podkreślał jednak, że Edward Wyznawca naprawdę wołał widzieć jego samego na tronie Anglii niż Harolda.

Jak zwykle ludziom pobożnym w obliczu śmierci, Wilhelmowi dolegało sumienie. Z goryczą zdawał sobie sprawę, że świeżo ciąży na nim krew, przelana w gniewie i dla zemsty: krew nie tylko żołnierzy z Mantes, ale również niewinnych mieszkańców, którzy zapewne nie żywili złych zamiarów przeciw niemu. Najwięcej wszakże martwił się tym, jaką karę w dzień sądu otrzyma za spustoszenie północnych ziem Anglii.

- Za grzechy, jakie popełniłem przeciw ludziom, niechaj mi ludzie wybaczą pamiętając, że i oni staną pewnego dnia przed Bogiem. Ale za to, co wyrządziłem stworzonej przez Boga krainie, Northumbrii, tylko od Boga mogę zmiłowania czekać.

Pewnego dnia umierający król zawezwał prawników, aby podyktować im ostatnią wolę, rozdzielić swe dziedziny i bogactwa. Nie chciał, by istniały powody do dyskusji o jego intencjach, lub by polegano na słownym testamencie. Wszystko miało być jasno i ściśle ustalone i spisane. Po pierwsze, przeznaczył pewną sumę na odbudowę kościołów w Mantes i jakąś rekompensatę dla mieszkańców spalonego miasta. Bał się większego, dłużej trwającego ognia od tego, którym kazał zniszczyć domy i niejedno życie zarazem. Dalsze sumy polecił zapisać na różne klasztory i kościoły oraz na wspieranie ubogich, w Anglii i Normandii. Następnie zarządził, aby wypuszczono wszystkich więźniów z lochów.

- Dzięki Bogu! - zamruczał Robert Mortain. - Znowu uściskam mego brata Odo.

Ale Wilhelm, chociaż wiedział, że już za kilka dni stanie przed sądem wyższym od tego, który z jego rozkazu wydał w Rouen wyrok na hrabiego Kentu, nie chciał początkowo przebaczyć swemu najmłodszemu przyrodniemu bratu.

- Zdrada to rzecz najgorsza - powiedział. - A jeśli ktoś własną krew zdradza, nie ma dla niego przebaczenia.

Hrabia Kornwalii ukląkł przy łożu króla i zapytał cicho:

- A co będzie, miłościwy panie, z moim bratankiem, Robertem?

- Jemu księstwo przyrzekłem. Będzie złym władcą, ale ponieważ przyrzekłem i przez pamięć jego matki, która go bardzo kochała - dostanie księstwo, gdy wróci.

- Ale czy on, miłościwy panie, nie buntował się przeciw tobie? Czy jego też nie nazwałeś zdrajcą? I czy nie jest z twojej krwi? Więc dlaczego jednemu przeznaczone zaszczyty, a drugiemu dozgonne więzienie? Jeśli ty sam pragniesz miłosierdzia, mój bracie i panie, okaż miłosierdzie Odonowi.

Wilhelma chwyciły bolesne kurcze, ale gdy minęły, zmusił się do uśmiechu, spoglądając na Mortaina.

- Chytrze prosisz - powiedział. - Twój brat tobie wolność będzie zawdzięczał, chociaż zobaczycie, że jeszcze złego niemało wyrządzi on tym, którzy będą po mnie panować w królestwie i w księstwie.

Trafna przepowiednia. Kiedy Lanfranc otrzymał arcybiskupstwo i pierwsze miejsce przy królu, zawiść wyzwoliła jakiegoś demona, śpiącego dotąd w sercu biskupa Bayeux. Po wypuszczeniu z więzienia związał się z nowym księciem Normandii, który niebawem powrócił z pielgrzymki i poprowadził rewoltę przeciwko wyznaczonemu przez Wilhelma dziedzicowi tronu angielskiego: a gdy to mu się nie powiodło, wicherzył i przyczyniał kłopotów w księstwie swemu bratankowi i niedawnemu współnikowi.

Rufusowi dostało się królestwo, „w nagrodę za stałą wierność i zasługi.” Wilhelm wręczył mu regalia królewskie z listem, polecającym go arcybiskupowi Lanfranc i kazał śpieszyć do Anglii natychmiast, bez żadnej zwłoki, aby tam na miejscu mógł włożyć koronę zaraz po otrzymaniu wiadomości o śmierci poprzedniego monarchy.

Matylda zostawiła w spadku Henrykowi swe ogromne dobra w Anglii. Wilhelm nic do nich nie dołożył, ponieważ ziemia dawała władzę i Henryk mógł zgromadzić w swym ręku potęgę w stopniu, niewygodnym dla Rufusa. Zapisał mu więc pięć tysięcy funtów: wielka suma w owych czasach. Wstąpiwszy na tron po trzynastu latach panowania bezdzietnego Rufusa, Henryk okazał się człowiekiem pobożnym, jak jego ojciec, i nieprzeciętnie zręcznym dyplomatą a jako król potrafił - co było rzadkie w średniowieczu - powierzać część swej władzy pełnomocnikom, których dobierał bardzo umiejętnie, ze znajomością ludzi. Ogólnie biorąc, pomimo wysuwanych przeciw niemu zarzutów o chciwość i despotyzm, Henryk jako władca zdobędzie więcej szacunku i uznania niż jego bezpośredni poprzednik na tronie.

Tym dwom synom, stojącym przy jego łożu, Wilhelm udzielił jednej, wspólnej rady:

- Pamiętajcie, że choć Bóg z pewnością miłuje ludzi dobrej woli i wielkiego serca, to jednak nie ocala głupców od rezultatów ich głupoty.

O świcie dnia 8 września roku 1087 rozdzwijał się wielki dzwon katedry w Rouen. Głębokie tony niosły się nad doliną, wzywając zakonników do modlitwy i głosząc, że Wilhelm Zdobywca nareszcie wyzwolił się od cierpień, po rycersku znoszonych.

Żył i umarł człowiekiem wojny. Historia pamięta go jako zwycięzcę w bitwie pod Hastings i ostatniego człowieka, któremu powiodła się inwazja na Anglię. Podbój był wstępem do przyszłego rozwoju Anglii i innych ziem i narodów, na razie jeszcze ledwo znanych ówczesnej Europie. Wilhelm dał Anglii, ucieleśnione nade wszystko w nim samym, ale także w jego normañskich rycerzach, te cechy, których podówczas kraj potrzebował najbardziej: zdolności organizacyjne, poczucie prawa i systematyczności, ujednolicenie różnorodnych składników narodu i odwagę do śmiałych przedsięwzięć.

W owym roku 1087 nad wyspą zawisło pytanie: czy i jak długo ludzie pochodzenia angielskiego, normañskiego i anglo-normañskiego będą odnosili korzyści z tej transfuzji? Czas dał odpowiedź, historia ją zarejestrowała.



# EPILOG

Z pobożnym namaszczeniem arcybiskup Rouen deliberował wraz z księżmi nad odpowiednim ceremoniałem pogrzebu króla. A gdy wreszcie arcybiskup powrócił do komnaty w klasztorze Sw. Gerwazego, bogato przystrojonej dla chorego, znalazł ciało obdarte z pięknej bielizny, łożo bez baldachimu i kosztownych zasłon, każdy cenny mebel zabrany i nikogo ze służby ani na lekarstwo.

Po najkrótszej, dla przyzwoitości tylko modlitwie, każdy z tych, którzy dzielili z Wilhelmem jego ostatnie godziny, opuścił komnatę śmierci, wzywając służby, wołając o konie. Rufus, zgodnie z wolą ojca, wyjechał już przed czterema dniami. Inni włącznie z Henrykiem, pogalopowali do swoich posiadłości. Wiedzieli, że jak tylko rozejdzie się wieść o tym, że nie wisi już nad nimi ciężka ręka Wilhelma, a Robert, następca tronu książęcego, nie wiadomo gdzie się obraca - grabieżcy pieszo i konno ruszą plądrować i zagrożą każdemu, jego rodzinie i mieniu. Nieboszczyka pozostawiono opiece - jeśli w ogóle o tym myślano - poko-jowców i służebnych, których poprzednia uczciwość zrodzona nie tyle z przywiązania, ile ze strachu, nie wytrzymała próby.

Wilhelm polecił w testamencie, aby go pochowano w rodzinnej ziemi, w Opactwie Aux Hommes, które sam ufundował. Ale kto miał się podjąć posępnej podróży? W mieście nie pozostał nikt z dygnitarzy. Trzeba było zawezwać kilku rycerzy z okolicy.

Kiedy kondukt przewędrował ponad sto kilometrów nużącą, wyboistą drogą, przeprawiając się przez wzgórza i brodami przez strumienie, wyszła mu na spotkanie procesja duchowieństwa i mieszczan z Caen. Zbliżano się do miasta, kiedy dostrzeżono buchające za murami płomienie. Żałobnicy z Caen wykrzyknęli:

- Rozbójnicy podpalają nasze domy!

- Chcą wywołać zamieszki, gdy grabią...

- Zgwałcą nasze kobiety, pozabijają nam dzieci... Ulice w Caen były wąskie, domy drewniane. Całe miasto mogło spłonąć doszczętnie w kilka godzin, a rabusie z łupem splądrowawszy kościoły, składy i domy, mogli już być daleko. Duchowni i mieszcianie rzucili się co tchu ratować, co jeszcze było do uratowania. Po raz drugi porzucono zwłoki. Muły w zaprzęgu zawlokły karawan przez miedzę na łąkę i - jedyne żywe stworzenia, niczym nie poruszone - jęły szczypać zieleniejącą trawę jesienną.

Na ostatnie ceremonie pogrzebowe ściągnęli z całej Normandii prałaci, dygnitarze i rycerze. Wielu przepравиło się też z Anglii, razem ze starym arcybiskupem Lanfranc, by oddać ostatni hołd wielkiemu władcy, który za życia organizował ład i bezpieczeństwo, ale któremu po śmierci całunem był zamęt. Nawet teraz nie pozwolono jeszcze jego szczątkom leć w pokój.

Młody mężczyzna wystąpił z prezbiterium i zwróciwszy się plecami do zwłok na marach, prałatów i akolitów przy ołtarzu, zawołał:

- Jestem Ascelin, syn Artura, i przychodzę stwierdzić, że miejsce, wybrane na grób Wilhelma z Normandii i Anglii, było dziedzińcem domu mego ojca, niesprawiedliwie i bezprawnie zagarniętego pod budowę tego opactwa. Żądam tu, w obecności Przenajświętszego Sakramentu, aby nakazano restytucję. Inaczej, na tego nieboszczyka i jego duszę spadnie klątwa!

Znowu zamieszanie... pandemonium... okrzyki: „Profanacja!” Rytuał nabożeństwa żałobnego przerwany...

Rufus i Henryk rzucili się, by pochwycić Ascelina. Ale jak spod ziemi wyrósł Lanfranc, odsunął ich gwałtowne ręce i szepcząc coś do ucha młodemu mężczyźnie, wyprowadził go za ramię do zakrystii. Ponieważ nawet prałaci obawiali się klątwy, choćby zwykłego wieśniaka, odprawianie nabożeństwa żałobnego zawieszono na chwilę. Czekano. Po jakichś piętnastu minutach arcybiskup, z oczyma spuszczoneymi, rękoma wsuniętymi w obszerne rękawy białych szat, wrócił.

Ascelin wszedł przez główne drzwi i ukląkł. Jego wargi poruszały się w nabożnej modlitwie. Respekt jego był tym głębszy, że przed chwilą podpisał dokument, który mu arcybiskup podsunął i schował do sakwy poważną sumę, jakiej zażądał za grunt, przeznaczony na miejsce pochowania.

Teraz zapanował spokój, żal i dewocja.

Pomiędzy prezbiterium a głównym ołtarzem opactwa pochowano szczątki jednego z najwybitniejszych władców średniowiecza. Tam pozostaną w spokoju przez wiele stuleci, nienaruszone nawet w okresie ekscesów rewolucji francuskiej. Aż zdarzy się w roku 1944, że dalecy potomkowie anglosascy ludzi, których syn Arletty podbił i nad którymi panował, wylądują w Normandii, by ją oswobodzić z rąk hitlerowców. Caen zostanie zbombardowane takimi „machinami wojennymi”, o jakich nie śniło się wczesnym Normanom. A wówczas mieszczanie schronią się do opactwa, szukając sanktuarium pod odwiecznymi murami, wokół grobowca największego syna Normandii, Wilhelma Zdobywcy.

## **BIBLIOGRAFIA**

Autor posługiwał się, między innymi, następującymi opracowaniami źródłowymi:  
Beck, Corbett and Phillpotts (Ed.): *Cambridge Médiéval History*. Cambridge.

Bur Iow F.: *The Feudal Kingdom ol England*. London Clapham Sir John: *A Concise Economie History of Briłain*. Cambridge.

Coulton G. G.: *The Médiéval Scčne*. Cambridge. Francis R.: *William the Conqueror*. London. Freeman E. A.: *History ol the Norman Conquest*. London. Galbraith V. H.: *The Making ol Domesday Book*. Oxford. Hodgkin R. H.: *A History ol the Anglo-Saxons*. Oxford. Hollister C. W.: *The Military Organization ot Norman England*. Oxford.

Keen Maurice: *A History of Médiéval Europe*. London. Loyn H. R.: *Anglo-Saxon England and the Norman Conquest*. London.

Loyn H. R.: *The Norman Conquest*. London. Morton A. L.: *A People's History of England*. London. Oman Sir Charles: *English Castles*. Leipzig. Stenton F. M.: *William the Conqueror*. London. Traill and Mann (Ed.): *Social England*. Vol. I. London. Trevelyan G. M.: *History of England*. London. Trevelyan G. M.: *English Social History*. London. *Dictionary of National Biography*. London.

Przytoczone w tekście cytaty z kronik są zaczerpnięte z wyżej wymienionych dzieł.

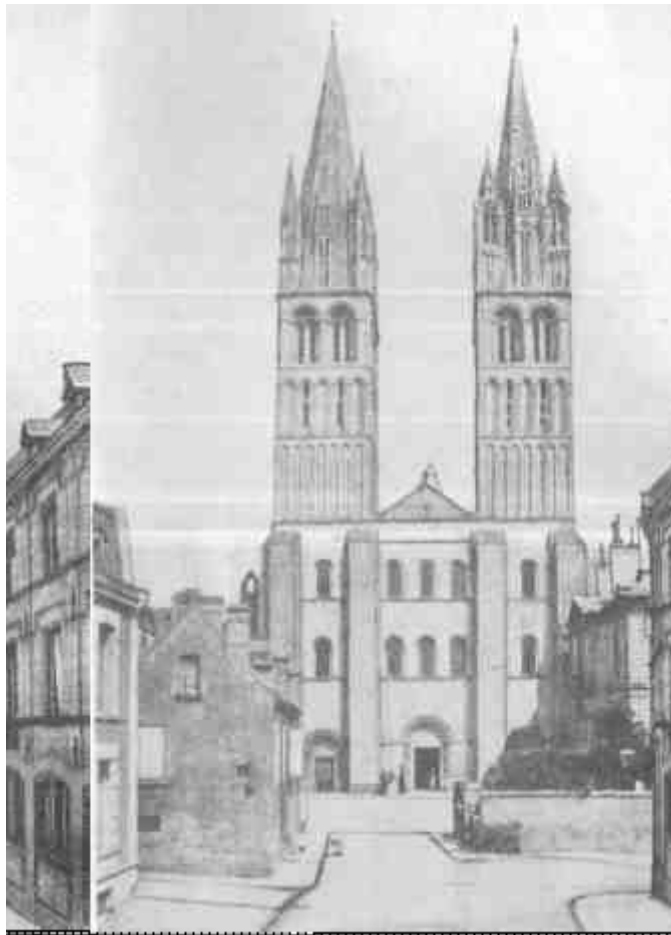


Wilhelm Pierwszy, król Anglii. „Portret”, namalowany przez nieznanego francuskiego malarza w r. 1522, gdy otworzono grób króla w Caen.



Normandia w okresie panowania Wilhelma Zdobywcy.





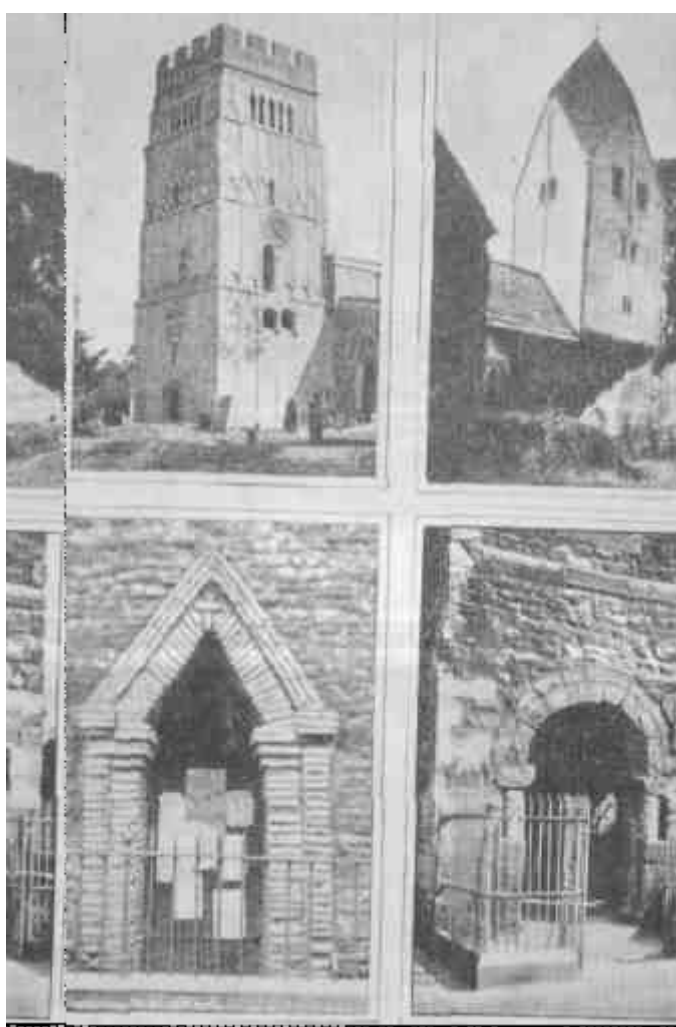
Abbaye aux Hommes w Caen. Dziś zwany kościołem Św. Stefana.



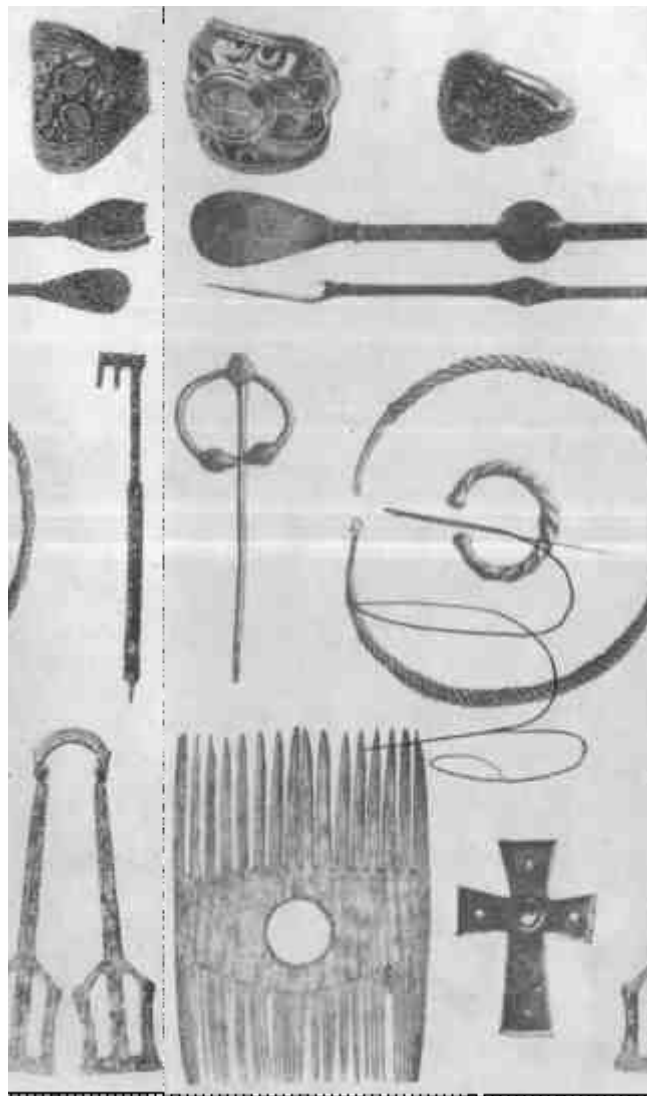
Egzemplarze starej angielskiej ceramiki i szklą.



Krypta Św. Wulfstana w katedrze w Worcester.



Wieża w Earls-Barton, w hrabstwie Noithampton. Wybudowana po podboju.  
Wieża w Sompting, hrabstwo Sussex. Pochodzi z okresu przed podbojem. Drzwi do  
kościół w Colchester, hrabstwo Essex. Mury i część budowli pochodzi z okresu przed  
podbojem. Brama Sw. Benedykta do kościoła w Monkwear-Mouth, hrabstwo Durham.  
Pochodzi z okresu przed podbojem.'



Staroangielskie narzędzia domowego i osobistego użytku.





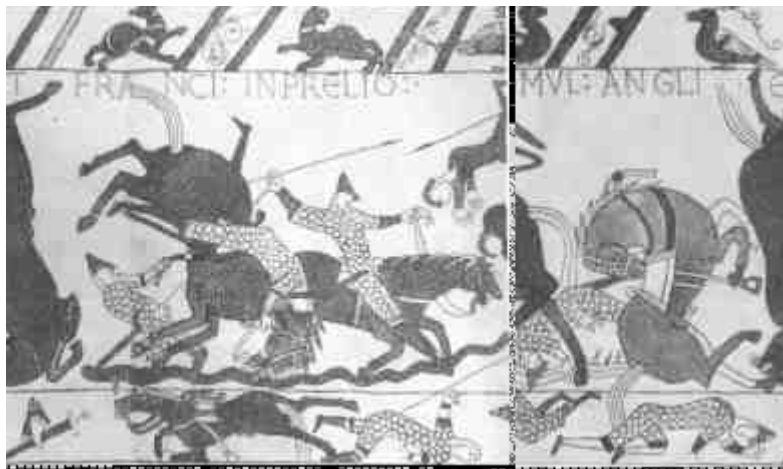
Staroangielskie instrumenty muzyczne.



Anglia pod koniec XI w.



Tkanina z Bayeux: koronacja Harolda w r. 1066.



Tkanina z Bayeux: po bitwie pod Hastings Normanowie spadają do wąwozu.



Tkanina z Bayeux: Normanowie budują twierdzę w Hastings.

8.1 Radulfi filii Seitrade In hunc tenentem  
est filii Seifridi tenentis de regis tenentibus. hunc tenentem  
est p. x. hid. modo p. iii. hid. et dimid. et castellum de  
foret. et in dimid. hid. et p. e. In domino est una car.  
p. xv. uilli et vii. bord. cum iii. car. et molin. de. x. solut.  
et p. silua de. x. post. De hac tenentia tenentis  
hid. et molin. et ibi. Valuit vii. lib. modo. iii. lib. et x. sol.  
et Seifrid tenentis de regis tenentibus. In hunc tenentem  
est lib. hunc tenentem. T. & E. T. p. iii. hid. se desit. p. i. hid.  
et p. e. et ii. car. In domino est una et iii. uilli et v. car. et  
xxx. ac p. Valuit. xl. lib. modo. iii. lib.

**LA ERNULTI DE HESSING.** In hunc tenentem  
est de hunc tenentem tenentibus. Valuit  
de regis. T. & E. T. se desit. p. x. hid. in p. n. hid.  
et p. e. et vii. car. In domino est una car. et xx. uilli et xii. bord.  
et car. et iii. molin. de l. solut. et xx. ac p. silua  
et p. e. et l. i. haia de. xx. solut. et vii. denar.  
valuit. xv. lib. et post. viii. lib. modo. xx. iii. lib.

**LA HUGON FILII BALDRICI.** In hunc tenentem  
est filii Baldrici tenentis de regis tenentibus. Valuit  
de regis. T. & E. T. p. v. hid. modo. p. ii. hid. et dimid.  
et car. In domino est dimid. car. et iii. uilli et xii. bord. cum  
et l. i. m. sequi. et molin. de. xx. solut. et v. ac p. silua  
post. Valuit. vii. lib.

**R**EB  
xl  
T. se  
Ward  
dimid  
xx  
dimid  
**R**ox  
lody  
in firm  
et car  
**H**ER  
l.  
tenit  
et dimid  
et car  
de regis  
T. & E.  
**T**ER  
li  
de p  
et p  
iii. ca  
de l.

Część karty z Domesday Book.

PROLOG 2

Część pierwsza NORMANDIA 11

Rozdział 1 W BITEWNEJ WRZAWIE 11

Rozdział 2 POKUTA ZA ZBRODNIĘ 18

Rozdział 3 KSIĄŻĘ UCIEKINIER 28

Rozdział 4 PRZECIW REBELIANTOM 38

Rozdział 5 SKÓRY DO GARBOWANIA, SKÓRY! 50

Rozdział 6 KLĄTWA I POTĘPIENIE 60

Rozdział 7 WSZYSTKO GOTOWE. NA ANGLIĘ! 71

Część druga ANGLIA 81

Rozdział 8 RZECZ O KRÓLU HAROLDZIE 81

Rozdział 9 DWIE INWAZJE NA ANGLIĘ 92

Rozdział 10 BITWA, KTÓRA ZMIENIŁA BIEG HISTORII 102

Rozdział 11 DYDAKTYCZNE METODY WILHELMA 112

Rozdział 12 POPŁOCH W OPACTWIE 122

Część trzecia ANGLIA I NORMANDIA 132

Rozdział 13 PODBITY NARÓD I NOWY PAN 132

Rozdział 14 SPUSTOSZENIE PÓŁNOCY 141

Rozdział 15 HERWARD Z WYSPY ELY 150

Rozdział 16 DOBROBYT, BEZPIECZEŃSTWO, JEDNOŚĆ 158

Rozdział 17 ROZŁAM W RODZINIE 164

Rozdział 18 CIEMNA SAMOTNOŚĆ 177

Rozdział 19 NA DYMIĄCYCH ZGLISZCZACH 185